



Tekst krytyczny i demaskatorski, realistyczny i okrutny.
„L'Indépendant”

ZŁO

Jan Guillou



ZŁO

Jan Guillou

Przełożyła
Anna Marciniakówna

Wydawnictwo
ab



Cios trafił wysoko w prawy policzek. Dokładnie tak jak Erik przewidział, gdy - dosłownie ułamek sekundy przed uderzeniem - uniósł głowę lekko w górę. Przy stole ojciec przeważnie celował w nos, próbując zadać cios nadgarstkiem lub końcami palców. Specjalnie nie bolało, jeśli trafił. Ale to okropne uczucie dostać tak prosto w nos. Już lepiej w policzek.

Stary był dumny z tego, co zrobił, wyobrażał sobie, że potrafi uderzyć błyskawicznie i z zaskoczenia. Erik jednak, który znał wszystkie jego chwyt i wybiegi równie dobrze jak tabliczkę mnożenia, zawsze dostrzegał owo nerwowe drganie pod prawym okiem ojca, zapowiadające cios. Przy obiedzie z reguły anonsowało ono jedynie bardzo starannie i z rozmachem wymierzony policzek z prawej lub też takie jak dziś zamaskowane uderzenie nadgarstkiem z przeciwnej strony, celujące w nos. To ostatnie obliczone było raczej na upokorzenie niż zrobienie krzywdy.

Erik potrafiłby bez trudu odsunąć się dostatecznie daleko w tył, by ojciec chybił celu. W takiej sytuacji istniało jednak ryzyko, że przekłety zgred kompletnie straci panowanie nad sobą i rzuci się, by poprzez stół wymierzyć mu w twarz lewy sierpowy lub prawy prosty. Natłucze przy tym mnóstwo porcelany, a w najgorszym razie przewróci stół i wszystko, co się na nim znajduje, wyląduje na podłodze. Cała wina spadnie na Erika, a wtedy poobiednie lanie może się przedłużyć nawet do pół godziny.

Dlatego gdy stary wymierza swój zamaskowany cios nadgarstkiem, nie wolno dopuścić, by całkiem spudłował. Trzeba dyscypliny i treningu, pozwalających odwrócić głowę na tyle tylko, by ochronić nos, a nadstawić policzek.

- No dobrze - powiedział stary niemal wesoło. - Dzisiaj będzie szczotka i dwadzieścia pięć razów.

Niezwykle umiarkowany wyrok, bliski minimum. Dwadzieścia pięć razów szczotką do ubrania na długim trzonku, ściślej jej grzbietem, mniej więcej dwadzieścia sekund i jest po wszystkim. W tej sytuacji może uda się uniknąć płaczu. Kiedy ojciec bije, Erik za nic nie chce płakać. Udaje się to dopóty, dopóki można wstrzymać oddech. Brzozowa różga, która uderza wolniej, ale za to boleśniej niż grzbiet szczotki, pozwala przecierpieć jakieś trzydzieści razów. To żadna sztuka wstrzymać oddech przez trzydzieści pięć sekund lania brzozową różgą.

Najgorszy jest pejcz. Jakby człowiek został wypunktowany zaraz na początku. Powietrze uchodzi z płuc wraz z pierwszą strużką krwi. Najpierw powstaje mała dziurka, w której coś syczy i piszczy, a wkrótce rozdziera się wielka dziura prawdziwego płaczu. W najgorszym wypadku już w połowie, po dwunastym, trzynastym uderzeniu.

Gdy Erik płakał, a równocześnie miotał się i próbował unikać ciosów, ojciec podniecał się jeszcze bardziej, bił mocniej i przestawał liczyć razy. Albo przerywał na jakiś czas i rozwlekłe tłumaczył, że musi dołożyć jeszcze dziesięć uderzeń, by wzmocnić skuteczność kary. A zatem dwadzieścia pięć razów szczotką do ubrania to prawie nic. Nie należało tylko okazywać zbędnej wdzięczności, bo wtedy można było dostać coś na dodatek. No, a poza tym trzeba by jeszcze mieć szczęście do końca obiadu: nie upuścić solniczki, nie wyciągać ręki przez stół, nie smarować chleba po niewłaściwej stronie, nie drażnić młodszego brata, nie przewrócić szklanki z mlekiem, nie obierać ziemniaków byle jak itd. Bo wówczas groziła dodatkowa kara. Albo stary wynajdywał inny powód, jakikolwiek:

- Fe, ależ ty masz brud za paznokciami! I to przy stole - oburzał się. - Będzie za to pięć dodatkowych razów.

Trzydzieści razów szczotką to nadal prawie nic. Bez trudu można wstrzymać oddech na trzydzieści sekund i koncentrować się na tym, żeby nie krzyczeć ani się nie wyrywać.

Była połowa września, dzień chłodny, ale piękna pogoda i ostre słońce. Jedli wczesny obiad i słoneczne refleksy mieniły się w deseniach kryształowych kieliszków. Erik śledził wzrokiem jasny promień słońca i wyobrażał sobie, że pyłki kurzu tworzą Droge Mleczną i że być może dokładnie w tej chwili pewien olbrzym przy kosmicznym stole, siedzący obok szalonego ojca, gwizdnął cicho i pyłki kurzu zawirowały gwałtownie, a wszystkie planety powypadały ze swoich orbit i na Ziemię spadła nagła, totalna katastrofa.

- Nie baw się przy obiedzie, pięć dodatkowych razów - oznajmił ojciec, który najwyraźniej zauważył, że Erik dmucha w utworzoną z kurzu Droge Mleczną.

Ale trzydzieści pięć razów grzbietem szczotki do ubrania to w dalszym ciągu żadne zmartwienie. Z łatwością można zachować koncentrację w trakcie trzydziestu pięciu uderzeń, zwłaszcza jeśli skóra na plecach nie zostanie poprzecinana.

Ponownie przyjrzał się pyłkom kurzu w promieniach słońca. Dokładnie przekalkulował, czy opłaci mu się jeszcze raz dmuchnąć w system planetarny za dodatkowe pięć razów. Zrezygnował jednak, bo to by mogło wyglądać na świadomą prowokację, a wówczas ojciec gotów nie tylko zwiększyć wymiar kary, ale też zmienić instrument na jakiś znacznie bardziej wyrafinowany. Sprawa nie wydawała się tego warta.

Erik fantazjował, że mimo wszystko dmuchnął w system planetarny.

Za mosiężnymi drzwiczkami kaflowego pieca trzaskał ogień. Wyglądało na to, że drwa są sosnowe, a nie o wiele droższe brzozowe. Na krótszej ścianie pokoju ostre słoneczne światło ujawniało na tapecie wyraźny jaśniejszy prostokąt. Jeszcze wczoraj wisiał tam obraz. Znaczący, sprzedali jeszcze jeden. Na początku, kiedy rodzina przeniosła się do miasta z Bogatego Przedmieścia, cała ściana w jadalni pełna była obrazów.

Po obiedzie Erik bardzo się starał, pomagał sprzątać ze stołu, by nie zarobić kolejnego podwyższenia kary. Gdy stół został uprzątnięty, matka poszła do kuchni przygotować kawę. A to oznaczało, że pora iść ze starym do sypialni rodziców, by załatwić sprawę poobiedniego lania.

- Ściągnij spodnie i pochyl się - nakazał ojciec mechanicznie, ujmując szczotkę.

Z jego tonu Erik wywnioskował, że dzisiaj nigdzie się nie czai żadne ukryte zagrożenie. Stary był spokojny, kontrolował sytuację, raz-dwa powinno być po sprawie. Chłopiec szybko ściągnął spodnie i pochylił się do przodu. Ojciec uniósł w górę szczotkę, równocześnie z tym Erik wziął głęboki oddech, zamknął oczy i zacisnął z całych sił pięści.

Wszystko poszło sprawnie, zostało jeszcze tylko upokorzenie.

- To co, znowu przyjaciele? - spytał oprawca, wyciągając rękę na zgodę.

Gdyby Erik nie podał mu ręki, całe lanie zaczęłoby się od nowa.

- Znowu przyjaciele - przytaknął więc z uśmiechem. Uścisnął dłoń ojca. Potem podciągnął spodnie i poszedł do swojego pokoju, prosto do adaptera. Nowa piosenka Elvisa Presleya miała tytuł *Heartbreak Hotel*.

Leżał na łóżku i wpatrywał się w pajęczynę na sztukaterii, śledził wzorki na suficie, utworzone przez pękający tynk, i wyobrażał sobie, że to on jest królem rocka na scenie daleko stąd, w wolnym kraju na zachodzie. Próbował naśladować obce słowa Elvisa Presleya, po czym długo się śmiał. Był całkiem szczęśliwy.

Trafił się oto jeden z tych dni, kiedy wszystko idzie jak po maśle. A poza tym łagodne poobiednie lanie i pora posiłku wskazywały, że ojciec zaczyna dziś pracę wczesnym wieczorem. Stary był szefem sali w pewnej knajpie, chociaż sam przeważnie nazywał siebie dyrektorem. Kiedy on wczesnie zaczyna robotę, można iść do kina. W okolicy znajdowały się trzy kina, do których udawało się wejść na film niedozwolony dla dzieci, i w najbliższym wyświetlano właśnie obraz o wojnie koreańskiej. Erik chciał go zobaczyć i zamierzał pójść do kina sam, żeby uniknąć gadania o głupstwach, móc się rozkoszować tym, że wszystko dzisiaj potoczyło się tak dobrze.

Był zmuszony dołożyć Wieży. Sprawy zaszły tak daleko, że w końcu stało się to nieuniknione, i gdyby jakoś sobie z tym nie poradził, nie mógłby utrzymać swojej bandy. Chłopaki słuchają dopóty, dopóki się zwycięża. Chyba nie mają racji, bo przecież dla tego, kto ma kierować gangiem, istnieją rzeczy ważniejsze niż zwyciężanie w bójkach. Pojedyunki jednak pozostają najbardziej wiarygodnym sprawdzianem kompetencji i trzeba w nich zwyciężać, a kiedy teraz się nad tym zastanawiał, to wiedział, że od co najmniej pół roku nie ulegało wątpliwości, iż musi nadejść dzień, kiedy Wieża rzuci mu wyzwanie.

Tylko że Wieża nigdy by nie mógł przejąć kierowania gangiem. Wieża potrafił się bić, ale nie potrafił gadać, i gdyby to on wygrał dzisiejszy mecz, gang powoli by się rozlaź, Wieża zostałaby sam i nie miałby kto go słuchać. A on, nieszczęsny, stałby samotnie pośrodku szkolnego boiska, nie pojmując, co się stało. Bo przecież tak naprawdę to nie o to chodzi, żeby być najsilniejszym.

Wieża jest istotnie najsilniejszy, co do tego nie może być żadnych wątpliwości. O co najmniej dwadzieścia centymetrów wyższy od pozostałych drugoklasistów w Szkole, jeszcze nie skończył czternastu lat, a już ma metr osiemdziesiąt wzrostu, waży sześćdziesiąt osiem kilogramów, bez trudu rzuca małą piłeczką na odległość ponad sześćdziesięciu pięciu metrów i ma naprawdę gigantycznego penisa. Wieża bijał się dosyć rzadko i bez fantazji, ale jeśli przy jakiejś okazji zdarzyło mu się wpaść we wściekłość, był naprawdę straszny.

Przez ostatni tydzień Erik rozważał problem ze wszystkich punktów widzenia, wiedział już bowiem, że nieuchronne nadchodzi. Wieża zaczynał zwykle od wyprowadzenia długiego, zamaszystego ciosu z prawej. Był to cios powolny, ale ciężki i o wielkim zasięgu. Nie kopał nigdy. Starał się natomiast jak najszybciej osaczyć przeciwnika, by móc wykorzystać swój ciężar i przycisnąć tamtego do ziemi. A jeśli się już człowiek znalazł pod Wieżą, to małe miał szansę na wyrwanie się z uścisku. Leżał więc unieruchomiony, a Wieża ciężko i systematycznie tłukł ofiarę na zmianę to w brzuch, to w twarz, aż można było uznać sprawę za załatwioną.

To Wieża ściągał pieniądze. Każdy w Szkole mógł przyjść do gangu po pożyczkę. Warunki były nieskomplikowane: sto procent po dwóch dniach, a dla niepłacących rozprawa z Wieżą. Nasyłanie Wieży na tych, co nie płacą, było absolutnie nieodzowne, w przeciwnym razie bowiem system rozpadłby się już na samym początku.

Wieża bił się właściwie bez agresji, a ci którzy dostali od niego cięgi, uważali, że zostali pobici dużo bardziej, niż w rzeczywistości miało to miejsce, tylko dlatego że Wieża był taki wielki i nosił czarną skórzaną kurtkę ze znakiem gangu na plecach. Ich strach przed laniem od Wieży był właściwie ważniejszy od samego bicia.

To Göran od jakiegoś czasu odwoływał Wieżę na bok i krok po kroku starał się go przekonać, że powinien pobić Erika i sam przejąć władzę oraz dowodzenie. Można przypuszczać, że Göran nie wierzył, iż tak się stanie. Ale on sam był najbliższym człowiekiem Erika, kiedy gang się tworzył w pierwszym roku ich pobytu w Szkole, i długo pozostawało dla niego kwestią otwartą, kto tak naprawdę tu rządzi. W końcu Erik był zmuszony porządnie sprać Görana, by raz na zawsze sprawę wyjaśnić, i w pierwszym roku wszystko funkcjonowało znakomicie. Prawdopodobnie teraz Göran próbował wykorzystać Wieżę i wziąć odwet.

Jeszcze tydzień przed wyzwaniem Erik zachowywał się jakby nigdy nic. Po cichu jednak doszlifowywał swoje założenia taktyczne. Było oczywiste, że żaden kompromis nie jest możliwy. Erik mógł jedynie wygrać albo dostać lanie, a gdyby doszło do tego, że Wieża go pokona, zostałby kompletnie sam. Przewaga Wieży co do ciężaru i rozmachu przerażała go dużo mniej niż myśl, że mógłby zostać sam, znaleźć się poza gangiem.

Po kilku dniach rozmyślań zaplanował jednak precyzyjnie, w jaki sposób pokona Wieżę. To nie jego szybkość mogła rozstrzygnąć sprawę, tę bowiem Wieża z łatwością sobie zrekompensuje ciężarem i siłą. Ale Wieża myśli powoli i trzeba mnóstwa czasu, żeby się wściekł. Można go więc pobić, jeśli się ruszy do boju szybko i bezkompromisowo. Możliwość, by kopnąć Wieżę w jego wielkie przyrodzenie, Erik odrzucił na wstępie. Takiego zwycięstwa nikt by nie cenił, prowadziłyby ono tylko do niepotrzebnego gadania, co z kolei spowodowałoby chęć rewanżu, a w takiej walce jeszcze trudniej byłoby zwyciężyć.

Wyzwaniu na pojedynek zawsze towarzyszył określony rytuał. Uczestnicy walki ustawiali się naprzeciwko siebie i przez kilka minut obrzucali się nawzajem obelgami, które przeważnie odnosiły się do tchórzostwa przeciwnika. Chodziło o to, by przeciwnik ruszył do walki pierwszy i jeszcze z wahaniem, tak by samemu można

było uderzyć z całą siłą. Albo też na przykład stać i pstrykać przeciwnika w nos, licząc na to, że straci cierpliwość i będzie próbował oddać. Wtedy, niejako samorzutnie, rytuał dobiega końca i zaczyna się prawdziwa bójka. Podczas rytuału obserwatorzy stoją w rozwrzeszczanym kręgu wokół przeciwników i zagrzewają, by wywołać bójkę jak najszybciej, dopóki żaden z patrolujących boisko nauczycieli nie zauważy, co się dzieje. Prawdopodobnie Wieża i Göran liczyli, że tak właśnie się sprawa rozegra. Wieża, stając naprzeciwko Erika pośrodku kręgu wrzeszczących widzów, będzie wyciągał to jedną, to drugą długachną łapę, próbując musnąć go palcami po twarzy, strącić mu czapkę z głowy albo coś w tym rodzaju. Bardzo trudno jest walczyć w polu rażenia Wieży, przebić się przez jego długą gardę. Przy tym sytuacja uniemożliwia jakiegokolwiek inne działania, ciężko dać sobie radę, więc wszystko skończy się tak, jak się zwykle kończą bójki Wieży, czyli będzie on leżał na Eriku na ziemi i okładał go tak długo, aż wyciśnie z niego resztki sił.

Z pewnością wyobrażali sobie, że tak właśnie będzie.

Kiedy nadeszła pora, Erik dokładnie wiedział, co powinien zrobić. Wiedział też, że wygra, jeśli tylko zdoła zapanować nad własnym strachem. To rozstrzygająca sprawa: nie wahać się ani sekundy.

Pod koniec przerwy śniadaniowej gang zebrał się między wielkimi kasztanami w najdalszym kącie szkolnego boiska. Erik rozdzielił przychody z działalności lichwiarskiej tego dnia i dał Wieży pięćdziesiąt öre ze specjalnym poleceniem, by pobiegł do piekarni na rogu i kupił mu pół długiej bułki.

- No nie - warknął Wieża złowieszczo. - Sam możesz sobie chyba załatwić swój pieprzony interes.

Po czym cisnął monetę na ziemię tuż przy stopach Erika.

- No i możesz jeszcze kupić pół długiej bułki dla Wieży - zachichotał Göran za jego plecami.

Pod kasztanami zaległa kompletna cisza. Rzucone w piasek pięćdziesiąt öre nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Nie było odwrotu, należało po prostu realizować plan, nie wahając się ani sekundy.

Erik uśmiechał się, idąc wolno w stronę Wieży.

- Chyba wyraźnie słyszałem, że nie zamierzasz wykonać mojego polecenia - powiedział wciąż z tym uśmiechem na wargach.

- Dokładnie tak - odparł Wieża ochryplym głosem, świadczącym że ma sucho w ustach, i ostrożnie uniósł ręce, by rozpocząć wstępny rytuał.

Erik celował w środek splotu słonecznego i uśmiechał się jeszcze wtedy, gdy uderzył z całej siły i jednym ruchem przerzucił naprzód ciężar swego ciała. Miał wrażenie, jakby pięść przeszła przez miękkie, nienapięte mięśnie brzucha aż do kręgosłupa. Wieża bez jednego dźwięku zatoczył się w przód, sparaliżowany brakiem powietrza. Erik celował teraz w nos. Za pierwszym razem nie trafił dokładnie, ale natychmiast wymierzył jeszcze jeden cios i z nosa Wieży buchnęła krew. Krew z nosa jest ważna, bardzo ważna. Przede wszystkim dlatego, że robi wrażenie na widzach, ale też dlatego, by przeciwnik przestraszył się jeszcze bardziej. Następnie Erik wymierzył krótki cios z prawej, celując w lewy łuk brwiowy Wieży. To oznacza podbite oko, prawdziwe piętno na długie dni, i także ma wielkie znaczenie.

Wieża opadł na kolana. Teraz należało jak najlepiej wykorzystać sytuację, dopóki przeciwnik wciąż jeszcze nie ochłonął z zaskoczenia i strachu. Uniósł więc twarz Wieży prawą ręką i lewą

zaciśniętą pięścią mierzył w drugie oko. Spostrzegł jednak, że więcej już nie trzeba.

- Poddajesz się? - zapytał.

Wieża bez słowa skinął głową. Nadal oddychał z trudem, ale kryzys już minął.

- Masz - powiedział Erik, podając mu chusteczkę do nosa. - Wytrzymaj się, bo wyglądasz okropnie.

Potem podniósł pięćdziesiąt öre, dał monetę Göranowi i zamówił pół długiej bułki, a kiedy ją dostał, podzielił się z Wieżą. Wiedział, że Wieża nigdy więcej nie ponowi wyzwania. Ale wiedział też, że gdyby walka trwała dłużej, nie wyszedłby z niej bez szwanku. Na szczęście jednak wszystko potoczyło się zgodnie z jego przewidywaniami i gang uniknie rozpadu. Podbite oko Wieży będzie wystarczającym straszakiem.

Wieczorem w kinie z rozkoszą patrzył, jak Robert Mitchum w swojej maszynie super sabre rozwała jednego żółtka po drugim w migach 15. I po każdym zestrzelonym żółtku ozdabia przód swojej maszyny czerwoną gwiazdą. Jeden cholerny żółtek sprawiał mu szczególnie dużo kłopotu, trudno było w niego trafić, a na dodatek wściekły przeciwnik miał na dziobie swojej maszyny pewną liczbę niebieskich gwiazd. W końcu jednak po zacieklej, ale honorowej walce Robert Mitchum go dopadł.

Erik miał gęsią skórę na rękach, kiedy wychodził z kina. Choć przecież w kinie zawsze wiadomo, jak się wszystko skończy. Niezmiennie wygrywa ten, którego stronę się trzyma. W rzeczywistości bywa inaczej, dzisiejszego popołudnia Erik znalazł się przecież blisko bardzo nieprzyjemnej sytuacji, mógł stracić swój gang i zostać całkiem sam. Gdyby się zawahał choćby na ułamek sekundy, albo nie tak precyzyjnie wymierzył pierwszy cios w splot słoneczny, byłoby po nim.

*

Ciężkie, szare secesyjne budynki Szkoły górowały nad dzielnicą Vasastan niczym twierdza. Na schodach przy głównym wejściu stała rzeźba przedstawiająca Ikara, którą stworzył narodowy rzeźbiarz, jeden z dwóch sławnych byłych uczniów tej szkoły. Schody wykonano z ciemno-szarego marmuru.

Ktoś, kto po raz pierwszy wchodził przez ciężkie dębowe drzwi i szedł przez mroczne korytarze o wysokich sklepieniach, wiedział, że rozpoczyna właśnie nowe życie. Kiedy dotarło się tutaj, nauka przestawała być zabawą. Teraz człowiek zaczynał się różnić od tych, którzy uczęszczają do szkoły powszechnej i którzy nigdy do niczego w życiu nie dojdą.

Traktowała o tym powitalna mowa dyrektora. Następnie chłopcy - tutaj zawsze nazywano ich chłopcami - mogli poświęcić pierwszy dzień na doskonalenie dyscypliny.

Wychowawca klasy wyznaczał porządkowego. Ów porządkowy miał funkcjonować jako ktoś w rodzaju plutonowego, stać przy katedrze w oczekiwaniu nauczyciela, na czarnej tablicy zapisywać, kto w tym czasie zachowywał się nieodpowiednio, przeklinał, uderzał kłapą pulpitu lub gadał za głośno. Kiedy nauczyciel wchodził do klasy, porządkowy krzyczał: „Baczność!” Na to chłopcy robili krok w prawo przy swoich ławkach i stawali w pozycji zasadniczej. Porządkowy robił zwrot do nauczyciela i wykrzykiwał:

- Klasa druga A, nieobecni Arnrud, Carlström, Svensen i Örnberg!

- Dzień dobry, chłopcy! Siadajcie! - krzyczał nauczyciel.

Potem na podstawie zapisów porządkowego na tablicy wprowadzał uwagi do klasowego dziennika. Trzy uwagi w semestrze to obniżony stopień z zachowania.

Każdy, kto potem został wywołany przez nauczyciela, musiał natychmiast stawać na baczność. Przykrość, jakiej doznawał uczeń, który stojąc na baczność, musiał głośno i wyraźnie - zawsze głośno i wyraźnie, bo jak nie, to trzeba powtarzać od początku - meldować, że nie może odpowiadać, uważano za pozytywny efekt pedagogiczny. Dzięki temu chłopcy byli mniej skłonni do unikania odpowiedzi.

Zasady wyboru porządkowego klasy były dość niejasne. Należało to do wychowawcy, ale niełatwo wybrać właściwie spośród grupy dopiero co przybyłych, nieznanymi chłopców. W nowej klasie z reguły był wybierany uczeń porządnie ubrany, z tak zwanego dobrego domu - ubranie i nazwisko to ważne wskazówki - który przy tym nie wyglądał mizernie. Nic jednak nie ograniczało swobody wychowawcy, mógł on w każdej chwili zmienić porządkowego bez podawania przyczyn.

Na gimnastyce kryteria wyboru były znacznie mniej przypadkowe. Pirat miał swoje sprawdzone metody.

Pirat był kapitanem rezerwy i przyjmował chłopców z floretem w ręce, którym jakby w zamyśleniu kilkakrotnie ciał powietrze, po czym go odkładał. W kwestiach wyboru miał do pomocy podwładnego, porucznika Johanssona.

Kiedy porządkowy przyprowadził klasę, Pirat wydał rozkaz, by chłopcy biegali dookoła sali gimnastycznej. On sam liczył tempa krótkimi, dźwięcznymi okrzykami:

- Lele lelele, lele lelele! - niosło się echem pod wysokimi sklepieniami, a oni biegali w kółko z osobliwym uczuciem, że nie mają pojęcia, co się dzieje ani jakie Pirat ma zamiary.

Po chwili ćwiczenie zostawało przerwane, a chłopcy ustawieni w dwuszeregu przed linami zwisającymi z jednej z dłuższych ścian.

Liny były zamocowane pod sufitem, wysokość do sufitu mogła wynosić jakieś siedem metrów.

- A teraz wspinamy się, chłopcy! - wrzeszczał Pirat. - O tak, jeden za drugim, po czterech, jak wysoko się da!

Większość zatrzymywała się gdzieś w połowie. Inni potrafili wspiąć się tylko kawałek, po czym, przy akompaniamencie chichotania widzów, rezygnowali, puszczali linę i spadali na dół. Gruby Johan wspiął się nie wyżej niż dwa metry, odprowadzany szyderczymi komentarzami porucznika Johanssona. Erik i jeszcze dwóch innych wspięło się najwyżej. Erik miał niejasne przeczucie, o co w tym wszystkim chodzi.

Następne ćwiczenie to skoki przez kozła. Kozioł podnoszony był coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zostali tylko Erik i Wieża. Wieża wygrał. Pirat i porucznik Johansson robili notatki.

Potem krótka instrukcja w sprawie tygrysięgo skoku przez skrzynię. Porucznik Johansson pokazał technikę, opisał odbicie i wyjaśnił, że jeśli się skacze pierwszy raz, to trzeba zebrać się na odwagę. Ale skok nie jest taki niebezpieczny, jak się wydaje.

Przeważnie chłopcy hamowali w ostatniej chwili, choć wahać zaczęli się już przy rozbiegu, i porucznik Johansson wymyślał im od tchórzów. Erik zacisnął zęby i wyteżył wszystkie siły, zmuszał się, by nie okazywać lęku, i odbicie z katapulty wyniosło go ponad skrzynię z takim impetem, że wylądował po drugiej stronie na czworakach niczym żaba, zaskoczony, jakie to w gruncie rzeczy łatwe. Po pierwszym skoku Johansson ustawił jeszcze jedną skrzynię poprzecznie do pierwszej i wybrał chłopców, którzy za pierwszym razem poradzili sobie zadowolająco. Ponownie odsunął na bok wszystkich z wyjątkiem Erika i Wieży. Było oczywiste, że to swego rodzaju eliminacje.

Dlatego wszystkich chłopców zaskoczyło polecenie, że teraz wyjdą na boisko i będą grać w piłkę nożną. Porucznik Johansson szybko podzielił klasę na dwie drużyny i rzucił im piłkę. Podczas meczu, który trwał zaledwie kwadrans, nadal robiono owe tajemnicze notatki. Po piętnastu minutach polecono chłopcom wrócić do szkoły, gdzie zostali ustawieni w szeregu pośrodku sali gimnastycznej.

- No więc tak, chłopaki - zaczął Pirat. - Oto jest godło szkoły, z którego powinniście być dumni.

Uniósł w górę kawałek tkaniny, na której widniał herb Wazów na niebieskim tle z żółtymi otokami.

- Tylko prawdziwi faceci mogą je nosić - ciągnął Pirat. - Teraz podzielimy klasę na cztery grupy. Każda grupa będzie miała swojego szefa, a szef grupy nosi godło szkoły po lewej stronie na gimnastycznych spodenkach, o tu. - Wskazał na biodro. - Każdy przewodniczący grupy ma swojego zastępcę, czyli wiceprzewodniczącego. A wiceprzewodniczący nosi znak po drugiej stronie, o tak. A teraz odczytam nazwiska przewodniczących waszych czterech grup.

Po tych słowach Erik i Wieża wystąpili, żeby odebrać swoje odznaki razem z dwoma innymi chłopcami, którzy też zebrali wystarczająco dużo punktów za siłę, szybkość i zdecydowanie. Wyglądało to jak wręczanie nagród. Pirat wrzeszczał: „Proszę bardzo!”, a chłopcy kłaniali się, jakby oddawali honory swoim świeżo zdobytym dystynkcjom.

Przewodniczący grupy przed każdą lekcją ustawiał swój oddział w pozycji na baczność. Kontrolował, czy stroje podwładnych są w porządku - biała koszulka, granatowe spodenki, białe buty, czyste skarpetki. Przewodniczący przyprowadzał swój oddział, odpowiadał za dyscyplinę i ustawienie w każdej grze, polegającej na konkurencji między poszczególnymi grupami. Szef

grupy był w zasadzie nieodwoływalny, Pirat bowiem twierdził, że zasady jego wyboru są absolutnie sprawiedliwe.

Kiedy jednak klasa miała grać na boisku w piłkę nożną, rezygnowano z podziału na grupy. Wybierano dwóch najlepszych, którymi byli Erik i Göran, a potem odbywało się losowanie, który z nich będzie wybierał pierwszy. Ten, który wygrał, wybierał sobie jednego chłopaka, z kolei drugi miał prawo wybrać od razu dwóch. Kiedy skompletowano już obie drużyny, a na ławce nadal siedziało kilku chłopców z rozbieganymi oczyma, Erik lub Göran rzucali wielkodusznie:

- Ech, możesz sobie zabrać resztę tej hałastry.

Hałastra składała się na ogół z trzech lub czterech chłopców. Mieli tworzyć „rezerwę”, co w praktyce oznaczało, że nigdy do gry nie wejdą.

Siła fizyczna, piękne ciało z dobrze rozwiniętą muskulaturą, odwaga i wola niepoddania się za żadną cenę były wciąż powracającymi określeniami w kazaniach Pirata, którymi rozpoczynały się lub kończyły lekcje gimnastyki. My, Szwedzi, byliśmy zawsze silnym i dzielnym narodem. Byliśmy dobrymi żołnierzami, a nasze dziedzictwo sięga wikingów i rycerzy Karola Dwunastego.

Kult ciała był podstawą społecznego systemu Szkoły. Ci, którzy mieli najpiękniejsze i najsilniejsze ciała, ci, którzy zdobywali najwięcej bramek w piłce ręcznej i w piłce nożnej oraz skakali najwyżej przez skrzynie i kozły, robili najpiękniejsze stójki na drażku, mieli odwagę skakać do wody z najwyższej wieży lub potrafili najdłużej pływać pod wodą, należeli do wyższej sfery, złożonej z przewodniczących i wiceprzewodniczących grup. Reszta to hałastra. Dla kogoś, kto należał do tej ostatniej kategorii, istniała w gruncie rzeczy tylko jedna metoda obrony. Mógł robić to, co Gruby Johan, mianowicie przywdziewać kostium, posługiwać

się napuszonym językiem, uwielbiać dixieland, uczyć się jak szaleniec i odgrywać rolę intelektualisty, który nie znosi prostaków.

Była to wielka i ważna różnica w porównaniu z systemem panującym w przypominającej cieplarnię szkole podstawowej na Bogatym Przedmieściu, gdzie całkiem inne sprawy decydowały, czy człowiek należał do tej czy do tej grupy. Tam nauczyciele również nie ukrywali, czy lubią, czy nie lubią dzieci, i traktowali je lepiej lub gorzej w zależności od tego, jakim językiem się posługiwały lub jak brzmiało ich nazwisko. Również tam z pewnością miało znaczenie, kto jest najsilniejszy w klasie lub strzela najczęściej bramek w meczach piłki nożnej rozgrywanych na dużej przerwie. Ale takie sprawy w żadnym razie nie mogły być rozstrzygające. Niewidzialne zasady rządziły tym, do jakiej grupy się należało.

Mówiło się, że uczeń pochodzi z dobrej rodziny. I nie tyle ubranie świadczyło, że się z takiej rodziny pochodzi, ile słyszało się to przede wszystkim w języku. Ten, kto zawsze przedstawiał się pewnym i wyraźnym głosem, kto w elokwentny sposób umiał prosić o wybaczenie oraz kto używał więcej niż inni dziwnych słów, pochodził z dobrej rodziny i na lekcjach otrzymywał najwyższe oceny.

W Szkole w centrum miasta wszystko wyglądało inaczej. Wśród blisko siedmiuset uczniów znajdowali się chłopcy pochodzący z najróżniejszych domów, w połowie dobrych, w połowie mniej dobrych i całkiem niedobrych. W gruncie rzeczy nietrudno było to rozróżnić. Ubrania niektórych czuć było naftą. Inni mieli piękne mieszkania z kryształowymi żyrandolami i obrazami na ścianach. To były dobre rodziny. Brak obrazów i małe mieszkania to rodzina nie taka dobra. Poza tym język i gramatyka, zasób słów i wymowa powiadały o różnicy znacznie wcześniej niż zapach nafty czy służąca witająca gości w przedpokoju.

Tylko że w Szkole wtlaczano uczniom do głów z katedr i z mównicy w auli oraz poprzez rozważania Pirata, że ta placówka to tygiel, w którym powstaje nowa Szwecja. Tutaj nie ma panów i służby jak w starej Szwecji. Tu każdy chłopiec tworzy własną przyszłość w wolnej rywalizacji i na takich samych warunkach jak inni. Ten, kto będzie się dobrze uczył w tej Szkole, może zejść wysoko. Ten, kto będzie się obijał, może wypaść z rywalizacji i znaleźć się wśród przegranych, takich, co kończą edukację na szkole podstawowej. Jesteśmy wolnym narodem, należymy do pięknej rasy germańskiej o dumnej tradycji, i my, chłopcy, w swoim czasie dojdziemy do władzy w nowej, demokratycznej Szwecji. Do nas należy przyszłość i dlatego konieczne jest surowe wychowanie oraz zdrowy duch w zdrowym ciele.

W świecie poza nami panuje nieokreślone zło.

Ideałem demokracji jest, aby człowiek zawsze był w czymś najlepszy i zawsze gotów na odparcie ciosu. Ale gdzieś w złym świecie, w krajach podbitych przez Rosję, takie możliwości zostały ludziom odebrane, tam ludzie są niczym maszyny, wszyscy jednakowi.

Takie oto zdania przetaczały się w gromkich przemówieniach po obowiązkowej porannej modlitwie. Przykładano wielką wagę do rytuału porannej modlitwy. Chłopcy ustawiali się cicho w dwuszeregu, przestrzegając ustalonego porządku. Dyżurujący nauczyciele stawali przed nimi i sprawdzali, czy każdy trzyma w lewej ręce psalterz (brak psalterza oznaczał uwagę w dzienniku; trzy uwagi to obniżony stopień ze sprawowania).

Kiedy w końcu dyrektor potrzasał z głośnym chrzęstem wielkim pękiem kluczy, chłopcy - również w ustalonym porządku - wchodzili do auli. Wszelkie rozmowy były wtedy zabronione. Przyłapanie na rozmowie oznaczało uwagę.

Po odśpiewaniu psalmu zaczynało się kazanie. Przeważnie podejmowano w nim skomplikowane problemy religijne i moralne. Przychodzili na przykład alumni z seminarium duchownego i wypróbowywali na chłopcach swoje umiejętności oratorskie. Ponieważ jednak seminarzyści byli przeważnie bardzo zdenerwowani, a poza tym starali się pisać swoje kazania na możliwie najwyższym teologicznym poziomie, to ich gadanie kompletnie nikogo nie interesowało. W tym czasie chłopcy mogli się dyskretnie zajmować odrabianiem lekcji. (Erik zawsze odrabiał lekcje w ten właśnie sposób.) Mogli też gapić się przed siebie, nie myśląc o niczym, albo łapać jeden drugiego za przyrodzenie czy też odczytywać napisy umieszczone wysoko pod sufitem auli. Połączana łacińska antykwa głosiła:

PRAWDA POWINNA CZYNIĆ WAS WOLNYMI
WAŻNE JEST, BY PODCZAS WĘDRÓWKI PO ŚWIECIE
DOSTRZEGAĆ SZLACHETNE ZIARNO
NADE WSZYSTKO CHROŃ SWOJE SERCE,
BO STAMTĄD POCHODZI ŻYCIE

Niekiedy jednak kazanie wygłaszał sam dyrektor lub któryś z bardziej uzdolnionych retorycznie nauczycieli religii. W walce ze złem zawsze zwyciężało męstwo. (Czasem w tej walce zwyciężało coś, co nazywało się czystym sercem, chociaż czyste serce występowało w kazaniach o wiele rzadziej niż męstwo.) Lepiej słyszeć dźwięk zerwanej cięciwy, aniżeli nigdy nie napinać łuku. Wytrwałość zwycięży, a pilność zostanie nagrodzona, jak pokazuje przykład Robinsona Crusoe. Wobec Boga wszyscy są równi, i dlatego Bóg widzi wszelkie możliwe rywalizacje i starania. Dwie

podstawowe dziedziny rywalizacji to sport i przedmioty szkolne, które z kolei dzielą się na liczne podgrupy, na przykład skok o tyczce lub umiejętność rozbioru logicznego następującego zdania: „Gazety nazywały go zdrajcą” (jaką częścią zdania jest „zdrajca”?). Ale większość ludzi ma jakąś, być może ukrytą, specjalność; jakieś wewnętrzne powołanie lub przeznaczenie, by poprzez odważny czyn uratować swoje rodzinne miasto niczym ów mały holenderski chłopiec, który zatkał palcem dziurę w przeciekającej tamie i dzięki temu uratował miasto przed spłynięciem do Atlantyku. Choć przecież on sam nie zdążył jeszcze poznać świata.

Tak więc rywalizacja toczyła się nieustannie. Ponieważ Erik biegał najszybciej, strzelał najwięcej goli, wytrzymywał najwięcej ciosów i sam uderzał najmocniej, a poza tym był najlepszy w kilku przedmiotach szkolnych, należał do najściślejszej i najwyżej postawionej elity, składającej się z pięciu chłopców. W tej grupie rywalizacja była twarda, i tu nie wystarczało być najlepszym w sporcie i matematyce. A ponieważ Erik przyszedł do Szkoły z Bogatego Przedmieścia, z raczej rozleniwiającej w porównaniu z Vasastan idylli, to jego słabości mogły go właściwie dyskwalifikować jako przywódcę, i to pod każdym względem. Do jego słabości należało to, że nie oglądał niedozwolonych dla dzieci filmów, nie zaciągał się papierosami, nie spał z dziewczyną, nie posiadał bogatego zasobu przekleństw, pojęcia nie miał o barach, w których grające szafy bezustannie odtwarzały Elvisa i Little Richarda, nigdy nie bywał na niedzielnych porankach Nalego, na których występują szwedzkie zespoły rockowe, nosił niepoważne ubrania, a na dodatek szkolną czapkę, którą stary wciskał mu na głowę, i posługiwał się napuszonym językiem.

Te wszystkie ułomności powinny go właściwie odsuwać bardzo daleko od walki o medale. Z drugiej strony jednak posiadał cechy, które mogły zrekompensować nawet noszenie szkolnej czapki. Bił z całej siły już przy pierwszym uderzeniu i wytrzymywał niewiary-

godnie ciężkie lania. Obie te właściwości były ze społecznego punktu widzenia tak samo ważne.

Owa zdolność znoszenia bicia ujawniła się już podczas jednego z pierwszych dni, kiedy to nauczyciel rysunków prowadził swoją zwykłą procedurę zapoznawania się z nową klasą. Nauczyciel rysunków był szczególnie chętnie bijącym belfrem, a jego oczekiwania wobec uczniów sprowadzały się do tego, że powinni siedzieć cicho i rysować różne przedmioty z natury, tak by on mógł też sobie siedzieć i czytać gazetę lub oddawać się innym profesorskim zajęciom. Jego system opierał się na dwóch Juliusach.

- To jest Julius - powiedział profesor i kilka razy ciał powietrze kijkiem do wskazywania, tak by świszczący dźwięk przekazał odpowiednią informację. - Julius jest tutaj, w szkole, moim najlepszym przyjacielem. Każdy, kto hałasuje, będzie mógł wybierać między Juliusem a wpisaniem uwagi. Zrozumiano? Delikwent podejdzie tutaj, na środek, pochyli się do przodu i... - Patyk znowu przeciął powietrze. - Zrozumiano? A może potrzebne są dodatkowe wyjaśnienia? Może jakiś ochotnik chciałby spróbować?

Profesor wbił wzrok w klasę, wyglądał na rozgniewanego.

Erik rzeczowo ocenił kijek jako stosunkowo niegroźne narzędzie tortur. Zwłaszcza jeśli miało to być ledwie parę uderzeń. Pomysł przyszedł jakby sam z siebie.

- Tak jest, panie magistrze! - krzyknął, zerwał się i stanął na baczność.

- Na ochotnika?

Profesor gapił się podejrzliwie na arogancko uśmiechniętego chłopca.

- Tak, panie magistrze! Na ochotnika. To nie wygląda zbyt strasznie.

Klasa wstrzymała dech ze zdumienia. Profesor nie miał wyboru. Ustawił Erika na tle czarnej tablicy i instruował klasę. Chłopiec powinien mianowicie stać pochylony do przodu, z rękami opartymi na dolnej krawędzi tablicy, z wypiętym zadkiem. I potem... Pozwolił, by kijek jeszcze raz przeciął powietrze, ale zatrzymał go w momencie, kiedy już miał trafić.

Erik nawet nie drgnął, nadal stał w nakazanej pozycji. I wtedy profesor uderzył ze złością.

Erik jednak, który już wstrzymał oddech i skupił się na obrazie twarzy swojego ojca, nadal ani drgnął.

- No i jak działa Julius? - wrzeszczał profesor.

- Czy pan magister już uderzył? - spytał Erik i wciągnął głęboko powietrze, by koncentrować się na łatwym do przewidzenia efekcie chichotów klasy, które sprowokował.

Tak jak oczekiwał, profesor kompletnie stracił panowanie nad sobą i bił z całych sił, pięć albo sześć razy, zanim się trochę opamiętał. Potem uniósł rękę z Juliušem, jakby trzymał w niej miecz, włosy opadły mu na twarz, był czerwony z wysiłku i z zaskoczenia, jakie przeżył.

Erik nadal stał oparty rękami o dolną krawędź tablicy i próbował udawać, że wciąż niczego nie zauważył.

- Wracaj na miejsce i siadaj! Ty bezwstydnny łobuzie! - krzyczał profesor. - A zresztą...

Przerwał w pół zdania, Erik szedł wzdłuż rzędu ławek i śmiał się do niego.

Profesor nie mógł przecież nic wiedzieć o starym. Koledzy z klasy też na razie o niczym nie mieli pojęcia i dla nich najważniejszą sprawą był morał z porannego kazania czy z lekcji historii: „W Sparcie istniał ród wojowników, którzy dzięki swej zdolności wytrzymywania udręk fizycznych zajmowali przez długi czas dominującą pozycję w greckiej polityce”.

Coś podobnego zobaczyli teraz na własne oczy, ale nie rozumieli nic, dlatego że nie wiedzieli o starym.

A właśnie dziś, po łatwym zwycięstwie Erika nad nic nieznaczącym kijkiem profesora, ojciec przyszedł do domu w niezwykle niebezpiecznym humorze. Trzeba było chodzić na palcach, by nie zarobić na najbardziej wynaturzoną formę poobiedniego lania. Chłopak więc nakrywał, a potem sprzątał ze stołu, i przy jedzeniu przez cały czas bardzo uważał na każdy ruch. Po mimice ojca można było poznać, że to jeden z tych dni, kiedy przy biciu może się wściec niemal do szaleństwa. Drugim znakiem, że nie jest dobrze, było uderzenie bez powodu, wycelowane w nos (to znaczy, po takim uderzeniu ojciec zawsze znajdował jakiś powód).

Erik zauważył drgnienie mięśni pod okiem starego i widział, jak ten bierze zamach, by uderzyć, ale całą siłą woli zmusił się do czekania w bezruchu, pozwalając ojcu trafić w nos, a nie w kość policzkową. Stary rozjaśnił się na moment, kiedy lekko ku górze wymierzonym trzepnięciem trafił między dziurki w nosie. Przy tego rodzaju uderzeniu rozlegał się charakterystyczny dźwięk. Prawdopodobnie trafieniu w nos towarzyszyło przyjemniejsze uczucie niż trafieniu w kość policzkową.

Ojciec się wyładował i pod koniec mięsnego dania oznajmił, że będzie dwadzieścia razy szczotką. Ponieważ zaczął z tak niskiego pułapu, jak dwadzieścia razy, to najwyraźniej miał zamiar w ciągu najbliższych dziesięciu minut wyrok podwoić. W przeciwnym

wypadku zaczęłyby od dwudziestu pięciu lub trzydziestu. Ale dwadzieścia pięć oraz trzydzieści to za dużo, by podwajać w razie pojawienia się ważnego powodu. To dlatego, kiedy zamierzał poważnie karę wywindować, zaczynał spokojnie.

Na deser matka przygotowała budyń czekoladowy. Użyła jakiegoś całkiem nowego proszku importowanego z Ameryki. Wystarczyło go tylko zmieszać z mlekiem i odstawić do zastygnięcia, a otrzymywało się budyń, który smakował niemal tak samo jak prawdziwy.

Erik przeczuwał zagrożenie.

Młodszy brat miał sześć lat i nigdy nie dostawał bicia.

Kiedy matka podała deser i zaczęli jeść, mały naturalnie próbował szybkim ruchem nabrać budyniu z talerzyka brata. Erik zareagował spontanicznie i za późno spostrzegł, że to błąd. Kiedy chwycił brata za rękę, czekoladowy budyń spadł z łyżeczki malca prosto na biały obrus.

Ojciec podwoił wymiar kary do czterdziestu razy.

Czterdzieści uderzeń grzbietem szczotki do ubrania znajdowało się tuż za granicą tego, co Erik potrafił znieść. Może się nawet zdarzyć, że w końcu zacznie płakać. Może to też być taki dzień, że ojciec wścieknie się z powodu jego płaczu i straci rachubę ciosów. Poza tym nie wolno się szarpać. Szarpanina może ściągnąć dodatkowe razy, które doprowadzą do niepohamowanego, rozpaczliwego płaczu, i błędne koło się zamknie. Stary się wścieknie, będzie bił na oślep, przekroczy wszelką miarę, i Erik, który przedtem liczył kolejne ciosy, zacznie się mimo wszystko wyrywać z rozpacz albo w samoobronie, stary skurwieli oszaleje z radości i zacznie tłuc tak, że jakiegokolwiek liczenie straci sens; Erik będzie bity dopóty, dopóki krew nie zacznie sikać z poprzecinanej

skóry na szczotkę, a z niej rozpryskiwać na cały pokój, i dopóki płacz matki za drzwiami z wolna nie przywróci ojcu świadomości.

Budyń czekoladowy rósł mu w ustach. Nigdy dotychczas nie wytrzymał czterdziestu razów.

Mógł próbować przez to przejść na dwa sposoby. Jeden polegał na tym, by nie napinać mięśni. Czytał gdzieś, że to może być skuteczne, doświadczenie uczyło jednak, że jest bardzo trudne. Druga metoda zakładała możliwie najsilniejsze napięcie mięśni pleców i pośladków, tak by ciosy były odbierane przez jak najmniejszą powierzchnię ciała. Ponadto tę metodę mógł Erik łączyć z jeszcze istotniejszym oporem wewnętrznym. Najważniejsze ze wszystkiego jednak to zamknąć oczy i patrzeć jakby pod powiekami. Trzeba się wyłączyć, myśleć o czym innym, koncentrować się na obrazie ognia płonącego gdzieś daleko we wnętrzu czaszki. Jedynie nienawiść do starego była w stanie sprowadzić ów obraz sinego ognia do rozmiarów małego roziskrzonego kamyka. Ale wszystko to wymagało koncentracji jakiś czas przedtem. Żeby wytrzymać aż czterdzieści razów, należało długo przywoływać w pamięci powody nienawiści do starego.

Podczas sprząwania ze stołu Erik sprawiał wrażenie nieobecnego. W pewnym momencie o mało nie upuścił talerza na ziemię, co by przecież doprowadziło do katastrofy. W ciągu tej pół sekundy, od chwili gdy talerzyk mu się wymknął, do chwili gdy go złapał dziesięć centymetrów nad podłogą, Erika przeniknął lodowaty chłód. Potem musiał błyskawicznie skoncentrować się znowu.

W drodze do sypialni oddychał głęboko. Oczy miał jeszcze otwarte, ale już zaczynał przywoływać wyobrażenie ognia. Ledwie usłyszał polecenie ojca, że ma spuścić spodnie i pochylić się do

przodu. Potem zamknął za sobą świat i wciągnął powietrze do płuc. W końcu został tylko w ciemnościach niebieski ogień nienawiści.

Kiedy Erik zdał sobie sprawę, że jest znowu w drodze do światła czy może raczej wypływa na powierzchnię po długim nurkowaniu, znajdował się już poza sypialnią. Musiał uścisnąć rękę ojca i powiedzieć, że znowu są przyjaciółmi, nawet o tym nie wiedząc. I wtedy pojawiła się radość. Wytrzymał czterdzieści razów! Czuł, że marznie.

Wieczorem leżał pod kołdrą w dzieciennym pokoju i czytał zabronioną książkę. Były to baśnie braci Grimm. Uważano je za nieodpowiednie i zbyt przerażające dla dzieci, kilka lat temu Erik został przyłapany na gorącym uczynku, kiedy czytał tę książkę (trzydzieści razów), i otrzymał wówczas wszelkie wyjaśnienia na temat, jak strach może się wryć w duszę człowieka w dzieciństwie i zostać tam już do końca życia.

Ten egzemplarz pożyczył w szkolnej bibliotece razem z historią Szwecji Grimberga i teraz pochłaniał zakazaną lekturę pod kołdrą, z jednym uchem niczym peryskop wystawionym na zewnątrz; szybkie kroki i Erik błyskawicznie gasił latarkę, a książkę wsuwał pod materac (nie pod poduszkę!).

Tym razem jednak w ciemnościach obok młodszy brat wciąż leżał, nie śpiąc.

- Chcę dostać twoją latarkę - oznajmił malec.

Erik nie odpowiadał.- Jeżeli nie dostanę latarki, to będę krzyczał i powiem tacie, że mnie uderzyłeś - groził brat.

Erik pośpiesznie rozważał sytuację.

Jeśli ustąpi, to, po pierwsze, straci latarkę, a po drugie, narazi się na podobne wymuszenia w przyszłości.

Jeśli nie ustąpi, to młodszy brat z całą pewnością urzeczywistni swoje pogroźki, zacznie krzyczeć, ojciec przybiegnie, gwałtownym szarpnięciem otworzy drzwi, a wtedy już nie pomogą żadne tłumaczenia. Potem jednak mały mógłby ponownie grozić, że natychmiast powtórzy całą procedurę, a kiedy szlochając, opowie ojcu, że Erik pobił go znowu, stary dostanie szału ze złości.

- Liczę do trzech - poinformował brat.

Jeśli Erik ustąpi, brat będzie mógł zabierać mu wszystko.

- Raz - zaczął tamten.

Tylko że akurat dzisiaj stary był w takim humorze, że gdyby doszło do bicia, to mogłoby się stać coś naprawdę okropnego.

- Dwa - liczył mały.

Próba przekupienia go koroną czy nawet kilkoma niewiele by zmieniła. Bo później Erik byłby po prostu odzieran z każdego grosza.

- Trzy i zaczynam krzyczeć - zagroził brat.

- Poczekaj! - powstrzymał go Erik. - Nie krzycz. Bo jeśli zaczniesz, to wiesz, co ja zrobię?

- Nie odważysz się mnie tknąć - rzekł tamten.

- Już ty się o to nie martw. Otóż daję słowo honoru, że jeżeli zaczniesz krzyczeć i będziesz na mnie skarżył, to kiedy ojciec przestanie mnie bić, ja spuszczę ci takie lanie, że popamiętasz. Rozumiesz, co mówię? Zacznę cię łać natychmiast. I złożę ci skórę również jutro, jak wrócę ze szkoły, bo wtedy ojciec będzie w pracy. Przyrzekam ci to, rozumiesz?

- Już zaczynam krzyczeć - odpowiedział chłopiec.

- Daję ci słowo honoru, że zaraz potem cię zleję - wysyczał Erik przez zęby.

Wtedy młodszy brat wrzasnął. Ojciec wkroczył do pokoju ze szczotką do ubrania w ręce i zapalił światło.

- Erik mnie uderzył - powiedział młodszy braciszek matowym głosem.

Kiedy ojciec skończył go bić i nawymyślał mu od tchórzliwych drani, którzy rzucają się na słabszych od siebie, Erik długo leżał z twarzą w poduszce i płakał. Potem zapalił światło, podszedł do łóżka brata i ściągnął z niego kołdrę.

- Dałem słowo honoru - powiedział.

- Tata wróci i znowu cię zbije.

- Wiem, ale dałem słowo honoru, że cię zleję, ty mały lizusie.

Wiedział, że nie powinien działać zbyt pochopnie. Trzeba najpierw pogadać trochę o biciu, dokładnie tyle, by mały gotów był wzywać ojca, a potem on zdąży wymierzyć parę ciosów, zanim ojciec przyleci z odsieczą. Tylko gdzie uderzać? Mógł wybić małemu kilka zębów, z tym by sobie poradził. Po pierwsze jednak, nie chodziło o to, by wyrządzić bratu możliwie jak największą krzywdę, powinien jedynie wyrzucić na malcu takie wrażenie, by ten już więcej nie próbował niczego na nim wymuszać. Po drugie, ojciec mógł w każdej sytuacji wpaść w szal i wymierzyć mu naprawdę straszną karę. Erik zrobiłby głupio, puszczając na przykład małemu krew z nosa.

Pośpiesznie wymierzył bratu dwa policzki i wałnął go pięścią w żołądek na tyle mocno, by ten przestał na chwilę oddychać. Zanim rozległo się jego wycie, Erik zdążył zgasić światło i wsunąć się pod kołdrę. Pożytek z leżenia pod kołdrą, kiedy ojciec wpadł jak bomba do pokoju, był podwójny. Nie wyglądało bowiem na to, by doszło do

jakiejś poważnej bójki, a poza tym może ojciec po prostu będzie uderzał przez kołdrę, nie celując specjalnie w żadne miejsce. Niekiedy wieczorami, gdy był pijany, nie zwracał uwagi, gdzie trafiają ciosy.

Tym razem jednak nadzieje Erika spaliły na panewce. Poznał to już po pierwszych krokach starego. Ojciec nie pędził z odsieczą, szedł wolno i mocno stawiał stopy na podłodze, by kroki były ciężkie. Erika przeniknął lodowaty strach. Domyślał się, co go czeka.

Kiedy ojciec stanął w drzwiach i przekreślił kontakt, twarz miał stężałą, a usta zaciśnięte w charakterystyczny, znany Erikowi sposób. Z prawej ręki zwisał dyndający pejcz.

Pejcz zrobiony był ze splecionych mocno rzemieni, miał grubą rękojeść, ku dołowi stawał się coraz cieńszy i kończył metalowym karabińczykiem, za pomocą którego można go było przypiąć do psiej obroży. Właśnie to metalowe zakończenie przecinało skórę.

Stary z czułością wziął młodszego chłopca na ręce i ostrożnie wyniósł go z pokoju. Następnie wrócił, zamknął drzwi, przekreślił klucz w zamku, wyjął go i schował do kieszeni.

- Nie, tatusiu, kochany... ja nie miałem zamiaru... to nie tak, jak myślisz... - szlochał Erik, kiedy stary demonstracyjnie wolno zbliżał się do łóżka. Wiedział, że proszenie na nic się nie zda. Rozpaczliwie zaczął szukać błękitnego ognia w swojej oszalałej świadomości, ale było za późno. Żeby przynajmniej nie po twarzy, myślał, kiedy jego oprawca wolno ściągał kołdrę. Przynajmniej nie po twarzy, to się potem goi tygodniami, nie po twarzy, bo w szkole...

- Tatusiu, uważaj na twarz... - załkał, odwracając się, i zasłonił twarz rękami, a potem ukrył ją w poduszce.

Pierwszy cios trafił dokładnie w krzyż. Zdażył pomyśleć, że ojciec celuje bardzo precyzyjnie, a zatem musi być cholernie trzeźwy. Drugi cios spadł niemal w to samo miejsce, i kiedy Erik zrozumiał, że bicz będzie wędrował w górę centymetr po centymetrze, pełgający błękitny płomyk w jego duszy zgasł i chłopiec zaczął krzyczeć.

Już nie myślał, krzyczał przy każdym uderzeniu, jakby kolejny cios był elektrycznym kopnięciem, przechodzącym przez głowę, od jednej skroni do drugiej. Po dokładnym zmasakrowaniu pleców syna stary zaczął mierzyć w pośladek. Erik wykręcał ciało pod uderzeniami, które nie były już takie precyzyjne. Próbował zasłaniać się rękami, ale wtedy ojciec mierzył w twarz, a kiedy chłopiec zakrywał ją, stary uderzał niżej.

Płacz był czerwony i poniżający. Dokładne przeciwieństwo błękitnego ognia. Płacz był jak dziki płomień, przenikał do głębi świadomości i potęgował ból tak bardzo, że świadomość w którymś momencie się wyłączała. To podświadomość podejmowała takie niekontrolowane próby złagodzenia bólu. Ale Erik płakał również dlatego, że płacze, że nie jest w stanie stawić czoła temu przekłętemu skurwielowi z zakrwawionym pejczem w ręce.

Wreszcie jednak egzekucja się skończyła. W samym środku bólu wydawało się, że nigdy nie będzie temu końca, że nigdy już nie nadejdzie ukojenie, tak jak człowiek wyobraża sobie piekło. A jednak jakimś cudem się skończyło.

Najpierw dała o sobie znać cisza. Bo kiedy płuca Erika zadygotały w ostatnim szlochu, tak że nieoczekiwanie mógł znowu spokojnie oddychać, było cicho. Skóra na plecach, udach i pośladkach paliła go żywym ogniem. Wiedział, że na całym ciele ma krwawe pręgi. Pejcz za każdym razem trafiał na tyle precyzyjnie, by wypalić czerwony pas. Pod każdą pręgą skóra podchodziła krwią. Jeśli nie została rozcięta, krew wracała swoją drogą, zostawiała

jednak sinozieloną smugę, która zniknie dopiero po wielu tygodniach.

W tej ciszy Erik zaczął dotykać dłonią pleców i pośladków. Czuł pod palcami lepka maź. Krew była wszędzie tam, gdzie spadła metalowa końcówka pejcza i rozcięła skórę. Podłużne skaleczenia pokryją się strupami, wielkimi, chropowatymi strupami, które pękają przy każdym gwałtowniejszym ruchu, ale nie odpadną, dopóki pulsujące rany pod nimi się nie zabliznią.

Jak sobie później przypominał, chociaż niezbyt wyraźnie, do pokoju przyszła matka z miską letniej wody i lnianymi szmatkami. Nie powiedziała nic, albo może tylko on nie pamiętał, żeby coś mówiła. Możliwe, że płakała, możliwe, że czuł w otwartych ranach sól z jej łez. Ale to mogło być przywidzenie wywołane zaczynającą się gorączką. Zdawało mu się, że skądś z daleka dobiega muzyka fortepianowa.

Erik miał czternaście lat i bijał się coraz rzadziej. Wynikało to z dwóch powodów. Po pierwsze, był przywódcą gangu i nie mógł się bić tylko trochę. Bo jeśli ktoś z równoległej klasy nie chciał spłacać gangowi długu, to sprawa wymagała niewielkiego łania, nie jakiegoś poważnego rachowania kości. A w takiej sytuacji lepiej było wysłać Görana lub Wieżę czy innego członka gangu. Gdyby on sam miał wymierzyć karę, musiałyby chodzić o coś ważnego. Na przykład gdyby ktoś nie płacił mimo dwóch ostrzeżeń. Wtedy Erik musiałby osobiście iść przez szkolne boisko, reszta gangu parę kroków za nim, dopóki ten, który nie chciał płacić, nie spostrzeże, na co się zanosz, i nie będzie chciał uciekać, co jednak nigdy nie było możliwe. Gang mianowicie czekał zawsze na odpowiednią okazję, kiedy trzeba było przeciąć boisko na skos, tak by zamknąć drogę ucieczki równocześnie przez obydwa wyjścia. Potem to już była tylko zabawa w kotka i myszkę, dopóki winny nie został schwyty w pułapkę, czyli zagoniony w narożnik między dwiema wysokimi ścianami, bez możliwości wydostania się z okrążenia.

Erik nie odczuwał już żadnej radości ani triumfu przy takich rozprawach. Raczej żał mu było chłopaka, który miał dostać lanie. I to był ten drugi powód, o którym swojemu gangowi nie mówił. Dlatego bił się coraz mniej i mniej.

Nietrudno jednak było przewidzieć, że jeśli jeden uniknie płacenia, to inni będą próbować tego samego, i gdyby wielu naraz starało się wymigać, to cały system runie niczym domek z kart, gang nie będzie mógł już jadać białych bułek ani chodzić na przerwach do baru na grillowane kiełbaski, zamiast zadowalać się przyniesionymi z domu kanapkami. Pieniądze są niezbędne do utrzymania jedności gangu.

A zatem Erik nie bił się tak, by zrobić przeciwnikowi krzywdę. Raczej wymierzał policzki, uderzał w nos, by wywołać krwawienie, mógł też podbić oko. Podbite oko jest niesłychanie efektowne. Poza tym łatwo tego dokonać, wystarczy lewy lub prawy sierpowy, wymierzony albo w ten punkt, gdzie kończy się brew, albo w kość, gdzie zaczyna się oczodół. Tylko jeden cios, a sine, zapuchnięte oko skutecznie odstrasza innych.

Ale ten, kto odmawia spłacania długu, sam też musi zostać przestraszony. Tyle tylko że do tego nie potrzeba jakiejś strasznej przemocy. Właściwie policzki bywają wystarczająco skuteczne, są to bowiem ciosy upokarzające dla tego, kto jest bity, a nie ma odwagi oddać, zarazem jednak policzkujący przez cały czas się boi, czy nagle nie wybuchnie prawdziwa bijatyka. Każdy, kto klęczy na ziemi, jest bity po twarzy i z płaczem zapewnia, że zapłaci, ma w duszy strach niczym wielką dziurę. Nie ból, lecz strach.

To strach jest zawsze uczuciem rozstrzygającym, i Erik dobrze o tym wiedział. Było tak, jakby większość ludzi z jakiegoś osobliwego powodu czuła się kompletnie bezbronna akurat w tej jednej sprawie. Ludzie mogą być wysocy i silni, mogą mieć wszelkie warunki, by się bronić, a paraliżuje ich strach.

Pewien chłopak dwie klasy wyżej trenował przez kilka lat boks w klubie Orzeł. Uważano, że ma talent, w każdym razie jest obiecujący i w Szkole nosił ksywkę Bokser. Podobno doszedł do finału w mistrzostwach Sztokholmu juniorów.

Ponieważ Bokser był gangowi winien więcej pieniędzy, niż miał czy też niż chciałby zapłacić, rozprawa z nim była nieunikniona. A koledzy z klasy podpuszczali go naturalnie pytaniami, czy dałby radę Erikowi albo Wieży. Przez jakiś czas trwały dyskusje na temat, kto wyjdzie zwycięsko ze starcia, jakby chodziło o pojedynek najlepszego boksera świata z najlepszym zapaśnikiem. A równocześnie rozchodziły się pogłoski, że Bokser nie chce płacić. Nie było wyjścia - musiał dostać lanie.

Gang siedział w barze i rozważał różne możliwości. Najprościej byłoby, rzecz jasna, rzucić się na faceta w kilku naraz, ale Erik stanowczo odrzucał tę propozycję. Prowadziłoby to tylko do jeszcze większego gadania na boisku. Do wiecznego międlenia, jakie to tchórzostwo napadać gromadą na jednego i że Bokser jest mimo wszystko lepszy, skoro gang był zmuszony uciec się do tak niskiego postępuku, żeby mu dołożyć.

Jak sobie poradzić z Bokserem? Jedno jest w każdym razie pewne: o jego sile stanowi technika pracy pięściami. Może się zasłaniać i odparowywać ciosy, może też atakować serią, by wreszcie wyprowadzić końcowe trafienie. Ale technika jest też jego słabością, podczas treningu bowiem uczą boksera posługiwania się wyłącznie pięściami. Przeciwnik może go więc rzucić na ziemię kopniakami. Albo może atakować poniżej pasa i tym sposobem go powalić.

- Okay - powiedział Erik, rysując czerwonym keczupem kraciasty wzór na porcji frytek. - Bierzesz go na siebie, Wieża. To odpowiedni dla ciebie przeciwnik, wal go w żołądek i na ziemię, a potem to już zwyczajnie, jak zawsze. Nie ma problemu.

- Nieee, dlaczego właśnie ja? - protestował Wieża niepewnie. - Co do mnie, uważam, że najlepiej weźmy gościa porządnie, w kilku. Postukamy go trochę więcej niż normalnie i gadanie na boisku się skończy.

Erik westchnął, przez chwilę żuł kawałek kiełbasy z grilla, a reszta czekała w milczeniu. Wieża się bał. Ow dziwny strach tkwił nawet w duszy Wieży, i to wobec przeciwnika, którego mógł z łatwością pokonać. Skoro jednak Wieża się boi, to sprawa jest rozstrzygnięta, czy reszta gangu rozumie jego strach, czy nie. Można by go było zmusić do walki, ale ten, kto się boi, przegrywa zawsze, a gdyby Wieża dostał lanie, to potem sprawy układałyby się jeszcze gorzej.

- Okay - zdecydował Erik. - W takim razie ja sam zajmę się tym facetem. Ale wy musicie być przy mnie przez cały czas i patrzeć, wszyscy jak jeden.

- Na wypadek, jakby ci szło chujowo, to powinniśmy...?

- Mnie nigdy nie idzie chujowo. Ja zawsze wygrywam, a teraz chodźcie, załatwimy go jeszcze przed końcem przerwy.

W drodze powrotnej na szkolne boisko Erik jeszcze raz powtórzył w myślach plan. Zbudował go na założeniu, że najpierw wydobędzie z Boksera strach, który gdzieś tam w głębi jego duszy musiał się znajdować. Gdyby Bokser takiego strachu w sobie nie nosił, to już dawno temu sam przeleciałby przez szkolne boisko, skoro u niego w klasie tyle było gadania o całej sprawie.

Ale nie da się pobić Boksera byle jakim podstępny chwytem. Erik musi go pokonać w walce na pięści, która by chociaż z pozoru przypominała boks. Wszystko inne skończy się nowym gadaniem. I starcie musi być rozstrzygnięte szybko.

Bokser był od niego wyższy i miał większy zasięg ramion, no, a poza tym był bokserem, więc o dłuższej walce w pięściarskim stylu

w ogóle nie mogło być mowy. Erik sam po paru minutach mógłby wyglądać strasznie z rozkwaszoną gębą; gdyby nawet Bokser nie zdołał posłać go na ziemię, to i tak można by uważać, że przegrał. Przewaga Boksera, jeśli chodzi o ciężar ciała, nasuwała wątpliwości, czy rzeczywiście Erik powinien atakować korpus przeciwnika, by go powalić na ziemię (coś takiego z łatwością mógłby osiągnąć jedynie Wieża).

Zatem najważniejsze to przestraszyć Boksera, a potem zadać cios w twarz. I nie wystarczy trafić w oko, bo ze skutków takiego uderzenia można się szybko otrząsnąć. Musi być krew z nosa. Żeby jednak trafić w nos faceta, który jest przyzwyczajony do osłaniania się, potrzeba wielkiego strachu, tak wielkiego, by stłumił wytrenowany refleks obronny. Nie można się bokсовать z bokserem, należy go po prostu przestraszyć, przestraszyć tak, by omal nie zaczął robić po nogach, a potem strzelić go w nos.

Gang ustawił się w narożniku boiska. Tak jak przewidywali, Bokser był przed szkołą. Erik powiedział, żeby Gösta, najmniejszy w gangu, poszedł i go przyprowadził. Pogłoski o tym, że oto nadeszła oczekiwana chwila, zelektryzowały obecnych na boisku, którzy przewidywali, że wszystko rozegra się błyskawicznie. Bokser może nie chcieć iść do narożnika ze strachu, że członkowie gangu rzucą się na niego kupą. Gdyby jednak okazał tchórzostwo, już by przegrał, a nie było wcale pewne, że ma ochotę poddać się tak łatwo. Z jednej strony bowiem, to nie wstyd zostać pobitym, jeśli wielu rzuca się na jednego, z drugiej zaś, wielkim wstydem jest okazać tchórzostwo.

Liczna gromada chłopaków z klasy Boksera szła za nim, nie po to, by pomagać, ale żeby patrzeć. Erikowi bardzo to odpowiadało. Bokser nadchodził z rękami na pół uniesionymi, gang rozbiegł się na boki, tworząc półkole z Erikiem w środku. Opracowali ten szyk po drodze z baru. Bokser przystanął z wahaniem, rozglądał się czujnie na wszystkie strony, a Erik obserwował go uważnie. Żaden

nie powiedział ani słowa. Krąg gapiów wciąż się powiększał (wycie jeszcze się nie zaczęło).

- Cześć - zaczął po chwili Erik bardzo wolno. - Jesteś nam winien pieniądze i pomyślałem, że powinieneś dostać szansę, by je teraz oddać. Zakończymy całą sprawę, nie robiąc ci krzywdy.

- Nie - wysyczał Bokser przez zęby i uniósł ręce kilka centymetrów wyżej.

- Co? - krzyknął Erik, udając zaskoczonego, i zaraz przeszedł do pogroźek. - Jak nie oddasz, to będziemy musieli cię sprać, chyba o tym wiesz?

To była zwyczajna przynęta, Bokser musiał tylko ją chwycić, a potem to już wszystko pójdzie szybko samo z siebie.

- Tchórze jesteście, kilku na jednego, tak? Tchórzliwe baby, co? Boicie się walczyć jeden na jednego, bo mógłbym was wszystkich rozdeptać!

- Nie denerwuj się - odparł Erik i zrobił efektowną pauzę. - Jest gorzej, niż ci się wydaje. Bo to ja sam zamierzam wygarbować ci skórę.

Bokser rozejrzał się z niedowierzaniem wokół, a Erik ciągnął swoje pośpiesznie, by przeciwnik nie zdążył przejąć inicjatywy:

- Gdyby chodziło tylko o zwyczajne lanie, to kazałbym Wieży, żeby się tobą zajął. Teraz jednak jest tak, że albo zaraz zapłacisz, masz w tej chwili ostatnią szansę, albo ja osobiście spuszczę ci takie manto, że nie zapomnisz do końca życia.

Przez gromadę gapiów przeszedł szmer. Nie pojmowali, jak można grozić Bokserowi, komu jak komu, ale Bokserowi, i to w ten sposób? Po prostu nie pojmowali niczego. Powoli zaczynały się dopingujące krzyki i wycie. Teraz Bokser był zmuszony coś powiedzieć.

- Ech - bąknął, i Erik, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, stwierdził, że już słyszy w jego głosie niepewność. - Ech, ciebie przynituję do ziemi bez kłopotu, chodź no tu.

Bokser uniósł ręce w pozycji obronnej i wykonał kilka tanecznych kroków. Teraz należało zaatakować jego poczucie pewności siebie. Erik stał z rękami w kieszeniach spodni, nie przejmując się ruchliwą gardą Boksera, który w każdej chwili mógł bez trudu trafić go w twarz. Erik wiedział jednak, że dopóki on trzyma ręce w kieszeniach, dopóty Bokser nie uderzy.

- Mogę cię stłuc na kwaśne jabłko, jeśli tylko będę miał na to ochotę - rzekł Erik. - Ale nie lubię masakrować ludzi, którzy nie mają żadnych szans. Najpierw jednak ostatnie ostrzeżenie: odmawiasz płacenia?

- Odmawiam, do cholery! - warknął Bokser spoza gardy i powąchał swoje zaciśnięte pięści, jakby to były bokerskie rękawice. - Gadać to ty sobie możesz, ale spróbuj mnie trafić, jeżeli potrafisz!

Potem zaczął podskakiwać w przód i w tył, a także na boki, przed Erikiem, który przyglądał mu się z lekkim uśmiechem i przechyloną głową. Erik wciąż miał ręce w kieszeniach i przeciągał milczenie tak długo, jak to możliwe, by trzymać Boksera na granicy między śmiesznością a decyzją podjęcia walki. Bokser skakał do przodu i do tyłu i nieustannie wachał te swoje wymyślone rękawice.

- Masz dwa wolne ciosy - powiedział Erik.

Bokser zamarł w pół kroku i ze zdumienia opuścił ręce. Erik starał się ten efekt zaskoczenia natychmiast, wykorzystać.

- Tak jest - powtórzył. - Daję ci dwa wolne ciosy. Możesz uderzyć dwukrotnie, przynajmniej będziesz miał jakąś szansę. Ale nie mów, że cię nie ostrzegałem. I pamiętaj, kiedy zechcesz

wykorzystać szansę i wykonać te dwa wolne ciosy, to nie zapominaj, że twój kutas jest bardzo wrażliwy, no nie?

Bokser stał bez ruchu i gapił się na niego z otwartymi ustami. Teraz Erik widział, że strach tamtego jest na wystarczająco dobrej drodze.

Powoli wyjął ręce z kieszeni i zacisnął pięści. Potem połączył je na wysokości swojej piersi, lewą stopę wysunął naprzód, a prawą cofnął nieco w tył, jakby szykował się do wymierzenia fantastycznego kopniaka. Zbliżało się rozstrzygnięcie. Wiedział, że teraz wystarczy już tylko myśleć o ojcu. Ponieważ trzymał ręce przyciśnięte jedna do drugiej na piersiach, to rzeczywiście wyglądało tak, jakby się nie zasłaniał. Ale on tylko powstrzymywał Boksera przed wyprowadzeniem dwóch z trzech możliwych ciosów, które dla Erika mogły być upokarzające. Teraz Bokser nie mógł wymierzyć ani prostego uderzenia w splot słoneczny, ani w podbródek. Na prawy prosty w nos nie odważy się przy wolnym uderzeniu. Tym samym Bokser znalazł się w pułapce.

- Ech, do diabła, chodź no tu! - zawołał, ale jakby bez przekonania.

- Ani mi się śni. Ale jak powiedziałem, wciąż masz dwa wolne ciosy. Bo chyba nie tchórzysz ze strachu, że potem dostaniesz za bardzo, co?

Gromada chłopaków chichotała za plecami Boksera i domagała się, żeby tłukł z całych sił, skoro ma tę szansę. Bokser jednak się wahał, Erik zaczął się koncentrować i już oczyma duszy widział wyraźny obraz swego ojca w kolorze niebieskim. Potem usłyszał własny głos, jak znowu powtarza to o dwóch wolnych ciosach, tchórzostwie itd. Bokser wycofał się już za daleko, teraz musiał zaatakować. Ale się bał. Próbował uderzyć, lecz robił to niepewnie, widać było, że się waha. Erik nie przepuścił okazji:

- Wykorzystaj szansę, to jedyna, jaka ci została. Pokaż przynajmniej, że nie jesteś tchórzem.

Kiedy Bokser wyprowadził ten cios, który wyprowadzić musiał, czyli łukiem w podbródek przeciwnika, wciąż w jego ruchu było tyle wahania i niepewności, że Erik mógł przyjąć uderzenie bez jednego mrugnięcia. Bokser gapił się na niego oniemiały.

- To był jeden cios - powiedział Erik. - Teraz został ci tylko jeden, a potem będzie lanie, i pamiętaj, co powiedziałem o twoim ptaszku.

Bokser rozglądał się z lękiem dookoła. Pot perlił mu się na czole, a stłoczeni za jego plecami krwiożerczy gapie domagali się wielkiego lania, wszystko jedno, kto komu dołoży, byle zaraz i dużo. Chcieli jak najprędzej zobaczyć drugi wolny cios i dowiedzieć się, co potem będzie z Bokserem.

A ten miał we wzroku rozpacz już w chwili, gdy wciągnął głęboko powietrze i wymierzał drugi cios w podbródek. Erikowi zadzwoniło w uszach, a niebieski obraz był przez chwilę mocno niewyraźny. Należało działać jak najszybciej, żeby Bokser nie zdążył rozpocząć walki.

Tamten stał z podniesionymi rękami, nieufny i przestraszony tym, że jego kolejne uderzenie zdawało się nie mieć żadnego efektu.

Erik uśmiechał się do niego przez rzednącą mgłę, ostrożnie zmienił pozycję i nagle wierzgnął prawą nogą, jakby precyzyjnie mierzył w podbrzusze Boksera, a ten instynktownie wykonał jedyny możliwy ruch, opuścił mianowicie obie ręce i pochylił się w przód, by przejąć kopnięcie na przedramiona. W trakcie tego ruchu zaciśnięta pięść Erika trafiła prosto i perfekcyjnie w czubek nosa.

Erik poczuł chrupnięcie kostek serdecznego i środkowego palca. Trafienie było fantastyczne, krew tryskała na twarz Boksera, który wytrenowanym gestem natychmiast poderwał głowę do góry

(ktoś, kto nigdy boksu nie trenował, w takiej sytuacji automatycznie pochyła się do przodu), i z przerażeniem w oczach uniósł gardę, by chronić twarz przed kolejnymi uderzeniami.

Wtedy Erik wymierzył szerokim łukiem kopniaka w bok i bez problemów trafił Boksera w kolano akurat tej nogi, na której przeciwnik się opierał. Bokser runął jak długi na ziemię. Sprawa była rozstrzygnięta.

Erik pochylił się nad przeciwnikiem i wypowiedział zdania, które ćwiczył przez ostatni kwadrans, kiedy wracał ze swoimi ludźmi z baru:

- Nie będę cię więcej bił, bo mi ciebie żal. Powiedz tylko, że jutro wszystko zapłacisz, to nie będziesz się już musiał niczego bać.

I poszli sobie, zanim Bokser zaczął boksować.

- Jak, do cholery, mogłeś wytrzymać dwa takie walnięcia? - dopytywał się Wieża.

- Morderczy trening - odparł Erik, a chłopaki z gangu wybuchnęli śmiechem, bo nie wiedzieli, że to i tak jest tylko połowa prawdy.

Kiedy tego dnia wrócił do domu, zauważył, że stary zdobył nowy instrument do wymierzania kary. Nabytek wisiał w przedpokoju na widocznym miejscu, nie można było przejść, żeby nie zwrócić na niego uwagi, co przypuszczalnie było celowe. Erik ostrożnie odstawił tornister, wziął narzędzie i z miną rzeczoznawcy ważył je w dłoni. Była to łyżka do butów, długa, z chromowanej stali, rękojeść obciągnięta skórą. Najwyraźniej model damski, bo dolna część robiła wrażenie stosunkowo wąskiej. Łyżka łatwo się wyginała i miała mniej więcej pół metra długości. Erik kilka razy machnął nią w powietrzu i skonstatował, że środek ciężkości w tym instrumencie znajduje się dość nisko. Gdyby ojciec, bijąc, podszedł za blisko, to duża część siły uderzenia poszłaby na marne. Choć z

pewnością stary skurwiel odkrył to równie szybko jak Erik. To przecież on sam wynalazł narzędzie, stał pewnie w jakimś sklepie i wazył je w dłoni, a kiedy nikt nie widział, ciął na próbę powietrze. Tak czy owak, łyżka jest gorsza niż szczotka do ubrania, ma bowiem węższą powierzchnię trafienia. Choć dla Erika lepsza niż brzozowa różga, nie mówiąc już o pejczu.

Odwiesił łyżkę na miejsce, poszedł do swojego pokoju i zabrał się do czytania komiksu, który chował między zeszytami.

Początkowa kara może wynosić dwadzieścia pięć razy, tak na inaugurację, ale potem?

I rzeczywiście, przy obiedzie ojciec zapowiedział dwadzieścia pięć razy z powodu tego, że Erik ma za długie włosy (a następnego dnia, gdy pójdzie do fryzjera i się ostrzyże, będzie przypuszczalnie dwadzieścia pięć za to, że ostrzygł się „za krótko”). Poza tym jednak był to całkiem zwyczajny obiad bez specjalnie drobiazgowych uwag na temat zachowania się przy stole, młodszy brat też nie miał nastroju do robienia na złość, i Erikowi udawało się jakoś tak manewrować, że dotrwał do końca bez większej porażki. Stary dał mu solidnego prztyczka w nos za to, że ma bezczelną minę, ale to wszystko. Trafił idealnie w cel i ucieszył się z sukcesu oraz ze swojej niezwykłej „szybkości”, którą zawdzięczał temu, że za młodu, jak sam twierdził, był niebywale utalentowanym szermierzem.

Na ulicy przed domem zazgrzytał tramwaj. Na początku, kiedy się tu sprowadzili, trudno było się przyzwyczaić do tych hałasujących tramwajów. Na wsi, na Bogatym Przedmieściu, zawsze wieczorami, kiedy Erik i młodszy brat się kładli, panowała cisza. Budzili się tylko w te noce, kiedy stary wracał do domu taksówką pijany i na coś wściekły, tak że zaczynał okładać pejczem Romulusa i Remusa, a one skowyczały z bólu.

Teraz oba już nie żyją. Romulus i Remus to były dwa niemal całkiem czarne i niezwykle silne dobermany. Stary katował je tak, że w końcu oszalały. Taką w każdym razie opinię wydał weterynarz, kiedy rodzina przeprowadziła się do miasta i trzymanie wyjących psów w mieszkaniu okazało się niemożliwe. Romulus i Remus zostały odesłane do uśpienia. Erik, o ile dobrze pamięta, po raz pierwszy i jedyny w życiu płakał wtedy bez bicia. On kochał te psy.

Kiedy mieszkali pod miastem, psy na ogół biegały przywiązane łańcuchami do stalowej liny rozpiętej między dwoma wielkimi dębami. Koledzy z klasy Erika zawsze, zanim weszli na teren posesji, dokładnie wypytywali, czy aby na pewno psy są uwiązane. Wszyscy wiedzieli bowiem, że te dwa czarne dobermany stanowią śmiertelne zagrożenie. Pewnego razu były spuszczone, a tu akurat na posesję wkroczyli śmieciarze, i zanim Erik zdążył przybiec z odsieczą, obaj zostali tak pogryzieni, że sprawa trafiła do sądu. Ale poszkodowani byli jedynie śmieciarzami, ojciec zaś bez problemu wynajął świetnych sztokholmskich adwokatów, którzy dowiedli, że do nieszczęścia doszło na terenie prywatnym i że śmieciarze nie mogą z byle powodu naruszać świętego prawa prywatności oraz że człowiek musi mieć możliwość bronienia swej własności w czasach, kiedy coraz więcej jest napadów i kradzieży. Proces zakończył się ugodą, czyli swego rodzaju kompromisem, zbudowanym na stwierdzeniu, że psy mają prawo gryźć, ale że tym razem pogryzły trochę za mocno, więc stary musiał zapłacić za podarte ubrania oraz uregulować rachunki lekarskie. Potem rzecz została uznana za niebyłą. Kilka lat później Erik spotkał jednego z tych śmieciarzy. Okazało się, że nadal kuleje.

Kiedy stary bił psy, używał plecionego pejcza z metalową końcówką. To straszne, jak one wyły i skowyczały, gdy ojciec brał pejcz i podchodził do stalowej liny, do której były uwiązane. To przecież tylko zwierzęta, więc dlaczego kulily się i pełzały, dlaczego

wyły i skowyczały, kiedy je katował? Czy stary nigdy się nie bał, że psy któregoś dnia mogą mieć dość, rzucić się na niego w nagłym ataku wściekłości i zagryźć go? Widocznie nie brał tego pod uwagę, bo mógł stać i ćwiczyć Romulusa i Remusa przez, powiedzmy, pięć minut bez przerwy, starannie przestrzegając rytuału: raz wymierzał cios jednemu, raz drugiemu. Kiedy Erik zdał sobie z tego sprawę, przyszło mu do głowy, że gdyby on miał brata bliźniaka, przypuszczalnie ojciec postępowałby z nimi tak samo.

Pewnego razu na ich posesję wbiegł przez pomyłkę jakiś rozbawiony owczarek collie. Stał w odpowiedniej odległości i ujadął na dobermany, które szczekały i szarpały się na uwięzi, tak że o mało się nie podusiły. Erik siedział na drzewie i widział, co się stało później.

Stary wybiegł z domu i pośpiesznie rozejrzał się wokół. Następnie szybkim krokiem podszedł do swoich psów i spuścił je z łańcuchów. Przez cały czas śmiał się z tego, co się dzieje, i cały czas je szczuł: „Brać go, tak, dobre pieski, huzia!”

Polowanie trwało krótko, Romulus i Remus w skutecznym współdziałaniu zepchnęły intruza do narożnika, po czym rozszarpały przeraźliwie wrzeszczącego collie na strzępy. W kilka sekund było po wszystkim. Erik zapamiętał widok rozdieranego brzucha owczarka oraz potwornie zakrwawione pyski dobermanów.

Przy obiedzie parę godzin później, kiedy resztki obcego psa oddano rakarzowi i w wyniku dżentelmeńskiego kompromisu zapłacono połowę jego wartości, Erik został zmuszony winę ojca wziąć na siebie. Musiało bowiem istnieć jakieś wyjaśnienie, dlaczego Romulus i Remus zostały spuszczone z łańcuchów i biegały swobodnie koło domu, tym bardziej że ten tam kundel, którego rozdarły na strzępy, to był jakiś bardzo drogi, rasowy pies, którego wozili po wystawach.

Erik wiedział bardzo dobrze, że skończyłoby się katastrofa, gdyby powiedział, że widział, jak ojciec podchodzi do psów, sprawdza, czy nikogo w pobliżu nie ma, a potem spuszcza dobermanów dla przyjemności oglądania, jak będą mordować nieszczęsnego collie. Gdyby coś takiego powiedział, wysokość kary uległaby podwojeniu z wyjaśnieniem, że to kłamstwo. Następnie zostałby zmuszony do przyznania się, że kłamał, a na koniec musiałby prosić o wybaczenie, że kłamał, i obiecać, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Lepiej już było przyznać się od razu. Powiedział więc, że siedział tam i bawił się z psami, co przecież robi codziennie, a potem, niestety, zapomniał je uwiązać, no i teraz, kiedy już wyznał to wszystko i patrzy ojcu prosto w oczy, może stać jak człowiek, który odpowiada za to, co zrobił, i prosi o przebaczenie. Ale przecież załatwienie sprawy kosztowało, więc musi być kara, i to w formie nieco odmiennej niż rutynowe poobiednie lanie. Wybór padł na brzozowe różgi.

Rytuał bicia brzozowymi różgami mógł być celebrowany bardzo długo. Ważnym elementem było to, że Erik sam poszuka i natnie odpowiednich różeg. Ale różgi, które przynosił, zawsze bez wyjątku okazywały się jednak pod jakimś względem felerne. Albo były za duże, zanadto rosochate i nie nadawały się ze względu na zbyt wielki opór powietrza i zbyt dużą powierzchnię rażenia. Mogły też, rzecz jasna, być za małe, nie obciążały właściwie ręki i trudno było nimi uderzać z odpowiednią siłą. Mogły również mieć za krótki uchwyt i wtedy zamach przy uderzeniu wypadał za mały, ale równie dobrze mogły być za długie, przez co punkt ciężkości wypadał w niewłaściwym miejscu. I nawet gdy z czasem Erik nauczył się wybierać perfekcyjne narzędzie kary, to i tak rytuał powtarzany był tyle razy, ile ojciec na początku ustalił. A więc licytacja zaczęła się od dwudziestu razów. Już w tym momencie podana została kwalifikacja i zapowiedź, że będzie więcej, ponieważ, rzecz jasna, nie mogło być mowy jedynie o dwudziestu razach, gdy chodziło o coś tak poważnego, jak spowodowanie śmierci obcego rasowego

psa. Erik od początku wiedział, że powinien być przygotowany na podwyższenie kary nawet dwukrotne i że suma uderzeń może dojść do czterdziestu.

Ale akurat tego dnia, gdy stary szczuł Romulusa i Remusa na nieszczęsnego owczarka, który wyglądał jak Lassie i został rozdarty na trzy czy cztery kawałki, rytuał przygotowywania różeg zakończył się dopiero przy zapowiedzi siedemdziesięciu pięciu uderzeń.

Erik zdawał sobie sprawę z tego, że skóra nie wytrzyma aż tyle i zacznie pękać. Poleje się krew. Stary pewnie sam nawet nie przypuszcza, ile to może być krwi. Aby się chronić przed psychicznymi skutkami siedemdziesięciu pięciu uderzeń, które gdzieś od pięćdziesiątego będą krwawe, należało za wszelką cenę wzbudzić w sobie niebieski płomień nienawiści, zanim wszystko się zacznie. Erik dobrze o tym wiedział.

Obaj z ojcem przeszli do dziecinnego pokoju. Stary wziął młodszego brata za rękę i wyprowadził na korytarz, po czym ostrożnie zamknął drzwi. Podszedł do Erika, usiadł na krawędzi łóżka i machnął w powietrzu różgą, dla wypróbowania, jakby już przedtem nie sprawdzał tej przeklętej różgi cholerną ilość razy.

- Ściągaj spodnie - nakazał bezbarwnym głosem.

- Ja widziałem, że to byłeś ty, tato. Siedziałem na dębie koło huśtawek i widziałem, jak szedłeś do Romulusa i Remusa. Rozejrzałeś się, spuściłeś najpierw Remusa, potem Romulusa i śmiałeś się, kiedy go szczułeś na tego collie.

Stary gapił się nań szeroko rozwartymi oczyma. Erik wciąż stał i patrzył w te wytrzeszczone oczy z mocnym postanowieniem, że nie zamruga ani nie cofnie wzroku, nawet gdyby stary go spoliczkował. Koncentrował się na swojej, bardzo teraz potrzebnej nienawiści.

Trwało to całą wieczność.

W końcu ojciec podniósł się wolno i podszedł do drzwi. Otworzył je, wyjął klucz, który tkwił po tamtej stronie. Następnie zamknął drzwi i dwukrotnie przekręcił klucz w zamku. Potem wrócił do łóżka, wciąż takim samym wolnym krokiem.

- Ściągaj spodnie! - wysyczał przez mocno zaciśnięte zęby.

Z tego bicia Erik nie pamiętał prawie nic. Miał tylko wrażenie, że mu się śniło, jak w końcu matka, wciąż na pół w tym błękitnym śnie, podeszła do drzwi, tłukła w nie pięściami i głośno płakała. Ale tak na pewno to tego nie pamiętał.

Przez następny tydzień nie chodził do szkoły. Grypa, napisał stary na zaświadczeniu dla wychowawczynie. A kiedyś, dużo później, kiedy była już wiosna i pokój wypełniał się jasnym światłem, na białych tapetach w łódeczki, koniki i rozbawione pieski Erik odkrył mnóstwo brunatnych plamek zaschniętej krwi. Sięgały aż do sufitu.

W dniu 6 listopada pogoda była idealna jak na filmie. Kiedy chłopcy paradowali z pocztem sztandarowym na czele, nad szkolnym boiskiem zalegała gęsta mgła. Szkolna orkiestra z przewagą bębnow grała marsza. Pirat wykrzykiwał rozkazy dla różnych formacji, każda klasa ustawiała się w czterech grupach, przed każdą stał szef. Chłopcy odśpiewali *Nasz Pan jest naszą twierdzą*, a następnie przy akompaniamencie werbli wrócili do szkolnej auli, by wysłuchać przemówienia dyrektora na temat panującego na świecie zła.

Rosja okupuje Węgry, a komunizm zagraża wolności. Dyrektor opowiadał o wielkiej wojnie światowej, podczas której był korespondentem wojennym. Nie było tak do końca jasne, czym się na wojnie zajmuje korespondent, ale sądząc z tych opowieści, wkład dyrektora w przebieg drugiej wojny światowej był wielki. Teraz

jednak wiry zła ponownie grożą wciągnięciem naszego kraju i narodu w wojnę. Oczywiście, mamy wielkie tradycje, których przypominaniu służy właśnie ten dzień. Gustaw II Adolf, z pozoru słabszy, zwyciężył Rosjan i uczynił Bałtyk wewnętrznym morzem szwedzkim. To nasza dyscyplina, nasze proste obyczaje i znakomite cechy rasowe okazały się decydujące. A my, chłopcy, jesteśmy przyszłością Szwecji, to my będziemy Szwecji bronić. Jeżeli nawet nie dojdzie do wojny, to znaczy do otwartej konfrontacji zbrojnej, to i tak inna wojna będzie nam towarzyszyć przez całe życie, gdy każdy wkład pracy na drodze ku osobistemu sukcesowi będzie czynił kraj silniejszym i lepiej przygotowanym do stawiania oporu. To jest istota, samo jądro demokracji, wszystko, co dotyczy obrony. Naszym polem walki akurat teraz jest zdobywanie podstawowego wykształcenia. Następstwem tego będzie narodowa siła, bo to my później zostaniemy administratorami, technikami, wynalazcami, oficerami, dyrektorami przedsiębiorstw i innymi pożytecznymi ludźmi, którzy dadzą naszemu krajowi techniczną i moralną przewagę nad barbarzyńskimi napastnikami, nawet gdyby napastnicy mieli pozorną przewagę w sile wojska i broni. Wkrótce również Szwecja zostanie wyposażona w broń jądrową, będącą w stanie zrównać z ziemią Leningrad w wypadku, gdybyśmy zostali napadnięci. Pamiętając o tym wszystkim, marsz mi teraz do klas, by kontynuować walkę ze złem.

Tymczasem następną lekcją w klasie Erika była muzyka, a pan od muzyki należał do gatunku nauczycieli złych. Erik dzielił nauczycieli na złych i dobrych według bardzo prostego wzoru. Ci, którzy biją i czepiają się uczniów, są źli. Ci, którzy nie biją, są dobrzy. Wobec złych należało się buntować. Dobrych natomiast słuchać. A klasa słuchała Erika.

Nauczyciel muzyki miał rzadką kozią bródkę i długie włosy, które opadały mu na czoło, gdy z uniesionym w górę kijkiem do

wskazywania lub linijką biegł między ławkami, by ukarać za jakąś niesubordynację.

Porwany wzniosłym nastrojem porannego apelu, wygłosił krótką orację na temat Ruskich, po czym zarządził ponowne odśpiewanie pieśni *Nasz Pan jest naszą twierdzą*.

- A zatem pan magister uważa, że kiedy Ruscy wejdą, to mamy śpiewać, dopóki nie wyzdychają? - zakpił Erik przy akompaniamencie chichotów reszty klasy.

Chichoty nie cichły przez dłuższy czas, chłopcy przedłużali je, by zdenerwować nauczyciela, a ten dał się sprowokować, chwycił wskazówkę i popędził w stronę Erika.

Erik podniósł się z miejsca i patrzył przeciwnikowi w oczy. Nauczyciel uniósł patyk, ale zawahał się, widząc, że Erik wciąż stoi bez ruchu, jakby nie zamierzał się nawet zasłonić przed nieuchronnym ciosem. Chłopiec odczekał kilka sekund, by wahanie nauczyciela osiągnęło taki punkt, po którym już będzie musiał uderzyć.

- Jeżeli teraz mnie tkniesz, to będziesz tego żałował na każdziuteńkiej lekcji aż do końca semestru - powiedział Erik.

Zaskoczony nauczyciel opuścił kijek o kilka centymetrów, a chłopak ostrożnie uniósł lewą rękę, by zdążyć odeprzeć ewentualne uderzenia, zanim ten dosięgnie jego twarzy.

- Grozisz mi? - wybełkotał mężczyzna z kozią bródką.

- Ty bardzo lubisz bić, powinieneś więc dostać za swoje - rzekł Erik i błyskawicznie uniósł lewą rękę akurat na tyle, by chwycić kijek w odległości dziesięciu centymetrów od twarzy. Złapał go i trzymał, przez cały czas patrząc nauczycielowi w oczy.

- Myślisz, że możesz mieć wszystko, czego sobie życzysz, bo jak nie, to będziesz nas lał kijem albo linijką - mówił Erik, nadal

zwracając się do nauczyciela per ty. - Ale teraz zobaczysz, że czasami bicie może być niemożliwe. Właściwie to wyglądasz jak koza. Co prawda, w szkole nazywają cię Śruba, ale od dzisiaj będziesz się nazywał Koza.

Puścił kijek i usiadł. Zaczął rytmicznie klaskać w dłonie i wykrzykiwać do taktu: „cholerna koza, cholerna koza, cholerna koza”, dał znak Wieży i Göranowi, którzy poszli za jego przykładem. Nauczyciel stał oniemiały z opuszczonymi rękami, a skandowanie narastało. W końcu cała klasa wrzeszczała, a Erik wybijał takt rękami. Koza, bo od tej chwili tak się nazywał, wyleciał z klasy jak oparzony. Konsekwencje były nieuniknione. Po dużej przerwie Erik został wezwany do dyrektora na przesłuchanie. Takie przesłuchanie było czymś strasznym nie tylko ze względu na powagę chwili z wszystkimi jej nieprzyjemnymi następstwami, lecz także dlatego, że dyrektor miał psa, starego owczarka alzackiego, który leżał pod biurkiem i warczał złowrogo.

Erik przygotował się zawczasu na spotkanie w dyrektorskim gabinecie, zmienił swoje granatowe zamszowe buty z wąskimi noskami na o wiele zwyczajniejsze traktory Grubego Johana. Zlikwidował też falę nad czołem i zdecydował się na nieco bardziej chłopięcą fryzurę z zaczesaną na bok grzywką, a swoją czerwoną elegancką kurtkę zostawił po prostu na korytarzu. Była to fizyczna część przygotowań do konfrontacji ze zwierzchnością. Druga część polegała na zmianie języka. Erik potrafił z wielką swobodą czarować dorosłych wyszukany językiem klasy średniej, a to im zawsze bardzo imponowało. Mieli wrażenie, że rozpoznają w tym języku siebie lub zwierzchność. Dorośli wierzyli, że taki język jest całkowicie pewną oznaką niewinności, świadczy o dobrym wychowaniu i zadomowieniu w inteligenckim środowisku; taki język mógł również służyć jako ochrona przed wyrzuceniem ze szkoły. A najstraszniejszą rzeczą, jaka mogła się przydarzyć uczniowi, było właśnie wyrzucenie. Młody człowiek zostawał przez

to odcięty od możliwości zdobycia wykształcenia, musiał sobie poszukać jakiejś zwyczajnej pracy, nie miał szans zostać w przyszłości kimś lepszym.

Dyrektor siedział przy biurku, pod biurkiem warczał owczarek, a za plecami dyrektora stał Koza. Erik głośno i wyraźnie powiedział dyrektorowi „dzień dobry”, Kozie skłonił się lekko i stanął przed biurkiem na nieznacznie rozstawionych nogach, z rękami założonymi na plecach. Taka postawa była, jego zdaniem, psychologicznie trudna do sforsowania dla dorosłego, który chciałby uderzyć. Jak bowiem wymierzyć policzek osobie, która stoi z rękoma za plecami i nie broni się?

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, jakie konsekwencje dla twojej oceny ze sprawowania będzie miało to, co się stało? - zaczął dyrektor.

- Tak, panie dyrektorze - odparł Erik. - Jestem w pełni świadom, że w wyniku dzisiejszego incydentu moja ocena ze sprawowania zostanie obniżona.

- Nooo, to jakie wnioski gotów jesteś z całej sprawy wyciągnąć?

- Przede wszystkim taki, że jeśli się człowiek zachowa źle wobec nauczyciela, czego ja się bez wątpienia dopuściłem, to będzie narażony na nieuniknione represje, jak na przykład obniżenie stopnia ze sprawowania i temu podobne. A po drugie, że mimo wszystko zdarzają się sytuacje, które stawiają człowieka wobec konieczności takich konfrontacji, bo nie ma wyboru.

- Ile ty masz lat, Erik?

- Czternaście. A właściwie czternaście i pół.

Dyrektor siedział w milczeniu, wpatrywał się w blat biurka i pocierał ręką kark. Erik nie umiałby powiedzieć, co ten człowiek myśli lub czuje.

- No tak - rzekł po chwili. - Na początek masz magistra Torssona przeprosić. Bo zakładam, że szanujesz go jako nauczyciela.

- Nie, panie dyrektorze. Nie szanuję.

Dyrektor podniósł wzrok. Barwa jego twarzy zaczęła się z wolna zmieniać, a żyły na skroniach nabrzmiwały. Ale nie stracił panowania nad sobą i kiedy się znowu odezwał, głos miał spokojny.

- Albo cofniesz to, co przed chwilą powiedziałaś, albo wytłumaczysz się z tego bardzo dokładnie. I niech cię Bóg ma w opiece, jeśli to nie będzie przekonujące tłumaczenie.

- To ja już wolę wytłumaczyć całą sprawę. Mówić, że się szanuje „nauczyciela” nie ma sensu, ponieważ „nauczyciel” to tylko tytuł. Problem polega na tym, czy można szanować człowieka noszącego ten tytuł, a ja tego człowieka szanować nie mogę. Magister Torsson uważa, że może nam, uczniom, wpoić znajomość muzyki, chłoszcząc nas wskazówkami i liniałami. Jeżeliby on mnie przeprosił, to ja jego też mogę, ale nie inaczej.

Wybuch gniewu dyrektora był straszny niczym jakiś nagły atak żywiołu. Erik zrozumiał niewiele z jego wrzasków prócz tego, że on, Erik, jako czternastoletni chłopak, który w życiu nie zarobił jeszcze nawet na torebkę cukierków, nie ma prawa wypowiadać się na temat szacunku czy braku szacunku. Poza tym krzyki dyrektora przewalały się nad jego głową niczym dudniące grzmoty.

Podczas tego wszystkiego dyrektor zwrócił się do Kozy i coś do niego powiedział, po czym tamten wycofał się cichaczem. A burza trwała nadal. Erik nie był w stanie koncentrować się na treści tego, co dyrektor wykrzykuje, ponieważ całą siłę woli skupiał na tym, by stać bez ruchu, nie zachwiać się, mieć otwarte oczy i nie pozwolić, by dyrektor cofnął wzrok, nie wybuchnąć nerwowym chichotem ani

nic takiego. W końcu krzyki zaczęły przycichać, a dyrektor wrócił do biurka i usiadł (przez cały czas awantury krążył po pokoju).

- No - rzekł na koniec, pocierając czoło. - Stopień będzie obniżony. A poza tym chcę cię z całym naciskiem przestrzec, żebyś nigdy więcej nie pojawił się u mnie w takich okolicznościach. Zrozumiano?

- Tak jest, panie dyrektorze, zrozumiano.

- To możesz sobie iść, ty łobuzie.

- Dziękuję i do widzenia, panie dyrektorze.

Kiedy Erik położył już rękę na klamce, dyrektor zmienił zdanie.

- Jeszcze jedna sprawa, Erik, teraz, kiedy skończyliśmy z tamtym. Ty masz także dobre cechy. Na przykład posiadasz dar wymowy. I masz odwagę. Dbaj i o jedno, i o drugie. I nie wygłupiaj się więcej. No, to uciekaj.

Ale dyrektor chyba błędnie to wszystko rozumiał. „Dar wymowy” to nie żaden dar, tylko prosty sposób obrony, jeden z wielu jej sposobów. A odwaga to przypuszczalnie zdolność zachowania równowagi i przejścia po kalenicy szkolnego dachu, dwadzieścia pięć metrów nad ziemią. Odwaga nie służy do obrony. W rozumieniu dyrektora to nawet szara mysz może być odważna w chwili, gdy zostanie przez kota zapędzona do narożnika, bo wtedy po prostu nie ma innego wyjścia. Ktoś, kto jak on, Erik, żyje pod jednym dachem ze starym, musi cechować się odwagą w rozumieniu szarej myszy.

Kwestię szacunku dla nauczyciela łatwiej było wyjaśnić. Koza bił i przemieniał swoje lekcje w piekło. Nauczyciel matematyki i fizyki, zwany Okoniem, też bił, i Erik przemieniał jego lekcje w jeden wielki chaos aż do chwili, gdy Okoń wymyślił radykalne

rozwiązanie i każdą lekcję zaczynał od słów: „Dzień dobry, chłopcy! Wszyscy siadają, a Erik wychodzi na korytarz!” Zupełnie inaczej było z Tortem. Wykładowca historii Tort był szczupłym emerytowanym docentem, który przemieniał swoje lekcje w pola bitew i przygód, potrafił z kijkiem do pokazywania jako mieczem („krótki miecz rzymski” po tym, jak bez ceregieli złamał kijek na kolanie) i linijką jako tarczą wskoczyć na katedrę, by pokazywać, jak macedońska falanga ruszała do ataku, kiedy Aleksander Wielki podbijał świat. Tortowi nigdy by nawet do głowy nie przyszło, by ukarać kogoś z chłopców, nie mówiąc już o czymś takim jak bicie. A chłopak, który by wpadł na dziwaczny pomysł zakłócania takiej lekcji, dostałby na najbliższej przerwie manto od całej klasy.

Albo nauczycielka angielskiego, Anna, która na pozór powinna mieć wszystkich trzydziestu pięciu uczniów przeciwko sobie. Drobna paniusia z torebką i plastikową maseczką ochronną na ustach w dniach, kiedy uważała, że może rozsiewać bakterie chorobotwórcze, niższa od większości uczniów, ale ze strasznym spojrzeniem, kiedy ktoś jej przeszkadzał choćby cichym szeptem. W takich razach krzyczała długo i bardzo stanowczo o szacunku dla wiedzy i pracy, a powaga, z jaką wypowiadała słowa, była tak wielka i tak bez najmniejszej wątpliwości szczerą, że mogła jedynie budzić respekt.

Czy nauczyciel biologii i geografii Ivar Zapaśnik (w młodości naprawdę długo uprawiał zapasy), który nigdy, w żadnej sytuacji nie podniósł na ucznia ręki. W konsekwencji jego lekcje były przeciwieństwem zajęć z nauczycielką szwedzkiego, zwanej Maleństwo, która gdy tylko ktoś źle odpowiedział na jej głupie pytania o zasady stawiania przecinków, potrafiła rzucić się na występnego ucznia, szarpać go za włosy lub ciągnąć za uszy.

Czy to naprawdę takie proste? Czy to zależy od nauczycieli, że ten, który bije, napotyka opór, a wobec tego, który nie bije, chłopcy są niczym jagnięta, czy też może to Erik sam tak ma, że nauczyciel,

który bije, wywołuje w nim obraz ojca i chęć walki, a inni uczniowie, członkowie jego gangu, albo ci, którzy się gangu boją, robią to samo co on, jak tylko zaczną rozrabiać?

Erik nie potrafił tego wyjaśnić. Ale nie potrafili też nauczyciele, kiedy spotykali się na burzliwych posiedzeniach rady pedagogicznej; połowa z nich opisywała Erika jako delikatnego i sympatycznego, starannego, niebywale uzdolnionego i ambitnego, podczas gdy druga połowa uważała go za przenikniętego złem małego gangstera, który nie ma nic do szukania w Szkole i znacznie lepiej by pasował do zakładu poprawczego lub zawodówki dla mechaników samochodowych czy czegoś w tym rodzaju. Erik odnajdywał oba te obrazy swojej osoby w wygłaszanych na lekcjach na zmianę nienawistnych naganach i pochwałach. Sam skłaniał się do poglądu, że obie opinie są równie prawdziwe.

To nie była dobra sytuacja. Ale przecież musiał stawiać opór tym, którzy biją. Ponadto był przywódcą gangu i na nim spoczywał obowiązek organizowania oporu. Gdyby on nie złamał Kozy, to nikt inny by tego nie zrobił.

A zatem nie było innej drogi, Erik nie mógł inaczej postępować, chyba żeby opuścił swój gang, zostawił chłopaków własnemu losowi, nie bacząc na to, co się dalej stanie. Tylko że on miał w tym gangu jedynek na świecie przyjaciół. Jeśli można być pewnym przyjaźni, bo może oni się go po prostu boją, a może jest tak, że zwyczajnie potrzebują kogoś, kto decyduje i organizuje, chociaż trudno się naprawdę przyjaźnić z kimś, kto za ciebie decyduje lub organizuje ci życie.

Administracyjna struktura gangu bardzo się rozrosła w ostatnich miesiącach. Po części dlatego, że poszerzyła się działalność lichwiarska, odkąd Erik obniżył oprocentowanie pożyczek. W konsekwencji więcej chłopców pożyczowało pieniądze i rzadziej trzeba było stosować bicie przy ściąganiu długu, ale za to

konieczne stało się księgowanie i utrzymywanie zapisów w należyтым porządku. Gruby Johan zaproponował, że jeśli go przyjmą do gangu, będzie to robił. Tak więc Gruby Johan za niewielką opłatą prowadził kasę pożyczkową i wiedział wszystko o każdym długu. On sam dzięki przynależności do gangu został uwolniony od niewybrednych komentarzy na temat swojego wyglądu, albowiem każdy członek gangu mógł we wszystkich sprawach liczyć na obronę ze strony pozostałych.

Gruby Johan zajął się też kierowaniem kradzieżą płyt gramofonowych, kiedy chłopcy podjęli tę działalność.

A zaczęło się całkiem zwyczajnie. Göran, Kacke i Wieża poszli do pobliskiego sklepu z płytami i kiedy ekspedient się odwrócił, ukryli pod kurtkami po paczce płyt z Elvisem oraz Patem Boonem i wyszli. Erik skonfiskował płyty i z pomocą Grubego Johana sprzedał je na szkolnym boisku, a pieniądze przekazał do wspólnej kasy. Tak narodziła się idea.

Kilka miesięcy później handel płytami przybrał naprawdę znaczne rozmiary. Połowa Szkoły zamawiała w gangu najnowsze płyty rockowe. Cena na boisku wynosiła pięćdziesiąt procent sklepowej.

Dziesięć najbliższych sklepów muzycznych było systematycznie okradanych według schematu opracowanego przez Erika. Odwiedzano je w kolejności zgodnej z ruchem wskazówek zegara. Nie wolno było w tym samym sklepie po raz drugi zastosować takiego samego triku.

Triki zaś były proste. Na przykład chłopiec numer jeden wchodził do sklepu i pytał o jakieś nagranie muzyki klasycznej, którego chciałby posłuchać. Podczas przerwy na lunch w sklepach było niewielu ekspedientów, więc gdy naburmuszony dyżurny zaczynał chodzić między regałami i szukać, przychodził chłopiec numer dwa i po chwili jeszcze chłopiec numer trzy, spoglądali na

swoje karteczki z zamówieniami i wybierali tyle a tyle płyt z muzyką rockandrollową, tyle a tyle „Tutti Frutti” z Little Richardem, czy co tam jeszcze. Zabierali płyty i wychodzili. Chłopiec numer jeden zostawał i słuchał swojego klasycznego nagrania. Potem kupował płytę i także wychodził (nabytek wrzucał do pierwszego napotkanego kosza na śmieci).

Interes rozwijał się znakomicie. Dochody dzielono po równo lub składano do wspólnej kasy z przeznaczeniem na zakup kurtek ze smokami na plecach oraz inne przyjemności. Było, rzecz jasna, kwestią czasu, że cała sprawa się sypnie.

Ale przecież oni są jego jedynymi przyjaciółmi. Człowiek musi coś robić dla swoich przyjaciół. Nie można rzucić wszystkiego i wycofać się, kiedy przyjaciele cię potrzebują, bo gang nie przetrwa bez twoich zdolności organizacyjnych, a w każdym razie bez ciebie to już nie będzie ten sam gang. Tak myślał Erik. Trzeba robić coś dla siebie nawzajem, i on zawsze robił dla nich wiele, całkiem ostatnio zarobił pięć paskudnych szwów na łuku brwiowym jako znak swojego poświęcenia oraz tego, że dla kolegi zawsze gotów jest ponieść koszty.

On i Göran samotnie wracali z boiska ze stołem do ping-ponga. W drodze do Szkoły, na wąskiej uliczce, spotkali całą gromadę łobuzów ze szkoły powszechnej. Normalnie nie byłoby się czego bać, ci z powszechniaka bili się raczej średnio, byli tchórzliwi i wolno myśleli, objawiali za wiele agresji, a za mało planowania. Przy spotkaniu jeden na jednego każdego z nich można było bez trudu załatwić.

Ale teraz szli całą zgrają, siedmiu, może nawet ośmiu, i byli uzbrojeni w swoje śmieszne łańcuchy od rowerów i kije do palanta. Nie było się więc nad czym zastanawiać, należało po prostu zwiewać.

Problem polegał tylko na tym, że Göran biegał dość wolno. Kiedy Erik stwierdził, że nikogo za sobą nie słyszy, i odwrócił się, zobaczył, co się stało: Göran wpadł w pułapkę. Pięciu lub sześciu napastników otaczało go z trzech stron, przypierając do ściany domu, i wyglądało na to, że zaraz zaatakują. Göran najprawdopodobniej dostanie straszliwe cięgi.

Erik stał przez chwilę w miejscu i zastanawiał się, co zrobić. Zdyszany, z trudem chwytął powietrze, a na myśl o decyzji, którą będzie musiał podjąć, serce tłukło mu się w piersi jeszcze bardziej.

Sprowadzenie posiłków zajęłoby zbyt wiele czasu.

Nie uda mu się rozdzielić łobuzów ze szkoły podstawowej na dwie grupy; zresztą, ściślej biorąc, taki manewr na nic by się nie zdał, ponieważ Göran sam i tak nie dałby rady trzem przeciwnikom.

Na nic by się również nie zdało stać w bezpiecznej odległości i grozić straszliwą zemstą, bo tamci i tak stłukliby Görana na kwaśne jabłko.

Erik nie mógł ani sobie pójść, ani tylko stać i patrzeć. Nie mógł, bo Göran to jego przyjaciel. A przyjacielom człowiek musi pomagać.

W końcu podjął decyzję. Szerokim łukiem okrążył grupę, która przypierała Görana do ściany budynku, starając się przeciąć drogę najmniejszemu z tamtych. Kiedy się zbliżał, mały uniósł kij do palanta, sztywno i niezdarnie mierząc nim w Erika. Ale brzuch chłopaka był kompletnie odsłonięty.

Wystarczyło jedno szarpnięcie i Erik z pałką małego w ręce rzucił się w stronę gangu atakującego Görana. Zdażył zauważyć, że jeszcze nie zaczęli go bić, prawdopodobnie chcieli przeciągnąć chwilę triumfu. Erik zdażył zadać trzy solidne ciosy, które rozbiły pierścień wokół Görana, i krzyknął do przyjaciela, by zwiewał.

Kątem oka dostrzegł jeszcze, że Göran zrozumiał, wymknął się z okrażenia i rzeczywiście zmykał, ile sił w nogach.

A potem, nagle, wszystko się skończyło. Napastnicy stali teraz wokół Erika, a on nie miał najmniejszej możliwości ucieczki.

Trzech tamtych krwawiło z ran, które im zadał. Dwaj nadal siedzieli na ziemi, ale Erik wiedział, że nie jest z nimi tak źle. Nie bił przecież, by zrobić krzywdę, ale żeby ich oszołomić i złamać sztyk wokół Görana. Łobuzy ze szkoły powszechnej wciąż się go trochę bały, ale w każdej chwili mogło im to przejść, i możliwość, że wykręci się z opresji gadaniem, w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Słońce świeciło i ulicą przejeżdżała ciężarówka, jakby nic szczególnego nie miało się wydarzyć. Erik obserwował przeciwników. Nosili krótkie spodenki i niezdarne buciory, z pewnością na odległość czuć było od nich naftę. Nienawidzili wszystkich chłopaków z jego Szkoły, chociaż w oczach tamtych właśnie w tej chwili dostrzegał nie tylko nienawiść, nie tylko mijający już strach i triumf z powodu tego, co mieli zaraz zrobić - w ich wzroku było także coś psiego, jakby nie pojmowali, jak wielką mają przewagę. Byli niczym Romulus i Remus, które mogłyby rozszarpać na strzępy starego, tak jak rozszarpały owczarka collie, a one, skowycząc i czołgając się, przyjmowały bez protestu rasy jego pejcza.

Dwaj z napastników, zdyszani i podnieceni, smarkali i kaszlali. Erik przyglądał się uważnie swoim przeciwnikom i czuł, że wszelka agresja wypływa z jego ciała. Nie ma przecież żadnego powodu, by ciągnąć tę idiotyczną wojnę między Szkołą a chłopakami z powszechniaka. A już zwłaszcza nie mają takiego powodu ci, którzy chodzą do jego Szkoły, by w dorosłym świecie zostać szefami i w ogóle zwierzchnością łobuzów ze szkół państwowych.

Erik trzymał zdobyczną pałkę do palanta w taki sposób, by odparować pierwsze ciosy. Co zresztą było pozbawione sensu, tamci i tak mogli go trafić. Ktoś stojący z boku mógł zejść go od tyłu i zdzielić w kark, podczas gdy on będzie zajęty atakującymi z przodu. Poczuł, że uścisk dłoni trzymających pałkę słabnie. Wobec tego ostrożnie upuścił ją na ziemię u swoich stóp. Kiedy kij zadźwięczał w zetknięciu z chodnikiem, wśród otaczających go panowała kompletna cisza.

- Poddaję się - oznajmił Erik. - Nie mam szans, skoro was jest ośmiu.

Przemknęło mu przez myśl, że tak właśnie czynią dzikie zwierzęta. Kiedy walczą ze sobą wilki, zdarza się, że ten, który leży na ziemi, odsłania gardło na cios, a wtedy tego, który jest góra, natychmiast opuszcza cała agresja.

Z początku wydawało się, że to działa. Łobuzy ze szkoły powszechnej zdębiały i zawahały się na chwilę, bo jak tu bić w twarz kogoś, kto się nie zasłania. Przypuszczalnie jednak ich nienawiść do lepszego towarzystwa ze Szkoły była zbyt wielka.

Erik przyjął cztery pierwsze ciosy, nie zasłaniając się i nie cofając. A potem to już lali go metodycznie raz koło razu. Prawdopodobnie stracił przytomność, jeszcze zanim upadł na ziemię i zanim tamci zaczęli go kopać.

Dopiero po trzech tygodniach mógł wrócić na gimnastykę i zadebiutował wtedy jako prawy łącznik w szkolnej drużynie futbolowej. Miał szwy na czole i jednym barku oraz kilka pękniętych żeber. Ale zęba nie wybili mu ani jednego.

Z początku gang poświęcał mnóstwo czasu na snucie rozmaitych planów zemsty. Dyskutowano, czyby się nie uzbroić podobnie jak tamci. Kacke zdobył gdzieś sztylet.

Erik jednak zabronił wojennych planów. Uzasadniał to głównie zbędną stratą czasu, którego potrzebują przecież do prowadzenia interesów. Mówił też, że to by strasznie wyglądało, gdyby nagle zaczęli chodzić po mieście z kijami do palanta. Poza tym taka wojna nigdy nie będzie mieć końca. Za każdym razem, kiedy tamci dostaną wciury, będą się starali dopaść członków gangu, jednego po drugim. W końcu trzeba będzie cały czas poświęcać na prowadzenie wojny, z której nigdy nikomu nic nie przyjdzie.

A ponadto trzeba mieć powód, żeby kogoś bić. Bicie się tylko dla samego bicia świadczy o zbydlęceniu.

Istniały jednak inne powody, o których Erik nie chciał dyskutować. Głównie chodziło o, jak sądził, ów psi wyraz, który tamtego dnia widział w oczach swoich prześladowców. Gdyby złapał paru chłopaków z powszechniaka, to chyba spuszczenie im lania nie byłoby możliwe. Tak samo jak niemożliwe byłoby dla niego bicie Romulusa i Remusa. Tamci nienawidzą Szkoły i można to chyba jakoś zrozumieć. Tylko że nie są w stanie dać rady jako tako sprawnemu facetowi, nawet jeśli idą w ośmiu na jednego.

W końcu interes płytowy zawalił się w mniej więcej taki sposób, jakiego Erik się od dawna obawiał. Policja zastawiła pułapkę na Wieżę, Kackego i Görana, złapano ich na gorącym uczynku i było po wszystkim.

Wpadli dokładnie tak, jak można się było spodziewać, poszli mianowicie trzy razy z rzędu do tego samego sklepu. A przecież plan zakładał, że sklepy z płytami położone najbliżej Szkoły mają być okradane według ustalonego schematu, mianowicie zgodnie z ruchem wskazówek zegara, tak by poszczególne kradzieże dzieliło co najmniej czternaście dni. Na początku Erik sam wizytował sklepy, a następnie z pomocą Grubego Johana sporządzono pisemny schemat, którego gang miał się ściśle trzymać. Nagle jednak trzech jego członków uznało, że chodzenie do odległych

sklepów nie jest konieczne, i odwiedzali ten sam przez trzy kolejne dni. Tam też trzeciego dnia czekała policja i przyłapała ich, kiedy wychodzili z płytami. Potem rozpoczęła się zdająca się nie mieć końca seria przesłuchań przed policją, asystentami socjalnymi i dyrektorem szkoły. Nazywało się to rozbiciem młodocianej bandy.

Dla Erika przesłuchania stanowiły problem moralny. Z jego doświadczeń wynikało, że przesłuchanie opiera się na założeniu, iż przesłuchiwany jest winny. To niekoniecznie musiała być prawda, ale w czasie przesłuchania wina zawsze była po stronie przesłuchiwanego, w związku z czym zaprzeczanie tylko pogarszało sytuację i wpływało negatywnie na wymiar kary. A zatem najlepiej się przyznać do wszystkich zarzucanych czynów, przeprosić i tak dalej.

Uważał, że w ten sposób bez kłopotu wyplątałby się z całej afery. Trzeba tylko, by zaczął przemawiać dorosłym akademickim językiem, by wyznał z żalem, że jego rodzice się rozwodzą, że matka ma zszarpane nerwy, a potem przyznał się jeszcze do kilku mniejszych przestępstw, przeprosił za nie i obiecał poprawę. Zakładając, że pozostali członkowie gangu pójdą oczywiście w zaparte - bo przecież wszyscy obiecywali, że nigdy nikogo nie sypną - mógł liczyć na to, że zostanie wyłączony ze sprawy jako niewinna ofiara większych i bardziej zepsutych i jakoś się uchroni przed wyrzuceniem ze szkoły. Tymczasem przesłuchania wolno, lecz nieubłagane, również na podstawie tego, że Erik się przyznał, będą wikłać pozostałych w dużo większe kłopoty właśnie dlatego, że przyznać się nie chcą i wszystkiemu zaprzeczają.

Tak by było, wobec czego Erik również wszystkiemu zaprzeczał, opierając się na przekonaniu, że nic na niego nie mają. Żaden z pracowników sklepów muzycznych nie może z całą pewnością wskazać na niego, co zresztą powinien utrudniać fakt, że w okresie przesłuchań Erik ubierał się inaczej i inaczej cesał. A tak naprawdę to pracownicy sklepów go raczej nie widywali, bo

jako odpowiedzialny za dystrybucję kradzionych dóbr nie miał zbyt wiele czasu na działalność podstawową, czyli ich zdobywanie.

Tak czy owak, wypierał się konsekwentnie, a inni po przesłuchaniach zapewniali, że też się do niczego nie przyznają, rzecz jasna.

Pracownicy socjalni przeprowadzili osobliwe badania, oparte na dogłębnym wywiadach w sprawie, czy chłopcy nienawidzą, czy kochają swoich rodziców (naturalnie, że nie, ja kocham moją mamę i tatę), oraz na testach, podczas których należało wypełniać formularze z jakimiś dziecięcymi pytaniami albo siedzieć w ciemnym pomieszczeniu i dotykać kamieni, a potem, kiedy już zapalono światło, opowiedzieć, w jakim porządku były ułożone. W okresie tych badań chłopcy z gangu zostali odsunięci od zajęć szkolnych.

W końcu nadeszła pora decyzji. Wszyscy oskarżeni zostali wezwani do dyrektora. Siedzieli w jego poczekalni z dwiema palmami i olejnym wizerunkiem Jezusa na krzyżu, wzywano ich do gabinetu pojedynczo, a wychodzili potem tylnymi drzwiami. Erik domyślał się, że on sam zostanie wezwany ostatni i że prawdopodobnie później nigdy więcej nie zobaczy już swoich przyjaciół. Nie wiedział dlaczego, ale był prawie pewien, że już ich nie zobaczy.

I tak też się stało.

Wieża zniknęła jako przedostatni, minęło zaledwie kilka chwil, a w drzwiach stanęła sekretarka dyrektora i wezwała Erika, jak w poczekalni u dentysty.

Kiedy wszedł do gabinetu, zebrani tam nauczyciele siedzieli w całkowitym milczeniu. Erik stanął pośrodku, z rękami na plecach, i starał się przybrać neutralny wyraz twarzy. Owczarek warczał, zegar na podłodze w rogu tykał wolno, jakby czas się wahał. Z

twarży dyrektora chłopiec nie umiał niczego wyczytać. Żył na jego skroniach nie były nabrzmiałe, kolor skóry wydawał się całkiem normalny, i nawet złowieszcze zwykle oczy robiły wrażenie spokojnych. Jeden z asystentów socjalnych miał minę, którą można by tłumaczyć jedynie jako źle maskowane obrzydzenie. Było też obecnych dwoje dobrych nauczycieli Erika. Drobnutka anglistka Anna przed chwilą płakała i wciąż jeszcze trzymała w ręce chusteczkę do nosa. Erik natychmiast zrozumiał, na co się zanoszą. Sytuacja wyglądała jednak o wiele gorzej, niż kiedykolwiek byłby w stanie sobie wyobrazić. Dyrektor zaczął mówić i z początku był opanowany.

Demonstracyjnie ułożył przed sobą stos papierów i oznajmił, że tym razem władze oświatowe dogłębnie zbadały sprawę. I okazało się, że Erik sprawował w szkole straszliwe rządy, że prześladowanie kolegów, kradzieże, lichwa i paserstwo były na porządku dziennym. Erik zorganizował skomplikowaną działalność złodziejską, nie, nie, nie ma co się wypierać. Wszyscy pozostali chłopcy byli na tyle rozsądni, by się przyznać. Dla nich, przynajmniej dla niektórych z nich, istnieje jeszcze jakaś nadzieja. Bo to Erik zmuszał ich, by chodzili i kradli, a oni nie odważyli się zaprotestować w obawie przed represjami. Nieszczęsny Göran prawie płakał, kiedy mówił, jak strasznie się przez cały czas bał. Nieszczęsny Göran opowiadał o tym, jak płakał po nocach ze strachu i jak bardzo nie chciał robić tego, co robił, ale Erik wciąż go straszył i zmuszał do dalszych przestępstw.

Ktoś, kto tak bardzo prześladował i dręczył swoich kolegów, nie zasługuje na to, by zdobywać wykształcenie. Już samo to jest wystarczającym powodem.

Można by oczywiście zapytać, dlaczego właśnie Erik stał się taki. Prawdopodobnie dlatego, że jedyne, czego mu w życiu brakowało, to porządne lanie.

A jeśli chodzi o naukę, to z różnych stron od nauczycieli słyszeliśmy, jako okoliczność łagodząca, że Erik jest wyjątkowo uzdolnionym chłopcem. Trzeba więc i to podkreślić, choćby ze względu na protokół.

O ile jednak dyrektor rozumuje prawidłowo, to nie jest to żadna okoliczność łagodząca, a raczej wprost przeciwnie. Jeśli bowiem można mieć pewne zrozumienie dla tego, że chłopcy znacznie gorzej rozwinięci intelektualnie, jak na przykład Karlsson (Wieża), dali się zbałamucić, to tym surowszy powinien być osąd tego, kto świadomie sprowadzał swoich kolegów na złą drogę. A do tego jeszcze biegli z sądu rodzinnego przeprowadzili bardzo dokładne badania psychologiczne zamieszanych w sprawę chłopców. I w odniesieniu do Erika rezultaty tych testów są naprawdę przerażające. Nie dlatego, że wykazują jego wysoką inteligencję, bo co do tego nikt raczej nie miał wątpliwości, ale dlatego, że ta część testów, która mówi o osobowości badanego, wskazuje na kryminalny i bezwzględny charakter, z którym już nic nie można zrobić. Otóż wnioski z tego wszystkiego zdają się dość oczywiste (w tym miejscu dyrektor miał już żyły na skroniach czerwone i mocno nabrzmiałe, a włosy opadały mu na czoło).

- *Ty jesteś samym złem, i takich jak ty trzeba unicestwić!* - ryczał dyrektor.

Słowa kłębiły się w głowie Erika niczym małe ptaszki, zamknięte w klatce. Nie słyszał już wyraźnie, co dyrektor mówi. Wszystko sprowadzało się do jednego, że mianowicie Erik musi opuścić szkołę jeszcze tego samego dnia z najniższą oceną ze sprawowania oraz że dyrektor osobiście będzie ostrzegał dyrektorów szkół w mieście, by go któryś nie przyjął i nie musiał potem przeżywać takiego samego zamętu moralnego, jak kierowana przez dyrektora Szkoła.

Mniej więcej w tym momencie Erik obrócił się na pięcie i wyszedł, by już dłużej tego nie słuchać. Kiedy zamknął drzwi, zdał sobie sprawę, że w gabinecie dyrektora zrobiło się całkiem cicho.

Wyszedł na boisko, stał przez jakiś czas i patrzył na rozległy, pokryty asfaltem plac. Przy zachodniej bramie chłopcy grali w dwa ognie. Przy krótszej ścianie sali gimnastycznej inni chłopcy odbijali piłkę. Pod kasztanami odbywały się skoki w dal. Trzej malcy wracali z piekarni i każdy niósł w ręce długą bułkę, zawiniętą w papier. Na trawie pod wielkimi drzewami leżało już mnóstwo kasztanów. Świeciło słońce, na niebie ani jednej chmurki, nikt nie dostrzegwał Erika.

Jesteś samym złem, i takich jak ty trzeba unicastwić, dudniło mu w uszach. Göran przyznał się do wszystkiego i odpowiedzialnością za to obarczył Erika. Przez cały czas kłamali na temat tego, co mówią na przesłuchaniach. Kiedyś byli jego przyjaciółmi.

Ten, kto nie może skończyć liceum, nie będzie też mógł zostać studentem, a ten, kto nie skończy studiów, będzie miał zmarnowane życie.

To, czego naprawdę mu brakuje, to porządne lanie? Czy oni nic nie rozumieją, czy oni nic w ogóle nie wiedzą na temat bicia?

Ruszył w stronę wyjścia. Zaraz jednak zmienił zdanie i zawrócił do klasy. Była właśnie religia i kiedy wszedł, panowała całkowita cisza. Erik podszedł do swojej ławki, wrzucił książki do torby i ściągnął z siebie kurtkę ze smokiem na plecach. Powiesił ją na oparciu krzesła. W klasie wciąż trwała niezmacona cisza. Erik wyszedł, nie odwracając się i nie zabierając kurtki. *Ty jesteś samym złem, i takich jak ty trzeba unicastwić*, wirowało mu w głowie, kiedy szedł przez korytarz z wysokimi białymi oknami i szarą, zniszczoną marmurową posadzką.

*

Siedział na ławce w parku Wazy i rozważał w myślach różne rozwiązania, które i tak, jedno po drugim, musiały się okazać niemożliwe do zrealizowania. Niemożliwe było znalezienie innej szkoły, do której mógłby wstąpić pod zmienionym nazwiskiem. Niemożliwe było przeprowadzenie się do innego miasta, bo piętnastolatek sam nie może się nigdzie przeprowadzić. I z całą pewnością nie będzie też możliwe zatrudnienie się na jakimś statku. Teraz, kiedy wszystkie drogi do zdobycia wykształcenia zostały zamknięte, właściwie nic nie jest już możliwe.

Równie dobrze może iść do domu, by dostać takie lanie, że się po nim nie pozbiera. Nie był w stanie jasno myśleć, bo wciąż miał w głowie echo słów z gabinetu dyrektora, że Erik jest kryminalista, którego nic już nie zmieni, ponieważ był w życiu za mało bity, ech, ta naiwna dyrektorska logika, ta przeklęta dziecinna wiara, że jakieś śmieszne testy powiedzą prawdę. Jakby Erik sam nie wiedział o biciu więcej, niż dyrektor dowiedział się przez całe swoje życie, jakby nie wiedział, mój Boże, jakby on nie wiedział...

To się na nic nie zda, trzeba wracać do domu, dostać to straszliwe lanie, może potem myśli staną się klarowniejsze. Rany boskie, jakież to będzie gigantyczne lanie, teraz, kiedy istnieje taki znakomity powód - roześmiał się na myśl o przyszłym wysiłku intelektualnym starego.

Nagle przystanął w pół kroku.

Ale czy nadal istnieje jakiś powód, by godzić się na bicie? Skoro odebrano mu całą przyszłość, skoro będzie musiał iść do pracy i pewnie nie będzie mógł wyprowadzić się z domu, a jeśli nawet się wyprowadzi, to i tak nie będzie już chłopcem chodzącym do szkoły? Już nigdy?

Znowu ruszył przed siebie.

Tylko jak sprawić, by ojciec to zrozumiał? Czy stary jest w stanie pojąć coś takiego bez gwałtownego oporu? Czy cokolwiek do niego dotrze, jeśli sam nie dostanie batów? Prawdopodobnie nie. Ojciec traktuje Erika jak psa, który nie może, całkiem po prostu nie może go ugryźć. I trudno też przewidzieć, jak stary skurwiel zareaguje, kiedy zostanie ugryziony po raz pierwszy. Pierwszy i ostatni, bo chyba nie trzeba będzie więcej niż jeden raz.

Ale całość musi być zbudowana na swego rodzaju szokującym zaskoczeniu. Stary, w porównaniu z Erikiem, ma ogromny zasięg ramion, a jego wiara w siebie jest niezłomna. Trzeba błyskawicznie tą wiarą zachwiać, sprawić, by ojciec poczuł się jak ktoś, kto zamknął się w klatce z psem, a ten okazał się wilkiem. Istnieją dwie dostępne metody, najważniejsze jednak to kontrolować własny gniew, zachować zimną krew i jak najdłużej utrzymać przewagę, którą dał pierwszy cios. Jak stary zareaguje na widok własnej krwi? Oniemieje czy wpadnie we wściekłość i desperację? W sypialni znajduje się tylko jeden groźny przedmiot, mianowicie pogrzebacz do kaflowego pieca, zostawienie go byłoby ryzykowne. A może to Erik powinien posłużyć się pogrzebaczem? Nie, pomysł jest marny, stary gotów nabrać przekonania, że może się zemścić przy pierwszej lepszej okazji, kiedy pies nie będzie miał do pogrzebacza dostępu. Gdyby jednak na samym początku rozprawy szybko wystawił pogrzebacz na korytarz i zamknął drzwi na klucz, to stary by na tym skorzystał, mógłby bowiem przygotować się psychologicznie, a wtedy efekt zaskoczenia spaliłby na panewce. W konsekwencji doszłoby do regularnej bójki, której końca nikt nie mógł przewidzieć. Gdyby natomiast...

Kiedy pół godziny później wrócił do domu, miał za sobą dwie rundy po szpitalnym parku, podczas których dopracowywał szczegóły. Był pewien, że mu się uda, bo musiał być pewien, że mu się uda. Ręka Erikowi drżała, kiedy wkładał klucz do zamka, ale przekonywał sam siebie, że to z powodu tego napięcia, które w nim

buzuje, a nie ze strachu. Bo ktoś, kim owładnął strach, nigdy nie zdoła stłuc starego tak, jak Erik zamierzał.

Ojca jednak nie było w domu.

Zorientował się już po brzmieniu muzyki. Matka grała jeden z walców Chopina i w dźwiękach fortepianu była jakaś niepewność, jakby ociąganie się, które pojawiało się w jej grze zawsze pod nieobecność ojca; coś pomiędzy melancholią i smutkiem, a może i pewnym rodzajem radości, uczucie, które znikало niby zdmuchnięte wiatrem, gdy tylko stary przekraczał próg mieszkania.

Erik cicho położył torbę na podłodze w przedpokoju i przemknął długim korytarzem do salonu z białymi tiulowymi firankami, gdzie matka siedziała przy czarnym fortepianie. Przyglądał się jej w przytłumionym świetle. Miała włosy upięte na karku w ciężki węzeł, ubrana była w jasnoniebieską sukienkę i wyglądało, jakby zamierzała gdzieś iść, choć ostatnio rzadko wychodziła z domu. Erik stał za matką i słuchał. Nie mogła być nie zauważyć, że przyszedł, ale grała dalej, bez jednego błędu, bez najdrobniejszego powtórzenia, grała utwór do samego końca. A potem siedziała jeszcze przez chwilę z rękami złożonymi na kolanach.

- Usiądź, mamy ważną sprawę do omówienia - powiedziała nagle, nie odwracając się do niego. Mówiła tak cichym głosem, że przez chwilę miał wrażenie, iż mu się tylko zdawało. Potem zaczęła grać kolejny utwór, znowu Chopin i znowu ta sama melancholia.

Erik przeszedł przez pokój, usiadł w jednym z foteli obitych skórą, przymknął oczy i słuchał.

Ach, jak ona grała! To chyba niemożliwe, by mogła być jego matką, skoro stary jest jego ojcem, jakby wszystkie te uczucia, które, jak sądził, jego szkolni koledzy otrzymują w domu od swoich rodziców, znajdowały się tutaj, w wydobywanych przez nią tonach,

jakby zawsze mogło być właśnie tak, jakby nie było tak, jak musi być z uczuciami gdzieś głęboko pod skórą, w miejsce tego wiecznego poobiedniego lania, tego wiecznego bicia, tych wiecznych bójek, tej wiecznej zdrady przyjaciół, którzy nie są przyjaciółmi; i tego wiecznego strachu, że ktoś nagle wybiegnie i z całej siły walnie młotkiem w klawisze.

Muzyka umilkła. Matka podeszła i usiadła naprzeciwko niego w drugim obitym skórą fotelu, a on szukał po omacku w myślach czegoś, co mógłby powiedzieć, zamiast tego, co teraz powiedzieć musiał. Matka patrzyła na niego swoimi brązowymi oczyma i Erik miał wrażenie, że niedawno płakała.

- Ja wiem - powiedziała cicho. - Już wszystko wiem.

Ku jego zdumieniu wyjęła papierosa ze srebrnej szkatułki i zapaliła go drżącą ręką. Wsunęła papierosa za głęboko między wargi, kiedy zaciągała się pierwszy raz, i okruszki tytoniu przykleiły jej się do ust. Potem podsunęła szkatułkę Erikowi.

- Domyślam się, że palisz - powiedziała.

Chłopiec wziął papierosa i przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem matka zebrała się w sobie i powiedziała, że już dwa dni temu spotkała wychowawczynię Erika.

- To wyjątkowy człowiek, powinieneś o tym wiedzieć. Zresztą przypuszczam, że wiesz. Ona ci wierzy i... powiedziała jej o twoich kłopotach z ojcem i...

Matka dygotała, jakby brakowało jej powietrza, i Erik pomyślał: jeśli ona teraz zacznie płakać, to ja nie wytrzymam, Boże, żeby tylko się nie rozplakała. Ale matka zdołała się opanować, zaciągnęła się tylko strasznie głęboko, i to dwukrotnie, zanim zaczęła znowu mówić.

- Tyle powinnam była dla ciebie zrobić, Erik. Naprawdę nie wiem, czy mi kiedyś wybaczysz. Ale te dwa lata do liceum jakoś przetrwamy. Nie chciałam ci o niczym mówić, dopóki wszystko nie zostało załatwione... no, w każdym razie teraz jest załatwione. Wyjedziesz z domu, twój pociąg odchodzi za dwie godziny. Będiesz się uczył w nowej szkole, wszystko się ułoży, zobaczysz. Wszystko się ułoży.

Erik patrzył matce w oczy. Nie mówili nic więcej, siedzieli jakiś czas w milczeniu.

Dwie godziny później Erik był już w pociągu jadącym na południe i patrzył na migotliwe wody Riddarfjärden, zatoki otaczającej sztokholmskie stare miasto.

Po rozmowie z matką zabrał swoje rzeczy, które czekały w jego pokoju: granatową marynarkę, białą koszulę, granatowy krawat i czarne buty. To szkolny mundur, który zgodnie z odbitą na powielaczu decyzją dyrekcji uczniowie mieli nosić w święta oraz przy kilku innych, ściśle określonych okazjach. W górnej kieszonce marynarki znajdowała się wykonana z materiału odznaka z symbolem szkoły, gwiazdozbiorem Oriona. Należało ją przyszyć właśnie do górnej kieszonki. Matka zapakowała mu do walizki wszystko z wyjątkiem butów z kolcami i butów do piłki nożnej.

Erik stał przez chwilę z odznaką szkoły w ręce, potem poprosił o pieniądze, żeby pójść się ostrzyć, i kiedy teraz dotykał dłonią karku, czuł się jak jeź. Z przodu zamiast fali miał krótką grzywkę, zaczesaną na bok. Nikt nie może nic o nim wiedzieć i on nigdy nie uderzy żadnego szkolnego kolegi. Skoro oni nie będą nic o nim wiedzieć, to nie będzie musiał się bić, nigdy więcej nie będzie miał do tego powodu.

Patrzył na swoje ręce. Gdyby przyjrzeć im się z bliska, można by tu i tam zauważyć maleńkie białe blizny, przeważnie ślady

czyichś przednich zębów. Ale nowi koledzy nie powinni o niczym wiedzieć.

Z każdym uderzeniem kół wagonu o spojenia szyn Erik oddalał się coraz bardziej od starego, od psiego pejcza, od łyżki do butów i szczotki do ubrania, od rytuału przy stole i poobiedniego bicia, od tego uczucia, jakiego doznawał, kiedy jego zaciśnięta pięść spadała na czyjaś twarz, od ciągłego mszczenia się, od nienawiści, od przyjaciół, którzy nie byli przyjaciółmi, od jedwabnych kurtek z wzorem smoka na plecach, od łobuzów ze szkoły powszechnej, którym marzyła się wojna.

Wyszedł do toalety, by spojrzeć na siebie w lustrze. Węzeł krawata nieco się przekrzywił, a fryzura nie wyglądała zbyt mądrze. Przyłożył odznakę z Orionem do piersi i udawał, że prowadzi rozmowę jak dobrze wychowany człowiek, lekko przy tym gestykulując. Ujdzie. Nie bardzo przypominał samego siebie, ale uznał, że ujdzie. A może, kiedy się lepiej zastanowić, jest to ten sam Erik, chociaż inny, ponieważ ci tam, w szkole, którzy będą teraz jego nowymi kolegami, nigdy nie widzieli innego Erika. Roześmiał się do siebie wszystkimi niepowybijanymi zębami i wrócił na miejsce. Założył nogę na nogę i zapalił papierosa, którego trzymał między palcem wskazującym i środkowym, a nie tak jak zwykle. Powoli zaczęło do niego docierać, że powinien być szczęśliwy.

Dziewczyna wsiadła w Södertälje, miała czerwoną sukienkę i blond włosy, zaplecione w warkocze i upięte nad uszami w ślimaczki. Kiedy zdał sobie sprawę, że już drugi raz napotkał jej wzrok w okiennej szybie, powiedział coś, by przerwać coraz bardziej krępujące milczenie. Po chwili dziewczyna opowiadała mu z ożywieniem, że jedzie do Kalmaru na kongres młodzieżówki partii socjaldemokratycznej, poświęcony sprawie broni nuklearnej. Dziewczyna była przeciwniczką produkowania i rozprzestrzeniania tej broni i w ogóle pacyfistką. Początkowo Erik miał zamiar

oświadczyć, że i on jest pacyfistą, ale stracił wątek, kiedy zaczął opowiadać, że uważa, iż Szwecja powinna mieć własną broń atomową, by mogła zniszczyć Leningrad w razie gdyby...

Dziewczyna potrzebowała dwudziestu minut, by zwyciężyć w tej dyskusji za pomocą głównego argumentu, że decydująca jest groźba dalszego rozprzestrzeniania broni jądrowej (bo gdyby Szwecja, mały neutralny kraj, cieszący się szacunkiem na arenie międzynarodowej, wyprodukowała broń jądrową, to inne małe narody świata mogłyby robić to samo, a gdyby Indie oraz Pakistan, Izrael oraz Egipt...).

- Masz rację - przyznał Erik. - Ja chyba też jestem pacyfistą. Przynajmniej w głębi duszy. Nienawidzę gwałtu w każdej postaci.

Zdumiony słuchał własnych słów, które zawisły w powietrzu i aż się skrzyły od obłudy. Ona jednak nie reagowała na nie jak na coś dziwnego, natomiast zaczęła go po prostu werbować do swojej organizacji.

Za oknami przesuwiał się sörmlandzki krajobraz, jak w filmie o dwojgu ludziach, którzy spotkali się w pociągu.

Erik o mało nie przegapił swojej stacji, a kiedy zobaczył twarz dziewczyny znikającą razem z pociągiem, zdał sobie sprawę z tego, że nawet nie zapytał, jak ma na imię. Raz niby przypadkiem dotknął jej ręki, której ona nie cofnęła, i mimo to nie zapytał, jak dziewczynie na imię ani jak mógłby ją w przyszłości odnaleźć.

„Solhov”, przeczytał na białym stacyjnym szyldzie. Sto trzy kilometry od Sztokholmu, czterdzieści sześć metrów nad poziomem morza. Czekala na niego taksówka. Szofer nie miał kłopotu, by rozpoznać Erika pośród trojga przyjezdnych, którzy wysiedli z pociągu.

- To ty jesteś ten nowy w Stjärnsbergu, co? - spytał tonem, w którym pobrzmiwała wrogość.

Przy kiosku z gazetami stała grupka chłopaków z motocyklami, którzy wykrzykiwali w stronę Erika jakieś wyzwiska, on jednak stłumił w sobie mimowolny impuls, by podejść do nich i... jakby to zrobił dawny Erik.

- No więc to tak - powiedział znowu kierowca z wyraźnym szyderstwem. - A gdzie to w takim razie twój tatuś zarabia pieniądze?

Erik nie odpowiedział. Samochód ruszył w drogę.

Nietrudno było odczytać intencje taksówkarza. Chodziło o tę samą sprawę, która w chłopakach ze szkoły powszechnej budziła nienawiść do Erika i jego kolegów. Nauka w Stjärnsbergu, czyli w szkole z internatem, kosztuje przez rok mniej więcej połowę rocznej pensji robotnika, w związku z czym wszyscy uczniowie tej szkoły muszą pochodzić z zamożnych domów. Podobnie jak koledzy Erika z młodszych klas szkoły na przytulnym Bogatym Przedmieściu.

Matka Erika sprzedała jeden z obrazów Courbета i ustanowiła fundusz, którym miał zarządzać mecenas Ekengren. Tak by ojciec nie mógł niczego zmienić. Opłaty szkolne i kieszonkowe dla Erika miały być na zlecenie mecenasa Ekengrena wpłacane bezpośrednio do szkoły oraz do szkolnej kantyny. Prostokątna plama na ścianie mieszkania po obrazie Courbета - i oto Erik otrzymał dwa lata nauki za obietnicę, że będzie się starał zdobyć niezbędne punkty, by dostać się do bezpłatnego liceum. Wystarczająco drogich obrazów, by mógł opłacić naukę w Stjärnsbergu aż do matury, w domu nie było.

- Szkoła jest tam - wskazał kierunek szofer. Stjärnsberg rósł przed nimi, wyłaniając się z zieleni na brzegu jeziora. Większość domów była biała z czerwonymi dachami; spory dębowy zagajnik w centrum, wysypane żwirem alejki, starannie przycięte trawniki, różane klomby. Minęli duże boisko do piłki nożnej i kryty basen. Samochód zatrzymał się przed niewielkim brązowym budynkiem

pod dwoma wielkimi wiązami, które wciąż miały zielone liście. Erik musiał podpisać taksówkarzowi pokwitowanie, ten zaś wskazał mu przez ramię wejście do biura Rady i wyjaśnił, że to właśnie tam przyjmują nowych.

Erik stał przed drzwiami z walizką w ręce; jeszcze raz poprawił niezwykle dla niego węzeł krawata. Wtedy z budynku wyszedł Bernhard von Schrantz.

Bernhard wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. Miał szczupłe, zwinne ciało, wyprostowaną sylwetkę, należał do osób, o jakich zwykle się mówi, że mają „prosty kręgosłup”, i przywitał się tak, jak to robią oficerowie lub nauczyciele gimnastyki: cała ręka wyprostowana i niepotrzebnie mocny uścisk dłoni. Nosił marynarkę w jodełkę ze skórzanymi łątami na łokciach, bryczesy i czarne buty do konnej jazdy. Posługiwał się nienaturalną mieszaniną języka potocznego i literackiego. Spojrzenie Erika świadczyło, że dziwią go te buty, Bernhard zaczął więc opowiadać, jak trudno jest utrzymać wierzchowe konie w tych okolicach, a w szkole po prostu nie ma stajni. Poza tym jednak urządzenia sportowe są cholernie fajne, żeby nie powiedzieć wyjątkowe.

Bernhard pełnił rolę prefekta, czyli przewodniczącego uczniowskiej Rady oraz sądu koleżeńskieg0 i do obowiązków jego urzędu, jak się wyraził, należało między innymi pokazywanie szkoły nowym uczniom.

Najpierw poszli do domu uczniowskiego „Kasjopeja”, który był chyba najsmutniejszym budynkiem w okolicy; długi, piętrowy, szary, robił wrażenie baraku. Mieszkali tu tylko uczniowie szkoły podstawowej. Im wyższa, klasa, tym lepsze pomieszczenia dla uczniów, taka była zasada. W końcu, kiedy już człowiek przeszedł przez „Gwiazdę Polarną”, „Wielką Niedźwiedzicę”, „Małą Niedźwiedzicę”, „Lwa” i „Ryby”, docierał do „Olimpu”. „Olimp”

zajmowali tylko czwartoklasiści, uczniowie liceum, przygotowujący się do matury.

Erik miał więc zamieszkać w „Kasjopei”. Kiedy on i Bernhard weszli z walizką do pokoju, współmieszkańca Erika nie było. We wnętrzu znajdowały się dwa łóżka, biurko, dwie półki na książki, dwie komody, szafa na ubrania i umywalka. Ściany były białe, a meble szare. Z okna rozciągał się widok na korty tenisowe. Erik ustawił swój bagaż na wolnym łóżku i ruszył za Bernhardem na dalsze oglądanie szkoły.

Urządzenia sportowe były naprawdę olśniewające. Żuźłowa bieżnia sprawiała wrażenie idealnie zadbanej, boisko do piłki nożnej było gładkie, jakby je wyrównywano za pomocą poziomicy, trawa soczysta, starannie przystrzyżona, bez gołych plam. Rzutnia dla młota, kuli i dysku, skocznie, w dal i o tyczce, i wszystko inne znajdowało się w tak znakomitym stanie, jakby się tu zaraz miały odbywać ważne mistrzostwa. Wszystkie przyrządy, które widział Erik, wyglądały jak nowe.

W holu krytego basenu znajdowała się przeszklona szafa pełna srebrnych pucharów i innych nagród, które tutejsi uczniowie zdobyli w rozmaitych międzyszkolnych zawodach i konkursach. Tu i ówdzie pracowały sprzątaczkі, które rozmawiały z sobą po fińsku.

Basen miał dwudziestopięciometrowy tor wyścigowy. Znajdowały się tam bramki do piłki wodnej i stopery przy krótszych bokach, dokładnie jak w klubie pływackim. Tylko że nikt nie pływał. Zielona tafla wody trwała nieporuszona, a jedynym odgłosem, jaki się tu rozlegał, był szum odkurzaczy.

Erik patrzył na lśniąca powierzchnię. W ciągu ostatnich lat niemal co wieczór chodził na treningi pływackie, i to była jedna z tych rzeczy, które, jak mu się zdawało, utracił. Tymczasem tutaj znajdują się takie wspaniałe urządzenia, jeszcze jeden argument przeciwko komuś, kto chciałby o tej szkole myśleć źle. Wystarczy

po prostu iść na basen, wskoczyć do wody i zapomnieć o wszystkim innym, podobnie jak robił w swoim mieście.

Wszystko to wyglądało niemal zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe, i nie było tutaj z pewnością nikogo, kto by rozumiał, dlaczego Erik ma tak dużo małych białych blizn na dłoniach, ani nikogo, kto go znał w czasie, gdy nosił jedwabną kurtkę z wizerunkiem smoka na plecach, długie włosy i układaną na mokro falę nad czołem. Przeciągnął dłonią po krótko ostrzyżonym karku i znowu doznał zaskakującego uczucia, że dotyka jeża.

Przewodniczący Bernhard oznajmił, że wycieczka dobiegła końca i czas wracać do „Kasjopei”, ale zarówno on, Bernhard, jak i jego zastępca zawsze służą informacjami i pomocą nowemu koledze. Bowiem tutaj, w Stjärnsbergu, uczniowie odpowiadają nawzajem za swoje wychowanie, to się nazywa samowychowanie koleżeńskie. W ten sposób nauczyciele unikają dyskusji i kłótni o oceny ze sprawowania i w ogóle.

Tak, wszystko wygląda niemal zbyt pięknie, żeby mogło być prawdą.

Kiedy Erik wszedł do pokoju, jego współmieszkaniec, Pierre, leżał na swoim łóżku i czytał. Przywitali się jakoś uroczyście, trochę skrepowani, i kiedy Erik rozpakowywał swoje rzeczy, sprawdzali, czy nie mają przypadkiem wspólnych znajomych, bowiem Pierre także pochodził ze Sztokholmu, chociaż właściwie mieszkał w Genewie. Wyglądało jednak na to, że wspólnych znajomych się nie doszukają.

Pierre odnotował, że Erik wyjmuje kolce, spodenki kąpielowe i buty do piłki nożnej.

- O, widzę, że należysz do tych sportowych maniaków - powiedział, jakoś tak po dziewczęcemu wymawiając słowa „sportowi maniacy”, ale w jego głosie nie wyczuwało się szyderstwa.

- Tak, i jestem zachwycony urządzeniami, jakie tutaj macie. A ty uprawiasz jakiś sport?

Pytanie właściwie zbędne. Pierre był nie tylko grubym okulnikiem, ale też cechował go ten specjalny sposób ubierania się czy nawet trzymania książki, który pozwalała na pierwszy rzut oka stwierdzić, że facet w sporcie jest beznadziejny, że należy do tych, którzy ostatni bywają zapraszani na przykład do gry w piłkę, ale że za to jest prawdopodobnie znakomity w nauce.

No i rzeczywiście, Pierre odpowiedział dokładnie tak samo, jakby to zrobił Gruby Johan, że nie lubi się pocić i że to głupie uganiać się za malutką piłką. Mówił też, że w szkole jest okropnie na początku każdego jesiennego semestru, bo wtedy odbywają się wielkie zawody sportowe i uczestnictwo w nich jest obowiązkowe. Już jutro zaczynają się zawody lekkoatletyczne, a w przyszłym tygodniu pływackie.

- Mhm - odezwał się Erik - ty jesteś trochę za gruby i jest ci z tego powodu przykro. Nie chcesz uprawiać sportu, bo wyśmiewają się z ciebie, że zawsze jesteś ostatni, co? Nie, nie mówię tego złośliwie, bo w dawnej szkole też miałem paru takich przyjaciół. Mole książkowe, można powiedzieć, więc nie myśl, że patrzę z góry na takich, co nie mają wyników w sporcie. Chodzi o to, żebyśmy coś o sobie wiedzieli. Na czym stoimy i w ogóle.

Pierre odpowiedział bardzo szybko, chyba nawet podejrzenie szybko, że oczywiście wszystko jest okay i on sam przecież też nie ma nic przeciwko maniakom sportu, po czym zmienił temat.

- Ale dlaczego przyjechałeś do tej choleralnej budy? Wyrzucili cię z dawnej, jesteś za głupi, żeby sobie poradzić w zwyczajnej szkole, czy, jak wielu tłumaczy pobyt tutaj, rodzice pracują za granicą?

Erik wahał się. Został wyrzucony, co - okazuje się - tutaj jest tak samo dobrym powodem, jak każdy inny. Jeśli jednak to powie,

będzie prawdopodobnie musiał wyjaśniać dlaczego, co z kolei spowoduje całą serię nędznych kłamstw, ponieważ teraz, od momentu kiedy zafundował sobie tę śmieszna fryzurę na jeża, jest nowym Erikiem. Powiedział więc, że w domu są wciąż kłótnie, i zmienił temat. Zapytał, czy nauczyciele są wymagający i często biją. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu dowiedział się jednak, że nauczyciele nie biją, nigdy.

Pierre sprawiał wrażenie, jakby go pytanie Erika rozśmieszyło, i mało brakowało, a Erik byłby się zaplątał w wyjaśnienia, że wcale się nie boi nauczycieli, którzy biją, i że nie dlatego pytał. Zdołał się jednak powstrzymać. To dawny Erik nie bał się nauczycieli, którzy biją. Zapytał, czy można tu jakoś załatwić prywatne lekcje z matmy, ma bowiem zaległości (Okoń, który konsekwentnie wyrzucał go na matmie za drzwi). Pierre ofiarował się, że on sam może Erikowi pomagać za połowę ceny i z gwarancją. Zwrot pieniędzy, gdyby nie poskutkowało. Ojciec Pierre'a wzbogacił się na interesach, i to jest jego ulubiony trik, zapewniał chłopak.

Kiedy obaj wybuchnęli śmiechem, Erik poczuł się całkowicie szczęśliwy. Bo nie umiałby inaczej wytłumaczyć, dlaczego zbiera mu się na płacz.

Pierre zabrał go ze sobą na dół do jadalni i wskazał miejsce na samym końcu jednego z dwudziestu długich stołów. Przy każdym siedziało w określonym porządku po dwudziestu uczniów. Na honorowych miejscach szef stołu i wiceszef, poinformowano Erika. Następnie licealiści, też w ustalonym porządku, wzorowanym na eleganckich domach, gdzie podczas prywatnych obiadów najlepsze miejsca zajmują osoby należące do arystokracji lub najbogatsze, a potem mniej utytułowane i już nie takie bogate. Na samym końcu stołu sadzano uczniów szkoły podstawowej według mniej więcej tego samego klucza. Nowy dostawał miejsce ostatnie. Jedzenie na półmiskach z nierdzewnej stali podawały, zgodnie z tym samym

porządkiem, fińskie kelnerki. Posiłek zaczynał się i kończył wspólną modlitwą.

Po obiedzie dwie godziny przeznaczano na zajęcia sportowe i cichą naukę, uczniowie szkoły podstawowej powinni wtedy przebywać w swoich pokojach. Pierre'a nie było, kiedy Erik wrócił z jadalni, położył się więc na łóżku i postanowił nic nie robić. Był całkowicie wolny.

Następnego dnia jednak miały się odbyć ważne zawody sportowe. Erik powinien długo spać, żeby był wypoczęty i mógł wygrać możliwie jak najwięcej konkurencji. Miałoby dla niego duże znaczenie, gdyby dał się poznać z tej strony, i znakomicie by pasowało do jego nowego życia. Ale serce biło mu z radości i podniecenia tak, że z pewnością nie będzie mógł zasnąć. Najlepiej byłoby chyba pójść na basen i przepłynąć go ze dwadzieścia, może nawet trzydzieści razy w niezbyt szybkim tempie. Powinien się zmęczyć, tak by spać głęboko i wypocząć.

Kiedy wszedł na pływalnię z ręcznikiem frotté na ramieniu, pomieszczenie było prawie puste. Zielona powierzchnia wody pozostawała nieruchoma. Tylko przy trampolinie stało kilku uczniów, pochylonych nad planem treningów, i z ożywieniem o czymś dyskutowało.

- Cześć - powiedział Erik. - Warto chyba machnąć parę długości, co?

Tamci wybuchnęli śmiechem.

- Parę długości? - przedrzeźniał go najwyższy z nich. - Ty jesteś chyba nowy, nie?

- Nooo... dzisiaj przyjechałem.

- Ale to nie powód, żebyś nie opanował podstawowych zasad, jakie tu obowiązują. Otóż wbij sobie do głowy, że wieczorami basen

należy wyłącznie do czwartych klas licealnych, członków Rady i reprezentacji szkoły. A teraz zjeżdżaj!

- Ale ja myślałem tylko...

- Nowi i na dodatek pyskaci nie myślą. Zjeżdżaj!

Odwrócili się plecami, a w nim zaczął narastać gniew, choć przecież dopiero co postanowił nigdy więcej do tego nie dopuścić. Pełen wahań stał więc i czekał, aż znowu zostanie zauważony.

- Czy nie mówiliśmy, że masz zjeżdżać?

- Nie - odparł Erik. - Nie zamierzam tego słuchać.

Zaległa cisza. A niech to diabli, znowu to on pierwszy rzucił kamieniem. Teraz nie może po prostu odejść.

- W jakim czasie trzeba przepłynąć stylem dowolnym pięćdziesiąt metrów, żeby wejść do reprezentacji szkoły? - zapytał. (Alternatywna możliwość wyjścia z głupiej sytuacji prowadziłyby do tego, co w żadnym razie nie powinno się stać.)

- Ach tak? - odezwał się jeden z najniższych czwartoklasistów.

- Ty pływasz?

- Tak. Cztery lata byłem w Kappis. No to jaki macie tu czas na pięćdziesiąt metrów?

- Zrobiłbyś to w trzydzieści jeden sekund?

- Jeżeli masz stoper, to możesz sprawdzić, że zrobię w dwadzieścia dziewięć.

Co prawda, był nierozgrzany, ale powinno się udać, bo to basen dwudziestopięciometrowy, a przy nawrocie zyskuje się co najmniej jedną sekundę. Tamci nie zachowywali się już wrogo.

- Okay - powiedział najwyższy. - Mam zegarek. Rekord szkoły wynosi dwadzieścia dziewięć i sześć setnych sekundy.

Erik szerokim łukiem wyrzucał ręce ponad głową, by dostarczyć tlenu do płuc. Powinno mu się udać. Wskoczył na trampolinę. Teraz zobaczycie, cholerne skurwiele, myślał przy starcie. Teraz zobaczycie.

Uzyskał czas dwadzieścia dziewięć i jedna setna. Chłopcy wyciągnęli go z basenu i klepali po plecach. Erik przepraszał, że nie osiągnął okrągłych dwudziestu dziewięciu sekund, ale zrezygnował z rozgrzewki, więc... Oni machali rękami i powtarzali, że od tej chwili należy do szkolnej reprezentacji i może trenować, kiedy tylko chce. Przedstawili mu się wszyscy, jeden po drugim, mocno potrząsali jego ręką i śmiali się.

Potem Erik jeszcze długo pływał w radosnym oszołomieniu. Jasnozielona woda pieniała się przed jego oczyma jak zwykle. Ale wszystko tutaj było nie takie jak zwykle, nie było tak jak w tamte wieczory, które w ciągu ostatnich lat spędzał na pływalni w klubie Kappis w Pałacu Sportu, gdzie pływał, żeby nie myśleć, żeby być gdzieś, a więc i gdzieś nie być. Kiedy pływał w Pałacu Sportu, nie musiał być z gangiem, a być z gangiem wieczorami to nie to samo, co być z nim za dnia. Kiedy pływał, nie znajdował się w pobliżu ojca, a gdy wracał do domu, miał oczy czerwone niczym królik od chlorowanej wody, która przez tyle czasu zalewała mu twarz. Świat wokół siebie widział jak przez migotliwą mgłę, a każdą lampę otaczał świetlisty huk. To oznaczało, że uprawiał sport, a ktoś, kto uprawiał sport, nie mógł robić nic, co zasługiwałoby na lanie. Poza tym ze zmęczenia po ośmiu tysiącach uderzeń nogami i wyrzutów ramion spał bez snów, bez łomotania serca i bez nienawiści, jakby cały świat był jedynie szerokim strumieniem napływającej na ciało jasnozielonej wody i jakby wystarczyło tylko liczyć kolejne nawroty i obserwować rząd czarnych płytek na dnie basenu.

Ale teraz, kiedy pokonywał swoje pierwsze kilometry na dwudziestopięciometrowym basenie, gdzie zyskiwało się bardzo dużo, stosując nowy, amerykański sposób nawrotu, który trenerzy

z Kappis wprowadzili na krótko przed jego wyjazdem, pływanie było jak muzyka, jak te walce Chopina, które matka grywała na czarnym fortepianie, lub niektóre sonaty Beethovena, jakby woda nie stawiała żadnego oporu, jakby pływał bez wysiłku i przez cały czas miał wrażenie, że te dwa wielkie wiązy, które rosną na dziedzińcu nowej szkoły, przepływają mu przed oczyma, a także twarz Pierre'a w okularach i dziewczyna z upiętymi warkoczami, i walka przeciwko rozprzestrzenianiu broni jądrowej, wszystko to przepływa mu przed oczyma, jakby on sam grał, jakby kontynuował grę od dzieciństwa, kiedy to stary siłą wymuszał ćwiczenie gam, jakby i on potrafił grać tak jak matka; ciało zaś było mu całkowicie posłuszne, więc pływał do osiągnięcia takiego zmęczenia, jakiego potrzebował, by spać i następnego dnia wygrywać. Był Erikiem, członkiem szkolnej reprezentacji pływackiej. Tylko to. Żadnego gangu, żadnej przemocy i ani jednego nauczyciela, który bije. Był Erikiem, który pływa i tylko to, a jutro zostanie też Erikiem, który biega, później będzie po prostu pływakiem i biegaczem, i nikt nie powinien wiedzieć o niczym innym, nikt też nie powinien odkryć blizn, tych małych białych blizn na kostkach jego palców.

Dzień sportu został zorganizowany niczym małe manewry wojskowe. Przed południem wszyscy uczniowie musieli brać udział w eliminacjach do wszystkich dyscyplin, natomiast po południu rozgrywano finały. Ku wielkiemu zdumieniu Erika szkoła podstawowa i liceum nie walczyły w swoich grupach wiekowych, ponieważ założenie było takie, że starsi uczniowie zawsze powinni zwyciężać nad młodszymi. Udzielono mu jakiegoś mętnego wyjaśnienia, z którego wynikało, że ma to związek z duchem szkoły, nazywano to duchem Stjärnsbergu: zasady koleżeńskiego samowychowania głosiły, że dzięki temu młodsi będą wiedzieć, gdzie jest ich miejsce.

System kwalifikacyjny najwyraźniej sprzyjał silniejszym, to znaczy licealistom. Ten bowiem, kto wchodził do finału już po jednej próbie skoku w dal, natychmiast zdobywał przewagę nad młodszym konkurentem, który musiał przejść sześć takich prób, by wejść do popołudniowych rozgrywek finałowych.

Wszystko to wymagało od Erika bardzo dokładnej kalkulacji. Uznał, że powinien jedynie markować wysiłek w tych dyscyplinach, w których i tak nie ma szans. Zatem należy poczekać przy skokach wzwyż, aż będzie się mógł wyrwać z konkursu już po trzech próbach, to samo w skoku o tyczce. W rzucie oszczepem zrobi trzy świadomie spalone próby i wykona trzy nieudane rzuty, by oszczędzić siłę ramion na rzut dyskiem i pchnięcie kulą. W dysku i kuli wystarczy mu po jednej próbie, by zapewnić sobie miejsce w finale. To samo ze skokiem w dal, wystarczy jeden spalony, a potem można już lekko pobiec do dołka z piaskiem.

W biegu na 5000 metrów rozgrywany jest tylko finał, ale uczestniczyć w nim mogą jedynie ci, którzy zakwalifikowali się do finału w jakiejś innej dyscyplinie. Najbardziej kłopotliwe są dystanse sprinterskie, w których nie można niczego markować; albo się biegnie pełną parą, albo wcale. Na średnich dystansach rozgrywany jest bieg eliminacyjny z podziałem na szkołę podstawową i liceum, więc tu można oszczędzać siły, a i tak zakwalifikować się do dalszych rozgrywek.

Żeby jednak zapewnić sobie powodzenie, trzeba wybierać bardzo starannie. Najpierw wybór między dystansem 100 i 200 metrów. Erik zdecydował się na walkę o finał na 100 metrów, wobec czego w pierwszej próbie na 200 metrów przybiegł w zapewniającym bezpieczeństwo czasie. Podobnie z biegami na 800 i 400 metrów, biegł, nie przemęczając się, na 800 metrów, stawiał bowiem na finały w biegu na 400. Nie pokonałby zwycięsko dystansu 800 metrów ani przed biegiem na 5000 metrów, ani po nim.

Rozgrywki finałowe trwały do godziny siódmej wieczorem. Erik najpierw uznał, że jednak czeka go zawód. Nie wygrał żadnego finału. Był drugi w skoku w dal, drugi w pchnięciu kulą, trzeci w rzucie dyskiem, trzeci w biegu na 400 metrów, drugi na 100 i drugi na 5000 metrów. Ale - oprócz finału na 100 metrów - nie bardzo miał wpływ na wyniki. W tym ostatnim biegu wystartował za późno, bo widział wyraźnie, że chłopak obok niego popełnił falstart. Potem już się nie udało dogonić innych i zabrakło mu do zwycięzcy blisko pół sekundy, ale i tak z łatwością pokonał zwycięzcę z półfinału. W pozostałych finałach jednak zwycięzcy osiągnęli rezultaty, które przewyższały jego rekord życiowy, więc o żadnym szachrajstwie nie mogło być mowy. Był prawdopodobnie jedynym uczniem szkoły podstawowej, który w ogóle wszedł do jakiegoś finału. Ale co dalej? Przecież niczego nie wygrał.

Kiedy siedział i zdejmował kolce po biegu na 5000 metrów, który był ostatnim finałem tego dnia, podszedł do niego nauczyciel gimnastyki, a zarazem trener, i poklepał go po plecach. Nauczyciel nazywał się Berg, miał krótko przystrzyżone czarne włosy, przy powitaniu podawał rękę i pokazywał całą dłoń, jak wszyscy nauczyciele gimnastyki lub oficerowie.

- Ech - wymamrotał Erik. - Źle wybrałem. Powinienem być olać 400 metrów i zamiast tego zająć lepsze miejsce na 200. Zawaliłem też start na 100 metrów...

Berg patrzył na niego z uśmiechem co najmniej z dziesięć sekund.

- Nie lubisz przegrywać, co?

- Nie lubię, chyba że nic nie mogę zrobić... Chciałem powiedzieć, że tak jak w skoku w dal, gdzie od najlepszego dzieliło mnie trzydzieści pięć centymetrów... Wtedy nie ma o czym gadać.

- A w piłkę nożną jesteś dobry?

- Technicznie może nie bardzo. Ale nigdy jeszcze nie wyszedłem z meczu bez gola.

- To dobrze, Erik. Świetnie się nadajesz do Stjärnsbergu i za jakieś trzy kwartały będziesz wygrywał wszystko, co zechcesz.

- No tak, ale z dzisiejszego dnia nie bardzo mogę się cieszyć.

Berg roześmiał się i poklepał go jeszcze raz po plecach, tym razem zresztą chyba trochę za mocno.

- Jesteś typem zwycięzcy, a my takich potrzebujemy. To dobre dla ducha Stjärnsbergu.

Kiedy Erik wrócił do pokoju, by się przebrać do obiadu, Pierre leżał na łóżku i czytał jakąś grubą powieść po angielsku.

- I jak ci poszło? - spytał, nie podnosząc wzroku znad książki.

- E tam. Powinienem był wygrać finał na 100 metrów, ale zawałem. W kilku innych byłem drugi i trzeci, ale system jest cholernie niesprawiedliwy.

- Jak to?

(Pierre w dalszym ciągu nie odrywał się od lektury.)

- No w tym, że my ze szkoły podstawowej mamy walczyć z tymi z liceum. Niełatwo jest wygrać ze starszymi o trzy lub cztery lata. Gdyby uczniowie z podstawówki walczyli między sobą, to wygrałbym co najmniej w pięciu dyscyplinach, a tak to... ech!

Pierre wziął z biurka zakładkę, włożył do książki, zamknął ją, a potem usiadł na łóżku.

- A jak myślisz, dlaczego szkoła podstawowa ma rywalizować z liceum? - zapytał ironicznie.

- Diabli wiedzą, ale wygląda to dziwnie.

- To jasne jak słońce, że my, uczniowie szkoły podstawowej, musimy zawsze dostawać lanie. Jeszcze tego nie pojąłeś?

- Nie pojąłem, bo co jest dziwnego w tym, że facet, który ma dziewiętnaście lat, biega szybciej niż większość chłopaków, którzy ledwie skończyli czternaście? A przy okazji, o co to chodzi z tym koleżeńskim samowychowaniem?

- Chodzi całkiem po prostu o to, że my zawsze i wszędzie mamy od nich dostawać baty. I wcale nie mam na myśli batów w sporcie, ale tak w ogóle.

- Chcesz powiedzieć, że oni dużo biją?

- Tak, właśnie. Więcej niż możesz sobie wyobrazić, i na tym polega to całe koleżeńskie samowychowanie. To nic innego jak znęcanie się.

Kiedy Pierre wymawiał „znęcanie się”, poprawił sobie okulary dla zaznaczenia pauzy przed takim dorosłym słowem. Erik zastanawiał się nad jego znaczeniem, prawdziwym znaczeniem lub też możliwym, w rozumieniu Pierre’a.

- Chcesz mi powiedzieć, że ci z liceum na przykład ciebie biją często?

- No, w każdym razie należy ich unikać - odparł Pierre, zniżając głos.

- A jak ty ich unikasz?

- Ja jestem gruby i dobry w nauce, tamci uważają mnie za kujona. Pewnie myślą też, że jestem tchórzem. Ale sądzą, że bicie takiego faceta intelektualisty, a na dodatek tchórza, wcale nie jest specjalnie fajne. Chociaż z tobą będzie pewnie o wiele gorzej. To jest właśnie to, czego nie pojmujesz. Nie rozumiesz, co dla nich znaczy fakt, że jakiś chłopak z podstawówki omal ich nie pokonał

w sporcie? Musisz się liczyć z tym, że w najbliższym czasie dostaniesz parę prztyczków.

- A co to takiego prztyczek?

- No, na przykład jak się przyłoży komuś w czaszkę trzonkiem stołowego noża. Albo zaciśniętą pięścią czy kostką serdecznego palca, o tak, wymierzona w skroń lub w ciemię.

Erik stał bez ruchu z kolcami w rękach i próbował ogarnąć, jaki to był wielki błąd, że chciał w dniu sportu wygrać w jakiejś dyscyplinie. Okazało się, że jest po prostu „nowym i pyskatym”. Licealiści tacy jak ci, którzy są jego szefami stołu, mogą nakazać mu pochylić głowę i bez protestu przyjąć cios.

- A niech to diabli! - wrzasnął i cisnął butami o ścianę. - Niech to diabli! Znowu wpadłem w to samo gówno! Ja nie chcę się bić, nie chcę, jestem tym zmęczony!

- To w twojej starej budzie też mieliście Radę? - spytał Pierre niepewnie.

- Nie... ech, nie jestem w stanie ci tego wyjaśnić. Kiedy indziej, a teraz chodź, trzeba coś wrzucić na ruszt.

W drodze do jadalni Pierre tłumaczył, że jeśli ktoś przyjmuje bicie spokojnie, nie beczy i nie jest bezczelny, to po kilku pierwszych tygodniach najgorsze mija. Dotyczy to przede wszystkim nowych, bo trzeba im wpoić ducha Stjärnsbergu. Z tego powodu wszyscy nowi z początku mają ciężko, ale ci, którzy stawiają opór, zawsze dostają jeszcze więcej, mówi się o nich, że są nowi i pyskaci dłużej niż o tych, którzy dostosowują się bez protestu. Erik zastanawiał się, czyby potrafił tak się wziąć w garść, by przyjmować ciosy mniej więcej w podobny sposób, jak sobie radził ze starym. Chociaż z drugiej strony, jeśli zachowa maskę, kiedy będą go bili, pomyślą, że rzuca im wyzwanie, i będą lać

dopóty, dopóki jego maska się nie rozpadnie. A co będzie, jeśli nie wytrzyma i rzuci się na prześladowców?

- Co się dzieje, kiedy ktoś przyłoży czwartoklasiście? - zapytał Pierre'a.

Ten przystanął na zwirowanej alejce i poprawił okulary.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś z podstawówki to zrobił. Przynajmniej ja o niczym takim nie słyszałem. Przypuszczalnie to nie jest zabronione... Nie, nawet na pewno nie jest zabronione, ale i tak nie można.

- Dlaczego nie?

- No bo jeśli nawet można uderzyć czwartoklasistę, to i tak zostanie to poczytane za pyskowanie wobec niego i dostanie się sobotę-i-niedzielę. A poza tym czwartoklasista może wtedy iść do członka Rady, a członkowi Rady oddać nie wolno, bo za to wyrzucają ze szkoły.

W czasie obiadu jakiś chłopiec z podstawówki, który siedział naprzeciwko Erika, dostał prztyczka za to, że sięgając po solniczkę, za bardzo pochylił się nad talerzem kolegi. Zachowanie zostało zauważone przez szefa stołu, który natychmiast wykrzyknął jakąś krótką komendę. Winowajca podszedł do niego, stanął w postawie na baczność i z rękami splecionymi na plecach pochylił głowę. Szef stołu otarł usta serwetką i wolno zwrócił się ku delikwentowi. Wziął czysty nóż, ważył go przez chwilę w dłoni, jakby na próbę, po czym z rozmachem uderzył delikwenta trzonkiem w czubek głowy. Tamten zaskowyczał i przy akompaniamencie salw śmiechu przy sąsiednich stołach wrócił na swoje miejsce; nieszczęśnik miał łzy w oczach.

Taki prztyczek nie jest więc nie do zniesienia, jeśli brać pod uwagę samo uderzenie. Ale stać tak z pochyłoną głową i czekać! A potem ten śmiech. Trzeba zatem wszelkimi możliwymi sposobami

dażyć do osiągnięcia kompromisu. Najprościej było, z jednej strony, zaakceptować cios, z drugiej jednak, najmniejszym skrzywieniem nie dać poznać, że bolało. W ten sposób można by przynajmniej zneutralizować śmiech. Każde inne rozwiązanie prowadziło do tego, że albo wybuchnie bójka, albo to on zostanie wyśmiany i wyszydzony. Dla nowego, nieznanego jeszcze Erika z głupkowatą fryzurą jedyne wyjście to kompromis. Kompromis jest konieczny.

Kiedy już do końca rozważył sprawę, nagle jadalnia zatrzęsa się od śmiechu i buczenia. Przyczyna była prosta. Jednemu z uczniów podstawówki nakazano, by stanął przy długiej ścianie, tej z freskami, odwrócony do niej twarzą, i wystawił się na pośmiewisko. Uczeń podstawówki siedzący obok Erika wyjaśnił mu, na czym polega system: ktoś, kto otrzymał trzy prztyczki, musi wystawić się na pośmiewisko, a ten, kto wystawiany jest na pośmiewisko po raz drugi, po zakończeniu procedury pod ścianą zostaje wyrzucony z jadalni, zaś wyrzucony z jadalni automatycznie dostaje sobotę-i-niedzielę.

- A jeżeli ktoś protestuje i nie godzi się na prztyczki?
- To stawiany jest od razu pod ścianę, takie jedno stanie liczy się za trzy prztyczki.
- A gdyby ktoś odmówił stania pod ścianą?
- Wtedy automatycznie dostaje sobotę-i-niedzielę.
- Może się nie zgodzić na sobotę-i-niedzielę?
- Nie, bo zaraz go wyrzuca.
- Czy można się nie zgodzić na prztyczka nawet wówczas, gdy szefem stołu jest członek Rady?
- Teoretycznie tak, reguły tego nie zabraniają, ale wtedy członek Rady może człowieka złapać po jedzeniu, poza jadalnią, i

nakazać wymierzenie prztyczka. Chociaż przy naszym stole szefem nie jest członek Rady, tylko zwyczajny czwartoklasista.

Otwierało to nowe możliwości, ale trzeba jeszcze wszystko starannie przemyśleć. Praca za karę lub areszt w soboty i niedziele mogłyby też oznaczać, że nie będzie musiał jeździć do domu. Byłaby to dodatkowa korzyść z unikania bicia w ten sposób, przy pełnym poszanowaniu obowiązujących zasad, czyli bez narażania się na wyrzucenie ze szkoły. Z pewnością jednak i taka metoda ma swoje wady. Trzeba to przedyskutować z Pierre'em, który najwyraźniej zdobył spore doświadczenie w sztuce unikania konfliktów, jeśli to tylko możliwe. Gdyby porównywać rzecz z tym, co stary wyprawiał w domu przy obiedzie, to między jego ciosami w nos a prztyczkami jest ogromna różnica. Prztyczka dostaje ten, kto popełnia gafę, w jakiś sposób narusza zasady zachowania się przy stole, a nie bez powodu czy też dlatego, że szefowi stołu akurat przyjdzie na to ochota. Erik nie będzie miał najmniejszych kłopotów, by jeść bez naruszania zasad, zna je przecież bardzo dobrze. Ponieważ jednak jest nowy i pyskaty, to najwyraźniej będzie mu mimo wszystko trudno.

Wobec pierwszej konieczności wyboru stanął natychmiast po obiedzie. W drodze do „Kasjopei” dogonił go jakiś uczeń podstawówki i klepnął w plecy. Był to mały chłopiec, klasę lub dwie niżej od Erika, sprawiał wrażenie mocno przestraszonego. Pośpiesznie wciągał powietrze, jakby bał się wykrztusić to, co powiedzieć musiał.

- Masz iść do „Olimpu” i wyczyścić buty hrabiego von Schenkena, to rozkaz.

Erik był bardziej zdumiony niż zły.

- Ach tak? A czy on jest członkiem Rady?

- Nie, ale to czwartoklasista i... no, masz iść i już.

- Pozdrów go i powiedz, żeby przyszedł do mojego pokoju w „Kasjopei” i poprosił o przysługę, to zobaczymy, co się da zrobić - powiedział Erik i odwrócił się, żeby odejść.

- Ale ty nie możesz...

- A to dlaczego?

- No bo jak wrócę do von Schenkena i powiem, że ten nowy i pyskaty nie... no, że odmawiasz, to ja też dostanę sobotę-i-niedzielę.

Erik rozważał sprawę. Nie byłoby dobrze wplątywać w to wszystko niewinnego chłopaka, i to tak, żeby całą sobotę i niedzielę przesiedział w areszcie. Pomysł z czyszczeniem butów miał z pewnością służyć rozrywce tamtych, więc gdyby Erik się zgodził, nie byłoby problemu. A jeżeli tak z punktu zacznie stawiać opór, to sprawy mogą się potoczyć szybko, zaczną się rozmaite represje, i zanim się obejrzy, będzie za późno, nie zdoła wyjść z tego cało.

- Okay - zgodził się. - Idę z tobą.

Von Schenken okazał się zwycięzcą finału na 100 metrów. Wystawił co najmniej dziesięć par, w tym bardzo ubłocone buty do piłki nożnej, jeszcze bardziej ubłocone wojskowe kamasze oraz buty zamszowe i skórzane w trzech różnych kolorach.

Kiedy Erik zobaczył długi rząd obuwia, zrozumiał, że właśnie diabli biorą wszystkie jego plany, by nie protestować, cokolwiek będzie się działo. A do tego von Schenken zaprosił na przedstawienie kilku swoich kumpli. Rząd butów stał na podłodze pośrodku dużego pokoju dziennego w „Olimpie”, czwartoklasiści zaś siedzieli na kanapach i na krzesłach pod ścianami.

- A oto nasz mały króliczek ze szkoły podstawowej, całkiem nowy i niebywale pyskaty króliczek, nie uważacie panowie? - powitał go von Schenken.

- Nie jestem żadnym królikiem - wycedził Erik przez zaciśnięte zęby, splatając dłonie na plecach.

Nie mogę mu przyłożyć, nie mogę mu przyłożyć, nie wolno mi, powtarzał w myślach, a równocześnie mierzył przeciwnika wzrokiem, oceniał jego wagę, zasięg ramion i muskulaturę. Nie byłoby trudno powalić go na ziemię, uznał, ale oznaczałoby to katastrofę.

- Oczywiście, że jesteś małym króliczkiem, kicasz w każdym razie jak króliczek. Albo może raczej zając - powiedział von Schenken i zainkasował salwę gromkiego śmiechu swoich kumpli.

- W następnych rozgrywkach pokonam cię tak samo łatwo, jak to zrobiłem dzisiaj w pierwszej próbie - zareplikował Erik.

To podniosło go do równego z przeciwnikiem poziomu, zwłaszcza że mówił szczerą prawdę i von Schenken powinien to czuć. Sprinter z czwartej klasy liceum musi uważać, by nie kpić z jeszcze szybszego sprintera ze szkoły podstawowej.

Kontra zdawała się działać zgodnie z intencją Erika. W każdym razie śmiech zamarł i von Schenken uznał, że powinien działać konkretnie i raczej zrezygnować z szyderstw.

- A zatem buty powinny być wypucowane tak, by wszystkie pary zostały zaakceptowane przez inspekcję. Zwłaszcza te do piłki nożnej mają błyszczeć jak dupka niemowlęcia, rozumiano?

Erik musiał wybierać. Natychmiastowe sponiewieranie von Schenkena byłoby wyjściem najgorszym. Ale niespodziewany atak dawałby mu przewagę bardzo długo, zanim pozostali czwartoklasiści rzuciliby się ich rozdzielać. Konsekwencje jednak byłyby trudne do przewidzenia, a poza tym przecież chodzi o to, by za wszelką cenę unikać bezpośredniego starcia. Ale to, że musiałby klęczeć przed nimi i przy akompaniamencie ich szyderczych komentarzy pracować nad butami von Schenkena, nie, to nie do

zniesienia, Erik by się wściekł i mimo wszystko doszłoby do bójki. Pozostaje więc tylko jedno możliwe do przyjęcia wyjście, czyli kompromis. Tamci z wyraźnym napięciem czekali, co Erik zrobi, i widać było, że wcale nie są pewni, jak się zachowa.

- Nigdy w życiu - oznajmił Erik, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju szybko, by być jak najdalej stąd, gdy wybuchnie zamieszanie.

To, co prawda, był kompromis, ale kompromis i tak prowadził do awantury. Czy może go za to spotkać kara większa niż sobota-i-niedziela? No, ale - z drugiej strony - czy potrafiłby klęczeć przed tymi tam czwartoklasistami i obrzucany wyzwiskami czyścić przez godzinę buty, gdy oni sprawdzaliby rezultaty jego starań dokładnie, tak jak stary sprawdzał przyniesione przez Erika brzoźowe różgi? Na pewno by to potrafił? Skoro człowiek z własnej woli może postanowić, że wytrzyma bolesny cios w czaszkę, to chyba może też postanowić, że z równą łatwością zniesie wyzwiska? Więc na czym właściwie polega różnica - a czuł, że jest to różnica wielka.

Tamci wiedzieli o nim tylko tyle, że jest dobrym sportowcem i że bez trudu pobił rekord szkoły w pływaniu stylem dowolnym. Czy nie byłoby mu łatwiej przejść przez ten początkowy okres, gdyby był taki jak Pierre?

- Nie - powiedział Pierre. - Bo jeśli się chce unikać starcia z nimi, to trzeba być możliwie najmniej zauważalnym. Im bardziej się wyróżniasz, tym, ich zdaniem, zabawniej jest cię dręczyć, kazać ci biegać do kiosku, czyścić buty i wypełniać różne inne polecenia. Najlepiej nie być ani dobrym, ani złym, ani okularnikiem jak ja, ani sportowcem jak ty. Najlepiej być absolutnym średniakiem, właśnie niezauważalnym.

- A czy ty byś czyścił te jego buty, Pierre?

Pierre leżał w ciemnościach bez ruchu i zastanawiał się.

- Tak - powiedział w końcu. - Ja bym je chyba wyczyścił.

Znowu przez chwilę leżeli w milczeniu.

- Czy zrobiłbyś to ze strachu przed biciem?

- Chyba tak. W każdym razie, gdyby to był von Schenken, bo on jest z tych, co bardzo lubią ciosy jednego szwu. Ano tak, ty nie wiesz, co to jest cios jednego szwu, zapomniałem ci powiedzieć, kiedy pytałeś o prztyczki. Otóż prztyczek wymierza się przeważnie zgiętym w kostce palcem, pokazywałem ci. Czasami tylko uderza się trzonkiem stołowego noża. Ale tacy jak von Schenken często biją korkiem od buteleczki do octu, widziałeś, stoi taka maleńka karafka pośrodku każdego stołu, szlifowana, korek ostro zakończony. Biorą taką zatyczkę i uderzają szpicem w głowę, robi się dziura, leci krew, trzeba iść do pielęgniarki, która zakłada na ranę jeden szew. Tacy jak von Schenken nie mają rozumu. Ponieważ on jest szefem mojego stołu, to muszę go słuchać. Gdybym nie chciał czyścić jego butów, skończyłoby się nie tylko sobotą-i-niedziela, ale jeszcze przy najbliższej okazji dostałbym cios jednego szwu.

Erik o nic więcej nie pytał, a po chwili stwierdził, że Pierre śpi. Co można by zrobić, gdyby von Schenken uderzył w ten sposób Pierre'a? Gdyby Erik był świadkiem wydarzenia, miałby tylko jedno wyjście, a mianowicie wziąć zatyczkę ze swojego stołu, zająć von Schenkena od tyłu i uderzyć tak mocno, by w głowie tamtego powstała dziura, i to najlepiej, zanim on zdąży uderzyć Pierre'a. A zresztą nie, bo nie wiadomo, do czego by to doprowadziło; może zaatakowany von Schenken czułby się moralnie zmuszony mimo wszystko uderzyć Pierre'a? Choćby po to, by pokazać, że on się tak łatwo nie pozwoli zastraszyć jakiemuś nowemu i pyskatemu. Czy dałoby się wziąć von Schenkena na stronę i zapowiedzieć, że jeśli Pierre'owi spadnie choćby włos z głowy, to von Schenken zostanie stłuczony na kwaśne jabłko tak wymyślnie, że nie jest nawet w

stanie sobie tego wyobrazić? Nie, chyba raczej nie można. Warunkiem skuteczności takiego straszenia jest pewność, że straszony naprawdę w nie wierzy. W dawnej budzie nie było z tym żadnego problemu, ale tutaj nikt przecież o tym nie wie i w żadnym razie nie może się dowiedzieć. Musi być jakiś sposób na uniknięcie przemocy. Obicie tylko jednego doprowadzi wyłącznie do niekończącej się serii bójek, dopóki tamci w ten czy inny sposób się nie odegrają.

Ile sobót-i-niedziel przypada na jeden semestr? Mniej więcej piętnaście. Gdyby lekceważyć takie jak to polecenia piętnaście razy, to czy później miałyby się już spokój? Bo to pewne, że dzisiejsze nieudane czyszczenie butów musi prowadzić do następnych rozkazów w podobnym stylu, dopóki on lub oni nie ustąpią. Tak czy inaczej, musi słuchać poleceń Rady, bo odmawianie czy też bicie się z jej członkami grozi usunięciem ze szkoły. A relegowanie ze Stjärnsbergu oznacza koniec jakiegokolwiek wykształcenia na zawsze. Erik musi chodzić tu jeszcze przez dwa lata, by potem pójść do liceum w Sztokholmie, a zatem przez dwa lata będzie musiał być posłuszny Radzie. Czy w takim razie nie powinien raczej dać za wygraną i mieć to wszystko z głowy? Przecież i tak nie będzie mógł bronić Pierre'a.

Zaczynało świtać, kiedy nareszcie zasnął w przeпоcoonej pościeli. Prześcieradło było całkiem skopane, a materac goły. Rano będzie się musiał rumienić ze wstydu przed Pierre'em.

W szkole pierwsza była lekcja historii i historyk, najstarszy nauczyciel w Stjärnsbergu, wdał się w jakąś przydługą dygresję na temat wędrówek ludów. Plemiona germańskie przemierzały Europę wzdłuż i wszerz, ze wschodu przybywały plemiona słowiańskie, a różnica między nimi polegała na tym, że plemiona germańskie były najbardziej urodziwe, najsilniejsze i najlepsze, co pozostawiło ślady aż do czasów nowożytnych, zresztą jeszcze i dzisiaj można dostrzec

pozostałości cech różnych typów rasowych w Europie. Z łatwością da się to zilustrować nawet na przykładzie naszej klasy.

- Erik, zechciej podejść do tablicy i stań tak, żeby wszyscy wyraźnie cię widzieli - powiedział nauczyciel. Potem wziął kijek do pokazywania i szczegół po szczególe opisywał ciało Erika, jakby to była jakaś kolorowa plansza, przedstawiająca ssaki naczelne lub przekrój organizmu ludzkiego.

- Popatrzcie tutaj. Zaczniemy od niebieskich oczu i stanowczego spojrzenia (kijek). Następnie widzimy prosty nos, odwróć się jeszcze raz profilem, o tak. Silna część podbródkowa i szerokie żuchwy, ale niezakłócona harmonia twarzy, żadnych tam wystających kości policzkowych, jak na przykład u Finów czy Lapończyków albo niektórych Słowian. Silna budowa barków i proste ramiona. Zwróćcie uwagę na znakomicie rozwiniętą muskulaturę tej części ciała (kijek). Potężna klatka piersiowa i dobrze rozwinięte mięśnie brzucha, biodra wyraźnie węższe niż klatka piersiowa. Następnie przechodzimy do umięśnionych ud, spójrzcie, jak te partie się zwężają w porównaniu z talią. Tak właśnie wyglądali przedstawiciele ludów jeździeckich, tak też powinno wyglądać na przykład wielu rycerzy Karola Dwunastego. Łydki mają tworzyć wyraźną krzywiznę, o tak właśnie (kijek), a nie tylko być swego rodzaju węższym przedłużeniem uda. Dziękuję ci, chłopcze, możesz wracać na miejsce.

Erik usiadł z uczuciem kompletnego oszołomienia. Koledzy z klasy wcale się nie śmiali, patrzyli na spektakl z najwyższą powagą. Ale najgorsze miało dopiero nastąpić.

- No cóż, a gdybyśmy tak mieli poznać dokładnie odwrotny typ... Tanguy, zechciej podejść do tablicy.

Tak więc Pierre został zmuszony stanąć na miejscu, które Erik dopiero co opuścił, i teraz wskazówka rozpoczęła wędrówkę po jego ciele.

- Zaczniemy od tego, że tutaj mamy do czynienia z typem charakterystycznym dla krajów południowych. Brązowe, głęboko osadzone oczy i marny wzrok, stąd okulary. Nos nie jest prosty, lecz może być u różnych osobników wykrzywiony na rozmaite sposoby, od żydowskiego haczykowatego nosa do bardziej normalnie zarysowanego wariantu, typowego dla mieszkańców krajów południowych. Policzki pyzate, podbródek cofnięty (kijek). Następnie mamy partię barkową typu butelkowego. Cała górna część ciała ma kształt stożkowaty, co pozbawia je harmonii, którą widzimy w typie germańskim. Spójrzcie, jak bardzo brzuch podany jest do przodu, to on tworzy podstawę stożka. I w znacznej mierze jest konsekwencją niezdrowego odżywiania się ludów południowych, z czasem jednak stał się cechą dziedziczną. No i nogi, które wyglądają tak, jakby ktoś po prostu wbił zapałki w świerkową szyszkę, przypomnijcie sobie z dzieciństwa, he, he. (Pierre poprawił okulary, ale w ogóle to stał obojętnie, nie reagował najmniejszą nawet miną.) No cóż, zostały nam jeszcze stopy, wykoślawione duże palce i oczywiście wyraźna skłonność do płaskostopia. No to dziękuję ci, Tanguy, możesz wracać na swoje miejsce. Jak więc widzicie, również dzisiaj obserwujemy wyraźne różnice między typem germańskim i południowym.

Na przerwie zawstydzony Erik pobiegł do Pierre'a.

- Słuchaj - wykrztusił. - Ty chyba nie myślisz... chciałem powiedzieć, że mnie nie obchodzą te głupoty.

- Ech! - Pierre machnął ręką. - Po pierwsze, ten idiota jest nazi, to znaczy jest nazistą, a po drugie, nie ma pojęcia, o czym gada. Rasa krajów południowych, wiesz, gdzie on mnie może pocałować?

- Jest tu więcej takich nauczycieli?

- Nie, został już tylko ten jeden. Ale dawniej było znacznie gorzej. Przypomnij sobie choćby, jak wyglądają te malowidła w jadalni.

- Co masz na myśli?

- No, kurde... te wielkie, niedźwiedziowate blondyny z cycami jak balony, z włosami zaplecionymi w warkocze, dźwigające kosze pełne chleba, no nie? I faceci o białych włosach, obciętych pod garnek, którzy kroczą z siekierami na ramieniu, gapią się swoimi germańskimi niebieskimi oczyma i gadają o prostych nosach. A obok wojownicy z oszczepami mają bielutkie wąsy i takie srogie spojrzenia, że można się posikać ze śmiechu.

- Chyba już w to nie wierzą? Mam na myśli innych nauczycieli.

- Chyba nie, to już minęło. Teraz to nawet Żydów przyjmują do tej budy, a przecież jeszcze dwadzieścia lat temu to było najgorsze, co można sobie wyobrazić. Kalie z naszej klasy jest Żydem, Żydem, choć ma niebieskie oczy i nos prawie tak samo prosty, jak ci na malowidłach. O tym chyba stary głupek nie pomyślał. Cholerne bzdury!

Poza tym lekcje przebiegały na ogół w przyjemnej atmosferze, przynajmniej w porównaniu z dawną szkołą Erika. Można było odpowiadać na siedząco. Nauczyciele nie straszili rozmaitymi karami, uwag nie wpisywano do dziennika, nastrój był przeważnie żartobliwy, niemal koleżeński. Praca przebiegała rytmicznie i bez zakłóceń, nikt na lekcjach nie hałasował, i wyglądało na to, że nie ma szczególnego powodu, by to robić. Nauczyciele sprawiali bardzo dobre wrażenie, ani jeden z nich nie wyglądał na kogoś, kto chciałby się uciekać do przemocy.

W drodze do jadalni Erik zauważył, że wytwarza się wokół niego jakiś dziwny nastrój, jakby znajdował się w wielkim pęcherzu powietrza, odizolowany od wszystkich wokół. Słyszał za sobą

określenia w rodzaju „nowy-i-pyskaty”, słyszał też szepty za plecami.

Kiedy kelnerki zaczęły zbierać ze stołów talerze po głównym daniu, przewodniczący Rady Bernhard wstał, podszedł do długiej ściany i ryknął:

- Ciiiiiszaaaa!

Pełne oczekiwania pomruki szybko ucichły.

- Zebranie Rady dziś wieczorem, bezpośrednio po posiłku, w klasie numer sześć. Mają się zgłosić następujący uczniowie... - I zaczął wyczytywać nazwiska, a każdemu kolejnemu towarzyszył narastający śmiech i buczenie słuchaczy. Erik miał wrażenie, że buczenie przy jego nazwisku było nieco głośniejsze niż przy innych. A zatem musi stanąć przed sądem za to, że odmówił pucowania butów von Schenkena.

Klasa numer sześć znajdowała się w głównym budynku szkoły. Na ciemnej, wypolerowanej do połysku dębowej podłodze siedzieli przed nią ci, którzy mieli być sądzeni. Jedni narzekali, inni żartowali bez przekonania. Byli to wyłącznie uczniowie szkoły podstawowej, tylko oni zostali wezwani przed oblicze sądu. Większość przyłapano na potajemnym paleniu papierosów, sądząc po ich rozmowach, byli tu pierwszy, drugi lub nawet trzeci raz z tego samego powodu. Niektórzy jednak, podobnie jak Erik, pyskowali członkom Rady lub czwartoklasistom. Za pyskowanie czwartoklasiście groziła sobota-i-niedziela. Wzywani byli jeden po drugim przed oblicze Rady, wychodzili po kilku minutach i informowali o wyroku. Niektórzy dostawali mniej, niż się spodziewali, inni więcej. Tylko jeden zdawał się szczególnie rozgoryczony, bełkotał coś o tym, że nie będzie mógł pojechać do domu na własne urodziny. Sekretarz Rady stawał w drzwiach i wyczytywał nazwisko oskarżonego, ten wchodził i zamykał za sobą drzwi.

Kiedy Erik wszedł do klasy, zrozumiał, że to jednak coś innego, niż myślał. Przypuszczał, że członkowie Rady będą siedzieć w jednej części klasy, powiedzą „hej” na powitanie, zażartują, będą mu udzielać upomnień, a potem wyznaczą jakąś karę.

Ale nic podobnego. Ławki w klasie zostały przestawione. Przewodniczący Bernhardt siedział na katedrze, a pozostałych jedenastu członków w ławkach ustawionych pod kątem prostym do katedry, po obu jej stronach. Na końcu szeregu ławek przeznaczonych dla członków Rady ustawiono jeszcze jedną, ale bez krzesła. Czyli miejsce dla oskarżonych.

Członkowie Rady mieli na sobie szkolne marynarki, a odznaki na piersiach obramowane złotym sznurkiem, co wskazywało ich rangę i godność. Mieli też białe koszule oraz krawaty, włosy uczesane na mokro, i w ogóle zachowywali się z wielką powagą. Zajmowali miejsca odpowiednie do rangi. Najbliżej ławki oskarżonych dwaj uczniowie wybrani do Rady z pierwszych klas licealnych, a zatem najmłodszy jej członek, nieco bliżej przewodniczącego uczniowie drugiej klasy i tak dalej.

Erik stanął obok ławki dla oskarżonych z rękami na plecach i starał się, by jego twarz nie wyrażała niczego.

Do obowiązków sekretarza Rady należało odczytanie oskarżenia, czyli że Erik tego a tego dnia, o takiej a takiej godzinie odmówił wykonania polecenia czwartoklasisty von Schenkena. Czy oskarżenie odpowiada prawdzie?

- Tak - potwierdził Erik. - To prawdziwy opis.

- Stój porządnie! - ryknął Bernhard.

- Stoję tak, jak mi wygodnie, to chyba nie ma znaczenia dla przebiegu sprawy - odparł Erik.

- Nie pyskuj w obecności Rady, to niedopuszczalne, rozumiesz? Rada skazuje cię na sobotę-i-niedzielę, którą będziesz musiał przepracować za to, że zachowujesz się bezczelnie wobec Rady. Niech sekretarz wpisze to do protokołu.

Sekretarz zanotował. Członkowie Rady zachowywali wielką powagę. Erik zmienił nieco pozycję na wygodniejszą.

- To tyle na ten temat - rzekł Bernhard. - A co masz do powiedzenia na swoją obronę w sprawie odmowy wykonania rozkazu czwartoklasisty? Może nie wiedziałeś, że uczniowie szkoły podstawowej muszą słuchać rozkazów?

- Owszem, zostałem o tym poinformowany, wiedziałem. Ale ja nie chcę czyścić butów dlatego, że von Schenken wymyśla sobie zabawę moim kosztem. Ty też byś nie wyczyścił mojego obuwia, gdybym ci wystawił stos ubłoconych butów do piłki nożnej i straszył biciem, jeśli ich nie wypucujesz tak, żeby się błyszczały jak dupka niemowlęcia.

- Masz się liczyć ze słowami w obecności Rady!

- Ja tylko cytowałem. A zatem rozkaz, który otrzymałem, został sformułowany w niekulturalnym języku. Von Schenken powiedział, że zwłaszcza buty do piłki nożnej mam wypucować tak, żeby się błyszczały jak „dupka niemowlęcia”.

- Aha - skwitował Bernhard. - Czy Rada życzy sobie specjalnej dyskusji nad tą kwestią, czy możemy kontynuować?

Członkowie Rady, machając rękami, dali znać, że tu żadna dodatkowa dyskusja niczego nie zmieni, wina jest oczywista.

- No tak - powiedział Bernhard. - A zatem dopuściłeś się przestępstwa niesubordynacji podstawowego typu oraz zachowywałeś się bezczelnie przed obliczem Rady. Wymierzamy ci za to łączną karę dwóch sobót-i-niedziel, a także upominamy cię, byś

wziął się w karby, tak, byśmy więcej cię tu nie widywali. Bo chyba w przyszłości zamierzasz słuchać rozkazów?

- Nie. Od czwartoklasistów nie. Rozkazy członków Rady trzeba wypełniać, bo w przeciwnym razie grozi relegowanie ze szkoły. Ale niech mnie diabli, jeżeli kiedykolwiek wyczyszczę buty von Schenkena.

Zapadła cisza.

- Po raz drugi używasz niekulturalnego języka w obecności Rady. Dlatego Rada skazuje cię na jeszcze jedną sobotę-i-niedzielę, tym razem w areszcie, za pyskowanie wobec Rady. Żądamy ponadto, byś nas przeprosił.

- Nie.

- Odmawiasz przeprosin?

- Odmawiam. Przecież już mnie skazaliście, więc chyba w areszcie odpokutuję za brzydkie słowa wypowiedane w obecności Rady. A w takim razie nie ma powodu, żebym was jeszcze przeproszał.

- Czy Rada chciałaby odbyć odrębne posiedzenie? - spytał Bernhard.

Potwierdzające gesty i kiwanie głową, po czym Bernhard oznajmił, że proces zostanie podjęty, jak tylko sąd zakończy naradę, Erik ma wyjść na korytarz i tam czekać.

Kiedy Erik pojawił się wśród oczekujących i oznajmił, że dostał już trzy soboty-i-niedziele oraz że teraz sąd się naradza, różne podpowiedzi posypały się na niego niczym grad. Jeżeli ktoś zaczyna pyskować w obliczu Rady, to jej członkowie nie ustąpią, dopóki ich nie przeprosi. Jedyne więc, co Erik powinien zrobić, gdy znowu wejdzie do klasy, to natychmiast przeprosić, bo jak nie, to dołożą mu kolejną sobotę-i-niedzielę, po czym powtórzą żądanie. Po kilku

minutach Erik został wezwany ponownie, i jak przedtem, stanął przy ławce dla oskarżonych.

- No i jak, Erik, przemyślałeś swoją sytuację?

- Tak, bardzo dokładnie.

- A zatem chcesz nas przeprosić i zapomnimy o całej sprawie?

- Nie.

- Wobec tego Rada skazuje cię na czwartą sobotę-i-niedzielę, z czego dwie w areszcie. Zamierzasz teraz prosić o wybaczenie?

- Nie. I poczekaj no chwilę, zanim jeszcze raz wyrecytujesz swoją formułkę. Skazaliście mnie już za to, że używałem niewłaściwych słów przed Radą, a potem za to, że nie chciałem przeprosić za takie zachowanie. Nie zamierzam przeproszać, cokolwiek byście powiedzieli, i zapewniam was, że zdania nie zmienię. Możemy siedzieć tu całą noc i zajmować się tymi głupotami, wy będziecie żądać przeprosin, ja będę odmawiał, znowu dostanę sobotę-i-niedzielę, i tak w kółko. Jeśli macie czas i ochotę, to proszę bardzo.

Rada ponownie odbyła odrębną naradę. Pięć minut później Erik znowu stał przed sędziami.

- Rada podjęła ostateczną decyzję. Skazujemy cię na dwie soboty-i-niedziele karnej pracy i na osiem sobót-i-niedziel w areszcie za bezczelne zachowanie się wobec Rady. W tej części sprawa jest zamknięta. Wiceprzewodniczący Rady ustosunkował się do tej decyzji z rezerwą, poza tym została ona podjęta jednogłośnie. Możesz sobie iść.

Erik już miał przestąpić próg, gdy nieoczekiwanie stanął przed nim jeden z członków Rady, trzecioklasista, i nakazał mu podnieść w górę ręce. Erik zawahał się, ale usłuchał. Tamten przeszukał mu kieszenie i znalazł tam paczkę papierosów, którą pokazał sądowi.

- Ach, to tak! - zawołał przewodniczący. - Wracaj! Kary za potajemne palenie papierosów zaczynają się od jednej soboty-i-niedzieli za pierwszy raz i potem za każdym razem odpowiednio rosna. Po piątej wpadce relegowanie ze szkoły. Żeby móc palić, trzeba mieć siedemnaście lat i pisemne zezwolenie opiekuna prawnego.

- Ja nie paliłem potajemnie, ja w ogóle nie paliłem, odkąd tu jestem.

- To jak wyjaśnisz fakt, że nosisz przy sobie tytoń?

- Miałem te papierosy jeszcze w mieście, po raz ostatni paliłem w pociągu, którym tu przyjechałem. A potem zapomniałem, że je mam. Nie sądzicie chyba, że jestem aż taki głupi, by świadomie przynosić papierosy na zebranie Rady?

- Posiadanie tytoniu traktujemy tak samo jak palenie po kryjomu. Papierosy zostają więc skonfiskowane, ale możesz sam zdecydować, czy przepadają one na rzecz tego członka Rady, który je znalazł, czy też mają być zniszczone na oczach wszystkich członków. Co wybierasz?

- W takim razie chciałbym prosić, żeby zostały zniszczone. Udajecie, że jesteście sądem, ale skazujecie mnie za potajemne palenie papierosów, chociaż wszyscy dobrze wiecie, że jestem niewinny albo przynajmniej mogę być niewinny. Skazujecie bez dowodów i myślicie, że ludzie będą respektować wasze decyzje, które są zwyczajnym skurwysyństwem?

- No to na dodatek do poprzednich dziesięciu sobót-i-niedziel dostajesz jeszcze jedną za pierwsze przyłapanie na paleniu papierosów i kolejną za przeklinanie w obecności Rady. Zrozumiano?

- Nie, mylicie się w jednej sprawie. Szczerze powiedziawszy, wymierzacie mi za niską karę.

- Jak to?

- No bo przecież powinienem prosić o przebaczenie za to, że przeklinam, a ponieważ ja bym i tak nie przeprosił, to cały ten cyrk mógłby przecież potrwać trochę dłużej. Równie dobrze możecie mi jeszcze dołożyć, bo ja i tak nie będę czyścił von Schenkenowi butów ani wypełniał podobnych rozkazów, a domyślam się, że zamierzacie mi je wydawać.

Rada odbyła kolejną odrębną naradę. Po odrębnej naradzie, która tym razem trwała dwadzieścia minut, Erik został ponownie wezwany i dowiedział się, że na razie sąd pozostaje przy dwunastu sobotach-i-niedzielach, ale że sprawa zależy od tego, czy w dalszym ciągu będzie się nieodpowiednio zachowywał wobec Rady i że może być na nowo podjęta, gdy tylko Rada uzna to za wskazane.

Erik wracał do siebie z uczuciem ulgi, choć nie był pewien, czy zrobił dobrze. Z jednej strony, wyrok oznaczał, że może swobodnie odmawiać wykonania kolejnych rozkazów oraz może się nie godzić na żadne prztyczki od szefa stołu w jadalni. Z drugiej strony jednak, wywołał sensację, wynikało to jasno z reakcji wszystkich podsądnych, oczekujących na korytarzu pod drzwiami klasy numer sześć. Nigdy nikt, kto po raz pierwszy trafił przed oblicze Rady, nie został ukarany tak surowo. W ogóle nigdy wcześniej nikt nie dostał tak wysokiego wyroku za jednym razem.

Nietrudno było się domyślić, że poruszenie, jakie to wzbudziło, wystawiło autorytet sądu na poważną próbę. Członkowie Rady byli teraz niemal zmuszeni do znalezienia sposobu, który by skłonił Erika do posłuszeństwa. A przed członkami Rady trudno się bronić. Czwartoklasiści nie powinni teraz stanowić żadnego problemu. Ale dwunastu członków Rady, których trzeba słuchać bezwarunkowo? Może z tego wyniknąć mnóstwo czyszczenia butów. I właściwie to czy po czymś takim nie będzie jeszcze gorzej?

- Chyba przeczuwałem, że sprawy tak się potoczą - powiedział Pierre. Może nie aż dwanaście sobót-i-niedzieli w jednym wyroku, ale coś w tym rodzaju. Chociaż to było niezrozumienie z twojej strony, że ich zawsze trzeba słuchać, można wybrać karę, na tym to polega.

Jak się okazało, reguły są cokolwiek niejasne. Podstawowa zasada jest jednak taka, że nigdy nie wolno oddać członkowi Rady. Za to bowiem grozi bezwarunkowe i natychmiastowe wyrzucenie ze szkoły. Jeżeli jednak któryś z członków Rady rozkaże komuś wyczyścić sobie buty bądź pośle go po coś do kiosku, to odmowa jest traktowana tak samo jak odmówienie zwyczajnemu czwartoklasiście. Erik uzyskał więc tyle, że będzie mógł unikać spełniania wszelkich drobnych posług, z drugiej jednak strony może się narazić na znacznie więcej bicia.

Erik i Pierre leżeli w ciemnościach i roztrząsali problem na wszystkie strony, aż na korytarzu rozległ się ryk dyżurnego, że pora gasić światło.

To jest po prostu straszne, Pierre, wszystko, co się tu dzieje. Cholera jasna, kiedy tutaj jechałem, to obiecywałem sobie, że będę za wszelką cenę unikał awantur. Ty tego nie wiesz, a ja nie wiem, czy mam ochotę ci opowiadać, ale w mojej starej budzie miałem bicia po dziurki w nosie. Ja nie jestem taki jak ty, jest między nami wielka różnica, opowiem ci o niej, ale musisz mi obiecać, że nikomu innemu o tym nie piśniesz. Ja mianowicie umiem się bić. I nie żadne trochę, ja umiem się bić tak, że ty byś sobie tego nie wyobraził w najśmielszych fantazjach. Nie, nie myśl, że to przechwałki, wcale nie jestem z tego dumny, jak ci się może wydaje. Bo trzeba ci wiedzieć, że ja się biłem, i biłem, i biłem przez całe swoje życie, a przynajmniej odkąd pamiętam. A jeśli człowiek coś takiego robił, to wie lepiej

niż wszyscy inni, że kiedy się już raz w to wdepnie, to nie będzie końca. Nigdy.

Zaczyna się od tego, że jest się najsilniejszym w klasie, no, sam musiałeś to widywać. A jeśli jest się najsilniejszym, to zaczynają cię prowokować tacy, którzy sami chcieliby ów tytuł przejąć. Potem przychodzą chłopaki z innych klas i chcą sprawdzać, kto jest najsilniejszy we wszystkich klasach czwartych, a jeszcze później, kto w całej szkole, i nigdy nie ma temu końca. Myślałem, że można sobie z czymś takim dać radę, ja nie jestem taki jak ty, nie boję się dostać lania, potrafię znieść straszne bicie, zniosę dużo więcej niż inni. Boję się natomiast tego, że zostanę zmuszony, by nieustannie, przez cały czas oddawać. Pod tym względem jestem taki jak ty, uważam, że najważniejsze na świecie jest to, co się robi głową, a bicie jest po prostu szkodliwe. Jestem zdania, że tą nieustanną walką człowiek szkodzi sam sobie. Że szkodzi innym, to oczywiste, ale rozcięta warga się zagoi, podbite oko wróci do normy. Tym jednak, że szkodzi się sobie samemu, nie zdobywa się przyjaciół. Wszyscy się ciebie boją i są fałszywi.

Och, Erik, łatwo ci mówić takie rzeczy, bo ty potrafisz oddać, ty, który jesteś niemal tak samo duży jak ci, co chodzą do drugiej klasy liceum. Ale pomyśl tylko, gdybyś był taki jak ja, właśnie taki, i nigdy nie mógł oddać? To oczywiste, że łatwiej jest uznać, że szkoła i studia w przyszłości są ważne, chodzi mi o to, że życie intelektualne ma określoną wartość. Ale żebyś ty wiedział, ile razy ja pragnąłem być taki jak ty, pomyśl, gdyby tak można było oddać, pomyśl, gdyby tak można było się odważyć i odpyskować, kiedy oni przychodzą ze swoimi cholernymi, parszywymi rozkazami, żeby im ścielić łóżka, biegać po papierosy i Bóg wie, co jeszcze. Ale jeśli człowiek nie umie się bić, to co ma zrobić? Można się zachowywać tak jak

Arne z naszej klasy, który jak tylko dostanie prztyczka, udaje małą, wyglupia się i wyczynia jakieś idiotyczne cyrkowe numery, tak że cała stołówka ryczy ze śmiechu. A robi to wszystko po to, by się bronić, to zrozumiałe. W jakiś sposób trzeba się bronić, choć ja zawsze miałem z tym kłopoty. A jeśli nie potrafisz się bronić, to stajesz się pośmiewiskiem dla wszystkich i ściągasz na siebie jeszcze większą przemoc, stajesz się niczym magnes dla przemocy. Więc kiedy ty mówisz, że nie masz przyjaciół, to to w jakimś sensie brzmi niemądrze. Jak myślisz, kto zostanie przyjacielem kogoś, kto jest gruby, śmieszny i buczy jak dzieciak przy najmniejszym laniu? Jak myślisz, ile razy taki jak ja marzy, by znaleźć się na twoim miejscu, aby w jakimś sensie być tobą, choć oczywiście w dalszym ciągu pozostawać sobą?

- Pierre, chyba jedyny sposób na nich to stawiać im opór, nie sądzisz?

- Jasne, że tak. Ich system jest ponury, a oni to zwyczajni parszywcy. Kiedy będziemy dorośli, ty i ja, to będziemy z takimi jak oni walczyć z całą zaciekłością, ale już innymi metodami. Jasne, że to jedyna słuszna droga.

- Wierzysz, że można się im przeciwstawić bez przemocy?

- Tak, wierzę, a przynajmniej chcę wierzyć.

- Ja też chcę w to wierzyć. To co? Może czas już spać?

- Tak, dobranoc.

- Pierre, śpisz?

- No, prawie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jesteś moim przyjacielem.

- I ty jesteś moim przyjacielem, Erik. Jesteś jedynym przyjacielem, jakiego miałem w tej budzie.

Nie minął dzień, a pogłoski o niebywale surowym wyroku rozeszły się po całej szkole. Dawało to o sobie znać w sposób, którego można było się spodziewać, jak też i całkowicie nieoczekiwany. To niemal jasne, że ten czy ów czwartoklasista mógł, bez większego przekonania zresztą, wykrzykiwać polecenia, żeby coś dla niego załatwić lub wykonać jakąś posługę, a gdy Erik odmawiał, straszyć, że oskarży go przed Radą o niesubordynację. Najbardziej jednak zdumiewało Erika to, że raz po raz słyszał wyzwiska i nieprzychylnie pomrukiwania ze strony kolegów z podstawówki. W normalnej sytuacji tacy, którzy sami biorą prztyczki i muszą wykonywać złośliwie wymyślane polecenia, powinni docenić, że ktoś zdecydował się stawić opór. W Stjärnsbergu wiele spraw, jeśli nie w ogóle wszystkie, funkcjonowało nie tak jak normalnie. Stjärnsberg był jakby osobnym światem, istniejącym obok świata zewnętrznego, w którym nie należało tak absolutnie wierzyć w to, co się widzi. Stjärnsberg miał własne prawa i własne reguły, a także własną moralność.

Za to pojęcie moralności było tym, do którego i stary pastor, i dyrektor bardzo często odwoływali się w swoich porannych kazaniach. Chłopiec w Stjärnsbergu był wychowywany na człowieka wytrzymałego, który potrafi znieść więcej i jest bardziej zdyscyplinowany niż inni. Trzeba umieć zarówno wydawać, jak przyjmować rozkazy. To będzie potrzebne w przyszłości, kiedy chłopcy ze Stjärnsbergu przejmą kierowanie przemysłem i obronnością kraju.

Erik pośrodku szerokiego strumienia uczniów znajdował się na schodach wiodących do jadalni. Tuż przed wejściem na półpiętro, w miejscu, gdzie schody lekko zakręcały, jacyś dwaj licealiści próbowali się przepchnąć obok niego, stanęli po obu jego bokach i równocześnie każdy z nich potracił go mocno łokciem. Erik błyskawicznie zdławił chęć oddania i zatrzymał się tak, by tamci mogli przejść bez awantury. Kiedy jednak się odwrócili, nie ulegało już wątpliwości, że oni właśnie chcą awantury.

- I jeszcze się rozpychasz, ty mały pyskaty draniu? - syknął jeden.

- Nie - odparł Erik. - To przecież wy zaczęliście mnie szturchać.

- Natychmiast przeproś! - warknął drugi.

Wszyscy wchodzący po schodach zatrzymali się, zaległa cisza, czekali w napięciu, co będzie dalej. Erik przyglądał się obu swoim przeciwnikom. Żaden z nich nie był członkiem Rady, a zatem nie musi słuchać ich poleceń, nie zostanie też skazany na karne roboty za to, że nie chciał przeprosić. Ale przecież musieli mieć jakiś cel w tym, by doprowadzić do sytuacji, w której Erik odmówi przeprosin.

- Ponieważ to wy mnie zaczepiliście, to wy też powinniście prosić o wybaczenie, skoro już ktoś musi to zrobić - odparł więc i sprawiał wrażenie, że zamierza przecisnąć się obok, by spokojnie iść dalej do jadalni. Wtedy jeden z tamtych chwycił go za ramię, ale - co zabawne - nie zamierzył się. Pełna napięcia cisza wskazywała, że zanoszą się na coś poważniejszego.

- Możesz uważać, że zostałeś wyzwany. Spotkamy się na betonie o ósmej, czyli dokładnie godzinę po posiłku - powiedział wyższy.

Publika wokół wiwatowała i zaśmiewała się.

- Zrozumiałeś, ty szcurku? O ósmej na betonie spotykamy się we trzech - dodał drugi dziwnie uroczyście.

- Jasne - odparł Erik i przeciskając się przez tłum, ruszył w górę po schodach, do jadalni i do swojego miejsca na końcu trzeciego długiego stołu.

W czasie obiadu panował jakiś dziwny nastrój. Przy stole w głębi sali śpiewano piosenkę, z której Erik wyławiał śmieszne rymy: szcurzyna, ósma godzina, albo: na betonie, nie utonie.

Siedział w towarzystwie trzech czy czterech uczniów szkoły podstawowej, ale żaden z nich nie chodził do jego klasy. Wszyscy szeptali w wielkim podnieceniu o betonie i ukradkiem spoglądali na Erika, aż w końcu jeden zapytał, czy to on ma się tam stawić.

- Mhm - odparł Erik. - Dwa typy z trzeciej licealnej zaczepiły mnie na schodach, poszturchiwały, a potem jeden zapowiedział, że o ósmej spotkamy się na jakimś betonie. Możecie mi wytłumaczyć, o co chodzi z tym betonem i co się tam dzieje? Jestem przecież nowy i nie mam o niczym pojęcia.

Zaczęli wyjaśniać z zapalem, jeden przez drugiego.

Beton to taki placyk, a raczej betonowa płyta na tyłach kuchni, gdzie można załatwiać porachunki. Jeżeli dwóch facetów koniecznie chce się bić, to idą właśnie tam, bo beton to jedyne miejsce, gdzie wolno się bić wszystkim, nie tylko uczniom z trzeciej i czwartej licealnej. Ale ci z trzeciej, którzy nie są członkami Rady, mają specjalną tradycję, oni na betonie mogą lać nowych i pyskatych. Dzieje się to zawsze tak, że ten nowy i pyskaty zostaje wyzwany i podaje mu się konkretny termin, zwykle jest to ósma wieczorem. No i tam jest lany dopóty, dopóki nie wyczołga się z betonu na kolanach i nie będzie błagał o łaskę. Na betonie wszystko wolno i zwykle nowego, który jest uczniem szkoły podstawowej, okłada dwóch licealistów. Ponieważ nikt w szkole

podstawowej nie ma najmniejszych szans w starciu z dwoma licealistami z trzeciej, sprawy kończą się zawsze tak samo. Pytanie tylko, jak długo ów nowy i pyskаты jest w stanie wytrzymać, nim zacznie na kolanach się stamtąd wyczołgiwać. Niektórzy uciekają natychmiast, inni biorą całkiem solidne cięgi, zanim się wyczołgają. Bo widzisz, jeżeli się wycofać za wcześnie, to człowiek będzie wyśmiewany i pokazywany palcem przez wiele miesięcy. Kilka lat temu pojawił się w szkole pewien chłopak, on teraz chodzi do drugiej licealnej, i ten chłopak trzymał się tak długo, że w końcu już nic nie widział, bo oczy miał kompletnie zapuchnięte. Takich się szanuje, to był chłopak, który okazał charakter.

- A co, jak wyzwany się nie stawi? - zapytał Erik.

Chłopcy wybuchnęli szyderczym śmiechem. Trzeba się stawić! Nieważne, ile lania wytrzymasz, ale stawić się trzeba koniecznie. Inaczej będą o tobie mówić „szczur” do końca twoich dni w tej budzie. Wszyscy będą cię nazywać szczurem, w końcu nauczyciele też. Jednego chłopaka z czwartej licealnej jeszcze teraz nazywają szczurem, chociaż chodził do podstawówki, kiedy stchórzył i nie stawił się na betonie. Ale on chyba jest jedynym szczurem w całej historii tej budy.

- No dobrze, ale oddawać wolno?

- Jasne, oczywiście, że wolno. W obrębie betonu dozwolone jest wszystko, tam nie obowiązują żadne reguły. I dopóki ci, którzy załatwiają porachunki, znajdują się na betonie, to publika - a zwykle cała szkoła się zbiera, żeby popatrzeć właśnie wtedy, kiedy mają łać nowego i pyskatego - no, to wtedy nikomu z publiczności nie wolno interweniować. Nikt nie może postawić nogi na betonie, dopóki bójka trwa, niezależnie od tego, co się tam dzieje.

- Ale w takim razie chłopaki mogą sobie zrobić prawdziwą krzywdę!

- Pewnie że tak, he, he, to jasne. Każdy może potem przez długi czas obnosić bużkę w różnych kolorach. Pielęgniarka jest powiadamiana zawczasu, tak że zawsze czeka w izbie chorych na wypadek, gdyby trzeba było coś zeszyć.

- Innymi słowy, nauczyciele też nie interweniują?

- O nie! Kiedy się rozniesie po jadalni, że nowy i pyskaty został wyzwany na beton, to nauczyciele bardzo uważają, żeby odpowiednio wcześniej wrócić do domu i pozamykać drzwi. Nastawiają głośną muzykę albo co tam kto chce. Im absolutnie nie wolno się do niczego wtrącać, to by było niezgodne ze szkolną tradycją koleżeńskiego samowychowania.

- A zdarzyło się kiedy, żeby chłopak ze szkoły podstawowej wygrał taką bójkę?

- Oczywiście, że się nie zdarzyło. Ci z trzeciej licealnej są przecież o wiele wyżsi i silniejsi, a poza tym idą we dwóch na jednego. Dowcip nie polega na tym, żeby wygrać, dowcip polega na tym, by wytrzymać wystarczająco ciężkie lanie, żeby cię potem nie nazywali szczurem do końca twoich dni w budzie.

- A jeśli ktoś zostanie tam tak ciężko ranny, że pielęgniarka sama nie zdoła mu pomóc?

- No, czasem bywało, że musieli wzywać taksówkę, by odwiozła pechowca do szpitala w którymś z pobliskich sörmlandzkich miasteczek. No i trzeba niekiedy naprawiać nadłamane zęby, w ogóle lekarz bywa nieraz potrzebny, ale siostra bardzo zręcznie zszywa, rany, w większości wypadków radzi sobie sama.

- A co się dzieje, kiedy pobity nie wypełza z betonu, chodzi mi o to, że na przykład biją go, dopóki nie straci przytomności albo coś, czy po prostu nie chce się czołgać i opuścić betonu?

Na to nie ma konkretnej odpowiedzi. Nic podobnego się dotąd nie zdarzyło. Ci dwaj, którzy wyzwali Erika, uprawiają swój sport od drugiej klasy i stłukli już chyba z siedmiu, a może nawet ośmiu nowych. Zwykle bili na zmianę, dopóki delikwent nie miał dość.

- Na zmianę? Nie napadają na ofiarę równocześnie?

- Nie, zwykle się wymieniają, raz jeden, raz drugi. Z początku zresztą biją niezbyt mocno, ale potem powoli, powoli ciosy stają się coraz silniejsze. Tamci uważają, że tak jest zabawniej, a poza tym publiczność też powinna mieć swoje. Dopiero pod sam koniec leją całkiem na poważnie.

Erik jadł w milczeniu i rozważał sytuację. Nie stawić się oznacza pogardę wszystkich przez dwa lata i zyskanie obrzydliwego przydomka, które przylgnie do niego niczym klej, żeby nie wiem jak się starał go pozbyć. Nie, musi się stawić na tym betonie.

Po modlitwie i wymarszu z jadalni, w drodze do domu, odszukał Pierre'a.

- Chodź, Pierre, chciałbym, żebyś mi pokazał beton.

- Cholera jasna, Erik, natychmiast się domyśliłem, że to o ciebie chodzi. Żebyś ty słyszał to gadanie przy moim stole. Niech to szlag trafi, co za cholerny system...

- Dobra, dobra, ale w ciągu najbliższej pół godziny potrzebuję twojej pomocy, naprawdę potrzebuję twojej pomocy, Pierre, chodź, pokaż mi to miejsce.

Poszli za kuchenne zabudowania. Na sporym placu zakopano w ziemi cysterny z olejem opałowym, a całość przykryto rodzajem cementowego, płaskiego płaszcza czy daszku o rozmiarach pięć na sześć metrów. Cementowy daszek nad cysternami wznosił się mniej więcej trzydzieści centymetrów nad ziemią. A więc to właśnie ów osławiony beton? Po jednej jego stronie

znajdowało się wysypane żwirem miejsce, dochodzące aż pod ścianę kuchni. To, można powiedzieć, pierwszy parkiet, przestrzeń, którą zazwyczaj zajmowali czwartoklasiści oraz członkowie Rady przyglądający się bójce. Na piętrze kuchennego budynku od tej strony mieszkały fińskie kelnerki i sprzątaczkę, rząd okien z ich pokoi wychodził na plac. Dziewczeta siadały na parapetach i dopingowały walczących. Po drugiej stronie betonu rozciągała się licząca nie więcej niż kilkadziesiąt metrów kwadratowych łączka. Tam zwykle stawali chłopcy ze szkoły podstawowej. Młodszy licealiści natomiast stali na tym samym poziomie co beton od strony jedynej prowadzącej tu drogi. Czyli że idąc do betonu, trzeba się przecisnąć obok licealistów.

Erik wszedł na beton i przespacerował się kilka razy tam i z powrotem. Podłoże było równe i stabilne, ale w jednym z narożników dostrzegł okrągłą cementową pokrywę z dwoma stalowymi uchwyty, sterczącymi wysoko w górę; najwyraźniej właśnie tę pokrywę podnoszono, kiedy trzeba było uzupełnić zapas oleju. To bardzo niebezpieczny narożnik, łatwo się tam potknąć o pokrywę albo zaczepić nogą o któryś z uchwytów. Erik poślinił dłoń, pochylił się i pogładził beton. Powierzchnia była mocno chropowata, ale spora ilość ziaren i okruchów cementu przywarła do skóry. Bardzo nieprzyjemna powierzchnia, w pocierane łokcie i policzki łatwo wdaje się infekcja, będzie się to paskudziło całymi tygodniami.

- Okay, Pierre, już wiem, co trzeba. Chodź, wracajmy do siebie, opowiesz mi, jak to się zwykle odbywa.

Pierre prawie płakał, kiedy szli do swojego pokoju w „Kasjopei”.

- Do cholery, Erik, ty się nawet nie domyślasz, co oni zamierzają zrobić.

- Owszem, Pierre, domyślać to ja się domyślam, ale niczego nie wiem. Musisz mi opowiedzieć, jak ci dwaj kuglarze się biją, oglądałeś ich przecież niejedną raz.

Pierre opowiadał niepewnie, szczegółów podawał niewiele. Na początku to jest bardziej jak zabawa. Cała szkoła stoi, śpiewają jakieś rymowanki, śmieją się, potem bójka z każdą chwilą staje się coraz bardziej zaciekle, a ci, którzy się w końcu wyczołgują z betonu, krwawią zawsze albo prawie zawsze.

- Ale Pierre, sprawa jest naprawdę poważna, ty musisz mi pomóc! Jak oni się biją? Kopią czy raczej walczą zaciśniętymi pięściami lub uderzają kantem dłoni? Atakują obaj równocześnie czy też po kolei, może jakoś się wymieniają? Czy kierują ciosy na twarz, czy na korpus, kopią w krocze? Opowiadaj, Pierre, to ważne!

Siedzieli w pokoju i Erik wybierał ubranie, wyciągając jednocześnie z Pierre'a różne szczegóły. Pierre jednak mówił mało konkretnie, wolał opisywać przeżycia emocjonalne, prawdopodobnie zresztą miał zbyt ograniczoną wiedzę o przemocy, by móc analizować sam przebieg walki.

Erik ważył w dłoniach buty do piłki nożnej. Można by wziąć obcęgi i powyrywać korki. Takie obuwie pozwalałoby wymierzać bardzo silne kopniaki, a jednocześnie, gdyby się przewrócił, chroniłoby kostki przed otarciem o cement. Tylko że gładka i twarda plastikowa podeszwa nie da mu odpowiedniego oparcia. Luźny piasek i grudki cementu na betonowym podłożu mogą funkcjonować jak kółka, po których stopy rozjeżdżałyby się na wszystkie strony przy każdym szybszym ruchu, a gdyby się poślizgnął i znalazł pod dwoma cięższymi od niego facetami, to, przede wszystkim, w ogóle nie mógłby szybko się wyrwać i stanąć na nogi, a jeśli już by mu się to udało, mógłby mieć poodcieraną całą twarz, obficie krwawić na przykład z łuku brwiowego, co katastrofalnie pogorszyłoby jego zdolność widzenia. Nie, butów do

piłki nożnej nie da się wykorzystać. Trzeba włożyć pantofle gimnastyczne.

I dżinsy. Dżinsy Erika są miękkie, dobrze dopasowane, dają sporą swobodę ruchu. Nie aż tak wielką, jaką by dawał dres treningowy, ale miękki i rozciągliwy materiał takiego dresu nie jest odpowiedni, bo łatwo go chwycić w garść. Z tego samego powodu wyjął pasek z dżinsów. Jeżeli się walczy w pojedynkę przeciwko dwóm, trzeba bardzo uważać, żeby jeden z przeciwników człowieka nie złapał, tak by drugi mógł swobodnie okładać go pięściami lub kopać. A zatem dżinsy i pantofle gimnastyczne. Buty muszą być porządnie zawiązane, żadnych płaczących się sznurowadeł.

Najtrudniejszy problem to co włożyć na górną część ciała. Najlepszy byłby sweter z długimi rękawami, na tyle obcisły, żeby przeciwnik nie mógł go złapać, a zarazem na tyle luźny, by nie ograniczał swobody ruchów. Rozciągliwa bluza od dresu chroniłaby łokcie na wypadek upadku na cementowe podłoże, ale też przeciwnicy łatwo mogliby ją chwycić pełnymi garściami. Ubrania Pierre'a nie wchodziły w rachubę, nie ten rozmiar, a on sam nie miał nic odpowiedniego. Trudno, niech będzie obcisły T-shirt z krótkimi rękawami. Białe. Lepszy byłby czerwony, bo na białym wyraźniej widać krew. Ale Erik ma tylko białe. Ryzykował, że przy krótkich rękawach będzie miał pocięte łokcie, ale z drugiej strony pełną swobodę rąk i żadnej luźnej tkaniny, za którą przeciwnik mógłby chwycić. Tak więc był ubrany.

Podszedł do lustra i popatrzył sobie w oczy. Uniósł górną wargę i oglądał swoje zęby. Pierre siedział na łóżku w milczeniu, z podkurczonymi nogami.

- Czy oni kopią po twarzy, kiedy człowiek już leży? - zastanawiał się głośno Erik i nie przestawał przyglądać się swoim zębom w lustrze.

- Nie wiem, myślę, że nie. Chociaż był jeden chłopak w ubiegłym roku, który potem musiał jechać do dentysty, i wstawili mu jeden ząb.

- Jeden wstawiony ząb. Albo dwa wstawione zęby?

Erik podszedł do swojego łóżka, usiadł na krawędzi, długo siedział pochylony i przyglądał się swoim rękom, na których w dalszym ciągu widoczne były niewielkie białe blizny. Czy to, na co się zanosi, jest dla niego karą? Czy przez najbliższe lata los będzie mu odpłacał za to, co zrobił innym? Spojrzał na zegarek. Zostało mu jeszcze pół godziny. Pierre siedział całkiem cicho, z kamiennym wyrazem twarzy, jakby z całych sił starał się nad sobą zapanować.

- Pierre, mój mały przyjacielu, przedstawicielu rasy południowej o niegermańskim nosie, zresztą może za pół godziny mój nos będzie wyglądał tak samo, czy ty wiesz, tak, rozumiem, że trudno ci to pojąć, ale czy wiesz, że nie jest takie całkiem pewne, iż to ja przegram? Mogę też wygrać.

- Jak duża jest szansa?

- Nie wiem. Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia. Nie widziałem tych facetów w akcji, nie wiem, jak się biją, a ty nie opisałeś mi zbyt precyzyjnie ich techniki. Gdybym choć raz zobaczył, jak oni to robią, miałbym pewność. A tak wiem tylko, że jest ich dwóch, że jeden z nich tak na oko wygląda na cięższego ode mnie, drugi natomiast jest chyba lżejszy. To wszystko.

- Ale nawet jeśli wygrasz, to przyjdą inni trzecioklasiści i tak będą cię wyzywać raz za razem, aż w końcu kiedyś zwyciężą. A im więcej ich pokonasz, zanim do tego dojdzie, tym gorzej cię potraktują, kiedy przegrasz.

- Nie jesteś głupi, Pierre. Chociaż tak mało wiesz o bójkach, to pojmujesz istotę rzeczy, bo jesteś inteligentny.

- Ty też jesteś inteligentny, a jeszcze w dodatku zajmujesz się tym tutaj.

- Co innego mógłbym zrobić? Co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Ja bym poszedł i przegrał jak najprędzej, a potem został wyśmiany i liczył na to, że zostawią mnie w spokoju. Oni na ogół nie ciągną tam jednego chłopaka dwa razy z rzędu.

- Tak, ale jest coś, o czym nie wiesz, coś, o czym wiedzieć nie możesz. Jeżeli przegram, to będę wyglądał strasznie, ale na tym nie koniec. Jestem po prostu pewien, że ja się stamtąd nie wyczołgam, to jedyne, co wiem. Jeśli jednak wygram, to zrobię to w taki sposób, że oni już nigdy więcej nie będą chcieli mnie tam ciągnąć.

- Nie wierzę w to. Będą dążyć do rewanżu dopóty, dopóki go nie osiągną.

- No, to zależy. Ja mogę ich tak urządzić, że publika mało się nie udławi ze zdziwienia. Ale tak może się stać pod warunkiem, że wygram, wtedy mogę to zrobić. Gdybym przegrał, będą musieli bić mnie tak długo, aż się już w ogóle nie będę mógł ruszać. Bo jeśli chodzi o ból, sprawa ma, że tak powiem, dwa aspekty. Jeden to, oczywiście, cierpienie. A drugi to strach. O strachu zaś ja wiem więcej niż faceci, z którymi mam się bić. To chyba jedyne, co mogę o nich powiedzieć z całą pewnością.

- Erik, masz źle w głowie. Jak ty się taki stałeś?

- Na betonie, Pierre, na tym cholernym kawałku betonu, na który, jak sam powiedziałeś, nawet ty możesz zostać zmuszony wejść, nie istnieje nic prócz przemocy. Tam nie można się wykpić gadaniem, tam się nie liczy, że masz najlepsze stopnie z co najmniej trzech przedmiotów, czy z ilu ty je masz.

- Ale to i tak jest straszne. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie po twojej myśli.

- Chcę, Pierre, żebyś tam był i patrzył, jak mi idzie.

- Ale ja nie chcę.

- Bo się boisz, że przegram?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Może i przegram, Pierre, ale mimo to chcę, żebyś przyszedł, bo chciałbym wiedzieć, że jest przynajmniej jedna dusza po mojej stronie. Rozumiesz mnie?

- Nie. Jestem po twojej stronie, ale nie chcę na to patrzeć.

- Jesteś tutaj moim jedynym przyjacielem, może jesteś jedyną ludzką istotą w całym Stjärnsbergu, która chciałaby, żebym wygrał. Obiecuj mi, że przyjdiesz. Obiecuj.

- Obiecuję.

- Pod słowem honoru?

- Pod słowem honoru.

- Spotkamy się tam za kwadrans. Teraz chciałbym się przejść i lepiej skoncentrować. No to na razie.

- Trzymaj się, Erik. I powodzenia.

Erik biegał po bitej drodze wiodącej ze Stjärnsbergu w stronę kilku małych miejscowości i dalej do Sztokholmu. Raz po raz przystawał, wymachiwał rękami nad głową, potem pochylał się i opuszczał je nisko do ziemi. Robił po kilka podskoków, unosząc wysoko w górę kolana. Zostało mu jeszcze siedem minut.

Czy od początku wszystko musiało ułożyć się właśnie tak? Czy inne wyjście nie było możliwe? A może to wyłącznie jego wina? Może mógł tego uniknąć, może mógł być jak Pierre, wejść na beton po to, by przegrać najszybciej jak się da, a potem biegać na posyłki dla uczniów czwartej klasy i unikać awantur? Ale teraz już nic z tego, nie udało się, przynajmniej wszelkie tego rodzaju plany przepadły, bo za chwilę będzie musiał zacząć się bić, i to nie tak tylko trochę, nie jakiś policzek i parę szturchańców, by jak najszybciej mieć problem z głowy. Nie, będzie musiał walczyć pełną parą i wcale z tego powodu nie złorzeczył. To absolutnie nie był zły sen. Czuł, że serce bije mu mocno, a krew pulsuje w skroniach, wciągał jak najwięcej powietrza do płuc, zaciskał pięści i unosił je na wysokość oczu, to znowu nimi wymachiwał, jakby wymierzał ciosy, i wszystko wyglądało jak najbardziej realnie. Nie było ucieczki od betonu, za cztery minuty musi się tam stawić. Erik nie może uciec ze Stjärnsbergu, ponieważ jest to jedyna dostępna dla niego szkoła, znalazł się w takiej sytuacji, jakby to był jego kraj, wybuchła wojna i nie było innego wyjścia niż walka z okupantem. Musi. I nie chodzi tylko o ten mus, lecz także o to, że to jedyne słuszne wyjście. Bo czyż nie jest rzeczą słuszną, by owe przekłete gogusie raz wreszcie natrafiły na opór? Czy tamci nie skończą ze swoim obrzydliwym zachowaniem, jeśli sami ostatecznie dostaną baty, bo jest przecież całkiem możliwe, że to Erik wygra, i czy uczniowie z podstawówki na to nie zasługują? Okay, nie powinien tam chodzić tylko po to, by pokazać, że potrafi wytrzymać straszne lanie. Powinien tam iść, by wygrać.

W tempie joggingu pobiegł w stronę kuchennych zabudowań, a ostatnie sto metrów przeszedł normalnym krokiem. Z niszy za jadalnią, gdzie znajdowała się betonowa płyta, słychać było wrzaski i śpiewy, wyglądało na to, że przyszło wielu gapiów.

Kiedy się tam znalazł, wszystko było dokładnie tak, jak opisał Pierre. Kelnerki wychylały się z okien. Licealiści z czwartych klas i

członkowie Rady zajmowali najlepsze miejsca, a trawnik po drugiej stronie wyglądał niczym zbocze góry. Tłoczyli się na nim uczniowie podstawówki. Erik szukał twarzy Pierre'a i dojrzał go na samym końcu tłumy. Pod wpływem nagłego impulsu zaczął się do niego przepychać pośród buczonej i wykrzykującej szyderstwa publiki ze szkoły podstawowej. W końcu stanął przed Pierre'em.

- Trzymaj - powiedział, zdejmując z ręki zegarek i podając go koledze. - Popilnujesz go przez chwilę?

Potem odwrócił się i zszedł po zboczu w stronę betonowej płyty. Kiedy był już prawie na miejscu, wyszedł mu naprzeciw członek Rady, trzymający w ręce laskę ze srebrnymi okuciami.

- Cześć - powitał go. - Jak widzę, przychodzisz na czas. Jestem mistrzem ceremonii, to ja rozpocznę mecz. Stań tutaj i czekaj.

Po czym popchnął go do brzegu betonowej płyty, tak że Erik stał plecami do widzów ze szkoły podstawowej. Jego dwaj przeciwnicy stali na drugim końcu przekątnej, plecami do licealistów.

Mistrz ceremonii wszedł na płytę i unosząc w górę laskę, nakazał ciszę. Wrzaski zamarły natychmiast, tylko tu i ówdzie dały się jeszcze słyszeć pełne napięcia pomruki.

- Oznajmiam - krzyczał mistrz ceremonii - że będziemy świadkami honorowej walki, której reguły niniejszym ogłaszam. Żaden z widzów nie ma prawa nawet tknąć betonu, nigdy, w żadnych okolicznościach. Chodź no tu, Erik!

Erik wszedł na płytę. Publiczność buczała i wykrzykiwała różne wyzwiska.

- Eriku, pasuję cię na szczura ze Stjärnsbergu - ogłosił mistrz ceremonii i uderzył go laską po kolei w oba ramiona.

Wrzask narastał, rymowanki i wyzwiska na temat szczura unosiły się w powietrzu jeszcze długo. Tymczasem Erik ze złościwą

radością i narastającym zdumieniem przyglądał się swoim dwóm przeciwnikom. Żaden z nich nie zdjął sygnetu ani zegarka. Jeden nosił marynarkę. Czyżby naprawdę zamierzał walczyć w takim ubraniu? Obaj mieli na nogach pantofle i przynajmniej u jednego, tego w marynarce, buty miały skórzane podeszwy. Pasek, koszula z długimi rękawami u tego bez marynarki, fajka w kieszonce marynarki u drugiego - czy oni nie traktują poważnie tego, co ma się wydarzyć?

- A oto nasi dwaj wykonawcy kary! - ryknął mistrz ceremonii. Przeciwnicy Erika wkroczyli na betonową płytę i unieśli w górę ręce, jak bokserzy ogłaszający swoje zwycięstwo. Rzucili przy tym kilka radosnych komentarzy w stronę publiki. Wrzaski, wyzwiska i rymowanki na temat, że szczur powinien dostać po pysku, przybierały na sile.

- Mianuję was niniejszym wykonawcami kary - ciągnął swoje mistrz ceremonii, uderzając ich w ramiona laską ze srebrnymi okuciami. - I upominam was, nakazuję wam wykonać dobrą robotę wychowawczą w duchu Stjärnsbergu. Kiedy opuszczę betonową płytę, nikomu nie będzie już wolno na nią wejść i zmagania będą się musiały toczyć dopóty, dopóki jedna ze stron nie wyczołga się stąd na własnych kolanach. Walka może się rozpocząć!

Pełne podniecenia okrzyki wybuchały z nową siłą, mistrz ceremonii zszedł z betonowej płyty i stanął w pierwszym szeregu, przed czwartoklasistami i członkami Rady. Dwaj przeciwnicy Erika unieśli ręce, przyjmując gardę, i wolno ruszyli w jego stronę. On nadal trzymał ręce w kieszeniach i przyglądał się nadchodzącym. Ów nieco niższy i szczuplejszy, bez marynarki, miał długi spiczasty nos, sama skóra i kość. Facet w marynarce był trochę za gruby w pasie, by mógł się zwinnie poruszać. Ale obaj wciąż trzymali gardę niczym bokserzy na fotografii z lat trzydziestych, prawa pięść tuż przed ustami, lewa wyciągnięta przed siebie na tej samej wysokości. Nie wyglądało to za mądrze. To jasne, że żaden z nich nie

umie się bić. W takim razie można ich przestraszyć i wygrać. Ich strach krył się z całą pewnością tuż pod powierzchnią, wystarczy tylko trochę poskrobać. W tej sytuacji było dość naturalne, że spoglądali niepewnie na Erika, który wciąż stał przed nimi z rękami w kieszeniach. Znowu podeszli trochę bliżej, ale nadal znajdowali się za daleko, by rozpocząć wymianę ciosów. Erik czekał, zamierzał realizować swój plan dopiero, gdy znajdą się w zasięgu jego ramion.

- Chwileczkę - zwrócił się do mistrza ceremonii. - Mam prawo do pełnej informacji o zasadach, zanim zaczniemy, prawda? To chyba w porządku?

To, oczywiście, było w porządku, i mistrz ceremonii postąpił kilka kroków w jego stronę, by udzielić mu informacji. Erik czekał, aż zgiełk przycichnie.

- A zatem mogę łać tych facetów tutaj, dopóki obaj nie wyczołgają się z betonu, czy wystarczy, jeśli wyczołga się tylko jeden? - spytał.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a mistrz ceremonii wahał się, co odpowiedzieć.

- Więc... walka trwa dopóki albo ty się nie wycofasz, albo oni obaj tego nie zrobią.

- Świetnie, w takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie - ciągnął Erik i coraz bardziej zniżał głos tak, by widzowie całkiem ucichli.

- Mogę im zrobić dowolną krzywdę? Przetrać rękę czy złamać nos na przykład?

Od tej chwili nie spuszczał wzroku z wykonawców kary. Kiedy mistrz ceremonii, tak jak się Erik spodziewał, powtórzył regułę, że na betonie wszystko wolno i nikt nie ma prawa tu wejść, Erik

natychmiast przejął inicjatywę. Jeszcze bardziej zniżył głos i mówił teraz przez zaciśnięte zęby, choć wyraźnie poruszał wargami tak, by dobrze było te zęby widać.

- Hej, ty tam, z długim nosem. Przetrączę ci ten nos mniej więcej na dwoje. Licz się też z tym, że będziesz miał podartą koszulę i portki w strzępach, chociaż wkrótce się okaże, że musisz stąd wyjechać. Taksówka zawiezie cię do szpitala. A ty, grubasie, jesteś praworęczny czy zwyczajny mańkut?

- Praworęczny - odparł wykonawca kary z narastającą niepewnością w głosie, dokładnie tak, jak można było oczekiwać.

- Dobrze. W takim razie złamię ci lewą rękę tuż przy stawie łokciowym. Zrozumieliście obaj, co powiedziałem?

Tamci zachichotali nerwowo, potrząsali swoimi śmiesznymi gardami, przy czym obaj postąpili krok do przodu i znaleźli się dokładnie w zasięgu ciosu. Erik rozważał, czy powinien kontynuować tę taktykę i ewentualnie od razu zaproponować im, by padli na kolana i wycofali się, zanim zaczęli się bić. Ale byłaby to jawnie nieprzyzwoita propozycja, i gdyby milcząca teraz publiczność zaczęła się zbyt głośno śmiać, załamałby się nastrój, który Erik zdołał wytworzyć. Nie wolno do tego dopuścić.

Praworęczny grubas stał po prawej stronie, odrobinę za swoim kolegą o długim nosie. Nietrudno byłoby uderzyć wysokiego lewym sierpowym po szybkim wyskoku naprzód, ale mało prawdopodobne, by cios trafił prosto w nos, a zatem na niewiele by się przydał. Erik wbił spojrzenie w faceta z długim nosem i wolno wyjmował ręce z kieszeni, tak wolno, by zafascynować przeciwników samym ruchem, a nie atakować, tym bardziej że tamci i tak nie umieją się bić. Erik zrozumiał, że teraz ich ma. Dalej wszystko powinno pójść gładko.

W trakcie tego powolnego wyjmowania rąk ruszył nagle na grubego i precyzyjnie wymierzonym kopniakiem trafił go w podbrzusze - poczuł, że trafił celnie - i kontynuując ruch do przodu, okręcił się niczym dyskobol, by z rozmachem wbić prawy łokieć w twarz wysokiego (lewą dłoń zacisnął na prawej pięści, by uderzyć z maksymalną siłą). Ciężarem ciosu rozbił niepoważną gardę przeciwnika i odwrócony do niego plecami, na zakończenie swojego obrotowego ruchu poczuł, że pod jego łokciem coś głośno chrupnęło.

Potem wrócił do pozycji wyjściowej, by postanowić, co dalej. Gruby stał mocno pochylony do przodu i zawodził, wysoki natomiast pod uderzeniem runął jak długi na ziemię. Erik trafił jednak łokciem za nisko, tuż nad górną wargą zamiast w nos. Czuł pieczenie przy łokciu i zrozumiał, że skaleczył się o zęby tamtego. Jedyne, co docierało od strony publiki, to niepewne wiwaty i oklaski fińskich kelnerek z pierwszych rzędów.

No więc udało mu się tylko w połowie. Trzeba natychmiast ruszać do ataku. Wysoki nie wstanie o własnych siłach tak szybko, wprawdzie nie stracił przytomności, ale jest w szoku i nieustannie bada palcami rozbite wargi. Gruby natomiast był na najlepszej drodze, by odzyskać panowanie nad sobą. Najpierw trzeba się zająć właśnie nim.

Erik skoczył do przodu i wymierzył kilka ciosów od dołu w twarz grubego. Chciał w ten sposób wyprostować przeciwnika i uzyskać większą powierzchnię rażenia. Następnie zadał kilka szybkich ciosów w brzuch, po których tamten zgiął się wpół, zostało więc trochę czasu, by porządnie zdzielić w nos wysokiego, który właśnie zaczynał siadać. Najłatwiej i najprościej byłoby kopnąć go w ten nos, ale Erik wiedział, że to niekorzystne z psychologicznego punktu widzenia. Nie może sobie na to pozwolić, jeśli chce rzeczywiście, żeby to była jego ostatnia bójka na betonie z

wykonawcami kary. Musi więc zrobić to w sposób, który w istocie uznawał za gorszy.

Podszedł do wysokiego, chwycił go za włosy i pchnął z taką siłą na plecy, by ten, padając, uderzył tyłem głowy o betonowe podłoże. Potem przycisnął kolaniem lewą rękę wysokiego i spojrzał w jego przerażone oczy. Górna warga tamtego była rozcięta aż po dziurki w nosie. Buchała z niej krew.

- Mówiliśmy o nosie, prawda? Obiecałem ci go złamać - powiedział dostatecznie głośno, by słyszeli go widzowie na najdalszych miejscach, przeznaczonych dla szkoły podstawowej, po czym kantem dłoni z całej siły uderzył w środek nosa leżącego. Miał wrażenie, że jego dłoń zmiażdżyła chrząstkę i dotarła aż do kości policzkowych. Krew buchnęła strumieniem i zalała twarz wysokiego wykonawcy kary.

Erik odstąpił kilka kroków i czekał, aż wysoki po omacku podniesie się do pozycji, do której podnieść się musi. Na klęczki.

- Dobrze, że już klęczysz. A teraz chcę, żebyś się stąd wyczołgał, zanim stanie się coś jeszcze gorszego.

Erik czuł, że z prawej ręki krew leje mu się ciurkiem. Przednie zęby tamtego musiały mu głęboko rozorać mięsień. Ból i trudności w poruszaniu z pewnością nie pojawią się jeszcze przez dłuższy czas, mógł więc tymczasem uważać, że z tego starcia wyszedł bez szwanku.

- Czołgaj się! Nie słyszysz, że masz się czołgać?

Erik zbliżał się wolno, świadomie wolno, do klęczącego, zszokowanego i dyszącego wykonawcy kary (co, u licha, będzie musiał zrobić, jeśli ten facet nie zechce się czołgać?). Postąpił jeszcze jeden krok w stronę przeciwnika, dostrzegając przy tym kątem oka, że gruby za chwileczkę stanie na nogi. Czas naglił.

- Czołgaj się! Po raz ostatni ci mówię, czołgaj się, bo jak nie, to i tobie złamię rękę!

Wtedy tamten ruszył i po chwili spadł na ziemię tuż przy krawędzi betonowej płyty. Szłochał. Być może dlatego, że szok zaczynał ustępować, a może z upokorzenia. Pewnie też z wolna docierało do niego, że stracił kilka przednich zębów oraz że ma złamany nos. Podeszli do niego koledzy z klasy, wzięli go pod pachy i zaczęli odciągać z placu.

Erik zwrócił się wolno do grubego, znowu włożył ręce do kieszeni i uważnie badał rezultaty swoich ciosów. Na razie było to tylko podbite oko. Ale teraz pojawiało się pytanie, czy naprawdę powinien mu tę rękę złamać. Staw łokciowy jest twardy i żyłasty, a poza tym ból może okazać się tak nieznośny, że facet będzie potwornie wrzeszczał, a w końcu naprawdę straci przytomność. Czy to możliwe, że nawet wówczas jego koledzy nie zareagują? Może lepiej byłoby udawać, że zamierza zrobić, co zapowiedział, i trzymać go kwiczącego z bólu, dopóki tamci nie wpadną na beton i nie położą kresu zmaganiom? Gruby jednak był tak przerażony, że dygotał, wyglądało na to, że można sprawę załatwić w prostszy sposób.

- No cóż - rzekł Erik z udaną łagodnością. - W takim razie twoja kolej. Miałem ci złamać lewą rękę przy łokciu, czy nie tak się umawialiśmy?

Odczekał chwilę, zanim zaczął mówić dalej. Dzielila ich odległość mniej więcej trzech metrów, bardzo dobry dystans dla kontynuacji.

- Odpowiedz, czy nie tak się umawialiśmy? Lewa ręka, bo przecież jesteś praworęczny.

Brak odpowiedzi. Przerażenie sprawiało, że oczy wykonawcy kary robiły się coraz większe, rozbiegany wzrok raz po raz kierował

się w stronę członków Rady i czwartoklasistów. Erik uparcie patrzył mu w oczy, w grupie członków Rady nic się nie działo, wszyscy stali spokojnie. Czy oni są aż tacy okrutni, że naprawdę chcieliby zobaczyć, jak Erik będzie ich koledze wyłamywał rękę ze stawu?

- Odpowiadaj nareszcie, jesteś praworęczny? I wyprostuj się, no już!

- Taaak - wykrztusił gruby ochryple. Znakomicie.

- To będzie bolało, będzie bolało tak strasznie, że nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Będziesz kwiczał jak świnia, cała szkoła to usłyszy, i wszyscy sobie pomyślą, że może my tu zarzynamy jakieś prosię. Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak wielki to może być ból?

Erik zrobił krok naprzód, wciąż z rękami w kieszeniach. W dalszym ciągu nie dostrzegał żadnych znaków, by ktoś z tej milczącej, przerażająco milczącej publiki mógł zaatakować.

- Ale kiedy będą cię wieźli do szpitala, to stracisz przytomność. Potem cię uśpią, zanim zaczną operację.

Erik bardzo wolno zrobił jeszcze jeden krok naprzód. Odległość zmalała do dwóch metrów. Wkrótce znajdzie się w zasięgu ciosu. Z rękami w kieszeniach pochylił się, jak torreador, niby to zapraszając do walki. To można zastopować jednym kopniakiem, a potem trzeba zaczynać od nowa. Ale lepiej nie podejmować takiej zabawy, facet musi być jak sparaliżowany, niezdolny do jakiegokolwiek działania.

- Może już nigdy nie będziesz mógł normalnie poruszać tą ręką, bo ja przecież nie wiem, jaki poziom reprezentują chirurdzy w Katrineholmie! A ty wiesz? Odpowiadaj, parszywy draniu, czy chirurdzy w Katrineholmie są dobrzy czy kiepscy?

Przerażenie w oczach tamtego gęstniało. Żadnego znaku, najdrobniejszego drgnienia, które by wskazywało, że może zaatakować. Czas go przycisnąć. Erik nie zniesie dłużej tej sytuacji, a gdyby zaczęła się bójka, to pewnie złamanie ręki przeciwnikowi byłoby nieuniknione.

- Ale możesz jeszcze dostać szansę. Ostatnią szansę. Chcesz?

Teraz drań musi w końcu odpowiedzieć.

- Chcesz dostać ostatnią szansę? Słyszysz, co mówię? Odpowiedź na to pytanie musi brzmieć: tak.

- Taaak...

- Okay, to tak zrobimy.

Erik postąpił jeszcze o krok. Teraz znajdował się w polu rażenia.

- Na kolana i czołgaj się!

Szum wśród publiczności, która dotychczas stała w kompletnej ciszy i żadna krwi czekała, by rzeczywiście zobaczyć to niesłychane, co się ma wydarzyć.

- Klękaj i czołgaj się, zanim doliczę do... Zastanawiał się chwilę. Do trzech to za mało.

- ...zanim doliczę do dziesięciu. Kiedy powiem „dziesięć”, ma cię tu nie być, i to jest twoja absolutnie ostatnia szansa. Zrozumiałeś, co powiedziałem?

- Taaak... ty chamie...

Tamten był bliski płaczu. Niedobrze. To oznacza, że napięcie strachu zaczyna opadać, a w takiej sytuacji można się spodziewać desperackiego zrywu. I co wtedy Erik miałby zrobić? Powoli i metodycznie masakrować wykonawcę kary, aż ten nie będzie już w

stanie się bronić, a potem dać mu jeszcze jedną „ostatnią szansę”?
A jeśli nie...

- Zaczynam liczyć. Raz...

Wtedy zaczęły się te przekłete dopingujące wrzaski. Publika darła się do wykonawcy kary, żeby nie był tchórzem, nie zachowywał się jak szczur, szydziła z niego i obrażała go, nazywając szmata. Prawdopodobnie po to, by zobaczyć, jak Erik złamie mu rękę.

- Dwa...

Podniecenie narastało. Teraz już chyba nikt nie wierzył, że gruby mógłby wygrać. Jak miałby sam pomścić to, co się stało, jak zdoła w pojedynkę wygrać długą i bezwzględną bójkę z kimś, kto jest wprawdzie mniejszy, ale silniejszy i szybszy, a poza tym umie wszystko, czego on nie umie?

- Trzy...

Gruby pełen wahania rozglądał się wokół. Erik niebywale powolnym gestem wyciągnął przed siebie obie ręce, splótł palce i przeciągnął się mocno, jakby dopiero co wstał z łóżka, aż stawy w palcach chrupnęły.

- Cztery...

Wrzaski licealistów stawały się coraz głośniejsze, szyderstwa uczniów szkoły podstawowej ucichły. Maturzyści i członkowie Rady stali w kompletnym milczeniu.

- Pięć...

Czy powinien nadal straszyć grubego? Ten idiota nawet jeszcze nie zaczął klękać. Ale też nic nie wskazywało, że chciałby ruszyć do ataku.

- Sześć...

Co, do cholery, powinien zrobić, kiedy już dojdzie do dziesięciu? Tłuc tamtego lewymi i prawymi sierpowymi po twarzy, aż się przewróci i spadnie z betonu? A co się stanie, kiedy już spadnie? Nie, to się chyba nie liczy, pokonany musi się wyczołgać.

- Siedem...

Dlaczego wymyślił coś tak potwornego? Cóż, niezbędne było działanie, które mogło szybko przerazić przeciwnika, teraz jednak koniecznie musi precyzyjnie zrealizować swoją groźbę, jeśli chce, żeby to naprawdę był jego ostatni raz na betonie. A może to nie jest niezbędne? Może są już wystarczająco wystraszeni, by więcej nie próbować?

- Osiem...

Spojrzał w oczy grubego. Płacz był tuż, tuż. Nieszczęśnik rozbieganym wzrokiem szukał pomocy, której jednak wyraźnie nikt nie zamierzał mu udzielić. Może się mimo wszystko uda...

- Dziewięć...

Lekki ruch, a może raczej drgnienie w okolicy bioder wykonawcy kary. Albo zmusi faceta do wycofania się po dziesięciu, albo też będzie musiał rozpocząć powolne dręczenie. Ale już lepsze takie powolne dręczenie, niż złamanie mu ręki. Zresztą jak się komuś łamie rękę? Najpierw trzeba go przewrócić, a potem kolanem przycisnąć twarz do betonu, tak by przy każdym ruchu twarda, szorstka cementowa powierzchnia rozdzierała mu skórę. Drugie kolano Erik wykorzysta jako podpórkę, na której oprze uniesioną w stosunku do kolana pod kątem prostym lewą rękę grubego. Potem naciśnie tak mocno, by wrzask i kwiczenie wyrwały nareszcie gapiów z obojętności. No, a jeśli nie?

- Dziesięć!

Uniósł ręce. Teraz trzeba tego parszywca przestraszyć ostatecznie i zmusić, by padł na kolana. Wbił spojrzenie głęboko w przerażone oczy przed sobą i zaczął wolno poruszać rękami.

- Nie... nie... nie... - powtarzał zdławionym głosem wykonawca kary. - Ja nie chcę... nie możesz tego zrobić... to głupie, gdybyś...

- Na kolana!

Chłopak opadł na kolana i w tym momencie wybuchnął szlochem. Zwycięstwo było blisko. Uda się, musi się udać.

- A teraz wyczołgaj się stąd. No już!

Wykonawca kary tkwił na czworakach jak sparaliżowany, wstrząsany niepohamowanym płaczem. To nie będzie trwało w nieskończoność. Może pomógłby jakiś kopniak w zadek, niezbyt dotkliwy? Erik lekko kopnął wykonawcę kary.

- Czołgaj się, powiedziałem!

Wśród licealistów podniósł się zgiełk, ale oni wrzeszczeli jeden przez drugiego, że gruby ma się podnieść i walczyć, mają się bić, aż krew poleje się strugą. Nareszcie, nareszcie, nareszcie! Gruby wyczołgał się z betonu! Klęczał przy betonowej płycie, wstrząsany szlochem, którego nawet nie próbował powstrzymać.

Panowała absolutna cisza, którą zakłócał tylko ten płacz. Erik nadal stał na płycie i rozważał, czy powinien teraz szybko przecisnąć się przez tłum tych licealistów, którzy już nigdy więcej nie odważą się go wyzwać na beton. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Istniało wprawdzie niewielkie ryzyko, że się nie uda, ale jakieś ryzyko istnieje zawsze.

Odwrócił się wolno ku czwartoklasistom oraz członkom Rady i ruszył w stronę krawędzi betonowej płyty, przyglądając im się uważnie w całkowitej ciszy. Milczeli naprawdę wszyscy. Czy to mogłoby się udać? Przypuszczalnie tak.

- Wy, którzy chodzicie do czwartej klasy liceum i wy, członkowie Rady, bardzo lubicie bić nas, uczniów podstawówki.

Tu zrobił niezbędną pauzę.

- Czy są wśród was dzisiaj jacyś kolejni wykonawcy kary? Najlepiej, gdyby to było dwóch zdrowych członków Rady.

Erik wpatrywał się w tłum z dobrze udawanym gniewem. Przedstawienie nie powinno trwać zbyt długo. Bo gdyby tak, to praktycznie mógłby wymusić zgłoszenie się dwóch kolejnych przeciwników. Jeśli jednak potrafi dobrze odmierzyć czas, będzie czekał tak długo, jak trzeba, a potem po prostu odejdzie, to chwyt powinien zadziałać prawidłowo. Bo kto by się potem przejmował gadaniem, że „właściwie trzeba było tam pójść i dać temu chamowi, na co zasłużył”?

Liczył w duchu do dziesięciu i jednocześnie koncentrował się tak, by zachować maskę prawdziwego gniewu.

Następnie odwrócił się z pogardliwym prychnięciem i odszedł. Słyszał, jak za jego plecami ciszę zastępuje narastający wrzask.

Z prawej ręki nadal ciekła mu krew i w ranie zaczynało boleśnie pulsować. Prawdopodobnie rozcięcie było bardzo głębokie; tamten musiał mieć półotwarte usta w momencie uderzenia, pewnie wciąż stoi i szuka wybitych zębów, a rozcięta warga pali go okropnie.

Erik wrócił do swojego pokoju po spodenki kąpielowe i ręcznik. Na pływalni nie było żywego ducha. Oczywiście. Wszyscy uprawnieni do korzystania z basenu, członkowie Rady i maturzyści, a także członkowie szkolnej ekipy pływackiej, poszli oglądać, jak Erik będzie masakrowany przez tamtych dwóch; którzy jeszcze nigdy nie napotkali oporu.

Zielona tafla wody trwała bez ruchu. Erik stanął na słupku startowym i przyglądał się basenowi. Z małego palca prawej ręki kropla krwi spłynęła do czystej wody, rozpuściła się w niej i zniknęła. Erik w zamyśleniu dotknął lewą ręką rany. Okazała się dość głęboka, może należałoby to zszyć? Poza tym tkwiło w niej coś ostrego. Palcem wskazującym i kciukiem wyjął jakiś drobny przedmiot i przyglądał mu się zdumiony. Nie było wątpliwości, to niemal nienaruszony przedni ząb. Trzymał go przez parę chwil na rozpostartej dłoni, potem rzucił daleko przed siebie do basenu i patrzył, jak wirując w przezroczystej wodzie, opada na dno. Następnie z okrzykiem wskoczył do wody i pierwsze sto metrów pokonał w wariackim tempie.

Znowu poczuł się tak, jakby pływał w Pałacu Sportu, jakby chciał być w jakimś miejscu po to, by nie być w innym. Nie było żadnej radości w tym pływaniu, jak przy morderczym treningu, toteż szybko ogarnęło go zmęczenie.

Po wyjściu z basenu rana nadal krwawiła. Koledzy mówili mu przecież, że po każdej rozprawie na betonie pielęgniarka dyżuruje w gabinecie. Chyba nie wysłała jeszcze tamtych dwóch do szpitala? Może powinien pójść do nich i... wyjaśnić. Nie prosić o wybaczenie, ale właśnie wyjaśnić.

W tej samej chwili, gdy otworzył drzwi do gabinetu pielęgniarskiego, odrzucił ten pomysł. Wykonawcy kary nie przyszli do siostry sami, było z nimi trzech czy czterech kolegów, i kiedy Erik przekroczył próg, zrobiło się zupełnie cicho. Jeden z wykonawców kary, ten grubszy w marynarce, siedział na krześle i pielęgniarka zszywała mu rozcięty łuk brwiowy. On poddawał się temu odchylony w tył i do drugiej połowy twarzy przyciskał worek z lodem (czyżby siostra aż tak starannie szykowała się do bójki, że nawet woreczki z lodem czekały gotowe?). Wyższy, ten z rozbitym nosem, leżał na zielonej kozetce, na twarzy miał białą, teraz

nasiąkniętą krwią gazę. Wyglądało, jakby płakał. Przypuszczalnie szok zaczynał ustępować.

Na podłodze w dalszym ciągu było mnóstwo krwi i jeden z trzecioklasistów usiłował ją wycierać.

- Aha - powiedziała siostra głośno, choć bez wyraźnej wrogości. - Oto mamy tego, który uważa, że moich chłopców trzeba odsyłać do szpitala we Flen.

Erik wpatrywał się w podłogę i milczał. Nie było powodu, by odpowiedzieć kpina, ale nie było też powodu, by się tłumaczyć. Trzecioklasiści gapili się na niego wytrzeszczonymi oczyma; nietrudno zgadnąć, o kim rozmawiano, zanim tu wszedł.

- Nooo - ciągnęła dalej pielęgniarka, wciąż z tą zdumiewającą łagodnością, bez cienia złości. - Co cię do mnie sprowadza?

- To - odparł Erik, pokazując łokieć. - Chyba trzeba tu założyć ze dwa szwy.

- Zobaczmy - rzekła siostra i pincetą ujęła gazik nasączony spirytusem. - No tak, to możemy zszyć. Do takich spraw nie potrzeba chirurga, jeśli pan pozwoli.

- Pewnie że nie. Wystarczy jeden czy drugi szew i kawałek plastra.

- Tylko że wyszło mi dzisiaj więcej środka znieczulającego, niż myślałam - poinformowała siostra niemal wesoło.

- Niech siostra szyje tego skurczybyka bez znieczulenia - syknął jeden z trzecioklasistów.

- Pewnie - potwierdził Erik i wbił wzrok w mówiącego. - Niech siostra szyje bez znieczulenia.

- Proszę bardzo - odrzekła pielęgniarka i przygotowała, co trzeba.

Erik wciąż patrzył trzecioklasiście w oczy i kiedy siostra po raz pierwszy przecięła skórę nad łokciem, na jego wargach pojawił się zdyscyplinowany uśmiech.

- Dzielny chłopaczek - pochwaliła pielęgniarka. - Teraz założymy drugi szew. Jesteśmy gotowi?

Podczas zakładania drugiego szwu trzecioklasista odwrócił wzrok i Erik skonstatował, że reakcja widzów była dokładnie taka, jakiej się spodziewał. Tylko czemu mogłoby to służyć?

- No, to gotowe, miło było cię poznać. Chociaż przeczuwam, że jeszcze się spotkamy - oznajmiła starsza pani i zdecydowanymi ruchami zalepiła ranę dużym plastrem.

- Przyjdź do mnie za kilka dni, to zobaczymy, jak długo będziesz musiał te szwy nosić.

- A co z nim? - spytał Erik, wskazując głową leżącego na zielonej kozetce.

- A ja myślałam, że to akurat wiesz - prychnęła pielęgniarka po raz pierwszy nieco ostrzejszym tonem. - Stracił trzy zęby, warga rozcięta tak, że mogłam ją tylko znieczulić, i nos, który trudno będzie poskładać do kupy. Jesteś zadowolony?

- Nie. Nie jestem. Zębów i wargi nie było w planie, za pierwszym razem nie trafiłem. Ale z drugiej strony, i tak mu się udało, bo ma całą rękę, chociaż tego też nie żałuję. Dziękuję za pomoc i do zobaczenia, siostro.

Idiotycznie to zostało powiedziane, pożałował, zanim jeszcze znalazł się za drzwiami. Gdyby w pokoju nie było tych trzecioklasistów, to mógłby wytłumaczyć pielęgniarce, że nienawidzi się bić, ale że to cena, którą musiał zapłacić, by nie być znowu ciągnany na beton, i że w sumie to i tak wyjdzie na dobre, mniej będzie zakładania opatrunków i rzadziej taksówki będą wozić

pobitych do szpitala. Skoro jednak oni tam byli, musiał się zgrywać jak najęty, nawet jeśli w jakimś sensie to, co mówił, było prawdą.

Kiedy szedł z basenu w stronę domu, zaczynało zmierzchać. Po drodze minął taksówkę, prawdopodobnie miała zamówiony kurs do szpitala we Flen.

Pierre był już w łóżku, zegarek Erika leżał na biurku. Ale Pierre naturalnie nie spał. Kiedy Erik zapalił lampkę nad umywalką i powiesił kąpielówki, okazało się nawet, że Pierre tylko czeka, by pogadać.

- Czy ty naprawdę byś to zrobił? - spytał cicho.

- Chodzi ci o to, czy bym mu złamał rękę?

- Mhm.

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie wiem. A co inni sądzą? Słyszałeś, co potem gadali?

- Byli absolutnie pewni, że mógłbyś to zrobić. Wszyscy.

- To dobrze, bo w takim razie nie będzie już żadnych spektakli na betonie z moim udziałem. Co ty o tym myślisz?

- No, może nie. Ale słuchaj...

- No?

- Naprawdę mógłbyś to zrobić?

- Powiedziałem ci, że nie wiem.

- Ale ja nie rozumiem, jak można innych ludzi bić w ten sposób. To było takie wyrachowane, niemal inteligentne. Jak można?...

Dalej Pierre się w swoich dociekaniach nie posunął, bo nagle na korytarzu rozległ się tupot i wrzaski, gwałtownymi szarpnięciami otwierano drzwi i ktoś wykrzykiwał rozkazy.

- Znowu nalot - skonstatował Pierre.

W tym momencie szarpnięto drzwi do ich pokoju, zapaliła się górna lampa, na progu stanął wiceprzewodniczący Rady.

- Rewizja! Wszyscy do pokoju dziennego! - ryknął.

Powlekli się we wskazane miejsce razem z innymi uczniami szkoły podstawowej, mieszkającymi na tym korytarzu. Tymczasem członkowie Rady przechodzili z pokoju do pokoju. Wyszarpywali szuflady z biurek, a zawartość wyrzucali na podłogę, wywracali do góry nogami pościel, przeszukiwali szafy, próbowali dotrzeć do wszelkich możliwych kryjówek. W dalszej części korytarza musieli chyba znaleźć u kogoś tytoń fajkowy, a maszynkę do skręcania papierosów u kogoś innego. U trzeciego okruchy tytoniu w kieszeniach. Winnych odprowadzano na bok, by zapisać ich w odpowiedniej księdze. W pokoju Pierre'a i Erika nie znaleziono niczego. Wszystkie ubrania leżały jednak w wielkim stosie na podłodze, na ubrania zostały wyrzucone książki z półek, a na koniec ktoś i na ubrania, i na książki, i na pościel powyciskał z tub pastę do zębów, która wyglądała teraz jak dekoracja tortu.

Po zakończeniu przeszukań Rada nakazała wrócić do pokoi i sprzątać, a jej członkowie pobiegli dalej.

- Dlaczego oni tak zrobili z tą pastą? - zastanawiał się Erik, zabierając się do porządków.

- Żeby nas pognębić, oczywiście. Upokarzają mieszkańców każdego pokoju inaczej, w zależności od tego, jak bardzo tamci się stawiają. My chyba możemy się spodziewać, że naloty na nas będą się powtarzać.

Oczyścili książki z pasty do zębów najlepiej, jak się dało, uporządkowali jako tako półki oraz szafę i poszli spać.

Po chwili drzwi znowu otwarto gwałtownym szarpnięciem. Jak było do przewidzenia, porządek nie został zaakceptowany, i musieli ponownie wyjść z pokoju. Wszystko zostało jeszcze raz wyrzucone na podłogę, i tak to się powtarzało kilkakrotnie. Na koniec Rada przeniosła się do innego budynku, długo jeszcze słychać było dalekie wrzaski.

No więc sam widzisz, co się dzieje, Erik. Członkowie Rady mogą robić z naszym pokojem, co tylko zechcą i kiedy tylko przyjdzie im ochota. Oni nie muszą się obawiać, że im oddasz, bo zostałbyś wyrzucony ze szkoły. Nie ma żadnego sposobu, żeby się bronić przed członkami Rady, z wyjątkiem może obrony na betonie, choć już chyba rozumiesz, że ciebie oni tam ciągać nie będą, tacy głupi nie są. Ale jak, twoim zdaniem, można się bronić przed przemocą, jeśli sam nie możesz przemocy stosować? Ty musisz przecież przestrzegać reguł, a to są ich reguły. Ich reguły obowiązują stąd do Gnesty, tak daleko rozciąga się prawo szkolne, a przeciwko temu prawu nie zrobisz nic tylko dlatego, że będziesz im groził zmasakrowaniem w taki bestialski, tak jest, bestialski, to znaczy zwierzęcy sposób. I tak zresztą nie będziesz w stanie posunąć się do większej przemocy niż Rada, ponieważ to oni mają władzę, oni mają prawo po swojej stronie, i nic ci nie pomoże mówienie, że to chujowe prawo. My, uczniowie szkoły podstawowej, nie możemy go zmienić. Poza tym to będę musiał znaleźć lepszą kryjówkę na papierosy. Nie, nie palę dużo, robię to chyba bardziej dlatego, że jest zabronione niż z prawdziwej potrzeby. W proteście, można by powiedzieć. Na razie mam papierosy przyklejone taśmą pod blatem biurka, ale jeżeli oni będą nam robić takie naloty, to wkrótce je znajdą. Trzeba postępować tak jak ci,

którzy zostali po raz trzeci lub czwarty przyłapani na potajemnym paleniu, będę trzymał papierosy w plastikowej torebce gdzieś w lesie. Do tego zapałki i płyn do płukania ust. Płynu do ust używa się po to, by po wyjściu z lasu nie cuchnąć dymem. Trzeba znaleźć inny sposób na stawianie oporu niż stosowanie przemocy. Muszą istnieć jakieś rozwiązania intelektualne, nie można po prostu katować ludzi, nigdy o tym nie myślałeś?

Mój drogi Pierre, ty chyba sądzisz, że ja jestem jakimś sadystą albo co. Nie wolno ci tak myśleć. Ja wcale nie uważam, że to zabawne zbić kogoś tak, by mu do końca życia zostały ślady na twarzy. Kiedy jechałem tutaj, do tej budy, byłem taki głupi! Wydawało mi się, że biłem się ostatni raz w życiu, no, może nie całkiem ostatni, ale w każdym razie jeden z ostatnich. A potem stało się to, co się stało. Ale co ja mogłem zrobić? Co miałem zrobić na tym betonie? Miałem udawać, że przegrywam po dość solidnym laniu, a potem kulić się pod gradem kpin i szyderstw tłumu i tylko czekać, aż znowu jacyś idioci z trzeciej licealnej wciągną mnie na beton? A co w takim razie miałbym zrobić za drugim razem? Czy ty nie rozumiesz, że tak to przynajmniej uniknę prztyczków, uniknę betonu, uniknę zaczepek i bicia ze strony czwartoklasistów, i to od zaraz. Powiadasz, że członkowie Rady i tak pozostaną, i pewnie masz rację. Jeśli jednak miałbym wybierać między członkami Rady, szefami stołów i czwartoklasistami z jednej strony, a samymi członkami Rady z drugiej, to chyba lepiej się zмагаć z samymi członkami Rady? A poza tym jest jeszcze jedna sprawa, której chyba do końca nie rozumiesz, ponieważ tak mało wiesz o przemocy. Dla członków Rady to też nie byłoby łatwe, chociaż to oni mają możliwości. Bo to, co widzieli na betonie, tkwi w ich głowach. To jest tak, jak w sytuacji, kiedy ci się wydaje, że możesz ćwiczyć biczem uwiązane psa. Oczywiście, że możesz,

dopóki pies znajduje się na uwięzi, ale co się stanie, gdy się urwie? Rozumiesz, o co mi chodzi? Przemoc tkwi w głowach ludzi, a nie, jak ci się być może wydaje, w zaciśniętych pięściach. A jeżeli chcesz znać moje zdanie, to ja myślę, że nie będę się już bił z żadnym facetem w tej szkole. Właśnie próbuję ci wyjaśnić, że według mnie, można używać przemocy po to, by przemocy uniknąć. I niekiedy nawet jest to jedyny sposób.

Wszystko, co mówisz, brzmi przekonująco, Erik, chociaż ja w to do końca nie wierzę. Ty próbujesz stawiać siebie poza całym systemem, jaki panuje w Stjärnsbergu, myślisz, że można wykreślić wszelkie prawa dotyczące prztyczków i usług dla czwartoklasistów. Ale skutek będzie tylko taki, że członkowie Rady zrobią wszystko, co mogą, by ponownie wpędzić cię w pułapkę. No bo zastanów się, gdyby takie pomysły znalazły uznanie wszystkich uczniów szkoły podstawowej, gdybyś nie tylko ty sam buntował się przeciwko usłudze czwartoklasistom czy przeciwko prztyczkom? Nagle mieliby tylu aresztantów i skazanych na karne roboty w soboty i niedziele, że zabrakłoby miejsca w aresztach i cała Rada musiałaby zostawać w szkole, by pilnować tamtych i organizować prace, a tego by chyba jej członkowie nie uznali za zabawne. I gdyby uzbierało się odpowiednio dużo takich, którzy na wszystkie soboty i niedziele zostaliby wpisani do czarnej księgi, a zatem nie byłiby już w stanie płacić żadnej ceny za niesubordynację i mogli pyskować bezkarnie, to system zacząłby się chwiać. To tak jak w Indiach po odzyskaniu niepodległości. No wiesz, Gandhi. A prawda, ty nie czytałeś o Gandhim, ale mogę ci pożyczyć książkę, to zrozumiesz, o co mi chodzi. Krótko mówiąc, jeśli wielu protestuje naraz, to protest może być skuteczny, natomiast samotny rycerz ściągnie tylko na siebie taką masę szykan ze strony członków Rady, że to naprawdę nic nie da. Ani tobie, ani im. To

już lepiej, żebyś porozmawiał z tymi z Przegródki. To znaczy z naszą, wybieraną przez uczniów szkoły podstawowej reprezentacją. Chociaż może tak do końca to oni nie tyle są wybierani, ile raczej nominowani przez Radę. No, w każdym razie Przegródka ma w Radzie dbać o interesy szkoły podstawowej. Wszystko zaczęło się przed paroma laty od tego, że kilku uczniów ze szkoły podstawowej zaczęło składać anonimowe listy ze skargami do małej przegródki wieszaka na czapki przed klasą numer sześć, tam gdzie odbywają się zebrania Rady. Z czasem powstał taki system, pięciu lub sześciu chłopaków ze szkoły podstawowej może przekazywać Radzie skargi na niesprawiedliwe wyroki i tak dalej. Gdyby udało się przekonać tych z Przegródki, żeby powalczyli o zaniechanie na przykład prztyczków, to może mogłoby się udać. Rozumiesz, co mam na myśli? Trzeba stosować inne metody niż przemoc, jeśli się chce walczyć ze skurwysyństwem, i potrzeba wielu małych pionków, żeby się to udało. *United we stand - divided we fall*, jak napisano w godle Ameryki.

Wszystko, co mówisz, Pierre, wydaje się słuszne, ale w ten dziwny sposób, w jaki odpowiada się na pytania z historii lub nauki o społeczeństwie na przykład. Wie się, że to, co się odpowiada, jest uważane za słuszne, ale wie się też, że tkwi w tym jakiś błąd. W pewnym sensie przypomina to też trenera piłki nożnej, który wygłasza długie teoretyczne tyrady na temat rozlokowania graczy; przejść z jednego miejsca w drugie i tak dalej, i to wszystko brzmi słusznie, choć przecież wiadomo, że nie o to chodzi. Problem polega na tym, żeby przebić się naprzód i wstrzelić piłkę do bramki, potrzeba też trochę szczęścia, by mieć odpowiednio dużo okazji do strzelania. Ech, to pewnie kiepskie porównanie, bo ty nie grasz w piłkę. Ale to, co mówisz, Pierre, to tylko i wyłącznie teoria. Brzmi to mądrze i

słusznie, ale żeby mogło funkcjonować, potrzebni są ludzie, którzy się zbuntują, a potem jeszcze trzeba, żeby na przykład nie byli tchórzami. Albo żeby nie myśleli, że mogą więcej wygrać, jeśli dadzą sobie spokój, bo wtedy nie ma o czym gadać. W gangu, do którego należałem, wszyscy byli moimi kumplami, myślałem, że każdy stanie w obronie każdego, bo przecież jesteśmy kumplami. Ale kiedy przyszło co do czego, zdradzili wszyscy jak jeden mąż, każdy zwał winę na innych i walczył tylko o własną skórę. Potrzeba odwagi, żeby się bić, Pierre. I chodzi nie tylko o to, by mieć odwagę wyjść na beton, ważniejsze jest, by być też absolutnie pewnym, że się ma rację. Ech, to wszystko wydaje się takie dziwne, sam nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, co myślę. Ale ogólnie to chłopaki są w większości tchórze w sytuacji, kiedy mają się zdecydować, czy po prostu trzymać z najsilniejszym, robić dobrą minę i unikać kłopotów, nadskakiwać mu i zapewniać, że są kumplami.

Następny dzień w szkole zaczynał się podwójną lekcją gimnastyki. Przez pierwszą godzinę klasa trenowała starty w biegach sprinterskich oraz zmianę pałeczki w sztafecie. Trening był metodyczny i zdyscyplinowany. Wszyscy wykonywali tyle samo ćwiczeń. A Berg nie pozwalał sobie na najdrobniejsze nawet żarty z Pierre'a i innych słabych w sporcie. Wszyscy musieli powtarzać kolejne ćwiczenia wielokrotnie. To była różnica w porównaniu z dawną szkołą Erika, w której każde ćwiczenie szybko wyłaniało z grupy najlepszych i eliminowało najsłabszych. Tutaj Erik otrzymał mniej więcej tyle samo technicznych uwag, co inni.

Natomiast na drugiej lekcji wszyscy poszli grać w piłkę nożną, ale nie na boisku, tylko na dużym trawniku. Propozycja wzbudziła zdumienie, a potem entuzjazm. Szkoła podstawowa rzadko mogła tam grać w piłkę. Tosse Berg podzielił klasę na dwie drużyny (tutaj nie wybierano najpierw dwóch najlepszych) i sam stanął w ataku

drużyny Erika. Murawa była wspaniała, dobrze przystrzyżona, miękka, duże płaszczyzny, co znakomicie odpowiadało wadze i szybkości Erika. Wkrótce zauważył, że Berg chce przedrzeć się przez obronę przeciwnika i wykonać ostatnie podanie tak, by to on sam mógł strzelić gola. W pewnej chwili, kiedy Erik wybiegł daleko na prawą stronę i odwrócił się, by podać do Berga, kompletnie mu się to nie udało. Zamiast wybicia łagodnym łukiem na zewnątrz wyszło mu potężne dośrodkowanie. Ale piłka musnęła słupek i wpadła do bramki. Sądząc po pełnych zdumienia reakcjach kolegów, nikt się nie zorientował, że to pomyłka, która jednak zakończyła się bramką. Erik pośpiesznie, bez jednego grymasu, zawrócił ku środkowi boiska. Potem wszystko było już normalnie. Wykonał jeszcze trzy pewne strzały z niewielkiej odległości. Potem, kiedy siedział na trybunie i rozsznurowywał buty, podszedł do niego Tosse Berg. Dopóki wszyscy chłopcy nie odeszli, rozmawiał z nim o jakichś obojętnych sprawach, potem powrócił do tej pierwszej bramki. Czy Erik często strzela takie gole, pytał.

- Ech! - Erik machnął ręką. - To była pomyłka. Powinienem był uderzyć od wewnętrznej strony i podać piłkę do pana magistra, skoro pan stał na wolnym polu. Chociaż ta moja pomyłka wyglądała chyba niekiepsko. Mimo wszystko planowałem inaczej.

- Ja też się zastanawiałem, dlaczego tak to wyszło - powiedział Berg. - Ale od razu widać, że strzelać bramki to ty umiesz.

- W porównaniu z innymi mam chyba nie najlepszą technikę, ale zwykle staram się przedrzeć przez obronę i podejść odpowiednio blisko, by nie chybić, a potem to już wystarczy przyłożyć. Nie ma znaczenia, że strzały nie trafiają w okienko, chodzi o to, by trafiały do siatki. U mnie to zawsze jest gol.

- Chciałem ci powiedzieć, że szkolna drużyna trenuje w niedzielne popołudnia. Chyba sam rozumiesz, że będziesz tam mile

widziany, zapraszam. Dobry strzelec to właśnie to, czego nam potrzeba.

- Chyba nie przyjdę. To znaczy, chciałem powiedzieć, że w niedzielę po południu nie będę mógł przyjść. Przynajmniej w tym semestrze tak to wygląda...

- Karne roboty i areszt?

- Mhm.

- Cholernie głupia sprawa. Chcę powiedzieć... że to głupie, by taki strzelec jak ty... nie, to okropnie idiotyczny system. Ale niewiele można na to poradzić. A przy okazji... W środy wieczorem mamy treningi bokserskie, więc gdybyś miał ochotę...

- Nigdy w życiu.

- Tak? A to dziwne. To znaczy, z tego, co się słyszy, to bijesz, jakby koń kopał, więc myślałem, że się poświęciłeś...

- Nie, nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby wejść na ring. To nie ma nic wspólnego ze sportem, no, krótko mówiąc, nigdy bym tego nie zrobił.

- No, no, ale z tego, co słyszałem...

- Zdaje mi się, że wiem, co pan magister słyszał, ale to nie ma nic wspólnego ze sportem. Gdyby pan magister kiedyś widział to, co się dzieje na betonie, toby pan zrozumiał.

- No tak. Każdy ma przecież swoje poglądy. A na co zamierzasz postawić w przyszłości? Na lekkoatletykę, pływanie czy piłkę nożną?

- Sam nie wiem. Najlepszy jestem w pływaniu, ale teraz nie mieszkam w Sztokholmie, a to wielka różnica, jeśli się nie trenuje w klubie. Człowiek trenuje przecież po to, żeby być najlepszym, i ja mógłbym pewnie być najlepszy w dystansach sprinterskich,

gdybym jeszcze kilka lat trenował w klubie Kappis. Ale tak to nie wiem, jeszcze przez parę lat będę rósł, więc naprawdę trudno powiedzieć.

- Mhm. W przyszłym tygodniu mamy mistrzostwa szkolne w pływaniu. Zamierzasz startować na krótkich dystansach?

- Nie wiem. To nie jest specjalnie dobry pomysł, żeby wygrywać, kiedy nie ma odpowiednio przygotowanych przeciwników. Człowiek czuje się w jakiś sposób zażenowany.

Tosse Berg westchnął i usiadł obok Erika, mrużył oczy pod słońce i wyglądało na to, że się głęboko zastanawia, zanim znowu coś powie. Wciąż byli na boisku sami.

- Wiesz, Erik... Ja trenowałem w tej szkole lekkoatletów i piłkarzy przez co najmniej pięć lat i, podobnie jak większość ludzi, wierzyłem, że wykonuję dobrą robotę, a w każdym razie się staram. Ale kiedy tak się chodzi po tych boiskach, to człowiek nie potrafi przestać myśleć, że może któregoś pięknego dnia objawi się tutaj prawdziwy talent. I nagle przychodzisz ty ze zdolnościami, co do których pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jakie naprawdę są wielkie. I ten twój temperament, który sprawia, że jesteś w stanie wygrywać na ostatnich metrach. Nie, porozmawiamy o tym innego dnia, powinieneś tylko wiedzieć jedno: otóż możesz przyjść do mnie zawsze, kiedy coś się dzieje. No, w każdym razie jeśli chciałbyś o tym porozmawiać. Oto moja ręka, kiedy jesteśmy sami, mam na imię Tosse, w obecności innych jestem magister, jak zwykle. Okay?

Uścisnęli sobie dłonie. Dwie rybitwy szybowały wolno nad boiskiem piłkarskim.

- I jeszcze jedno, Erik, wystartuj w tych zawodach pływackich. I wygraj! Te głupki powinny cię zobaczyć. Obiecujesz mi to?

- Okay, obiecuję. Dwa dystanse na pewno, może trzy.

- Żadne może, wystartuj w trzech. Obiecuj!
- Obiecuję.

Aresztanci i skazani na karne roboty w sobotę rano o godzinie szóstej zebrali się na Kaxis przed dwoma dyżurnymi. Kaxis to była szkolna palarnia, dwupoziomowa betonowa płyta. Pośrodku niższej i większej znajdowała się mniejsza platforma, umieszczona jakieś trzydzieści centymetrów wyżej. Tam zbierali się palący czwartoklasiści i członkowie Rady; inni uczniowie, którym wolno było palić, zajmowali niższy poziom.

Jeden z dyżurnych szefów zajął się aresztantami, których przyszło pięciu czy sześciu, i poprowadził ich marszowym krokiem do budynku szkolnego, gdzie mieli zostać zamknięci, każdy w swojej klasie. Przedtem jednak zostaną poddani rewizji osobistej, pozbawieni niedozwolonej literatury, a szkolna sala będzie dokładnie przeczesana w poszukiwaniu jakichś ukrytych przedmiotów rozrywki. Za literaturę dozwoloną uznawano obok Biblii takie książki, które albo są podręcznikami szkolnymi, albo można wykazać ich związek z kształceniem zainteresowanego. Spanie w areszcie było zabronione. Raz po raz wpadały kontrole i śpiący aresztant mógł zostać skazany na kolejną sobotę-i-niedzielę.

Wśród skazanych na karne roboty, nadal stojących na Kaxis, panował nastrój przyPOCHLEBIANIA się i lizusostwa. Chodziło o to, żeby dostać jak najlepszą pracę. A dobra praca to na przykład gracowanie alejek czy strzyżenie trawników. Nie wymaga to wielkiego wysiłku, a poza tym można to robić powoli, zabijać czas. Zła praca to na przykład kopanie rowów drenażowych wokół boiska do piłki nożnej czy też okopów w szkolnej strzelnicy lub rozbudowywanie schronów na tejże strzelnicy. To prawdziwe karne roboty, ciężkie, a poza tym rezultat da się dokładnie wymierzyć w metrach. Można oczywiście tego rodzaju prace wykonywać w

systemie akordowym, ale zależało od dyżurującego nadzorcy, czy wyznaczy pracę możliwą do wykonania, czy też ten akordowy przydział będzie taki, że całej niedzieli nie starczy, żeby się wyrobić. Decydujące dla tego, jaką pracę się dostanie, było zachowanie zainteresowanego. Ci bowiem, którzy się podlizywali i pajacowali przed członkami Rady, dostawali lżejsze zajęcia. Ci, których uznawano za pyskatych, musieli wykonywać prawdziwe karne roboty, prace ciężkie i beznadziejne.

System stał się jasny, jeszcze zanim dokonano pierwszych przydziałów. Erik nie miał najmniejszych złudzeń i dokładnie tak, jak oczekiwał, dopiero kiedy wszyscy inni odeszli już do wyznaczonych zajęć, wiceprzewodniczący Rady zwrócił się do niego i nakazał mu iść za sobą. Doszli do piaszczystego placyku na końcu toru strzelniczego.

Nadzorca narysował na ziemi kwadrat i wyjaśnił, że należy tu wykopać dół, dokładnie dwa metry na dwa i dwa metry głębokości. Po południu będzie inspekcja. Miara i szpadle znajdują się w szopie. Zatem jeszcze raz: dwa metry na dwa i dwa metry głębokości, nic innego, nie metr osiemdziesiąt pięć na dwa metry i pięć centymetrów. Zrozumiano?

Piasek był sypki, kopało się źle, wszystko razem zabrało aż cztery godziny z kilkoma tylko krótkimi przerwami. Erik pomyślał sobie, że przecież można to potraktować jako trening wytrzymałościowy i kondycyjny. Trzeba było jednak stawać raz z jednej strony, raz z drugiej, żeby jakieś mięśnie za bardzo nie zeszywniały i żeby czegoś z jednej strony nie naciągnąć. Zawody pływackie wyznaczono na środę. Musiał przynieść siekiere, by wycinać grube korzenie sosnowe, oraz żelazny drąg do podważania największych kamieni. Żeby wytaszczyć kamienie, których nie był w stanie podnieść, musiał najpierw poszerzyć dół z jednej strony, wytoczyć je po skośnym boku, a potem znowu naruszoną ścianę zrekonstruować i wygładzić tak, żeby były dokładnie dwa metry.

Najpierw nie wpuścili go do stołówki na lunch, bo był za bardzo spocony i brudny, ale zdażył jeszcze przy drugim dzwonku, kiedy drzwi ponownie zostały na chwilę otwarte.

Po lunchu zabrał ze sobą książkę o Gandhim, żeby poczytać podczas oczekiwania na inspekcję. Zdażył jednak przeczytać zaledwie kilka stron. Gdy wiceprzewodniczący Rady przyszedł w towarzystwie przewodniczącego Bernharda i sekretarza oraz dwóch członków, Erik wstał, pozbierał narzędzia i ustawił je pod drzewem. Podczas inspekcji wciąż trzymał w rękach szpadel.

- No, no - pochwalił wiceprzewodniczący po wyjściu z wykopu.
- Wygląda na to, że wszystko się zgadza, Erik. Dobra robota.

Wiceprzewodniczący podszedł i poklepał Erika po ramieniu, uśmiechając się przyjaźnie. Musiało jednak być coś fałszywego w tej jego życzliwości, bo reszta grupy inspekcyjnej chichotała za plecami przełożonego.

- A wiesz, jaką pracę teraz dostaniesz do wykonania?
- Tego oczywiście nie wiem - odparł Erik, nie przeczuwając nic złego.
- Otóż będziesz musiał „oczywiście” zasypać ten dół z powrotem. Te kamienie też umieścisz na dawnym miejscu, żeby tu nie było bałaganu. Inspekcja za dwie godziny.

Erik miał wrażenie, że patrzy na film, który przesuwa się przed jego oczyma. I widział, że na tym filmie on, Erik, unosi szpadel wysoko w górę, a potem z całej siły wali nim w kark wiceprzewodniczącego, obcina mu ucho. Słyszał głucho uderzenie i miał takie samo uczucie, jakby uderzył szpadlem w pień sosny o grubej korze. Na tym jego filmie wiceprzewodniczący zatoczył się do tyłu i runął na bok. Połamane okulary wirowały w powietrzu. Z ziejącej rany w głowie wyglądał biały tłuszcz spod rozciętej skóry i obnażone kości czaszki. Pokazała się krew. Niemal w tym samym

momencie, gdy wiceprzewodniczący upadł, na ziemię spadły pierwsze krople, a potem jucha buchnęła wielkim strumieniem.

Erik zaciskał dłonie na stylisku szpadla i wyteżał wzrok, jakby stracił zdolność wyraźnego widzenia. W rzeczywistości stał nieporuszony, nawet nie drgnął. I trwał tak przez cały czas, gdy rozchichotani członkowie Rady czekali, że się mimo wszystko odezwie. On jednak nie powiedział nic, nie był w stanie wydobyć głosu z krtani. W końcu tamci sobie poszli.

Erik usiadł na ziemi i wyciągnął przed siebie ręce, palce rozczapierzył. Widział wyraźnie, że drżą. Czyżby przytrafiło mu się coś w rodzaju krótkiego spięcia? Czy byłby w stanie to zrobić? Czy był blisko zabicia człowieka z czystej głupoty, i co to za bariery gdzieś w jego wnętrzu sprawiły, że ciało nie podażyło za mózgiem, kiedy ten unosił szpadel i uderzał nim z całej siły?

Kilka godzin później dół był zasypyany i dokonano nowej inspekcji. Tym razem było już wiadomo, na czym polega gra, i Erik postanowił, że nie odezwie się ani słowem ani nie zrobi żadnej miny, gdy padnie jedyny rozkaz, jaki w tej sytuacji mógł paść:

- Jednak musimy mieć tutaj wykop, dlaczego więc nie w tym samym miejscu? Wykop powinien mieć dwa metry na dwa oraz dwa metry głębokości...

Do wieczora Erik zdążył zasypać dół, wykopać nowy i ten też zasypać. A wtedy nie był już w stanie pójść na pływalnię. Wziął tylko prysznic i zasnął, nawet nie zdążył porozmawiać z Pierre'em o Gandhim.

§6

Prawo palenia tytoniu ma uczeń, który skończył 17 lat i przedstawił zaświadczenie swojego opiekuna prawnego, ze-

zwalające mu palić. Zaświadczenie opiekuna prawnego należy przedłożyć do rejestracji u wiceprzewodniczącego Rady Uczniów i powinno ono być odnawiane na początku każdego semestru. Uczeń, który zostanie przyłapany na paleniu, a nie ma ważnego zaświadczenia, będzie sądzony tak jak każdy inny palący po kryjomu, choćby miał ukończone 17 lat.

§7

Dozwolone palenie może się odbywać jedynie w wyznaczonym miejscu przed szkolną stołówką. Wyższy poziom palarni przeznaczony jest dla uczniów czwartej klasy liceum oraz członków Rady.

Palenie w pomieszczeniach karane będzie natychmiastowym relegowaniem ze szkoły.

Palenie dla uprawnionych może się odbywać w odległości nie większej niż 300 metrów od terenu szkoły. Kładzie się szczególny nacisk na ostrożne obchodzenie się z ogniem na łonie natury.

§8

Za palenie po kryjomu karany będzie każdy uczeń niemający pozwolenia, zarówno przyłapany na gorącym uczynku przez członka Rady, jak i wówczas, gdy podczas przeszukania zostaną u niego znalezione wyroby tytoniowe, przedmioty, które w oczywisty sposób świadczą o paleniu (fajka, paczka papierosów, maszynka do robienia papierosów i tym podobne) lub po prostu dym lub zapach dymu, świadczący o paleniu tuż przed przeszukaniem lub kontrolą Rady.

Za potajemne palenie Rada karze według następujących reguł: za pierwsze przyłapanie grozi jedna sobota-i-niedziela karnych

robót. Drugie przyłapanie oznacza skazanie na jedną sobotę-i-niedzielę robót oraz na jedną sobotę-i-niedzielę aresztu. Trzeci raz oznacza cztery soboty-i-niedziele aresztu. Czwarty siedem sobót-i-niedziel aresztu.

Za piątym razem sprawę przekazuje się do dyrektora. Jeżeli nie zachodzą żadne szczególne okoliczności, dyrektor natychmiast decyduje o relegowaniu ze szkoły.

§9

Rada zasądza karę za potajemne palenie tak jak we wszystkich innych sprawach dyscyplinarnych. Rada powinna więc zachowywać bezstronność przy ocenie dowodów i pozwolić każdemu oskarżonemu na wyjaśnienie przed Radą swojej sprawy.

W wyjątkowych wypadkach wyrok Rady musi sprawdzić dyrektor. Po takim sprawdzeniu dyrektor może bez wysłuchania Rady wyrok zatwierdzić, uchylić lub zmienić. Dyrektor może także zwrócić sprawę Radzie do ponownego rozpatrzenia.

§10

Zgodnie ze szkolną zasadą koleżeńskiego samowychowania młodsi uczniowie powinni obserwować starszych uczniów i uczyć się od nich ogłady oraz dobrych manier. Młodszy uczeń powinien natychmiast podporządkować się uwadze członka Rady lub ucznia czwartej klasy licealnej.

Rada posiada prawo karania za niesubordynację po rozpatrzeniu sprawy.

§11

Uczniom szkoły nie wolno się bratać z personelem usługowym. Surowo zabrania się odwiedzania tego personelu na kwaterach. Jeśli taka wizyta mieć będzie miejsce w nocy lub po zgaszeniu światła, sprawę przekazuje się do decyzji dyrektora.

W takim wypadku dyrektor bada sprawę i natychmiast podejmuje decyzję o wydaleniu ucznia ze szkoły.

§12

Członków Rady wybiera się w powszechnym głosowaniu na kartkach wrzucanych do urny. Przy tym przewodniczący, jego zastępca i sekretarz wybierani są w specjalnym głosowaniu.

Dyrektor wyznacza listę uczniów, którzy mogą być wybierani.

Wybory należy przeprowadzać w październiku, na początku każdego nowego roku szkolnego. Członków Rady można wymieniać.

- W tym całym prawie widzę istotne luki - powiedział Erik.

Poświęcili z Pierre'em parę godzin na rozwiązywanie zadań matematycznych, bo zbliżał się termin pierwszego w tym semestrze sprawdzianu. Erik uważał, że sprawa nie wygląda beznadziejnie, powinien chyba ten sprawdzian zaliczyć.

Potem leżeli każdy na swoim łóżku i wczytywali się w odbite na powielaczu kartki z paragrafami regulującymi działalność Rady.

- Ech, ale oni i tak sądzą, jak chcą, w końcu zawsze mogą powiedzieć, że istnieje taka „praktyka”.

- Ale spójrz tutaj, wyobraźmy sobie, że podchodzi do ciebie jakiś członek Rady i powiada, że chce cię przeszukać. Jeśli się wtedy nie zgodzisz, to naruszasz paragraf, niech no odszukam, który to paragraf, o jest, paragraf dziesiąty, gdzie zostało powiedziane, że młodsi muszą się słuchać. Wtedy jednak możesz zostać ukarany jedynie za niesubordynację, a nie za potajemne palenie.

- Nie, nie, to niemożliwe, bo jak spojrzysz na paragraf ósmy, to widzisz, że tu jest „lub po prostu dym”, więc jeśli nie zgodzisz się na przeszukanie, to powiedzą, że stwierdzili „po prostu dym”, i mimo wszystko cię mają.

- Mhm. Spójrz no jednak tu. Uczniowie czwartej licealnej i członkowie Rady są w paragrafie dziesiątym zrównani. Jeśli więc nie posłuchasz członka Rady, to tak, jakbyś nie posłuchał tylko czwartoklasisty. Nie, dopóki nie skończysz siedemnastu lat, bo w takim razie zawsze mogą powiedzieć, że przeprowadzają u ciebie kontrolę w sprawie palenia, a przeciwko niej nie możesz zaprotestować ani przed nią uciec, bo po kilku takich zachowaniach zostaniesz wyrzucony ze szkoły.

- O cholera, to wygląda logicznie. A paragraf trzynasty jest już naprawdę surowy: „Uczeń, który pobije członka Rady lub po prostu zastosuje przemoc wobec członka Rady, zostanie natychmiast relegowany”. Co oni, do cholery, mają na myśli z tym „po prostu zastosuje przemoc”? Mogę zrozumieć, co to znaczy pobić członka Rady, ale „po prostu zastosować przemoc”? Czy to oznacza na przykład policzek albo fangę w nos, czy co?

- W każdym razie nie ma sensu, żebyś próbował teraz tego dochodzić.

- Oczywiście, i tak przecież ci, którzy napisali prawo, decydują, jak należy je interpretować. Weź no swój plastikowy woreczek, to

pójdziemy schować twoje zapasy i przy okazji potrenujemy potajemne palenie, co ty na to?

Już jednak następnego dnia Erik i Pierre wpadli.

Najbardziej niebezpiecznym momentem, jeśli chodzi o potajemne palenie, jest przetransportowanie do kryjówki papierosów czy fajki i tytoniu. Jeśli się wtedy człowiek natknie na kogoś uprawnionego do przeprowadzenia rewizji, to koniec.

Ważne też, by się dobrze rozglądać, czy czasem któryś z członków Rady cię nie wypatrzył i nie skrada się za tobą. Oni często tak robią, a potem wypadają z ukrycia i łapią delikwenta na gorącym uczynku.

I trzeba zadbać, by po wyjściu z lasu nie pachnieć dymem i nie mieć okruchów tytoniu w kieszeniach. Zapach dymu można zlikwidować dzięki użyciu płynu do płukania ust, najlepiej marki Vademecum. Zdarzało się jednak, że członkowie Rady wachali palce przyłapanego, a potem skazywali go z paragrafu ósmego („lub po prostu dym”). Wystarczy jednak wziąć cienką i dość długą gałązkę sosnową, złamać ją na pół tak, by kora się nie rozerwała, włożyć papierosa między dwie części gałązki jak w szczypcę i w ten sposób ochronić palce przed zapachem dymu.

Erik i Pierre zastosowali wszystkie środki ostrożności, a kiedy wyszli z lasu, natknęli się na dwóch członków Rady. Ponieważ pachnieli obaj płynem Vademecum, tamci uznali, że sprawa jest oczywista. Dlaczego ktoś miałby po obiedzie pachnieć płynem do ust, jeśli nie dlatego, że chciał usunąć z ust zapach dymu? A zatem na następnym posiedzeniu Rady Pierre i Erik zostaną oskarżeni.

Eksperymentowali trochę, jakby tu się pozbyć zapachu Vademecum, i doszli do wniosku, że jeśli żuć korę sosnową, ze względu na smak możliwie najświeższą, to po woni płynu nie zostaje nawet ślad i oddech pachnie zwyczajnie, niczym

konkretnym. Bo przedtem Vademecum zabiło zapach tytoniu. Prawdopodobnie jednak każdy musiał zapłacić swoją cenę za wynalezienie tej sztuczki, bo tym razem zostali uznani za winnych.

Erik był przeszukiwany po trzy, a nawet cztery razy dziennie. Nie tyle dlatego, że członkowie Rady spodziewali się znaleźć przy nim papierosy, ile po to, by zmusić go do słuchania rozkazów. Przypuszczalnie mieli też nadzieję, że w którymś momencie straci cierpliwość i zaprotestuje przeciwko rewizji. Przynajmniej Pierre tak uważał. Po kilku dniach Erik i Pierre odbyli jeszcze jedną wyprawę do kryjówki z papierosami i wtedy, po niespełna połowie semestru w tej szkole, Erik znalazł się w naprawdę krytycznej sytuacji.

Najprościej byłoby, rzecz jasna, w ogóle nie palić. I tak nikt nie zdążył wypalić więcej niż dwa papierosy dziennie, bo to był po prostu kłopot dostać się niepostrzeżenie do kryjówki z plastikowym woreczkiem. Ale o tym Erik i Pierre nie dyskutowali. Wypalali te swoje dwa papierosy bardziej dla zasady niż z dojmującej potrzeby wchłaniania tytoniowego dymu. Poza tym Erik prowadził morderczy trening pływacki, bo szkolne mistrzostwa szybko się zbliżały.

Szczerze powiedziawszy, to raczej trenował na pływalni po parę godzin każdego wieczoru po to, żeby przynajmniej przez ten czas być z dala od szkolnych zasad. W wodzie nie istniała przemoc, nie było członków Rady, nie istniało ryzyko, że zostanie wciągnięty w awanturę. Ale nie było też możliwości, by zaszpanować przed swoją klasą albo przed szkołą podstawową. Chociaż na ogół starał się nie wychylać.

Nie wychylać się znaczyło nigdy ani słowem nie dać do zrozumienia, że przewyższa licealistów w sporcie albo że potrafi się lepiej bić, nie wynosić się, nie mówić, że to oczywiste, iż wygra bez trudu mistrzostwa pływackie, chociaż to było oczywiste do tego

stopnia, że aż krępujące. Kiedy koledzy z klasy go zagadywali, odpowiadał: zobaczymy, będzie ciężko, ale zrobię, co się da, mimo że wygłaszał zwykle kłamstwa.

Klasa jednak okazała się dziwna, trudno się w niej było połapać. Obowiązywały tutaj zupełnie inne reguły społeczne niż w sztokholmskiej szkole Erika, i potrzebował czasu, by zacząć się w tym jakoś orientować. Pierre był najlepszy w klasie ze wszystkich przedmiotów, po nim długo, długo nikt, potem jeszcze długo nikt i w końcu chyba Erik. Paru uczniów prezentowało jawną głupotę i gdyby chodzili do dawnej szkoły Erika, musieliby znosić nieustanne szykany. Tymczasem tutaj nie mieli najmniejszych kłopotów z powodu tego, że prawie nigdy nie znali odpowiedzi na pytanie. Kiedy nauczyciel ich pytał, uśmiechali się i żartowali na inny temat, po czym bez żadnej reprimendy, bez najmniejszej uwagi pytanie było łagodnie kierowane do kogoś, kto potrafił odpowiedzieć. I wydawało się, że fakt, iż nic nie potrafią, nie robi na nich żadnego wrażenia. Było takich w tej klasie pięciu czy sześciu, wszyscy starsi od reszty uczniów, zbliżali się już do wieku palaczy, pewnie dlatego, że siedzieli po kilka lat w każdej klasie.

Jeden z nich to Höken, czyli Sebastian Lilliehöök, który przechwalał się najrozmaitszymi rzeczami, a przede wszystkim tym, że jego rodzina należy do rodów, które mają najniższe numery w Domu Rycerstwa i Szlachty oraz w almanachu szlacheckim. Jego ojciec nie posiadał szczególnie dużego majątku, nie był też ani hrabią, ani baronem, Höken upowszechniał jednak pogląd, że lepiej należeć do rodziny wcześniej wprowadzonej do Domu Rycerstwa i Szlachty niż do późnej, bo siedemnastowiecznej szlachty, składającej się właściwie z nowobogackich, a innymi słowy, łupieżców, którzy zdobyli majątki na toczących się w tamtym czasie wojnach.

Von Rosenschnaabel, Gustaf, był hrabią i ordynatem. Erik nigdy przedtem nie słyszał tego dziwnego słowa, ale bardzo szybko

zrozumiał, że oznacza ono, iż Gurra posiada kilka wielkich zamków w Skanii, które odziedziczy, gdy tylko jego ojciec umrze. Bracia i siostry Gurry nie dostaną nic, bo to on jest pierworodny, czyli najstarszy. Jego ojciec zbliżał się już do pięćdziesiątki, istniała więc nadzieja, że Gurra przejmie te zamki jako stosunkowo młody człowiek. Tymczasem miał skończyć studia i rozsądnie się ożenić, to wszystko.

Erich Lewenheusen (Erich powinno się wymawiać jak Erik) znajdował się mniej więcej w takiej samej sytuacji jak Gurra, nie był szlachcicem, lecz baronem. Höken często na niego napadał, że skoro Lewenheusenowie w ogóle nie zostali wprowadzeni do Domu Rycerstwa i Szlachty, to może wcale nie powinno się ich zaliczać do szlachetnie urodzonych. Mimo wszystko Erich miał odziedziczyć i zamek, i wielkie udziały w przemyśle chemicznym.

Höken, Gurra i Erich trzymali się razem, tworzyli swego rodzaju paczkę. Byli najslabszymi uczniami w klasie, i to ze wszystkich przedmiotów. Höken miał pewne osiągnięcia w piłce nożnej, poza tym jednak ich paczka oddawała się dziwnym sportom, jak strzelanie, szermierka i jazda konna. Wszyscy trzej posiadali konie wierzchowe, które trzymali w stajniach sąsiedniego zamku. Erich często nosił buty do konnej jazdy, czasami nawet szpicrutę pod pachą, i uderzał nią w cholewę buta, by podkreślić to czy owo w konwersacji. Albowiem trzej klasowi arystokraci nie rozmawiali. Oni prowadzili konwersację.

W drugiej stałej paczce klasowej arystokratów nie było. Ale członkowie grupy byli co najmniej tak samo bogaci, może nawet bogatsi niż ci z paczki arystokratycznej. Jeden z nich miał w przyszłości rządzić przemysłem maszynowym, drugi objąć największą w Szwecji fabrykę tekstylną, a ojciec trzeciego był wicedyrektorem Atlas Copco. Czwarty miał dwadzieścia pięć procent udziałów w szwedzkiej części firmy Mercedes Benz.

Bogaci byli oczywiście znacznie mniej zakutymi łbami niż arystokraci. Istniała pewna rywalizacja między obiema grupami, arystokraci nazywali bogatych nuworyszami i filistrami, bogaci zaś odwzajemniali się szlachcicom, twierdząc, że są zdegenerowani.

Wszyscy razem stanowili klasę wyższą w tej klasie szkolnej. Ojcowie innych byli lekarzami, architektami, sędziami oraz biznesmenami prowadzącymi mniej lub bardziej niejasne interesy. W klasie niższej nie powstały żadne szczególne więzi, chłopcy spotykali się ze sobą raczej przypadkowo.

W porównaniu ze szkołą w Sztokholmie klasa była nieliczna i nauczyciele mieli czas dla wszystkich uczniów. Przez większą część lekcji zresztą stali pochyleni nad szlachtą i próbowali z mieszaniną rezygnacji i rozpaczki po raz osiemnasty wytłumaczyć, że „pi” to 3,14, że promień to nie to samo, co obwód, że powietrze nie jest pierwiastkiem, że Zeus i Jowisz to jedno i to samo, że stolica Egiptu nie może się nazywać Stambuł, że parlament to co innego niż rząd (albo że nie istnieje partia polityczna „czerwonogwardzistów”, tym samym więc „czerwonogwardziści” nie tworzą rządu w Królestwie Szwecji) oraz że po roku 1956 nazywanie Żydów złymi żołnierzami jest niedopuszczalne.

Chociaż tempo pracy nikogo nie przyprawiało o zadyszkę, to lekcje były sympatyczne, ponieważ nigdy nie pojawił się podczas nich nawet cień gniewu czy przemocy. Nikogo też w czasie lekcji nie wyrzucano na korytarz. Owo powolne tempo i nieustanne powtarzanie wszystkiego arystokratom bardzo odpowiadało Erikowi, zwłaszcza w odniesieniu do przedmiotów, których w Sztokholmie przez półtora roku nauczał Okoń, w związku z czym Erik przez półtora roku nie uczestniczył w ani jednej lekcji matematyki, fizyki i chemii, miał więc teraz co nadrabiać. Stjärnsberg dzielił się wyraźnie na dwa oddzielne światy. W klasie, wśród nauczycieli, którzy nie tracili panowania nad sobą, ciągle poprawiali błędy, nigdy nie wyśmiewali niewiedzy i nigdy nie karali,

nie zadawali żadnych dodatkowych prac domowych, był jeden świat. Kiedy się jednak wyszło na szkolne boisko, otwierał się świat drugi, w którym rządziła Rada.

Z kolegami klasowymi trudno było nawiązać kontakt. Arystokraci tworzyli grupę dla siebie i wyraźnie dawali do zrozumienia, że to powinna być grupa sama dla siebie. Oni nie mieszały się bez potrzeby z pospółstwem. Klub bogatych też się specjalnie nie mieszał, chociaż jego członkowie nie izolowali się aż tak bardzo. Pośród reszty uczniów panował nastrój wyczekiwania, który niełatwo było rozgryźć.

Niektórzy zdawali się zachowywać tak, jakby byli zbyt wytworni na to, by się z kimś kłócić. I minęło naprawdę sporo czasu, zanim Erik podniósł głos na któregoś z kolegów klasowych. Stało się to pewnego dnia po lekcji gimnastyki. Erik wszedł do przebieralni w momencie gdy Arne, klasowy wesolek, który dawniej uchodził też za najsilniejszego w klasie, stał, poszturchiwał Pierre'a w wałek tłuszczu na brzuchu i zwracał się do niego per „Jumbo”. Erik zaszedł Arnego od tyłu; po drodze zdołał zdławić trzy niedobre pomysły.

- Natychmiast przestań - zażądał, ale starał się, by w jego głosie nie pojawił się gniew.

- Bo jak nie, to co? - spytał ten nie całkiem chyba rozgarnięty Arne.

Odpowiedź nasuwała się sama: bo jak nie, to cię tak zdzieję w łeb, że ci uszy odpadną.

Ale Erik wyhamował i powiedział coś pospolitego, że jak Arne chce kogoś poszturchiwać w brzuch, to niech spróbuje poszturchiwać jego, a sprawa szybko zostanie załatwiona. Po wszystkim Erik był zadowolony. Postanowił przecież, że nie będzie żadnej przemocy między nim a kolegami z klasy.

Chociaż mimo wszystko z tymi kolegami układało się jakoś dziwnie. Często rozmawiali, ukradkiem i jakby ostrożnie, by nie prowokować, że nie powinno się być takim butnym i pyskatym. Reguły są przecież po to, by ich przestrzegać. I trzeba się uczyć słuchać rozkazów. Bo jak inaczej będą rozkazy wydawać, kiedy sami zostaną uczniami czwartej klasy liceum, a potem oficerami rezerwy czy kierownikami przedsiębiorstw?

„Kraj powinno się budować na fundamencie prawa” - cytowali i był to jeden z bardzo niewielu tekstów, które potrafili przytoczyć.

Chyba nic nadzwyczajnego, że nie chcieli z Erikiem rozmawiać o tym, co się stało na betonie. Nie można się temu dziwić. Bo nawet jeśli są teraz bardzo ciekawi, co oczywiście, jak ktoś ze szkoły podstawowej może pierwszy raz wejść na betonową płytę i zwyciężyć, to cała bójka zrobiła tak obrzydliwe wrażenie, że może pytanie o nią też wydawało im się obrzydliwe? Chociaż Erik przypuszczał raczej, że to dla nich zawstydzające, jak naruszenie tradycji albo głośne beknięcie przy stole. A w takim razie musiało im się to wydawać w jakimś sensie chore lub przynajmniej tchórzliwe, na pewno też śmieszne; to tak jakby zawsze kibicować drużynie, która prowadzi w rozgrywkach ogólnoszwedzkich, i od czasu do czasu zmieniać orientację, kibicując własnej, lokalnej drużynie albo na przykład najsłabszej. Oni jednak tego nie robili. Trwali przy tym, kto jest na górze, nawet gdyby sami brali w walce udział i znaleźli się na dole.

- To jest tylko dowód na ich brak moralności - tłumaczył Erikowi Pierre cokolwiek przemądrzale i poprawiał okulary.

Erik nie miał jednak pewności, czy dobrze rozumie, o co Pierre'owi chodzi. A jeśli nawet rozumiał, to nie był przekonany, czy Pierre ma rację. Może to po prostu jest tak, że koledzy z klasy, a przynajmniej z grupy arystokratycznej, wiedzą, że sami zostaną kiedyś licealistami, będą chodzić do czwartej klasy i pewnego

pięknego dnia znajdą się w Radzie (większość członków Rady to arystokraci). Gdyby tak, to czy rzeczywiście byłby to „dowód na ich brak moralności”?

Erik przebrnął przez pierwszy sprawdzian z matematyki ze sporym trudem i dostał ocenę B. On sam był dosyć zadowolony, bowiem już dawno się nie zdarzyło, żeby w ogóle przeszedł jakiś sprawdzian matematyczny z pozytywnym wynikiem. Pierre siedział jednak nad Erikiem przez dobre pół godziny i dowodził szybkimi posunięciami swojego pióra i pięknym charakterem pisma, że jeśli chodzi o dwa pierwsze zadania, to zaszła zwyczajna pomyłka, a z trzecim Erik powinien był sobie poradzić, ponieważ on, Pierre, wbijał mu do głowy właśnie ten typ zadań w ciągu ostatnich trzech dni przed sprawdzianem, i tym samym Erik mógł dostać AB, gdyby się trochę skupił. Erik jednak miał mniej ambitny cel, chciał tylko zaliczyć trzy ściśle przedmioty na zakończenie pierwszego semestru. W drugim semestrze podniesie sobie wymagania dotyczące ocen.

Tymczasem zbliżały się mistrzostwa w pływaniu i Erik się tym martwił. Uczestnictwo w zawodach wydawało mu się żenujące. Przez cztery lata był prawdziwym pływakiem w klubie, więc nie powinien stawać do konkursu z uczniami normalnej szkoły. Jego dawni koledzy z pływalni zaśmiewaliby się do rozpuku, gdyby się o tym dowiedzieli, a trener na pewno by robił ironiczne, może nawet niepozbawione rozgoryczenia komentarze na temat obniżania ambicji.

Nie będzie to honorowa walka.

Poza tym czuć było w powietrzu, że po tych zawodach Erik stanie się jeszcze mniej popularny. W każdej innej szkole w normalnym świecie, gdzie panują jasne zasady rywalizacji, podstawówka uważałaby pewnie, że to fajnie, jeśli ktoś z nich sprął

licealistów. Tutaj jednak było niemal odwrotnie. To nienormalne i przypuszczalnie doprowadzi do nowych awantur.

Na dole w pływalni znajdowała się łupkowa tablica, na której wypisano szkolne rekordy w poszczególnych dystansach. Erik miał jedną sekundę powyżej rekordu na 50 metrów stylem dowolnym, ponad sześć sekund na 100 metrów stylem dowolnym, a rekord na 300 metrów będzie prawdopodobnie mógł pobić z półminutową przewagą, jeśli popłynie całą parą, i to nawet gdyby nie mógł utrzymać dobrego tempa po konkursie na 100 metrów. Nigdy przecież nie było mowy o tym, by miał być kimś innym niż sprinterem.

Ale obiecał Tossemu Bergowi, że wygra trzy dystanse, obietnic zaś należy dotrzymywać, a zatem musi wygrać trzy dystanse, i wszystkie w stylu dowolnym. Nic więcej. Żadnych śmiesznych popisów stylem klasycznym czy motylkowym, które w porównaniu z dawnymi kolegami z Kappis ledwie opanował.

Ale ostatniego wieczoru przed zawodami Tosse Berg zaprosił Erika na obiad do swojego mieszkania na ostatnim piętrze „Wielkiej Niedźwiedzicy”. Po jedzeniu przeszli do gabinetu, żona Berga podała kawę i wyszła, zamykając za sobą drzwi. A zatem Berg czegoś od niego chciał. Najpierw rozmawiali trochę o tym i owym, a to o pucharach Berga, których miał całą kolekcję, a to o przyszłości sportowej Erika. Berg pytał, czy chciałby się poświęcić pływaniu. Erik odparł, że gdyby mógł choć trochę trenować przez te lata, które ma spędzić w Stjärnsbergu, to może potem, kiedy już zacznie liceum w Sztokholmie, udałoby mu się wrócić do klubu. Ale chyba bardzo trudno jest trenować samemu. Co się zaś tyczy lekkoatletyki, to Erik nie sądził, że jest na tyle dobry, by dołączyć do elity. W większości dyscyplin jest właściwie niezły, ale w żadnej z nich nie osiąga szczytów, a to znaczy, że z lekkoatletyką nie powinien wiązać nadziei na przyszłość. Było raczej wątpliwe, by przy swojej dość dużej wadze mógł zejść wyraźnie poniżej

jedenastu sekund na 100 metrów nawet po wielu latach treningu. A po liceum trzeba poświęcać się przede wszystkim zdobyciu wyższego wykształcenia, więc zabawy muszą zejść na dalszy plan.

Berg zgłaszał różnego rodzaju uwagi i zastrzeżenia. Jako dobry pływak i biegacz Erik mógłby na przykład zacząć strzelać z pistoletu, uprawiać szermierkę i konną jazdę. To znaczy zostać pięcioboistą. Szermierkę i strzelanie można przecież trenować w Stjärnsbergu, a później może udałoby się wstąpić do klubu jeździeckiego, który ma konie, trzyma je tu w okolicy, w stajniach sörmlandzkich dworów. A zresztą może i nie byłoby to takie łatwe. Nie, chyba nie - Erik odniósł wrażenie, że teraz Berg doszedł do sprawy, o której chciał rozmawiać - nie, tym snobom Erik najwyraźniej leży na wątrobie. O co tu chodzi? Czy była jakaś awantura z Radą? No i oczywiście te wydarzenia na betonie... Cóż, nauczyciele wprawdzie nie rozmawiają z uczniami o takich sprawach, ale w pokoju nauczycielskim wszystko jest szczegółowo roztrząsane. Pielęgniarka też malowniczo opisała, jak Lelle i jego koleżka z trzeciej licealnej wyglądali po rozprawie. Lelle zresztą jeszcze nie wrócił do szkoły, nadal odbywa rekonwalescencję. Chociaż jeśli chodzi o to, co się właściwie wydarzyło na betonie, to wiadomości krążące wśród nauczycieli są sprzeczne.

Niech to diabli, pomyślał Erik. Czy to możliwe, że Berg chce jedynie sprawozdania ze starcia? Czy tylko o tym chciał rozmawiać?

Ale na szczęście tak nie było. Bo gdy Berg się zorientował, że Erik niechętnie wspomina o betonie, natychmiast zmienił temat i przeszedł do swojej sprawy. Chciał mianowicie, by Erik wystartował na jeszcze jednym dystansie pływackim. Słyszał, jak ci z klubu siedzieli któregoś dnia i liczyli punkty i jak ustalali, że jeden z nich powinien pokonać Erika w punktacji łącznej.

Bowiem za zwycięstwo w każdej konkurencji otrzymuje się 30 punktów, za drugie miejsce 20, a za trzecie 10 punktów. Berg przyniósł kartkę i ołówek.

Gdyby Erik wystartował na trzech dystansach w stylu dowolnym, mógłby uzyskać 90 punktów. Zgodnie z tym, co mówili między sobą członkowie klubu, Lewenheusen z trzeciej licealnej ma szansę na uzyskanie 60 punktów.

Ale w konkursie są jeszcze trzy dystanse: 100 metrów stylem klasycznym, 50 metrów grzbietowym i 50 metrów motylkowym.

Po konkurencjach w stylu dowolnym Lewenheusen może odrobić do Erika 30 punktów. Gdyby jednak Erik wygrał w jeszcze jednej dyscyplinie, to uzyskałby sumę 120 punktów, a to będzie już dla Lewenheusena nieosiągalne, zwłaszcza że jeśli dwaj pływacy zdobywają tyle samo punktów, to decyduje liczba zwycięstw. Żeby nie wiem co robili ci z klubu, to i tak nie uda się Lewenheusenowi zwyciężyć. Rzecz w tym, by Erik zgodził się startować w dodatkowej konkurencji.

No tak, wyliczenia się zgadzają, ale cała ta sprawa wygląda śmiesznie. I czemu właściwie miałyby służyć? W stylu dowolnym Erik osiąga dobre czasy, nie ma się czego wstydzić. Ale na przykład motylkiem na 50 metrów przepłynąć w jakim takim stylu dystans w ciągu 40-50 sekund, nie, to po prostu śmieszne.

Berg przedstawił osobliwe wyjaśnienie. Otóż pewien krewny Lewenheusena przed dwudziestoma laty ufundował puchar przechodni dla najlepszego pływaka w tej szkole. Dlatego członkowie klubu wymyślili, że teraz powinien wygrać właśnie Lewenheusen i dać nauczkę temu, który jest nowy i pyskаты. W rzeczywistości przygotowują zwyczajne oszustwo. A to niedemokratyczne i sprzeczne z duchem sportu. *May the best man win*, prawda?

- Jeśli już o tym mowa, to w tej szkole jest więcej rzeczy niedemokratycznych - wtrącił Erik. - To chyba nie takie dziwne, że oni chcą, by wygrał ich człowiek. Przecież jeśli my z podstawówki walczymy z licealistami w lekkoatletyce, to tylko dlatego, byśmy dostali w skórę. W Stjärnsbergu tak po prostu jest.

- Otóż to! - zawołał Berg z przejęciem i zacisnął pięści. - A to naprawdę nie jest sportowa atmosfera. Dlatego pomyślałem, że można by zrobić wyłom w niechlubnej tradycji, gdybyś ty wygrał, wiesz, o co mi chodzi?

- Zgadza się, chociaż i w tym rozumowaniu jest pewien błąd. Ja przez kilka lat na poważnie trenowałem pływanie, a oni tego nie robili. Co demokratycznego jest w tym, że pływak pokonuje dystans szybciej niż ci, którzy pływakami nie są?

- Dlatego, że jesteś lepszy niż oni, Erik, i dlatego, że ty możesz pokazać im i wszystkim innym, że w sporcie nie wolno oszukiwać i nie można podchodzić do sportu tak, że ten, kto wygrywa, musi się nazywać Lewenheusen. A pomyśl, jak się ucieszą ci ze szkoły podstawowej, że zwycięzcą jest jeden z nich...

- Myślisz, że oni tak uważają?

- Jasne że tak, Erik, jasne, że tak! Sport jest demokratyczny, Erik, nie zapominaj o tym.

- W jakiej kolejności będą rozgrywane zawody na poszczególnych dystansach?

- Najpierw 50 metrów stylem dowolnym, potem 50 metrów grzbietowym, 50 metrów motylkowym, następnie 100 metrów dowolnym, 100 metrów klasycznym i wreszcie 300 metrów dowolnym, czyli najdłuższy dystans.

- W takim razie ja muszę wybrać 50 metrów grzbietowym, 100 metrów klasycznym jest rozgrywane między dwoma dystansami w

stylu dowolnym, a po czymś takim to na 300 metrów można zwyczajnie polec. Styl motylkowy natomiast znajduje się za blisko 100 metrów dowolnym.

- A wygrasz 50 metrów grzbietowym?

- Tak, jeśli wystartuję. Chociaż to nie będzie wyglądało najlepiej.

- Pomyśl jednak, że mimo wszystko damy nauczkę kombinatorom.

I Tosse Berg wyciągnął rękę w ten swój oficerski sposób, silny uścisk, stanowcze spojrzenie. Potem poklepał Erika po plecach i powiedział, że bardzo się cieszy.

- Nie daj się, Erik! Pokaż tym idiotom, że sport nie znosi machlojek.

Okazało się, że Tosse Berg ma rację i zarazem jej nie ma. Już podczas przemówienia dyrektora otwierającego finały rozgrywek wyczuwało się, że wśród pływaków coś się dzieje. Również widzowie chodzący do liceum coś szeptali, coś sobie pokazywali. Srebrny puchar Lewenheusenów został przyniesiony na pływalnię i ustawiony obok trybuny dyrektora, chociaż wręczanie nagród było przewidziane dopiero na zakończenie semestru.

Wyraźny dystans dzielił Erika od pozostałych pływaków ze szkolnej ekipy. On sam zauważył to już podczas kwalifikacji poprzedniego dnia. I już podczas pierwszego dystansu stylem dowolnym, 50 metrów, okazało się, że Lewenheusen zajął drugie miejsce za Erikiem, chociaż był tam przynajmniej jeszcze jeden zawodnik, który powinien był go pokonać. Podobnie zakończył się konkurs stylem grzbietowym. Kiedy Erik dotarł do mety, zobaczył

dwóch zawodników, którzy czekali w wodzie na Lewenheusena i pozwolili mu przepłynąć obok siebie.

Między poszczególnymi wyścigami było po dwadzieścia minut przerwy. Lewenheusen w dalszym ciągu chciał brać udział w każdym z nich, i po jakimś czasie zaczynało to wyglądać dość dziwnie. Lewenheusen bowiem wygrał wyścig motylkiem w stylu, który sprawiał wrażenie czegoś między stylem klasycznym a rozpaczliwą szamotaniną tonącego. Potem powtórzono to symulowanie na 100 metrów stylem dowolnym. Lewenheusen przyплыł drugi. Dwadzieścia minut później pozwolili mu wygrać na 100 metrów klasycznym. Erik widział tylko początek konkurencji, zanim poszedł do łaźni, by nie zeszywnieć przed wyścigiem na 300 metrów.

Żeby w tej sytuacji Lewenheusen mógł wygrać łącznie na punkty, musieliby chyba Erika zdyskwalifikować. Jak mogliby to zrobić? Może na przykład za falstart? Lepiej więc startować demonstracyjnie wolno. Może będą twierdzić, że popełnił jakąś pomyłkę przy nawrotach? Niemożliwe. Jaka będzie punktacja, jeśli Wrede, który wypoczął po 50 metrach stylem dowolnym, wygra 300 metrów, Erik przyплыnie drugi, a Lewenheusen trzeci? Wrede był naturalnie drugi wczoraj przy kwalifikacjach, ale przecież chyba nikt nie wierzy, że mógłby odrobić dwadzieścia sekund straty do Erika. To zresztą i tak by nie wystarczyło dla Lewenheusena. A może oni już dali za wygraną, nie chcą oszukiwać zbyt otwarcie?

Wystartowali bez problemów. Zaraz jednak Wrede narzucił tempo, które Erikowi wydało się w najwyższym stopniu dziwne. Najpierw próbował mu dorównać, szybko jednak zmienił zdanie, postanowił płynąć własnym rytmem. I po 150 metrach Wrede osłabł nagle i został w tyle. Czy aby przypadkiem nie chodziło o to, by Erik dał się wciągnąć w pułapkę, ruszył w morderczym tempie i na pierwszych stu metrach stracił oddech? Najwyraźniej tak.

Kiedy Erik wychodził z basenu, zobaczył sześciu zawodników, którzy pływali sobie, czekając, by kompletnie wyczerpany Lewenheusen mógł zdobyć zaplanowane drugie miejsce. Zatem przeprowadzili swoje oszustwo do końca, ale im się nie udało. Takie świnie.

- No tak! - krzyczał Berg do swojego megafonu. - Oto mamy zwycięzcę w łącznej punktacji i zdobywcę trzech nowych rekordów szkolnych. To Erik, reprezentant szkoły podstawowej.

Zrobiło się niemal zupełnie cicho. Niepewne oklaski dały się słyszeć na trybunie zajmowanej przez uczniów podstawówki.

- Czy mogę prosić o brawa dla zwycięzcy? - wołał Berg.

Ale nadal panowała cisza.

Wtedy Berg stanął na samej krawędzi basenu i zaczął demonstracyjnie klaskać. Przez co najmniej pięć długich niczym wieczność minut klaskał sam. Potem przyłączył się do niego dyrektor.

Erik był już przy wyjściu, gdy zaczęli klaskać również licealiści. Ogarnął go wielki wstyd i zaczął żałować, że tak wystawił siebie, Berga i cały konkurs na ryzyko oszustwa. *May the best man win* - niech to szlag trafi. Tutaj, w Stjärnsbergu, obowiązują inne prawa i inne zasady.

Natychmiast po kolacji Rada zebrała się w klasie numer sześć.

Lewenheusen robił wrażenie śmiertelnie zmęczonego. Erik radośnie wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu, tamten jednak wyglądał na bardzo zajętego swoimi notatkami.

- No cóż, Erik - zaczął przewodniczący Bernhard von Schranz.
- Znowu się spotykamy. Przypuszczam, że wiesz, o co tym razem jesteś oskarżony.

- O niesubordynację, i to wielokrotną, ale to akurat mam w dupie. Jestem też oskarżony o przyłapanie po raz drugi na paleniu i w tej kwestii zamierzam się bronić.

- Nie używaj nieprzyzwoitych słów w obecności Rady. Zwracam ci na to uwagę dzisiaj po raz ostatni.

- Ech, zostawcie już te cholerne brednie i bierzcie się do oskarżania.

- Zanim to zrobimy, musimy najpierw odnotować, że zostałeś skazany na dwie soboty-i-niedziele aresztu za niewłaściwe zachowanie wobec Rady. Czy sekretarz zechce być tak dobry i zapisać, co powiedziałem?

Sekretarz pisał wolno i pedantycznie. Uczesani na mokro członkowie Rady siedzieli w milczeniu z sądową powagą na twarzach, spod której dyskretnie wзираła wrogość. Erik czuł się tak, jakby to on miał przewagę. Tamci są zmuszeni odgrywać sąd, a to narzuca im konkretny rytuał, od którego nie mogą się uwolnić.

- No to jedno załatwione - rzekł przewodniczący. - Teraz przejdziemy do kwestii niesubordynacji. Czy wiceprzewodniczący zechce być tak uprzejmy i przedłożyć sprawę?

Wiceprzewodniczący odnotował „wstępnie”, że przypadek jest niebywale trudny, albowiem mamy tu do czynienia, gdyby trzymać się tylko wykroczeń, które zostały do Rady zgłoszone, z odmową wykonania dwunastu rozkazów czwartoklasistów. Poza tym istnieją „powody, by zakładać”, iż rzeczywista liczba przewin znacznie przekracza liczbę zgłoszonych. Najwyraźniej wielu czwartoklasistów uznało za bezsensowne składanie pisemnych skarg w sprawie. Trzeba mieć na to szczególny wzgląd przy osądzaniu „przestępstw”.

Potem odczytał pisemne meldunki jakie nadeszły do Rady, i oddał głos przewodniczącemu.

- Czy oskarżony chciałby coś powiedzieć w swojej sprawie?

- Nic szczególnego. Jak już wcześniej wyjaśniłem, mam w dupie rozkazy czwartoklasistów i nadal nie będę słuchał waszych poleceń, jeśli nie są tego rodzaju, że muszę, by nie zostać skazany za palenie papierosów po kryjomu zgodnie z postanowieniami paragrafu ósmego, tymi, co to wiecie, „albo po prostu...” i tak dalej. Z zasady nie możecie rozważać ani mieć „szczególnego względu” na to, o co nie zostałem oskarżony. W sumie ja odpowiadam tylko za te oskarżenia, które tu przedstawiono, i chcę, żeby Rada zaakceptowała takie stanowisko.

- Czy Radzie potrzebna jest specjalna narada w odniesieniu do tego szczególnego stanowiska? - spytał przewodniczący.

Rada odbyła pięciominutową naradę specjalną. Kiedy Erika wezwano ponownie, dowiedział się, że Rada zaakceptowała jego stanowisko jako w pełni zgodne z prawem. Można sądzić jedynie sprawy, jakie do Rady wpłynęły. Żaden szczególny wzgląd na cokolwiek innego nie jest możliwy.

- Co wcale nie oznacza - ciągnął dalej przewodniczący - że sprawa jest przez to mniej poważna. Mamy do osądzenia dwanaście przypadków. Słyszałeś sprawozdanie oskarżyciela co do tych dwunastu przypadków. Chcesz się odnieść do nich wszystkich łącznie czy też wolałbyś omawiać je po kolei?

- Nie ma żadnych przeszkód, by zebrać gówno do kupy.

Przewodniczący udawał, że nie słyszy nieprzyzwoitego słowa.

- A zatem - powiedział - czy możemy usłyszeć, jakie jest twoje stanowisko w odniesieniu do owych dwunastu przedstawionych tu przypadków niesubordynacji?

- Oskarżenia są oparte na prawdzie. Już wcześniej wyjaśniałem, że nie będę słuchał żadnego z czwartoklasistów, a to oznacza właśnie, że każdy raport w takiej sprawie może być prawdziwy. Nie znam nazwisk tych ludzi, którzy złożyli na mnie doniesienia, ale wydaje mi się, że znam sytuację, o których mówią. Okay, w tym punkcie przyznaję się do winy. Bierzcie się więc do dzieła i sądźcie.

- Czy Rada jest gotowa podjąć decyzję? - spytał przewodniczący, a członkowie Rady w milczeniu kiwnęli głowami, że tak.

- Zatem Rada skazuje cię na dwanaście sobót-i-niedziel aresztu za odmowę wypełniania rozkazów czwartoklasistów.

Erik powtórzył w pamięci paragraf „... Młodszy uczeń powinien bezwarunkowo podporządkować się uwadze ze strony członka Rady lub ucznia czwartej klasy licealnej...”

Jak dotychczas, wyrok można było zakwestionować. „Uwaga” bowiem powinna dotyczyć „poprawnego zachowania”, wymienianego w pierwszej części paragrafu, a nie biegania na posyłki. Z drugiej strony jednak, już w pierwszej części mówi się ogólnie: „w zgodzie z obowiązującym w szkole duchem koleżeńskieg samowychowania”, a to można interpretować dowolnie. Ponadto druga część paragrafu nie pozostawia wątpliwości:

„Rada posiada prawo do karania za niesubordynację po rozpatrzeniu sprawy”.

Innymi słowy, kto się nie słucha, tego Rada może karać, jak chce. I areszt jest lepszy niż roboty karne, zwłaszcza że kara dla Erika rozciąga się daleko na okres zimowy następnego semestru. To będzie pożyteczne dla studiów. Nie ma więc powodu, by roztrząsać sprawę. Członkowie Rady najwyraźniej tradycyjnie uważają areszt za karę znacznie bardziej dotkliwą, ale to błąd w rozumowaniu. Muszą mieć na myśli te lżejsze karne roboty, które

na przykład można zdobyć pochlebstwem. Natomiast kopanie dołu i zasypywanie go całymi tygodniami byłoby trudne do zniesienia i mogłoby doprowadzić do sytuacji opisanej w paragrafie 13:

„Uczeń, który pobije członka Rady lub po prostu dopuści się przemocy wobec członka Rady, zostanie natychmiast relegowany”.

Areszt zatem jest znakomitym rozwiązaniem. Możliwe, że należałoby trochę ponarzekać, że to akurat taka kara, choć tylko po to, by członkowie Rady trzymali się tego również w przyszłości. Ale może to niepotrzebne ryzyko.

- Zrozumiałeś wyrok? - spytał przewodniczący.

- Jasne.

- Masz jakieś uwagi?

- Nie.

- To dobrze. W takim razie możemy przejść do następnego punktu. Czy oskarżyciel może przedstawić sprawę potajemnego palenia?

Oskarżyciel, czyli wiceprzewodniczący, przekładał przez chwilę swoje papiery, żeby wszystko wyglądało bardziej „sądowo”, zanim odnalazł doniesienie o tym, jak to od Erika i Pierre’a czuć było zapach płynu Vademecum. Erik i Pierre wyszli mianowicie z lasu i czuć było od nich ten zapach, chociaż od obiadu nie minęło więcej niż dwadzieścia minut. Te okoliczności wskazują, że obaj potajemnie palili tytoń, a potem wypłukali usta płynem Vademecum, by usunąć ślady swojego występku. Erik już wcześniej był skazany za potajemne palenie, można go więc uważać za palacza. Pierre Tanguy z tej samej klasy nie jest obciążony wcześniejszym wyrokiem, można więc zakładać, że Erik nakłonił swojego kolegę do współudziału w popełnieniu przestępstwa.

Czy Erik ma coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Owszem, wiele rzeczy. Zostaliśmy przeszukani przez członka Rady, który niczego nie znalazł. Czy w tym waszym protokole są jakieś informacje na temat rezultatów rewizji?

Oskarżyciel „szukał przez chwilę w papierach”, zanim skonstatował, że nie ma żadnych notatek dotyczących przebiegu zajścia.

- To oczywiste, że nie ma - triumfował Erik. - Sami przecież wiecie, że niczego przy nas nie znalazł ten członek Rady, Jönsson, czy jak on się nazywa...

- Jeanson! - przerwał mu przewodniczący.

- ... no właśnie Jönsson czy Jansson, czy jak mu tam, nie znalazł dosłownie nic, nawet jednego okruszka tytoniu. Nie było zapachu dymu, przyborów do palenia, nic a nic. Jedyne, co macie, to jego oświadczenie, że czuć było od nas Vademecum.

- No, no - upomniał przewodniczący. - Do rzeczy. Uznajesz oskarżenie?

- Uznaję? Nie moglibyście się wyrażać bardziej normalnie? To całe małpowanie sądu jest po prostu śmieszne, wcale nie jesteście prawdziwym sądem, bo gdzie w takim razie mój adwokat?

- A zatem przyznajesz się do tego, o co zostałeś oskarżony?

- Nie, nie przyznaję się. Jesteśmy niewinni. Nie możecie traktować jako dowodu tego, że czuć było od nas Vademecum!

- Czy możesz przysiąc, że żaden z was nie palił?

- Ech, przysięganie, że się jest niewinnym, zarzucono już w średniowieczu. To wy musicie udowodnić, żeśmy palili, a jedyne, na czym możecie się oprzeć, to ten zapach Vademecum. To naprawdę po prostu śmieszne. Możecie sobie nosić te wasze pieprzone fryzury, przyczesane na mokro, i możecie sobie

małpować sądowe gadki, a i tak będziecie tylko śmiesznymi pajacami! Udowodnijcie teraz, że paliliśmy, przedstawcie dowody!

- Czy ty myślisz, że my nie wiemy, dlaczego od potajemnych palaczy zawsze czuć Vademecum? Myślisz, że nie mamy z takimi jak wy doświadczenia? A zresztą jak ty sam wytłumaczysz, dlaczego ten właśnie zapach było od was czuć?

- Pierwsze tłumaczenie jest takie, że zapach Vademecum nie pozwala twierdzić, iż od kogoś zalatuje dymem papierosowym.

- W takim razie się przyznajesz?

- Wcale nie. Bo jeśli ktoś wie, że banda kretynów ze złotymi otokami przy szkolnych tarczach zrobiła sobie ulubioną zabawę z prześladowania nas, uczniów szkoły podstawowej, i poddawania nas rozmaitym szykanom, jak tylko się pojawimy na boisku szkolnym... to najlepiej pachnieć Vademecum stale i równo. Wtedy żaden szurnięty albo zatruty własnym paleniem członek Rady nie będzie mógł stwierdzić, że się pachnie dymem. A poza tym są też ludzie, którzy po jedzeniu myją zęby.

- Chcesz więc powiedzieć - podsumował sekretarz, spoglądając znad swoich notatek i tak zwanego protokołu - że używałeś Vademecum po części dla higieny jamy ustnej, a po części jako zabezpieczenia przed rewizją?

- Tak jest, zgadza się. A poza tym chyba nie możecie być tacy głupi, by uważać, że zapach Vademecum to jest ten sam przypadek, który w paragrafie ósmym określono jako „lub po prostu”. Chciałbym też wam przypomnieć, że kiedy pierwszy raz skazaliście mnie za palenie, to przecież musieliście wiedzieć, że miałem przy sobie papierosy z powodu przeoczenia, byłem tu całkiem nowy.

- Tamta sprawa nie ma dla nas teraz żadnego znaczenia, wyrok jest oczywisty - oznajmił przewodniczący.

- Dla mnie ona nie jest bez znaczenia, ponieważ byłem i jestem niewinny. Palenie źle wpływa na kondycję, chyba wczoraj widzieliście, jak Lewenheusen w czasie zawodów pływackich walczył, żeby się nie utopić?

Lewenheusen zrobił ruch, jakby chciał Erikowi odpowiedzieć, ale przewodniczący uciszył go gestem.

- Rada odbędzie naradę specjalną, zaczekaj na korytarzu.

Narada specjalna trwała jedynie dwie minuty. Kiedy Erik wrócił, przewodniczący wygłosił przemówienie:

- Rada podjęła decyzję, którą ci zaraz przedstawię. Najpierw jednak chciałbym cię z największą powagą upomnieć, byś wziął się za siebie. Dorobiłeś się kary, którą będziesz odbywał jeszcze niemal przez cały następny semestr, chociaż jesteś w Stjärnsbergu dopiero od sześciu tygodni. Masz bardzo zły wpływ na uczniów szkoły podstawowej, i to musimy za wszelką cenę powstrzymać, tak więc zarówno dla własnego dobra, jak i dla ogólnej atmosfery w szkole powinieneś się zmienić. W przeciwnym razie nie przewidujemy, byś długo w Stjärnsbergu zabawił. Teraz, kiedy skazaliśmy cię za drugie przyłapanie na potajemnym paleniu, podjęliśmy też dość niezwykłą decyzję. Chcemy ci mianowicie całą karę zamienić na areszt, nie będziemy jej dzielić na areszt i karne roboty. Dostajesz więc dwie dodatkowe soboty-i-niedziele w areszcie. I nie zapominaj, że jeśli wpadniesz jeszcze trzy razy, zostaniesz wyrzucony ze szkoły.

- Zamierzacie więc skazać mnie jeszcze trzy razy za to, że pachnę Vademecum albo za to, że nie pachnę, czy nie tym mi grozicie? Skoro siedzicie tu i udajecie sąd, to pomyślcie też o paragrafie dziewiątym, który mówi, że „Rada powinna działać bezstronnie przy ocenie dowodów i pozwolić każdemu, kto odpowiada przed Radą, w pełni wyjaśnić własną sprawę” i tak

dalej. Może powinniście włożyć na głowy białe peruki, to wyglądałoby jeszcze bardziej komicznie.

- Jeżeli nie będziesz po kryjomu palił, to cię nie oskarżymy, tego możesz być pewien. Ale jeśli będziesz palił, to wpadniesz i czwarty, i piąty raz. Tego też możesz być pewien.

- Jasne. I co za frajda dla tego, który mnie złapie piąty raz, kiedy ja już nie będę miał nic do stracenia! Wtedy zobaczycie, ile jest warta sprawiedliwość. W przeliczeniu na wasze przednie zęby i temu podobne.

Przewodniczący Bernhard obie zaciśnięte pięści położył na stole i przez krótką chwilę wpatrywał się w katedrę, zanim mógł opanować się na tyle, by coś powiedzieć.

- Jeżeli grozisz Radzie podczas rozprawy, to chyba musisz być niespełna rozumu i...

- W takim razie nie możecie mnie sądzić. Nie można sądzić kogoś, kto jest niespełna rozumu, domu wariatów jeszcze nie ma na waszej skali kar. I czy to przypadkiem nie wy mnie groziliście, że skazecie mnie za przestępstwa, których nie popełniłem, tak żebym został wyrzucony ze szkoły?

- Nie, nikt ci niczym nie groził, natomiast ty...

- W takim razie ja też nie groziłem, sprawa jest jasna.

- Rada rozpoczyna naradę specjalną!

Na korytarzu, wśród innych oskarżonych uczniów szkoły podstawowej, Erik powtórzył ostatnią wymianę zdań. Wywołało to takie wybuchy śmiechu i radości, że obradujący członkowie Rady musieli je słyszeć. I bardzo dobrze, bo ich po prostu należało ośmieszyć. Podczas gwałtownych spekulacji na temat, jaki wyrok tym razem Rada wyda, Erik oznajmił, że na zakończenie wyzwie

przewodniczącego i zastępcę na beton. Zostaną ośmieszeni jeszcze bardziej, to jedyny możliwy sposób obrony.

Erik został wezwany na kolejny seans i dostał dodatkowo pięć sobót-i-niedzieli aresztu.

- W takim razie miałbym dwa pytania - powiedział.

- Proszę bardzo, oskarżony może pytać, to należy do jego uprawnień, tylko żeby nie było nowych impertynencji.

- Pierwsze pytanie brzmi, czy w ogóle jest jakiś sens tak się ze mną obchodzić? Ja zamierzam spędzić w tej szkole tylko dwa lata, więc gdybyśmy od razu wyznaczyli odpowiednią liczbę sobót-i-niedzieli, przypadającą na dwa lata szkolne, to uniknęlibyśmy tych śmiesznych rozpraw. Gdybym teraz powiedział „pizda” i „chuj”, gdybym powtórzył te słowa po kilka razy, to moglibyście skazać mnie od razu na dwa lata?

- No, a drugie pytanie?

- Czy mógłbym wyzwąć przewodniczącego i oskarżyciela na beton, na jutro, o ósmej?

Powietrze w sali aż wibrowało od wysiłków członków Rady, by siedzieć spokojnie i wyglądać jak sąd. Przewodniczący, zanim się wypowiedział, zrobił gest, jakby był bardzo zmęczony.

- Odpowiedź na twoje dwa pytania jest następująca: Rada w każdym konkretnym wypadku skazuje jedynie za popełnione wykroczenia. Nie możemy wydawać żadnych generalnych wyroków, to by było niezgodne z prawem. A co się tyczy pytania drugiego, to zadałeś je chyba bardziej żartem...

- Wcale nie, jak najbardziej poważnie.

- ...więc nawet jeśli to nie był żart, tylko jedna z twoich normalnych impertynencji, chcę ci przypomnieć, że uczeń szkoły podstawowej nie może wyzwąć na beton członków Rady.

- Ale mówią, że...

- Już i tak poświęciliśmy ci zbyt wiele czasu. Powiedz zatem, żeby przyszedł Tanguy, teraz kolej na niego.

Erik wyszedł i potwierdził przed zebranymi, że wyzwął przewodniczącego i wiceprzewodniczącego, ale oni nie chcą się stawić. Nietrudno było się domyślić, jak szybko wiadomość o tym rozejdzie się po szkole.

Potem Pierre wszedł do klasy i mimo że nie *przyznał* się do winy, został skazany za pierwsze potajemne palenie na podstawie „albo po prostu” z paragrafu ósmego. Sprawa Pierre’a została odbębniowana w ciągu trzech minut.

Kiedy Erik opanował biurokratyczną rutynę, egzystencja w areszcie zrobiła się niemal przyjemna. Do książek, które wolno było wnosić aresztantom, zaliczano podręczniki oraz Biblię, prócz tego mogli mieć normalne szkolne wyposażenie. Ale przy odrobinie fantazji i pomocy różnych nauczycieli definicję książek, o których można powiedzieć, że są pomocne w procesie nauki szkolnej, dawało się znacznie rozszerzyć. Historię drugiej wojny światowej Churchilla w dwunastu tomach potraktowano jako pomoc naukową, opierając się na zaświadczeniu nauczyciela historii. Do pomocy naukowych, niezbędnych do nauki szwedzkiego, włączono dzieła pisarzy szwedzkich w twardych oprawkach. Utwory pisarzy zagranicznych nie zaliczały się do lektur, jeżeli cudzoziemcy nie byli Norwegami, jak Ibsen czy Hamsun, lub też Finami. Choć w wypadku Väino Linny powstawały wątpliwości, czy Linna nie był komunistą, z którego to powodu powinien być zaliczany do pisarzy niestosownych, podobnie jak niestosowne są teksty pornograficzne.

Terminem „chrześcijaństwo” obejmowano wszystkie religie oraz historię religii. Nawet buddyzm zen.

Pomocą do nauki angielskiego były dzieła znanych pisarzy angielskich, także w wersji oryginalnej, choć to również na podstawie zaświadczenia od nauczyciela. Graham Greene mógł ujść, podobnie jak rozwlekły i trudno zrozumiały Shakespeare (choć dzieła tego ostatniego przynoszone były tylko po to, by drażnić dyżurującego członka Rady) oraz inni znani pisarze angielscy z wyjątkiem tych, których podejrzewano o homoseksualizm.

Pomocą do nauki biologii mogły być nawet relacje z podróży do Ameryki Południowej i Nowej Gwinei, pod warunkiem wszakże, iż napisali je Szwedzi.

Krótko mówiąc, siedzenie w areszcie było nieustającym świętem czytania.

Erik opracował schemat zajęć. Pierwsze godziny, podobnie jak inni, przesypiał, spał rano od szóstej do dziewiątej. Bywał naturalnie raz po raz budzony przez dyżurnego członka Rady, który, czasem już bardzo zły, straszył dodatkowymi karami za złamanie zakazu spania w areszcie, ale nikt się tym nie przejmował.

W ciągu następnych godzin, aż do lunchu, Erik pracował nad matematyką i innymi przedmiotami, w których miał zaległości. Reszta dnia była czystym rozkoszowaniem się lekturą.

Atmosfera wokół niego uległa zmianie, przynajmniej on tak sądził. Od tamtego dnia, kiedy wyzwał na beton przewodniczącego i zastępcę, raz po raz nadarzały mu się szanse wyśmiewania obu sędziów na szkolnym boisku.

- Serwus, szefowie, może skoczmy na beton i wymienimy po parę ciosów? - krzyczał i śmiał się potem głośno, szczerząc

nienaruszony komplet zdrowych zębów. I uczniowie, którzy się akurat znaleźli w pobliżu, wtórowali mu niepewnie.

Nauczyciele żartowali wesoło z jego naukowego zapału oraz pożytku, jaki niesie siedzenie w areszcie, i proponowali, żeby tak całą klasę zamykać na soboty i niedziele, to może by w końcu były jakieś rezultaty. Nauczyciele nie pominęli żadnej szansy, by stanąć po stronie Erika, jeśli chodziło o konflikt z Radą w sprawie, jakie książki można zaliczać do pomocy naukowych, a jakie są zwyczajną rozrywką. W końcu już tylko pisma pornograficzne i utwory angielskich pisarzy, uznanych za homoseksualistów, traktowano jako niedozwolone, a dyżurujący członkowie Rady przestali rewidować ciężką torbę Erika, kiedy wchodził do aresztu.

Zaczynało to wyglądać jak maleńkie pęknięcie w systemie.

Stało się też wyraźnie widoczne, że liczba kończących się masakrą bójek na betonie jest niższa, niż którykolwiek uczeń szkoły podstawowej potrafił sobie przypomnieć. Jakby lanie młodszych kolegów na betonie nie było już tak niezaprzeczalnie męską sprawą.

Ale, rzecz jasna, od czasu do czasu się zdarzało. Pierwszych dwóch bójek Erik nie poszedł oglądać. Miał wrażenie, że odczuwałby po prostu obrzydzenie.

Pewnego razu jednak, pod koniec października, poszedł i stanął wśród publiczności jakby przyciągany jakimś magnesem.

To Lewenheusen, konkurent Erika w pływaniu, i jeden z jego klasowych kolegów mieli złoić skórę chuderlawemu chłopczkowi z piątej klasy podstawówki. Nie było jasne, co delikwent zbroił, krążyły pogłoski, że stawiał się swojemu szefowi stołu i członkowi Rady, Lewenheusenowi właśnie, powiedział podobno, że jeżeli bicie się jest takie zabawne, to on, Lewenheusen, powinien wykorzystać szansę, kiedy Erik wyzwał na beton całą Radę.

A zatem Erik był w jakimś sensie winien temu, co się miało stać. Tak to przynajmniej odczuwał.

Lewenheusen i jego kolega zaczynali delikatnie, stanęli po obu stronach delikwenta i policzkowali go niegroźnie, raz jeden, raz drugi. Szczupły chłopak robił niewiele, by się bronić.

Jak wilk, pomyślał Erik. On zachowuje się tak, jak to czyni wilk, pokazuje zakrwawioną gardziel, żeby napastnicy przestali go gryźć. Ale tutaj to się nie uda. Nigdy. Chłopak nie może się wyczołgać, dopóki nie zostanie pobity wystarczająco, by nie zarobił na miano szcztura, a oni muszą go pobić dostatecznie mocno, by mógł się wyczołgać, Lewenheusen i jego kolega bili niezdarnie i głupio. Kiedy zaczęli uderzać zaciśniętymi pięściami, chybiali lub trafiali krzywo i co drugi raz, mimo że ten, który miał dostać lanie, wcale się nie bronił. W końcu naturalnie ten, który miał dostać lanie, wpadł w desperację, wziął wielki zamach, wycelował w Lewenheusena i trafił, mimo że cios był anonsowany bardzo długo. Wtedy jednak Lewenheusen się wściekł, stracił panowanie nad sobą i zaczął nacierać na tego, który miał dostać lanie, niekontrolowanymi wymachami to z prawej, to z lewej. Ten, który miał dostać lanie, kulił się instynktownie pod ciosami, tak że te trafiały przeważnie w jego ramiona i boki, nie robiąc mu właściwie żadnej krzywdy. W końcu Lewenheusen się zmęczył i do akcji musiał wkroczyć kolega.

Ten, który miał dostać lanie, stał zgięty i pochylony naprzód, kompletnie nieosłonięty, narażony na ciosy. Kumpel Lewenheusena ruszył naprzód, podparł kolanem opuszczoną twarz tamtego, a następnie, kiedy ten, który miał dostać lanie wyprostował się, z całej siły grzmotnął go w brzuch. Ten, który miał dostać lanie, upadł na kolana ze skowytem, ale odmawiał wyczołgania się z betonu. Wtedy podszedł Lewenheusen i zaczął go kopać. Ten, który miał dostać lanie, skulił się tak, że prawie leżał, a Lewenheusen nie przerywał kopania, wykrzykując przy tym oczywiście, jego

zdaniem, wyzwiska na temat tchórzostwa i szczura, i że trzeba się nauczyć, żeby nie pyskować i inne takie.

Wyglądało to jak jakaś straszna korydora, kiedy byk już padł pod ciosami toreadorów, podpitych, grubawych facetów w średnim wieku, a to absolutnie w niczym nie przypominało tego, co niegdyś musiało być marzeniem o walce byków w Sewilli.

W końcu, rzecz jasna, ten, który miał dostać lanie, wyczołgał się z betonu. Specjalnie nie krwawił, Erik w każdym razie nie widział, by tak było, chyba też nie trzeba mu będzie zakładać żadnych szwów. Płakał, ale pewnie bardziej z upokorzenia niż z bólu. Wciąż leżał i szlochał przy betonowej płycie, gdy Lewenheusen w jakimś oszołomieniu zwycięstwem podszedł do krawędzi i stanął na wprost publiczności ze szkoły podstawowej.

- Tak będzie z każdym, kto za bardzo pyskuje, żebyście wiedzieli! - krzyczał triumfalnie. - Jest może ktoś jeszcze, kto...

Lewenheusen rozejrzał się i nagle urwał z miną, jakby chciał sobie język odgryźć. Erik natychmiast podchwycił szansę.

- Tak jest, Lewenheusen! Nareszcie! Ja się zgłaszam! - wrzasnął ze swojego miejsca na tyłach tłumu gapiów podstawówki.

Po krótkiej chwili ciszy wśród zebranych rozległy się pierwsze chichoty. Lewenheusen stał jak skamieniały.

- No! - ponaglał Erik.

Chichot zmieniał się w śmiechy, najpierw pojedyncze, które narastały niczym wzbierająca rzeka w grzmot, huk śmiechu. Nawet ten, który miał dostać lanie, pozbierał się jakoś i też się śmiał, pochlipując.

Erik rozważał, co zrobić. Mógł przecisnąć się przez tłum do Lewenheusena i wejść na beton. Wówczas mogłoby się stać tak, że Lewenheusen poczuje się zmuszony zostać tam, gdzie jest, i jego

kumpel też poczuje się zmuszony zostać. Albo kumpel się ulotni i skończy się na zwyczajnej pyskówce. Istniało jednak również ryzyko, że Erik będzie zmuszony pobić obu. Taka ewentualność budziła w nim gwałtowny sprzeciw. Z wielu powodów powtórzenie poprzedniej walki było niemożliwe. Intuicyjnie wyczuwał, że to byłby błąd.

Innym i, zdaniem Erika, lepszym wyjściem było zmusić Lewenheusena, by się wycofał na oczach publiczności.

- No! - krzyknął jeszcze raz. - Czy się przesłyszałem, czy ktoś tu naprawdę wołał coś o szczurze? Ty też to słyszałeś, Lewenheusen? SZCZUR, który chciał złoić skórę komuś z podstawówki. A więc się zgłaszam, wyzwij mnie, a stawię się natychmiast przy tobie! Pośpiesz się, Lewenheusen, mały szczurku, bo drzę z niecierpliwości!

Śmiech przewalał się ponad głową Lewenheusena. Nawet licealiści byli do tego stopnia bezlitośni, że przedkładali komizm sytuacji nad honor Lewenheusena, i również oni zaczęli się śmiać.

- Ech, do diabła - mruknął Lewenheusen półgłosem, raczej bez przekonania.

I ruszył przed siebie, odprowadzany szyderstwami i wciąż na nowo wybuchającymi salwami śmiechu, wyzwiskami w rodzaju „szczur” i „tchórz”. Erik był bardzo zadowolony. To, co się stało, było o wiele skuteczniejsze niż przemoc. Radę powinno się wyszydzać i ośmieszać, to najlepsze wyjście. Jeśli zbierze się odpowiednio wielu szyderczo usposobionych wobec Rady, to może...

No właśnie, to co się wtedy może stać? Ta idea zdaje się warta poświęceń, przyszło Erikowi na myśl. Jest wiele do zrobienia.

Moim zdaniem, powinieneś ich olać, Erik. Dlaczego właściwie człowiek miałby się przejmować takimi idiotami, dlaczego w ogóle miałby się nimi przejmować ktoś, kto jest w twojej sytuacji? Bardzo sprytne było to, co zrobiłeś z Lewenheusenem, uważam, że to zapewnia ci jeszcze większe bezpieczeństwo. Myślę, że już nikt, dopóki będziesz chodził do tej budy, nie zdecyduje się ciągnąć cię na beton. Unikniesz też wszelkich prztyczków i innych zaczepek w jadalni, a przecież aresztem już cię straszyć nie mogą. Jakoś sobie z tym wszystkim poradziłeś, oczywiście musiałeś zapłacić swoją cenę tym nieustannym aresztem, ale przecież możesz to wykorzystać z pożytkiem dla wykształcenia, przeznaczyć ten czas na naukę, tym bardziej że popołudnia zajmuje ci prawie w całości sport. No i jeszcze to, że nie musisz jeździć do domu, chodzi mi o sprawę z twoim starym i w ogóle.

Spróbuj więc uznać, że tak, jak jest teraz, jest dobrze. Jeżeli będziesz ich nadal prowokował, to oni będą musieli coś z tym zrobić, a wtedy nie wiem, co może się stać. W każdym razie nie warto. Ty jesteś inteligentny, skończysz studia i zostaniesz kimś, podobnie jak ja. A kiedy będziemy dorośli, za kilka lat zaledwie, to sądzę, że nawet nie pomyślimy o tych całych członkach Rady, no, może czasami, ale moim zdaniem, to jest też w jakiś sposób pożyteczne, że ich spotkaliśmy, bo człowiek zyskuje lepszą perspektywę oceny głupoty, kiedy zobaczy coś takiego z bliska. Wtedy sam już taki stać się nie może, w każdym razie ani ty, ani ja. Chociaż przypuszczalnie Höken i ci jego koledzy będą dokładnie tacy sami, kiedy znajdą się już w liceum i później, w dorosłym życiu też. Ale nie ty ani ja, my będziemy intelektualistami w czasie, kiedy oni przestaną już być członkami Rady, chodzi mi o to, że nie będą mogli nikogo prześladować, a wtedy nie będą mieli żadnych szans na to, by wygrać z tobą czy ze mną w konkurencji świadectw na przykład, żeby się dostać na uniwersytet, bo tam liczy się to, co ktoś ma w głowie, lepiej zdane egzaminy, lepsze przygotowanie do pracy. Ważniejsze jest, Erik, żeby wtedy ich pokonać, nie teraz.

Chyba się ze mną zgodzisz? Kiedy będziemy dorośli i już dawno przestaniemy chodzić do tej pieprzonej budy, to nie będzie też żadnych betonów za stołówką. I jak się tak lepiej zastanowić, to nauczyciele także są po naszej stronie. Jak sądzisz, kogo nauczyciele wolą, Hökena i tych jego półgłupków, czy takich jak ty i ja? Oczywiście, to paskudne, że nie reagują na to, co Rada wyprawia. W każdym razie jednak nauczyciele uważają, że życie intelektualne jest najważniejsze, dlatego więc mieliby się mieszać w tę przemoc, na którą i tak nic poradzić nie mogą, bo w Stjärnsbergu jest tak, jak jest. Jasne, to się nie do wszystkich nauczycieli odnosi, ale większość z nich to ludzie tego samego pokroju co ty i ja, albo przynajmniej jacy my będziemy w dorosłym życiu (choć nie wydaje mi się, byśmy kiedykolwiek zostali nauczycielami). Krótko mówiąc, oni zgadzają się z tym, że najważniejsze w życiu są wiedza oraz intelekt, i właśnie dlatego stają po twojej stronie, jak tylko pojawi się najmniejsza sprzeczka na temat, jakie książki możesz zabierać do aresztu. I jestem pewien, że w semestrze wiosennym ty i ja będziemy mogli wychodzić w nocy poza teren szkoły. Nauczyciel biologii nam to załatwi, żebyśmy mogli obserwować wędrowne ptaki i w ogóle. To będzie naprawdę ekstra zajęcie, i będziemy mogli się ubiegać o najwyższe oceny. Nawet pięć kilometrów poza granicę szkoły, jak będziemy chcieli. W ten sposób upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zgadzasz się ze mną?

No nie wiem, i zgadzam się, i nie zgadzam... ciii, co to? Ech, zdawało mi się, że znowu szykuje się nalot, ale widocznie to tylko ktoś szedł do kibla. A tak przy okazji, jakoś dawno nie było nalotu. No, wygląda na to, że chyba mimo wszystko masz rację. Zgadzam się oczywiście z tym, co mówisz na temat, jak to nazywasz, „życia intelektualnego”, że to ono jest najważniejsze. W przeciwnym razie nie chodziłbym do tej budy i trzyma mnie tylko to, że tutaj muszę

skończyć szkołę podstawową, bo do żadnej takiej w Sztokholmie mnie nie przyjmą po tym, co wiesz... Więc chodzę tu wyłącznie dlatego, że dla mnie liceum i uniwersytet są najważniejsze w życiu, i wierzę, że w ogóle tak jest. I jest też oczywiste, że ty i ja zawsze damy sobie lepiej radę na studiach niż taki na przykład Höken i inni członkowie Rady. Ale jak długo mamy na to czekać? Za dziesięć lat będziemy kończyć uniwersytety, tamci też jeszcze nie zdążą opuścić swoich szkół oficerów rezerwy. Do diabła, to będzie dopiero za dziesięć lat! Mówisz tak, jakbyśmy wówczas mogli się w jakiś sposób na nich zemścić czy odegrać, a przecież wcale nie jest pewne, że ich w ogóle spotkamy w naszej przyszłej pracy. No, a poza tym tu chodzi przede wszystkim o dwa najbliższe lata, nie możemy znosić takich prześladowań i rozprawiać o przyszłości, będąc tutaj. To tu są prztyczki, i beton, i naloty, i ten ich sądowy cyrk, więc, moim zdaniem, powinno się ich system zwalczać tu i teraz. Uważam też, że to świństwo ze strony nauczycieli tak się zachowywać, nie przejmować się tym, co się dzieje, i udawać, że niczego nie widzą i nie słyszą, że o niczym nie wiedzą, chociaż kiedy są sami, to o tym rozmawiają. Albo weźmy stołówkę. Żaden dyżurny nauczyciel przy dyrektorskim stole nigdy nie widzi, jak chłopaki obok inkasują prztyczki albo ciosy jednego szwu. Nie zgadzam się, że można widzieć tylko to, co się określa jako „intelektualne”, i udawać, że znęcanie się starszych nad młodszymi nie istnieje. To przecież zwyczajne tchórzostwo. Oni się boją, że krytykując świętego „ducha Stjärnsbergu” mogliby wpaść w kłopoty, ale zamiast się przyznać, że boją się kłopotów, wołają pleść o tym, jakie to sprawy są w życiu ważniejsze. Zresztą my przez cały czas byliśmy zgodni co do tego, że należy walczyć z draństwem, problem polegał tylko na tym, jak. A jeśli poprowadzimy to dalej, chciałem powiedzieć, że jeśli znajdzie się przynajmniej kilku takich, którzy zaczną kpić i szydzić z członków Rady, jeśli będą oni coraz bardziej wyśmiewani, to coś mogłoby się zacząć. Pomyśl, gdyby później znaleźć paru chłopaków, którzy by protestowali przeciwko

prztyczkom na przykład, to nie upłynie wiele czasu, a prztyczki zostaną zlikwidowane. Nie da się przecież zamykać w areszcie wszystkich pyskujących, jeśli będzie ich dużo, i to może być powód, dla którego system zacznie się chwiać. Na początek potrzeba siedmiu, ośmiu takich, którzy by się zaczęli stawiać, pomyślałeś o tym? Można przecież na przemoc reagować biernym oporem. Jak Mahatma Gandhi, bo powinieneś wiedzieć, że przeczytałem tę książkę.

No cóż, prawdziwym Mahatma Gandhim to ty jednak nie jesteś. On miał wspaniałą sprawę, o którą mógł walczyć, mianowicie wolność ojczystego kraju, i dlatego ludzie w Indiach poszli za nim. Ty powiadasz, że jest też dobrą rzeczą walczyć z tym systemem, który mamy, i oczywiście pod wieloma względami masz rację, tak uważam, i tak jest.

Ale nawet jeśli od tamtego spotkania na betonie z Lellem nikogo nie uderzyłeś, to właśnie tamta bójka czyni możliwym, że chodzisz sobie, kpisz z członków Rady, i nawet inni od czasu do czasu się z nich wyśmiewają. U podstaw wszystkiego legła twoja przemoc, a jeśli nadal będziesz to ciągnął, w każdej chwili może znowu wybuchnąć awantura, zapewniam cię. Bo gdyby naszą sytuację porównać z Algierią, o którą się tyle razy kłóciliśmy, to obaj uważamy, że Algieria powinna odzyskać wolność. To jest kraj Algierczyków, nie można o tym zapominać, nawet jeśli oni są komunistami czy czymś takim. A zresztą może stali się tymi komunistami tylko dlatego, że Francja nie chce zwrócić im wolności. Ja wiem, że oni walczą, posługując się przemocą i terrorem, zabijają mnóstwo niewinnych kobiet i dzieci. A jakie będą rezultaty? No, jeśli Francja postanowi odpowiadać jeszcze większą przemocą, to może się to skończyć tylko w jeden sposób. Algierczycy nigdy nie odzyskają wolności, jeśli będą próbowali zwyciężyć Francję przemocą. Powinni się raczej uczyć od Gandhiego. A

dalej to już zupełnie inna sprawa. Krótko mówiąc, uważam, że ty nigdy tutaj niczego nie zdołałeś, w każdym razie ja w to nie wierzę. Musisz pamiętać, że jesteśmy otoczeni przez półgłówków, którzy sami tylko marzą, by zostać członkami Rady. Więc się już więcej nie awanturuj i zostaw wszystko tak jak jest, przecież najgorsze już masz za sobą, nie sądzisz?

Półgłówki tu i półgłówki tam. A to nieprawda. Bo, moim zdaniem, to się odnosi tylko do części, do takich jak Höken i jego tępi kolesie z naszego małego Domu Rycerstwa i Szlachty w ostatnich ławkach. Poza tym jednak większość uczniów tej szkoły nie jest ani głupsza, ani sprytniejsza niż gdzie indziej. To nie w tym tkwi problem. Problem tkwi w tym, że oni wszyscy są tu już wystarczająco długo, by wierzyć, że my, którzy chodzimy do tej budy, stajemy się jakimś twardszym typem człowieka, który lepiej sobie radzi w życiu dlatego, że nas uczą, jak przyjmować ciosy i jak je wymierzać, jak słuchać rozkazów i jak je wydawać, i tak dalej. Większość w to wierzy, a przynajmniej chce wierzyć i boi się oskarżenia o tchórzostwo. A gdyby im tylko pokazać, że można przewyciężyć swoje tchórzostwo i że wystarczy zaledwie kilku, by położyć kres znęcaniu się, można by to załatwić. A ponadto możesz sobie gadać, co chcesz, o Gandhim i o naszej intelektualnej przyszłości. O, cholera jasna, chyba naprawdę znowu nalot. No to, panie Gandhi, wkrótce będziemy stawiać bierny opór, usuwając pastę do zębów z książek i pościeli.

Istniały dwa ważne powody, dla których można było się nie stawić do aresztu lub do robót karnych. Po pierwsze, każdy uczeń miał prawo w niedzielne przedpołudnie iść trzy kilometry do najbliższego kościoła i wysłuchać uroczystej mszy bez względu na to, czy właśnie ma odbywać karę, czy nie. Zwłaszcza wiosną i przy

pięknej pogodzie pobożność była czymś niezwykle atrakcyjnym dla wielu aresztantów oraz skazanych na roboty.

Drugi ważny powód nieobecności któregoś z ukaranych to jego uczestnictwo w ćwiczeniach obrony cywilnej. Stjärnsberg posiadał własny oddział sörmlandzkiej obrony cywilnej, do którego stosunkowo często przybywał na inspekcję pułkownik.

Obrona cywilna dysponowała specjalnymi magazynami, które mieściły się w dwóch czerwonych barakach tuż obok strzelnicy. Przechowywano tam komplet stalowych hełmów z lat trzydziestych z trzema koronami wygrawerowanymi nad czołem, zapas polowych mundurów rozmiar czterdzieści, karabiny, bagnety, granaty ręczne, materiał wybuchowy, zapalniki, buty wojskowe, automaty, w których przeważnie zniszczone mechanizmy się zacinały, oraz dwa pistolety maszynowe z odpowiednim zapasem ostrej amunicji. Był to nadzwyczaj dobrze zaopatrzony magazyn jednostki obrony cywilnej, prawdopodobnie dzięki znajomościom szkoły we władzach wojskowych.

Wśród uczniów szkoły podstawowej stosunek do obrony cywilnej był niejednorodny. Na ogół uważano, że to bardzo męskie strzelać ostrą amunicją z pistoletu maszynowego, ale znowu w tych za wielkich mundurach wyglądało się po prostu śmiesznie, a poza tym obrona cywilna przeprowadzała swoje ćwiczenia w ferie i dni wolne od nauki. Niewielu uczniów podstawówki chciało do jednostki wstępować i dlatego wabiono ich różnymi korzyściami.

Jedną z nich była zgoda na palenie papierosów. To znaczy palenie było dozwolone tylko w czasie, kiedy miało się na sobie mundur, a przybory do palenia, używane podczas ćwiczeń, trzeba było również przechowywać w magazynie. Ale zgoda na palenie oraz fakt, że podczas odbywających się ćwiczeń samoobrony skazani na areszt nie musieli kary odbywać, to główne powody,

dzięki którym udało się sklecić liczący dwadzieścia osób oddział, reprezentujący szkołę podstawową.

A uczniowie tej szkoły byli ważni, ponieważ obronie cywilnej brakowało szeregowych żołnierzy. Licealiści z najwyższych klas, arystokraci i członkowie Rady, którzy należeli do oddziału, z naturalnych powodów powinni pełnić jakieś funkcje, być dowódcami, a nie można być dowódcą, jeśli nie ma kim dowodzić.

To dlatego Bóbr po długich negocjacjach z dyrektorem szkoły i Radą zdołał stworzyć owe specjalne zachęty.

Bóbr był nauczycielem matematyki i wykładał między innymi w klasie Erika i Pierre'a. Przewiska dorobił się z powodu swoich dwóch bardzo wielkich i bardzo sterczących przednich zębów. Na katedrze zachowywał się jakoś niezdarnie, sprawiał wrażenie skrępowanego, ale gdy tylko włożył mundur ze wszystkimi dystynkcjami szefa całego kontyngentu, doznawał takiej zmiany osobowości, że obserwatorom przychodził na myśl Dr Jekyll i Mr Hyde.

Kiedy Bóbr dowiedział się, że i Erik, i Pierre zostali skazani na karne roboty w najbliższych tygodniach, poprosił, by zostali po lekcji, i jął ich przekonywać, by wstąpili do oddziału, przynajmniej na próbę i przynajmniej na czas kary, to znaczy na czas kary Pierre'a.

Propozycja nie wydawała się specjalnie pociągająca, ale nie wypadło tak od razu powiedzieć Bobrowi stanowczego „nie” i w konsekwencji w sobotę o dziewiątej rano znaleźli się obaj przed kwaterą główną. Za kwaterę główną uważano dwa czerwone drewniane baraki, w których mieściły się magazyny.

Siły zbrojne składały się z uczniów szkoły podstawowej, podzielonych na pięć niewielkich oddziałów, przy każdym z nich dowódca, a Bóbr na przedzie. Bóbr wygłosił „informację

wprowadzającą”, tak się to nagle zaczęło nazywać, jakby nie można było po prostu porozmawiać o tym, co się będzie przez cały dzień robiło. Bóbr nie wyglądał za mądrze. Na głowie miał hełm, a przy mundurze pejcz, kiedy chciał coś wyjaśnić, wrzeszczał, pokazywał całą dłonią, a do swoich podwładnych zwracał się per „stary”, nieustannie kłął i wykrzykiwał wulgarne nazwy kobiecych organów płciowych dla podkreślenia tego, co chciał powiedzieć lub wytłumaczyć. Dowódcy z Rady i starszych klas postępowali dokładnie tak samo.

- Powiedz tej cholерnej piździe, niech się wysmarka i spieprza stąd.

- Kurwa, czy ten karabin maszynowy znowu ochujał? - Wleczecie się jak pieprzona banda platfusowatych worków z sianem, do jasnej cholery!

I tak dalej.

Maszerowali wzdłuż i wszerz po szkolnym terytorium, narażając się na ironiczne komentarze uczniów cywilów, których Bóbr raz po raz straszył, że zanotuje ich nazwiska, co było pogroźką kompletnie bezskuteczną. Erik i Pierre wlekli się na samym końcu kolumny i byli wciąż upominani, że idą nie w takt, albo za to, że nie potrafili powstrzymać napadów śmiechu, choć bardzo się starali.

- Tu się, kurwa, nie ma z czego śmiać! - wrzeszczał Bóbr, a już samo to, że Bóbr wykrzykuje takie słowa, wystarczyło, by Pierre dostawał histerycznego ataku śmiechu.

Ćwiczenia strzeleckie na strzelnicy były pod każdym względem lepsze. Obrona cywilna nie posługiwała się normalnymi, używanymi w szkole okrągłymi tarczami strzelniczymi, lecz miała swoje zapasy wojskowych tarcz z dykty, przedstawiających całe postaci ludzkie, postaci od pasa w górę lub tylko same głowy. Między

poszczególnymi ćwiczeniami zarządzano przerwę na papierosa i wtedy uczniowie ze szkoły podstawowej mogli leżeć w trawie obok swoich dowódców i bezkarnie palić, ponieważ byli ludźmi w mundurach.

Każdy przypadek, który należało przećwiczyć, poprzedzał teoretyczny wstęp Bobra przedstawiający możliwy przebieg działań wojennych w razie napadu Rosjan. Rosjanie, którzy mogli zaatakować Norrlandię na północy lub Skanię na południu, będą naturalnie mieć przewagę liczebną. Ponieważ jednak rosyjski materiał ludzki nie znajduje się na tym samym poziomie, co szwedzki, to... i tak dalej. Mniej więcej to samo, co na porannych apelach w sztokholmskiej szkole Erika.

Z tą tylko różnicą, że tutaj na zakończenie każdej partii ćwiczeń należało pobawić się trochę w wojnę. W tym celu dzielono wszystkich na dwie grupy. Jedną to byli „nple”, czyli nieprzyjaciele, to znaczy Ruscy, drugą zaś to Szwedzi. Nietrudno się domyślić, że większość uczniów szkoły podstawowej wchodziła w skład oddziału Ruskich, natomiast Bóbr prowadził licealistów, czyli Szwedów. Były dwa ćwiczenia standardowe. W jednym Szwedzi leżeli okopani na wzgórzu, które miało być szturmowane przez przeważających liczebnie „npli”, oni jednak, nim zdążyli wzgórze zdobyć, wszyscy jak jeden mąż padali trupem od szwedzkich kul.

Drugi przypadek wojenny opierał się na założeniu, że „nple”, czyli uczniowie szkoły podstawowej, mieli znajdować się na biwaku i zostać zaskoczeni przez podstępny atak Bobra i jego ludzi, którzy również i w tej wojennej grze odnosili zwykle wspaniałe zwycięstwo. Wszystko to przypominało zabawę w Indian, tyle że z oszukiwaniem.

Nie te ćwiczenia jednak, lecz dopiero walka na bagnety skłoniła Erika i Pierre'a do wystąpienia z wojska. Wszystkie pozostałe ćwiczenia okazały się w najgorszym razie znośne, tak jak

choćby musztra, czy nawet zabawne, jak strzelanie lub ćwiczenia w posługiwaniu się granatami ręcznymi. Ale ćwiczenia z bagnetami to już było za wiele.

W niedzielne popołudnie oddziały zostały ustawione na boisku do piłki nożnej. Na trzech drewnianych stojakach zawieszono wypełnione sianem worki, które miały wyobrażać wroga. Żołnierze uzbrojeni w mauzery z bagnetami stali w potrójnym szyku w kolejce każdy do swojego worka. Padał uporczywy, drobny deszcz i niebo miało grafitowoszarą barwę.

Przebieg ćwiczenia był dokładnie opracowany. Każdy żołnierz, w hełmie na głowie i wyciągając przed siebie karabin z bagnetem, musiał wydać przeraźliwy ryk, ruszyć naprzód, przebić bagnetem brzuch wroga, a potem jeszcze obrócić bagnet w ranie. Ryk był bardzo ważny. Każdy, kto nie ryczał jak trzeba, musiał powtarzać. To samo, jeśli chodzi o obrót bagnetu w ranie.

Bóbr wyglądał jeszcze bardziej po wariacku niż przedtem, bo twarz pomalował maskującą czarną farbą, a na głowie miał czarną włóczkową czapkę, naciągniętą niemal na oczy. Tylko białka błyskały spod niej raz po raz. Czapeczka była podobna do tej, którą Kirk Douglas nosi w ostatnio pokazywanym sobotnim filmie - w soboty pokazuje się tutaj niemal wyłącznie filmy wojenne - gdzie występuje oddział żołnierzy angielskich, wykonujących wbrew wszelkim okolicznościom niemożliwe zadania daleko na tyłach wroga.

Stał więc Bóbr i wrzeszczał:

- Następna grupa! Bagnety w górę! Aaaatak!

Erik i Pierre stali na samym końcu kolejki i krzywili się z obrzydzenia. Hełm Pierre'a opierał się na okularach, które na dodatek w tym deszczu zaszły mgłą, więc prawie nie widział.

- Kurwa, nie zniosę dłużej tego cyrku, to po prostu za głupie - powiedział Pierre.

- Ani ja. Myślisz, że ten ryk jest naprawdę potrzebny? Przecież chyba nie mamy tych Ruskich przestraszyć na śmierć?

- Nie, ale Bóbr myśli, że tak jest bardziej bojowo. Chociaż Ruscy pewnie by pomarli ze śmiechu, gdyby nas teraz zobaczyli.

Ćwiczenie jednak odbywało się spokojnie, nikt się nie śmiał ani nie żartował. Jeden po drugim chłopcy z wrzaskiem rzucali się naprzód, wbijali bagnety w worek, obracali je dziko z prawa na lewo lub odwrotnie i otrzymywali umiarkowane pochwały od Bobra.

- Dobrze, tylko mocniej. Bardziej bojowo!

Kolejka przed Erikiem i Pierre'em nieubłaganie malała, a deszcz padał coraz bardziej. W końcu przyszła kolej na Erika, tuż przed Pierre'em.

Poprzedni chłopak pochylił głowę, kiedy rzucał się naprzód i z wrzaskiem wyciągał przed siebie bagnet.

- Hurrrra! - ryknął, nie trafił w worek i z całej siły rąbnął w drewniany stojak, który runął na ziemię.

- Hurrrra! - wrzasnął jeszcze głośniej, uniósł karabin z bagnetem, jakby to był żelazny drag, i napierając całym ciałem, przeszył leżący worek, potem parę razy obrócił bagnet, aż wbił go w piasek.

- No, bardzo dobrze. To przynajmniej można nazwać zapalem bojowym - komentował Bóbr niezbyt pewnie, a chłopak, który dokonał tego wyczynu, zadowolony wrócił na koniec kolejki.

Erik ścisnął oburącz kolbę karabinu i zlokalizował wiszący worek jakieś pięć metrów za posypanym żwirem placem. Jakie to

głupie, myślał. Pierre ma całkowitą rację. Gdyby to był żywy Ruski i gdyby sprawa rozgrywała się naprawdę, to może należałoby krzyczeć, ale raczej po to, by pokonać własny strach, bo to przecież dlatego się krzyczy, a nie po to, by „wycisnąć gówno z wroga”, jak sądzi Bóbr. A zresztą kto w rzeczywistości nie potrafiłby wycisnąć gówna z Bobra? Ale żeby się rzucać przed siebie jak idiota, przebijać worek i jeszcze wrzeszczeć przy tym jak oszalały? Czy naprawdę wszyscy w kolejce wykonują to ćwiczenie bez wahania? Czy robią tak, bo wierzą, że trzeba słuchać dowódcy, czy też są tak wyprani z wszelkiej fantazji, że naprawdę poprzez strugi tego deszczu widzą coś innego niż porozrywany już kompletnie worek.

- Nikt tu, kurwa, nie marudzi! - wrzasnął Bóbr. - Następny! Naaprzóóód!

To już przerasta wszystko. Jakiś idiota stoi w deszczu i drze się do drugiego: „Kurwa!”

Nagle Erik zaczął się śmiać. Dziwny nastrój zapanował w szyku za nim i Erik śmiał się coraz głośniejsze.

- Naprzód! - wył Bóbr, ale w jego głosie pojawiła się niepewność.

- Tak, tak, już idę - odpowiedział Erik i spojrzał w stronę worka. Stał jakiś metr od niego i przyglądał mu się.

- Juohuu! - krzyknął, wbił bagnet i przesunął go z dołu do góry, tak że zawartość worka rozsypała się w powietrzu.

- I jeszcze obrót! - komenderował Bóbr.

- Ale po co to, panie magistrze? Niech pan spojrzy na ten worek, to musi chyba być najbardziej martwy worek siana, jaki istnieje.

- Na koniec szyku! - rozkazał Bóbr, Erik poszedł i stanął w kolejce. Na jej początku stał Pierre i wahał się.

- Naprzód! - krzyczał Bóbr.

- Słuchaj rozkazu dowódcy! - zawołał skądś z tyłu któryś z członków Rady.

Ale Pierre stał nadal, nie poruszył się, nie podniósł bagnetu. Erik widział go od tyłu, ale sądząc po postawie, wiedział, że Pierre jest na najlepszej drodze, by odmówić wykonania rozkazu.

- Słuchaj no, weź pod uwagę, że w końcu kiedyś musimy wrócić do domu - apelował Bóbr, zmieniając taktykę.

- Nie - odparł Pierre bardzo wyraźnie. - To poniżej mojej godności - To zbyt głupie, nie zrobię tego.

Bielejące spod czapki oczy Bobra robiły się coraz większe w pomalowanej na czarno twarzy, a sterczące zęby mieniły się ostrą żółcią na tle półotwartych ust. Na koniec się opanował i powiedział, że w wojsku trzeba słuchać rozkazów, więc naprzód, przynajmniej niewielki atak, i Pierre nie musi obracać bagnetu w ranie, jeżeli wydaje mu się to trochę zbyt realistyczne.

- Nie, ja już powiedziałem, co o tym sędzę - odparł Pierre. - Odmawiam wykonania tego ćwiczenia i po prostu sobie stąd idę.

Potem zarzucił mauzera na ramię i zaczął się powoli oddalać. Przez chwilę wszyscy stali w milczeniu i patrzyli na jego plecy, kiedy przemierzał plac.

- Wracaj natychmiast! - wrzasnął Bóbr. - To rozkaz!

Ale Pierre nawet się nie obejrzał. Spokojnie szedł dalej w stronę magazynu.

Leżeli jeszcze długo po zgaszeniu światła i próbowali zrozumieć, w czym to właściwie dzisiaj uczestniczyli. Obecna sytuacja była jasna, Pierre nie może już brać udziału w zajęciach obrony

cywilnej, a Erik naturalnie nie miał ochoty tam pozostawać bez Pierre'a. A poza tym areszt jest znacznie lepszym sposobem na wykorzystanie czasu niż zabawa w wojnę pod dowództwem Bobra. Dlaczego jednak właśnie to ćwiczenie stało się kroplą, która przelała czarę? Chyba nie tylko o to chodzi, że przeszli przez obrzydliwe doświadczenie? Oczywiście że obrzydliwe, kiedy sobie wyobrazić, że bagnet wchodzi prosto w brzuch żywego człowieka, a ty równocześnie wrzeszczysz jak oszalały. Gdyby to miało być na poważnie, to całkiem inna sprawa. Gdyby wybuchła wojna, no to jasne, że trzeba bronić ojczystego kraju. Ale to tutaj? Po pierwsze, sytuacja zupełnie nierealna, a na dodatek ten podskakujący, rozwrzeszczany Bóbr pośrodku piłkarskiego boiska, w swojej idiotycznej czapce, z pomalowaną na czarno gębą, tak że oczy mu bieleły jak u Murzynów w przedpotopowych amerykańskich filmach. Ale i to nie było jeszcze najgorsze. W jakiś sposób poczucie obrzydzenia miało związek z kolejką, którą Erik widział przed sobą, stali w niej ludzie z tej samej szkoły co on, ale nikt nie dostrzegał nic komicznego ani dziwacznego czy żenującego, każdy z nich po prostu wydawał z siebie dziki ryk, a potem biegł i wbijał bagnet. Według Pierre'a i Erika właśnie fakt, że jest to coś wyjątkowego, typowego tylko dla Stjärnsbergu, budzi taki protest. Nigdzie, w żadnej normalnej szkole, nie udałoby się chyba ustawić chłopaków i kazać im się tak zachowywać. I charakterystyczne, że najgłośniej krzyczeli członkowie Rady. A może to tylko przywidzenie? Nie, zarówno Erik, jak i Pierre byli przekonani, że tamci krzyczeli najgłośniej. W jakimś sensie to decydująca obserwacja.

- Bo kiedy tam stałem i nie wiedziałem, co robić - mówił Pierre - i patrzyłem na Bobra i na ten przeklęty worek z sianem, o ile w ogóle mogłem coś widzieć przez zaparowane i mokre od deszczu okulary, to nieoczekiwanie przyszło mi do głowy, że członkowie Rady pewnie sobie wyobrażają, że to ty i ja wisimy tam na tych stojakach zamiast worków. I że właśnie dlatego nacierają z taką zaciekłością.

- Ech, chyba masz źle w głowie. Oni uwielbiają przemoc, uwielbiają to uczucie, pewność, że trzyma się w rękach broń. Bo przecież nie zaprzeczysz, że jest to dość niezwykle uczucie. Ale gdyby tam był prawdziwy człowiek, nie byłiby tacy dziarscy, zapewniam cię.

- Pewnie nie, ale tak mi jakoś przyszło do głowy. Chociaż powiem ci, że trudno mi też było znieść te ich wszystkie wulgaryzmy.

- Ich co takiego?

- Te okrzyki, wiesz, „kurwa” i podobne.

- No, czy to nie dziwne, że nauczyciel matematyki, taki jak Bóbr, może się tak popisywać...

- Czy ty?... A zresztą nic.

- No co? Powiedz.

- Ech, bo... chciałem się tylko zapytać, czy ty już kiedyś spałeś z dziewczyną?

Erik stłumił impuls, by odpowiedzieć jak zwykle na takie pytania. Ale to przecież Pierre, najlepszy przyjaciel, a najlepszemu przyjacielowi nie można kłamać jak zwykle.

- Nie - odparł. - W każdym razie nigdy tak naprawdę. A ty?

- Ja tak. Raz. Byłem wtedy bardzo zakochany. Ale potem musiałem wrócić tutaj i... no, w każdym razie sądzę... po prostu przez cały czas, kiedy Bóbr wykrzykiwał te swoje obrzydlistwa, to ja myślałem o niej, bo czułem, że... ech, nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

Pierre długo leżał w ciemnościach, zanim się znowu odezwał.

- Ale ty mniej więcej rozumiesz, co chciałem powiedzieć?

- Tak - potwierdził Erik. - Te... jak powiedziałaś, wulgaryzmy, dla mnie też były trudne do zniesienia. No, ale na szczęście my obaj wróciliśmy już do cywila.

Erik pływał wprawdzie co wieczór, ale jego forma wyraźnie ulegała stagnacji. A był przecież w takim wieku, że powinien poprawiać swoje czasy mniej więcej o dziesiątą część sekundy na miesiąc, jednak odkąd zaczął naukę w Stjärnsbergu, jego rozwój się po prostu zatrzymał. Technika pogarsza się bardzo szybko, jeśli nad brzegiem basenu nie chodzi trener, który koryguje ruchy ramion nad głową, ułożenie głowy w basenie, kąt pochylenia rąk, kiedy tną taflę wody, sposób wykonywania nawrotów i ułożenie ciała. Raz Erik zadzwonił nawet do Loppana, swojego dawnego trenera z Kappis, z prośbą o radę. Loppan ofiarował się natychmiast, że gotów jest z nim odbyć trening techniczny w którąś sobotę i niedzielę, gdyby Erik mógł przyjechać do Sztokholmu. O olimpiadzie w Rzymie nie ma już co marzyć, ale gdyby tylko utrzymał podstawowy trening na przyzwoitym poziomie, to technikę można poprawić bardzo szybko, nawet w ciągu półtora roku. Są dwie rzeczy, które da się skorygować bez problemu, nawet jeśli Erik będzie trenował sam. Loppan był właśnie w USA i nauczył się tam wiele nowego. Amerykanie zaczęli teraz stawiać na intensywny trening siłowy. Dotychczas wszyscy byli przekonani, że taki trening źle robi pływakowi, że z tego powodu niepotrzebnie przybiera on na wadze, bo obciążają go mięśnie, które rozwijają się w wyniku ćwiczeń na siłowni, a nie pod wpływem naturalnych ruchów w wodzie. Teraz okazuje się, że to błąd, istnieje już cały program treningów siłowych dla pływaków, i Loppan obiecał przysłać Erikowi szkice. Inna rzecz, którą mógłby robić sam, to pływanie z gumową liną. To także nowy trik z USA. Można połączyć ze sobą kilka dętek od roweru i w ten sposób uzyskać się linę gumową długości czterech lub pięciu metrów.

Jeden jej koniec należy przywiązać do kostki nogi, a drugi do słupka startowego, po czym pływak musi naciągać linę, jak tylko się da, ale samymi jedynie ruchami ramion. Następnie trzeba w tej pozycji i w tej odległości od słupka leżeć w wodzie jeszcze dziesięć sekund. Piętnaście takich ćwiczeń przy jednym podejściu i dwa-trzy treningi siłowe na tydzień. Erik nie powinien się też zniechęcać, że na początku czasy nadal będą się pogarszać. To po prostu normalne. Mniej więcej po dwóch miesiącach zaczną zauważać różnicę i wtedy powinien się znowu odezwać do Loppana. Amerykanie są zresztą fantastyczni, stosują te nowe techniki i trenują jak szaleni.

No i było niemal dokładnie tak, jak Loppan powiedział. Przez pierwsze trzy czy cztery tygodnie Erik był zeszywniały i po każdym wejściu do basenu coraz bardziej zmęczony, a czasy wyraźnie się pogarszały. Potem jednak wszystko się odwróciło, wyniki zaczęły rosnać, wolno, lecz systematycznie. To dziwne, bo przecież zawsze mówiono, że pływak powinien trzymać się z daleka od sztangi.

Po takiej serii treningu kondycyjnego woda w basenie wydawała się miękka, nie stawiała żadnego oporu, po prostu sunął w niej jedynie siłą bezwładności, przynajmniej podczas pierwszych kilometrów tak było. W ogóle przepłynięcie pierwszego kilometra było czystą przyjemnością, i już samo to mogło wystarczyć za wyjaśnienie, dlaczego w ogóle Erik tak się znęca nad swoim ciałem i przegania je w basenie wielokrotnie po dwadzieścia pięć metrów tam i z powrotem. Potem, kiedy zmęczenie skradało się podstępnie, zdarzało mu się niekiedy, że w strumieniu bąbelków powstających przy oddychaniu, słyszał coś jakby muzykę, muzykę fortepianową, pewnie Chopina. Pływał w rytmie trzy wymachy rąk z twarzą odwróconą w stronę rzędu czarnych kafelków, a pęcherzyki powietrza bulgotały, kierując się ku jego uszom. Następnie głęboki wdech i pośpieszne spojrzenie na krawędź basenu i może na kogoś, kto tamtędy przechodził lub stał na samej krawędzi i obserwował

go ukradkiem. Czasami go tak właśnie obserwowali, bo myśleli, że on nic nie widzi, kiedy pływa. Potem znowu strumień bąbelków, trzy wyrzuty ramion i głęboki wdech do drugiej części płuc (to też była nowość, ten sposób oddychania: należało wciągać powietrze na zmianę, raz do lewego, raz do prawego płuca), i znowu muzyka, a potem pośpieszny rzut oka na wielki zegar lub raczej na jego nieustannie się poruszającą wskazówkę sekundową, by sprawdzić, czy nie traci szybkości. Potem szybko obrót w górę i w dół w strumieniu bąbelków przy nawrocie, odbicie i trzy wymachy rąk przed wdechem, i znowu, i znowu, i znowu.

Właściwie nie było w tym żadnego sensu. W obliczu prawdziwego życia, które miało być, jak to Pierre nazywał, intelektualne, nie odgrywał żadnej roli fakt, czy serce uderza trzydzieści osiem razy na minutę podczas odpoczynku, ani czy zdolność wchłaniania tlenu wzrasta, ani czy wskaźnik witalności osiąga już 5,5, zaś partie barków rozrosły się tak od nieustannego podnoszenia sztangi ponad głowę i opuszczania jej, że ubrania stają się za ciasne, bo czymże innym to było, jeśli nie wyłącznie możliwością pozostawania w spokoju, zapominania o wszystkim innym, przynajmniej na chwilę, próbą odreagowania tej wciąż pojawiającej się wściekłości, która ukrywa się gdzieś tam w klatce piersiowej, tej wściekłości, nad którą koniecznie trzeba panować, by nie dopuszczać do wybuchów. One bowiem nieuchronnie prowadziłyby do konfliktu z paragrafem mówiącym o nietykalności Rady. Z drugiej strony jednak, może to wcale tak nie jest albo przynajmniej nie tylko tak. Bo z każdą długością basenu, z każdym potrójnym wymachem rąk, z bąbelkami, między jednym a drugim oddechem, za każdym razem, gdy pachnąca potem sztanga z umazanym na czarno, żłobkowanym uchwytem jechała w górę, to było mimo wszystko tylko przygotowanie, gromadzenie sił dla tej nieokreślonej przyszłości, w której być może nie czeka ani beton, ani nic w tym rodzaju.

Robił to także dlatego, że tutaj mógł głośno myśleć w samotności, mógł mówić do siebie w strumieniu bąbelków powstających po każdym oddechu, i od czasu do czasu fantazjować, jak zrównuje się z jakimś Lewenheusem, a potem ten Lewenheusen majaczy mu z dala i znika, mógł wyobrażać sobie, że idzie przez szkolny dziedziniec, mijają Kaxis i całą horde złotej młodzieży, palącej kosztowne angielskie fajeczki, i że on, Erik, rzuca raz po raz jakieś zdania, które wywołują śmiech wokół lub też po których zapada cisza. Robił to więc także dla wszystkich tych myśli na temat trudnej do określenia obrony lub ataku, tego, czego nie można uniknąć, od czego nie można się wykręcić. Dla tego wszystkiego, co pojawia się w głowie między bąbelkami po wydechu, pływanie było dobrą rzeczą.

Pierre po raz pierwszy nie zgodził się na prztyczka, za co naturalnie dostał kolejną sobotę-i-niedzielę, ale mimo wszystko się nie zgodził, tak samo zaskakująco zdecydowany, jak wówczas, gdy odchodził od Bobra i ćwiczeń z bagnetem. I Arne z ich klasy, ten który zawsze pajacował i wyczyniał komiczne cyrkowe sztuczki, gdy otrzymywał nieprzyjemny rozkaz lub dostawał prztyczka, również on zaprotestował pewnego dnia, kiedy sprawy stanęły na ostrzu noża i zanosilo się na to, że Arne dostanie cios jednego szwu.

Teraz więc było ich trzech, takich, którzy protestowali przeciwko biciu w stołówce. Gdyby udało się zebrać jeszcze trzech lub czterech, to system mógłby się nagle zacząć chwiać w posadach. Zresztą protesty były jak najbardziej zgodne z regulaminem. Każdy miał pełne prawo protestować przeciw prztyczkom. Konsekwencją były naturalnie karne roboty, ale na nie można zarobić zawsze, nawet bez popełnienia jakiegoś szczególnego przestępstwa. A gdyby dzięki protestom udało się zlikwidować bicie, gdyby odpowiednio wielu uczniów się zbuntowało, to można by przypuścić następny atak przeciwko bieganiu na posyłki, ścieleniu łóżek i czyszczeniu butów

czwartoklasistom. Pierwszy krok to wyszydzać i przedrzeźniać członków Rady, tak by czuli się wyśmiewani w mniej więcej równych odstępach czasu, drugi to zacząć ograniczać ich prawo do bicia, pociągnąć za sobą innych uczniów szkoły podstawowej.

Nawrót, w połowie nieudany nawrót, trzy wymachy rąk i wdech. Ostatni kilometr, a wraz z nim zmęczenie tak wielkie, że myśli zaczynały krążyć bezładnie.

Albo jeśli jest tak, jak powiedział Pierre, ten zawsze tak samo rozsądny Pierre, ze swoimi trudnymi do pojęcia argumentami na temat Gandhiego i oporu intelektualnego, rany, co za określenie, a więc jeśli Pierre mimo wszystko ma rację, że to się naprawdę nie opłaca, że najlepiej by było ustanowić jakiś rodzaj równowagi, tak by stosowanie oporu okazało się już niepotrzebne. Dlaczego występować przeciwko temu idiotycznemu systemowi, jeśli się i tak go porzuci za półtora roku, a potem będzie się mogło przez jakieś sześćdziesiąt lat żyć w prawdziwym życiu, gdzie nie ma Stjärnsbergu i gdzie nie ma starego, gdzie wszystko jest jak na uniwersytecie z angielskich filmów komediowych, które czasami w sobotnie wieczory wyświetlano tutaj zamiast obrazów kryminalnych, a na których wytworni dowcipnisie krocą przez wysypany żwirem uniwersytecki dziedziniec, pośród sklepień porośniętych zielonym bluszczem, i wygłaszają ironiczne, eleganckie komentarze o głupocie i brutalności. Czy nie powinno się, krótko mówiąc, machnąć ręką na to wszystko i skoncentrować się raczej na geometrii i fizyce?

Perfekcyjny nawrót, trzy wymachy rąk i wdech. Wkrótce koniec.

Owi wytworni dowcipnisie w swoich czworokątnych nakryciach głowy, przechadzający się po uniwersyteckich dziedzińcach, między porośniętymi bluszczem sklepieniami, nie przebywają jednak w Stjärnsbergu, nie mają przed sobą półtora

roku niewoli, są wolni od tego rodzaju problemów i żyją we własnym świecie, pełnym, jak można sądzić, humoru, świecie, w którym panuje sprawiedliwość, a zatem trudno się z nimi porównywać; choć oni też by oczywiście stawiali opór z tego choćby prostego powodu, że w pewnych sytuacjach trzeba to robić.

Mój Boże, jakie to proste. Trzeba i już.

Pierre może sobie wypowiadać mnóstwo słów, niekiedy dość dziwnych słów, by powiedzieć coś dokładnie odwrotnego. Ale nawet jeśli naprawdę niełatwo się z nim nie zgadzać, to Pierre popełnia błąd, żeby nie wiem jak długo roztrząsał to, że Algieria nie może wygrać, stosując przemoc. Bo czyż Algierczycy mogliby wygrać za pomocą ironicznego humoru? Pierre, który zna francuski, sam przecież czytał przedmowę Jeana Paula Sartre'a do książki opisującej, jak Francuzi zachowywali się w Algierii, jak torturowali ludzi i w ogóle. Ten cały Jean Paul Sartre też jest intelektualistą, i wygląda na to, że wielkim intelektualistą, a przecież wcale nie myśli tak jak Pierre. I Pierre czytał to, co on napisał, jako dowód na coś, co... co mówiło o...

Ostatnie pięć metrów i można dotknąć dłonią kafelków.

Leżał przez chwilę z jedną ręką na nylonowej linie z korkowymi pływakami, która oddzielała jego tor treningowy od reszty basenu. Zmęczenie zważyło się na niego niby wielki ciężar, maleńkie tęcze migotały wokół palących się na pływalni lamp, i Erik musiał mieć potwornie czerwone oczy od chloru, bo widział jak przez mgłę. Uderzenia serca odczuwał niby pulsowanie w całym ciele, nawet w pachwinach.

O czym to myślał? Coś o jakimś francuskim pisarzu? Nie, raczej o tym, że trzeba. Po prostu trzeba, bo to jedynie słuszne działanie. Zresztą te masakry na betonie też trzeba zlikwidować. I można by to chyba osiągnąć, gdy się... gdyby się...

Nie, jest za bardzo zmęczony. Nie potrafi zebrać myśli.

Znajomym ruchem odchylił głowę w tył i zanurzył w wodzie, by zebrać nad nią włosy, zanim chwyci się krawędzi basenu i wydostanie na powierzchnię. Kiedy szedł do sauny, nogi miał zdrętwiałe i ciężkie. To od treningu siłowego, tej nowej metody z USA.

W saunie długo masował mięśnie ud, by pozbyć się uczucia ociężałości i odrętwienia, zdolność myślenia wracała powoli, jak te pęcherzyki powietrza przeciskające się ku górze.

Pierre zaczął się stawiać. Arne od cyrkowych popisów właściwie też zaczął się stawiać. Trzeba iść do kolejnego chłopaka, który teraz dostanie cios jednego szwu, i skłonić go, by on też protestował. Trzeba tylko poczekać na odpowiednią okazję i na kogoś, kogo można będzie włączyć do akcji.

Taka odpowiednia okazja pojawiła się niemal natychmiast.

Najgorszy z szefów stołu nazywał się Otto Silverhielm i chodził do trzeciej klasy liceum. Nie był członkiem Rady, arystokrata, rzecz jasna, ale do Rady nie należał. On rozdzielał prztyczki przy prawie każdym obiedzie i nie ulegało wątpliwości, że bardzo to lubi. Bił z byle powodu i zawsze twierdził, że delikwent zachowuje się przy stole po chamsku. Zawsze też wywoływał na środek tego, który miał dostać lanie. Długo się z nim zabawiał, brał wielki zamach, jakby chciał wymierzyć straszliwy cios, ale dosłownie kilka centymetrów nad czaszką tego, który miał dostać lanie, hamował, a tamten, przy akompaniamencie szyderczych okrzyków i śmiechów kulił się, jakby rzeczywiście został uderzony i cios sprawił mu ból. Mogło się to powtarzać wielokrotnie, zanim Silverhielm naprawdę uderzył. Najgorzej było oczywiście w przypadkach, gdy uznał, że ktoś zachowywał się aż tak źle, iż w rachubę wchodzi jedynie korek od karafki do octu. Czyli cios jednego szwu.

Erik wciąż patrzył na te igraszki, siedział bowiem przy sąsiednim stole.

Ten, który teraz miał dostać lanie, był barczystym chłopakiem z piątej klasy podstawówki, zresztą jednym z najlepszych piłkarzy wśród młodszych uczniów, lada moment mógł zostać przynajmniej rezerwowym w drużynie szkolnej.

Silverhielm pochylił mu mocno głowę i szukał miejsca nad karkiem, w którym kończą się włosy. Praktyczniej było wymierzać cios jednego szwu właśnie tu, by siostra mogła bez problemów zszyć rozciętą skórę (możliwe zresztą, że zostało to uzgodnione, a przynajmniej siostra wyraziła prośbę, by te ciosy tak właśnie wymierzać).

Tym razem Silverhielm nie trafił, być może dlatego, że za bardzo się rozdokazywał i celował nieprecyzyjnie. A możliwe, że - i tak on sam to tłumaczył - ten, który miał dostać lanie, nie chciał stać spokojnie. No i dziura powstała nie taka jak trzeba, poinformował Silverhielm widzów. A zatem jeszcze raz głowa w dół, należy powtórzyć cios.

Ten, który miał dostać lanie, omal nie zaprotestował. Erik w każdym razie dostrzegł ruch, który mógł na to wskazywać. Mimo wszystko jednak pochylił głowę ponownie i przyjął kolejne uderzenie, które niepotrzebnie było takie silne; takie silne, że nieszczęśnik z jękiem osunął się na podłogę i klęczał. Ale się nie rozplakał. I kiedy wracał na swoje miejsce, przyciskając skaleczenie ręką, po której ciekła krew, wyglądał na rozwścieczonego. Tego chłopaka nietrudno będzie przekonać.

Miał na imię Johan i zwyczajne nazwisko zakończone na -son. Jego stary był jakimś politykiem, pracował dla rządu, nie w samym rządzie, ale w kręgach zbliżonych do władzy. Johan był często atakowany, bo ktoś, kto ma taką pracę, jest też pewnie

socjaldemokrata. Nikt nigdy nie słyszał, by syn zapewniał, że nie jest.

Erik odprowadzał Johana S. do pielęgniarki i od razu przystąpił do rzeczy. Powiedział, że jest ich już trzech takich, którzy w dalszym ciągu zamierzają buntować się przeciwko biciu. Gdyby Johan się do nich przyłączył, grupa zwiększyłaby się do czterech osób i może pozostałoby już tylko kwestią czasu, gdy zgłosi się więcej chętnych, w wyniku czego wojna o zniesienie prztyczków i bicia w stołówce mogłaby zostać wygrana.

Johan S. poparł ich bez wahania. Nawet się bardzo ożywił i zaczął przekonywać, że powinno się to całkiem otwarcie propagować podczas posiłków. Żeby jednak cała akcja przyniosła efekty, należy zdobyć poparcie Przegródki. Jeśli Przegródka stanie po naszej stronie, to sprawa załatwiona.

Erik odnosił się do jego pomysłów sceptycznie. Wyglądało przecież na to, że Przegródka w każdej sprawie trzyma z Radą. A zresztą to właśnie Rada mianuje członków Przegródki, więc raczej nie należy mieć wątpliwości, po czyjej stronie oni się opowiedzą. Wprawdzie Erik osobiście zna tylko jednego członka Przegródki, mianowicie Hökena ze swojej klasy, ale to naprawdę nie jest żaden anioł. Gdyby się do niego zwrócić, to trzepnie parę razy szpicrutą po cholewie buta do konnej jazdy i powie, że trzeba się śpieszyć powoli albo że sprawa wymaga zastanowienia lub coś w tym rodzaju. Możliwe, że oznajmi, iż prawo jest po to, by go przestrzegać. Przypuszczalnie pozostali członkowie Przegródki są tacy sami. To po prostu przyszli członkowie Rady, nic więcej. A ponieważ sami mają niebawem wstąpić do Rady, nigdy nie dostają prztyczków i na ogół nie muszą spełniać żadnych posług dla starszych kolegów. Czy nie lepiej ich po prostu olać, mieć ich gdzieś i starać się przyciągnąć do grupy buntowników jak najwięcej kolegów? Bo choć na razie jest ledwie czterech takich, którzy zaczęli protestować, to przecież wkrótce będzie ich o wiele więcej.

Jeśli każdy z tych czterech potrafi przekonać tylko jednego, to już zbierze się ośmiu, a to oznacza, że system zacznie trzeszczeć w szwach. Ośmiu chłopaków, którzy zostali skazani, na, powiedzmy, pięć sobót-i-niedziel aresztu za protest przeciwko prztyczkom, to przecież czterdzieści sobót i niedziel, ktoś musi aresztantów pilnować, Radzie nie będzie łatwo. A gdyby dołączyło do nich jeszcze ośmiu, to już nic ruchu nie powstrzyma. No co?

Ale Johan S. uparcie trwał przy zdaniu, że trzeba iść do Przegródki.

- Porozmawiajmy z nimi razem - powiedział. - Jeśli i ty, i ja wytłumaczymy, o co chodzi, to przecież muszą nas poprzeć. W końcu oni mają dbać o nasze interesy, po to są.

Dwa dni później Przegródka miała zebranie i Erik poszedł tam w towarzystwie Johana S., który wciąż nosił na karku wielki plaster przykrywający szew. To Johan S. wziął na siebie cały ciężar rozmowy.

System z biciem młodszych jest niedemokratyczny, oznajmił. Nigdzie w społeczeństwie nie ma takich zwyczajów, by ludzie na kierowniczych stanowiskach mogli bezkarnie bić innych po głowie. Poza Stjärnsbergiem byłoby to potraktowane jako naruszenie prawa, no i powstaje pytanie, czy to nie jest naruszenie prawa także tutaj, bo przecież szkolne przepisy nie mogą być surowsze niż prawo krajowe. To po prostu znęcanie się nad młodszymi. Ot co.

Gdyby Przegródka wystąpiła z protestem, to z pewnością można by skończyć z prztyczkami. Chodzi tylko o niewielką zmianę, więc nie ma co się wahać, trzeba porzucić to całe gadanie o szkolnej tradycji i tak dalej. A poza tym znaczna część tradycji tutejszej szkoły pochodzi przecież z brunatnych czasów i byłoby z każdego punktu widzenia właściwe, gdyby je trochę przewietrzyć. Jeśli Przegródka chce naprawdę spełniać swoje obowiązki reprezentanta uczniów szkoły podstawowej, powinna zająć się tą

sprawą. Powinna to zrobić przynajmniej na próbę, zobaczy się, co Rada powie, a potem będzie można postanowić, co dalej. Niewykluczone, że można by osiągnąć przynajmniej jakiś kompromis.

Chłopaki z Przegródki kręcili się niespokojnie na swoich miejscach. Nie ulegało wątpliwości, że mają taką samą ochotę poprzeć wniosek, jak i sprzeciwić się mu. Była to grupa młodzieńców wyglądem przypominających Hökena. Trzech miało na sobie szkolne marynarki, niczym na spotkaniach Rady. Zebranie odbywało się w klasie numer sześć, ale krzesła nie zostały ustawione tak, jak to robiono w Radzie. Przegródka zajmowała najdalszy kąt sali, ławki zostały tylko trochę rozsunięte, żeby jednak zebranie nieco się różniło od lekcji.

No cóż, to wszystko nie jest takie proste, jak można by sądzić, słuchając tego socjaldemokraty. Zresztą problem, który nam tu przedstawił, jest dość typową ideą socjaldemokratyczną, prawda?

W każdym razie, cokolwiek by mówić, zadaniem Przegródki jest reprezentowanie w Radzie interesów szkoły podstawowej. Ale przecież nie można powiedzieć, że któryś z członków Rady zrobił coś niezgodnego z prawem. A ponieważ Johan S. zachowywał się niegrzecznie przy stole, to chyba nic dziwnego, że skończyło się prztyczkiem. Każdy by w takiej sytuacji dostał prztyczka, więc wszyscy są równi. Czyli że nie ma w tym nic niedemokratycznego. A poza tym, jak już powiedziano, postanowienia obowiązują i Przegródka zmienić ich nie może. Następnie jest kwestia starych pięknych tradycji, których nie powinno się odrzucać ot, tak sobie, naprędce. Zresztą i te tradycje są jednakowe dla wszystkich, bo każdy prędzej czy później zostanie przynajmniej czwartoklasistą.

No i trzeba powiedzieć, że to chyba nie po koleżeńsku, że niektórzy chcieliby unikać prztyczków. Czy jedni, wybrani, powinni protestować, a inni godzić się na bicie? Taby naruszało naszego

ducha koleżeństwa, prowadziłyby do specjalnego traktowania niektórych, powstałaby mała, niedemokratyczna elita.

- Uwolnienie od prztyczków? - powiedział Höken, kiedy po raz pierwszy wyraził swoje zdanie. - Wy po prostu macie zamiar zlekceważyć koleżeńskie samowychowanie i doprowadzić do zwolnienia was od prztyczków. Tylko wy się tego domagacie, choć jesteście jedynie nic nieznaczącą, małą grupką.

- Przekłęci reakcyjniści - skwitował Johan S.

- A nie mówiłem? - wykrzyknął Hoken. - Socjaldemokratyczne bubki, oto kim jesteście! Nigdy was nie poprzemy, możecie sobie podskakiwać i klepać się po dupie.

Na tym rozpatrywanie wniosku zostało zakończone.

Zemsta dopadła Johana S. już następnego dnia i nie ulegało wątpliwości, że Przegródka maczała w tym palce.

Otto Silverhielm i jego klasowy kolega, który nazywał się Gustaf Dahlen i miał nerwowe tiki oczu, wyzwali Johana S. na beton.

Tam tłukli go bardzo długo i metodycznie. Kiedy jednak dojrzał już do tego, by się wyczołgać, i krwawił z licznych ran, tamci przytrzymali go na betonie i zmusili, by obiecał, że już nigdy więcej nie będzie się stawiał, nie będzie protestował przeciwko prztyczkom. Tymczasem publika w części przeznaczony dla licealistów wołała: „Socjalistyczna świnią! Socjalistyczna świnią! Socjalistyczna świnią!”, zamiast normalnych wyzwisk na temat tchórzliwego szczura.

Erik stał na samym końcu, za uczniami ze szkoły podstawowej, i zaciskał pięści. Miał w oczach łzy, kiedy Johan S. kapitulował i, pociągając zakrwawionym nosem, obiecywał się nie stawiać i w przyszłości nie protestować przeciwko biciu.

Niech to szlag trafi!

Kampanię wyborczą poprzedzały zadziwiające plotki, że przewodniczący i wiceprzewodniczący Rady zostaną odwołani, a ich stanowiska mają zająć Otto Silverhielm i jego kumpel Gustaf Dahlen. Początkowo jednak niewiele z tego przeciekało do szkoły podstawowej. Dopiero wywieszona na tablicy ogłoszeń przy drzwiach do stołówki dyrektorska lista, zawierająca nazwiska uczniów, którzy mogą być wybrani do Rady, potwierdziła, że plotki zawierały prawdę.

Dyrektor zawsze nominował dwa razy więcej uczniów, niż było miejsc w Radzie. Następnie kandydaci z listy mieli przeprowadzić między sobą w szkolnej auli trwającą pół dnia debatę, i to właśnie był główny element kampanii wyborczej. Wieczorem tego samego dnia, tuż przed wieczornym posiłkiem, uczniowie szkoły głosowali, wrzucając zapieczętowane koperty do zamkniętej na kłódkę urny. Po wszystkim urnę przenoszono do gabinetu dyrektora, a na drugi dzień rezultat wyborów podawano do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie wyników na tablicy ogłoszeń.

Silverhielm i Dahlen chodzili po szkole i przekonywali wszystkich, że Rada skapcaniała, tymczasem w szkole powinien zostać przywrócony porządek, a tradycja koleżeńkiego samowychowania musi być ochroniona.

Te kwestie stanowiły również przedmiot ich wystąpień w auli.

Pierwszy na mównicę wyszedł uczeń czwartej klasy, o którym wszyscy wiedzieli, że jest kumplem Silverhielma (pływali razem w jakimś klubie żeglarskim czy coś takiego). Kumpel ów bardzo narzekał na rzekome skapcanienie Rady. Opowiadał, że chodzi do tej szkoły już osiem długich lat i że nigdy w tym czasie w podstawówce nie było aż tyle pyskowania i awantur. Należy

koniecznie coś z tą sprawą zrobić. I jest oczywiste, że w Radzie potrzeba nowych sił, które potrafią podjąć się wyteżonej pracy dla przywrócenia w szkole równowagi.

Przewodniczący Bernhard nie próżnował, o nie, żaden cień nie może na nim zaciążyć. Warto jednak pamiętać, że wiosną czeka go matura, a więc także ogromne wyzwanie. To nie byłoby fair wymagać od Bernharda, by w okresie najbardziej wyteżonych wysiłków przed rozpoczęciem studiów musiał poświęcać tyle czasu, ile niewątpliwie będzie trzeba, by przywrócić dyscyplinę w szkole. A jak wszyscy pewnie wiedzą, Bernhard ma niejaki zaległości w kilku przedmiotach, które będzie musiał do wiosny nadrobić.

Jeśli się natomiast spojrzy na innego kandydata do pracy na stanowisku przewodniczącego rady, Otto Silverhielma, to jego średnia ocen jest jedną z najwyższych w szkole, a poza tym chodzi on do trzeciej klasy licealnej. Otto zatem mógłby bez ryzyka dla swoich studiów poświęcić się intensywnej pracy w Radzie przynajmniej w najbliższym roku szkolnym.

Trzej kolejni mówcy mieli do przekazania mniej więcej to samo przesłanie. Wręcz drobiazgowo podkreślali liczne zasługi Bernharda oraz jego długą i wspaniałą pracę w Radzie, równocześnie jednak martwili się niesłuchanie jego kłopotami w związku ze zbliżającym się egzaminem dojrzałości. Następnie przechodzili do wychwalania zasług i możliwości Ottona Silverhielma. Potrzeba mianowicie kogoś twardego, kto się nie będzie oszczędzał. Bernhard jest naprawdę zbyt łagodny i uprzejmy jak na tę pracę, którą trzeba będzie wykonywać.

W końcu nadeszło nieuniknione, czas, by Otto Silverhielm osobiście wkroczył na mównicę. Najpierw odchrząknął, szeleścił przez chwilę kartkami, na których zanotował to, co miał do powiedzenia, po czym przystąpił do opisanie zasług Bernharda na stanowisku przewodniczącego. Bernhard, jego zdaniem, w ciągu

długich lat zdobył wielkie doświadczenie organizacyjne i, jak wszyscy wiedzą, tyleż roztropnie, co zręcznie przewodniczył zebraniom Rady. To bardzo wiele znaczy. Wszyscy powinni zdawać sobie z tego sprawę, kiedy się ocenia jego dorobek.

Z drugiej strony jednak, jest oczywiste, że teraz niezbędne są stanowcze kroki. Dokładnie tak samo jak poprzedni mówca, Silverhielm osobiście zaświadczał, że nigdy, odkąd pamięta, w szkole podstawowej nie było tyle niesubordynacji, co teraz. Nie wymieniając żadnych nazwisk, trzeba w związku z tym powiedzieć, że faktycznie dokonuje się systematyczny sabotaż ze strony nielicznej, ale bardzo głośnej grupy uczniów szkoły podstawowej. Grupa ta zwróciła się nawet do Przegródki z żądaniem poparcia, a ma zamiar ni mniej, ni więcej, tylko wciągnąć całą szkołę podstawową do prawdziwie strajkowych zachowań. Jak słyszymy, włączyli się w to również socjaliści.

Ta podziemna działalność sabotażowa musi zostać natychmiast powstrzymana, i to bardzo stanowczo, prowodyrów należy oduczyć bezczelności. Trzeba bronić tradycji szkoły przed tymi wichrzycielami, którzy działają w mętnej wodzie. Bo jeśli sprawy nadal będą się toczyć w tym kierunku, pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy w szkole zapanuje powszechny chaos, a to jest zagrożenie dla systemu koleżeńskieg samowychowania. W najgorszym razie będziemy tu mieć taką samą sytuację, jaka istnieje w większości szkół, to znaczy nauczyciele zaczną się wtrącać do zachowania uczniów, wprowadzone zostaną uwagi i inne tego rodzaju bzdury. Tu trzeba uderzyć mocno i raz na zawsze przywołać niesubordynowanych do porządku.

Co się zaś tyczy jego kandydatury, Otto uważał, że ma obowiązek postawić się do dyspozycji, skoro okazano mu tyle zaufania i został nominowany. Jeśli koledzy go wybiorą, poświęci wszystkie siły, by przywrócić w szkole porządek i rozbić ruch strajkowy. Gdyby jednak szkoła wolała wybrać ponownie

Bernharda, jest to oczywiście kwestia, którą głoszący muszą rozważyć we własnych sumieniach.

Mimo wszystko jeden warunek Otto Silverhielm chciałby postawić. Jeśli właśnie on miałby się podjąć tej ciężkiej i trudnej pracy, by skierować szkołę ponownie na właściwe tory, to chciałby mieć zastępcę, z którym łatwo by mu się współpracowało, zastępcę, który by podzielał jego ocenę sytuacji. Tym człowiekiem jest mianowicie Gustaf Dahlen. I nawet jeśli szkoła uzna, że należy głosować na Bernharda jako przewodniczącego, to nowa siła w Radzie będzie tak czy inaczej potrzebna. A taką siłą jest ponad wszelkie wątpliwości właśnie Gustaf Dahlen.

- To zaczyna przypominać wypowiedzenie wojny - szepnął Pierre do Erika.

Następny na mównicy był Bernhard. Wyglądał na przygnębionego.

Zaczął od podziękowania za wszystkie życzliwe oceny, jakie usłyszał. Kierowanie Radą to ciężka praca, która przede wszystkim wymaga doświadczenia. Co się tyczy jego nauki, wyniki nie będą ani lepsze, ani gorsze, jeśli zostanie odwołany ze stanowiska, bo to o tym, mimo wszelkich pochwał, tutaj mówiono. Jeśli zaś chodzi o Ottona Silverhielma, to Bernhard uważa, że Otto nie posiada koniecznego doświadczenia do pracy w Radzie. To dość niezwykle, by wybierać od razu na przewodniczącego kogoś, kto choćby przez rok nie był zwykłym członkiem Rady, nie miał okazji nawet pobieżnie zapoznać się z metodami jej pracy. Ów brak doświadczenia jest ważnym argumentem przeciwko Ottonowi.

Chociaż istnieją również inne zastrzeżenia. Otto w zbyt czarnych barwach odmalował sytuację szkoły, krótko mówiąc, przesadził. Nie istnieje żaden podziemny ruch strajkowy w szkole podstawowej, to śmieszne opisywać sprawy w ten sposób. Szkoła podstawowa jest w istocie bardzo lojalna wobec tradycji

Stjärnsbergu i stosuje się do wszelkich wskazówek pochodzących od Rady, podobnie zresztą jak i do poleceń czwartoklasistów. Istnieją być może jakieś pojedyncze dzieci z problemami, nie trzeba wymieniać żadnych nazwisk, bo tu chodzi o zasadę, a nie o kwestie personalne, ale kilka sprawiających kłopoty dzieciaków to nie to samo, co domniemana organizacja, zagrażająca systemowi koleżeńskiego samowychowania.

Następnie Bernhard zwrócił się bezpośrednio do uczniów szkoły podstawowej.

Otto Silverhielm, jak wszyscy wiedzą, jest szczególnie spragniony spotkań na betonie, co osiągnęło stanowczo zdecydowanie zbyt wielkie rozmiary. Nie chodzi o to, że lanie od czasu do czasu jest błędem, także prztyczek w odpowiedniej sytuacji może być pożyteczny. Ale Bernhardowi nie podoba się fakt, że Otto czerpie trochę za wiele przyjemności z tego, że może bezkarnie bić młodszych chłopców. Uczniowie szkoły podstawowej powinni się w tej sytuacji zastanowić, co będzie, jeśli się kogoś takiego uhonoruje godnością przewodniczącego. Kary należy stosować z namysłem i w sytuacji, która tego wymaga. W żadnym razie z wymierzania kary nie wolno robić sobie sportu. A zatem szkoła podstawowa, zanim zagłosuje, musi dokonać wyboru, czy chce, żeby było tak jak w ostatnich latach, czy też pragnie więcej bicia. Bo przecież właśnie o tym, nie o czym innym mówił tu Otto. Więc proszę bardzo, wolna wola.

Ale po nim jeszcze siedmiu kolegów z klasy Ottona i Gustava Dahlena wchodziło na mównicę i przekonywało o konieczności przywrócenia porządku i o tym, że należy mieć na względzie studia Bernharda oraz że Gustaf Dahlen będzie znakomitym wsparciem dla Ottona, który zostając przewodniczącym bez żadnego doświadczenia w Radzie, bierze na siebie bardzo trudne zadanie. Bo jest absolutnie jasne, że trzeba nowej i zdrowej siły, by przywrócić szkole styl. Bernhard zbyt lekko traktuje rozrastające się siły

socjaldemokratyczne. Niekiedy można by nawet pomyśleć, że sam jest socjalistycznym bubkiem. Bernhard w replice ostro się od tych pomówień odciął, ale przecież coś jednak do niego przyłgnęło. Nie ma dymu bez ognia, jak wiadomo.

Dyskusja rozwijała się dalej w tym samym stylu.

Erik i Pierre nie mieli najmniejszych wątpliwości, jak należy głosować. Szkoła podstawowa dysponowała nieco większą liczbą głosów niż liceum, i dlatego Erik był pewien, że Otto i Gustaf Dahlen muszą przegrać. To przecież oczywiste, że uczniowie szkoły podstawowej z czystego instynktu samozachowawczego będą głosować tak jak Pierre i Erik.

Pierre jednak pozostawał pesymistą.

No i, niestety, to on miał rację. Kiedy następnego dnia na tablicy ogłoszeń wywieszono wyniki wyborów, okazało się, że nowy rząd Otto-Gustaf odniósł walne zwycięstwo. I wprowadził do Rady pięciu nowych członków.

- No to wojna - podsumował Pierre. - A dzisiaj mamy klasztorną noc. Będą się starali wymyślić dla ciebie coś wyjątkowo wrednego. Muszą przecież pokazać już teraz, podczas klasztornej nocy, jak poważne mają zamiary.

Klasztorną noc proklamowano zawsze natychmiast po ogłoszeniu wyników głosowania. Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego to się nazywa akurat noc klasztorna, zawsze się tak nazywało. Przyczyną istnienia takiej tradycji było w każdym razie to, że tak zwani nowi i pyskaci powinni zostać przez nową zwierzchność porządnie „obrobieni”, w zależności od tego, jak bardzo pyskaci byli w ostatnim semestrze. Owo obrabianie mogło przybierać rozmaite formy, zawsze jednak zaczynało się od tego, że Rada w pełnym składzie wpadała do pokoju tego, kogo sobie upatrzyła, i wyciągała go z łóżka. Następnie stosowano wobec niego

różne zabiegi, o których później przez długie lata po szkole krążyły ponure opowieści. Opowiadano na przykład, jak to jeden, szczególnie pyskаты, został powieszony za nogi na maszcie flagi i wciągnięty na sam szczyt, dziesięć metrów nad ziemią. Wisiał tam, płakał i krzyczał niemal przez godzinę, dopóki koledzy z pokoju czy z klasy nie odważyli się ściągnąć go na dół. Inny, też bardzo krnąbrny, został zawleczony do łazienki, pod prysznic. Tam ogolono mu pół głowy, a drugą połowę oraz wszystkie inne miejsca na ciele, gdzie rosną włosy, pomalowano minią na czerwono (musiał sobie zgolić wszystkie włosy, a ponadto dostał jakiejś paskudnej wysypki na genitaliach). Zwyczajne, proste obrabianie polegało zazwyczaj na tym, że delikwenta zaciągano pod prysznic i zmuszano, by długo stał pod strumieniem zimnej wody. Istniały tuziny rozmaitych metod obrabiania nowych i pyskатыch.

Podczas klasztornej nocy nauczyciele zamykali się w swoich mieszkaniach, wkładali zatyczki do uszu lub nastawiali muzykę Wagnera na cały regulator, by absolutnie nic nie słyszeć ani nie widzieć.

Teraz wszystkich interesowało najbardziej to, przez jak wymyślne obrabianie będzie musiał przejść Erik. Spekulowano na ten temat z wielkim ożywieniem podczas całego obiadu. Spodziewano się, że niewątpliwie znowu zostanie pobity rekord. Ale czy może być coś gorszego niż zawieszenie na maszcie lub pomalowanie minią?

Ktoś słyszał, że członkowie Rady zamierzają przywiązać nagiego Erika do komina na najwyższym budynku szkoły. Ktoś inny wiedział na pewno, że mają mu założyć stalowy drut na przednie zęby, po czym ciągnąć ów drut z całej siły, aż zęby zostaną wyrwane. Jeszcze inni słyszeli, też z całą pewnością, że mają mu zgnieść jedno jądro dziadkiem do orzechów. Spekulacje i przewidywania rozlewały się falami po szkole.

Erik został przeniesiony do innego stołu. Siedział teraz pod samą ścianą, przy stole numer dwa, jakieś dwa metry od numeru jeden, gdzie jadał dyrektor i dyżurujący nauczyciele. Ale jego nowym szefem stołu był Otto. Otto zaś, nowy przewodniczący Rady, wystąpił dzisiaj w szkolnej marynarce ze lśniącym, złotym otokiem wokół Oriona.

Otto próbował wezwać Erika i wymierzyć mu prztyczka natychmiast po modlitwie (wierciłeś się w czasie modlitwy), ale Erik naturalnie zaprotestował.

- Pamiętaj o klasztornej nocy, chodź natychmiast i pochyl głowę jak greczny i posłuszny uczeń podstawówki - cedził Otto przez zęby.

Erik patrzył w sufit, jakby stamtąd coś docierało do jego uszu.

- Dziwne - rzekł po chwili. - Zdawało mi się, jakbym tam słyszał rżenie konia. Czy mógłby to być jakiś srebrny koń?*

Potem jadł spokojnie, a otoczenie wstrzymywało oddech i starało się tłumić chichoty.

Nazwisko Silverhielm można najpierw przerobić na Silverhast, czyli Srebrny Koń, a po jakimś czasie zostanie już tylko Koń. I Erik będzie nazywał Silverhielma Koniem tak długo, aż to do niego przylgnie.

Kolega przewodniczącego, Gustaf Dahlen, jeszcze łatwiej dorobi się przezwiska. Ponieważ Dahlen ma nerwowe tiki oczu, co czasem sprawia wrażenie, jakby porozumiewawczo mrugał, będzie się nazywał Oczko. To bardzo trafne przezwisko; przylgnie do niego szybko, a poza tym jest przykre, bo odnosi się do ułomności.

* Chodzi o podobieństwo słów: Silverhielm (stare szlacheckie nazwisko szwedzkie, które można tłumaczyć jako „srebrny hełm”) i *sifoerhöst* - srebrny koń.

Koń i Oczko, tak będzie ich nazywał.

- Chodź tu natychmiast! - zawył Silverhielm.

Erik udawał, że nie słyszy ani nie widzi, co się dzieje przy innych stołach. A tam po prostu wszelka aktywność zamarła. On jadł dalej, z udanym spokojem, przez dłuższy czas, po czym powtórzył swój numer:

- Dziwne, ale mam wrażenie, że znowu słyszałem rżenie konia.

Słyszając to, Silverhielm zerwał się z miejsca z takim rozmachem, że przewrócił krzesło, i rzucił się między stołami do Erika. Ten natychmiast wstał i uniósł lekko ręce, jakby chciał przyjąć gardę. To powinno wystarczyć, by Silverhielm przystanął z wahaniem. Tak też się stało.

- Nasz mały Srebrny Konik trochę się chyba zagalopował - powiedział Erik i roześmiał się szyderczo prosto w twarz przewodniczącego, jakby nie widział, że Silverhielm uniósł prawą rękę.

Sekunda wahania. Czy to naprawdę możliwe, że Silverhielm chce zadać cios, który tak wyraźnie anonsował? Najlepiej być przygotowanym na coś całkiem innego. I ZA NIC NIE ODDAWAĆ, ŻEBY SIĘ NIE WIEM CO STAŁO.

Ale Silverhielm wymierzył dokładnie ten cios, który anonsował, i Erik bez trudu przyjął go na lewe przedramię, postępując równocześnie krok naprzód, tak że jego twarz znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od Silverhielma, który chyba naprawdę wyobrażał sobie, że mógłby trafić.

- Nigdy ci się to nie uda, mój mały Srebrny Koniku - szydził Erik, cofając się szybko o krok, by móc podnieść kolano i w razie czego zasłonić podbrzusze oraz pachwiny. Opuścił przy tym gardę, by sprowokować Silverhielma do nowych prób.

Ten wahał się zaledwie przez ułamek sekundy, potem wziął zamach, jakby chciał uderzyć, ale ponieważ w jego oczach było widać, że nie zamierza tego zrobić, Erik ani drgnął. To naprawdę zbyt prosty chwyt - wziąć zamach po to, by przeciwnik przyjął niewłaściwą gardę.

- Wynoś się z jadalni! - syknął Silverhielm, pokazując drzwi bardzo szerokim gestem, by wszyscy to widzieli.

Erik postanowił spróbować szczęścia.

Odwrócił się z szyderczym uśmiechem, bardzo wolno odsunął swoje krzesło i usiadł, wziął nóż i widelec, po czym zaczął w skupieniu kroić befsztyk (nie mógł mieć w ustach widelca, gdyby Silverhielm zaatakował od tyłu), i podczas tego krojenia powiedział coś do chłopca siedzącego naprzeciwko, tak żeby w sposób naturalny podnieść wzrok znad talerza (gdyby Silverhielm zamierzał się na niego od tyłu, Erik natychmiast by się zorientował po reakcji sąsiada z naprzeciwka).

Ryzyko się opłaciło, bo Silverhielm nie uderzył, okazał się natomiast na tyle głupi, że zaczął miotać pogrożki za plecami Erika. Pogrożki odnosiły się do klasztornej nocy.

Kiedy Erik uznał, że niebezpieczeństwo minęło, spokojnie włożył do ust odkrojony kawałek mięsa i zaczął gryźć. Silverhielm, mamrocząc wściekle, wrócił na miejsce. A zatem pierwsze starcie zostało wygrane. Jeden do zera.

- Straszne, jak się ten cały Srebrny Konik zagalopował - powtórzył Erik, co jego koledzy z podstawówki przyjęli niepewnymi chichotami.

Za kilka dni będzie można zmienić przezwisko, Srebrny Konik zostanie po prostu Koniem, a potem wymyśli się jeszcze coś innego. Wciąż powtarzane szyderstwa zdołają może w końcu unieważnić obietnice w sprawie nowego reżimu, które Silverhielm

złożył w swojej kampanii wyborczej. Pewności nie ma, ale przecież warto spróbować. Tylko że teraz są to mało ważne problemy. Dzisiaj prawdziwym problemem jest klasztorna noc.

Bo po wszystkim, co zaszło, Silverhielm poczuje się zmuszony wymyślić absolutnie niezwykły sposób obrobienia Erika. W grę wchodzi honor Silverhielma, w czasie kampanii wyborczej naskładał przecież mnóstwo rozmaitych obietnic.

Kiedy tłum chłopców szerokim strumieniem wylał się z jadalni, zaczynało się ściemniać. Wieczór był wietrzny, padał gęsty, uporczywy deszcz. Taka pogoda utrzyma się pewnie przez całą noc.

Kilku licealistów przepychało się obok Erika na schodach. Jakby przypadkiem rozmawiali o wydarzeniach nadchodzącej nocy.

- I ten strasznie pyskаты chłopak, ten nowy, wiecie, co oni zamierzają mu zrobić?

- Nie, ale to pewnie musi być coś nie z tej ziemi...

- No, nazgarniali góvien, wpakowali to wszystko do beczki i... sami rozumiecie, nie?...

Kiedy Erik wrócił do pokoju, Pierre leżał na łóżku i czytał *Odyseję*. Starał się wyglądać na bardzo tym pochłoniętego.

Erik zaczął od zbadania zamka przy drzwiach. Składał się on z dwóch obrotowych gałek, zamontowanych po obu stronach drzwi. Wewnętrzna gałka znajdowała się tak blisko futryny, że można było ją zablokować, gdyby między futrynę a zamek wepchnąć na przykład gruby psalterz. Ale bolce utrzymujące całą konstrukcję zamka znajdowały się po stronie zewnętrznej, więc nie można było zamknąć drzwi na klucz od środka. Nie wyglądało to dobrze.

- To ci się nie uda - powiedział Pierre, nie podnosząc oczu znad książki. - Bo jeśli tamci będą mieć śrubokręt, to mogą

zdemontować zamek od zewnątrz, i wtedy żaden psalterz nie pomoże. Biblia też nie.

Była to, jak się zdaje, najzupełniej słuszną uwaga.

- A myślisz, że dałoby się zabić drzwi gwoździami od środka? - zastanawiał się Erik.

- Jak je wyłamią, to będziesz na dodatek musiał płacić za nowe. Ludzie już tego próbowali.

Pierre ukrył twarz za książką i udawał, że nadal czyta. Erik usiadł na swoim łóżku.

- Odłóż książkę, Pierre, musimy porozmawiać. Po pierwsze, kiedy się zaczyna klasztorna noc, o której oni przychodzą i ilu ich jest?

Pierre wolno odłożył książkę na łóżko. Miał w oczach dziwny blask, jakby przed chwilą płakał.

- Noc zaczyna się po zgaszeniu światła, o wpół do dziesiątej. Oni mogą przyjść, kiedy zechcą, między wpół do dziesiątej a czwartą rano. I zjawia się cała Rada naraz, dwanaście sztuk. Nie masz żadnych szans.

- Faktycznie wygląda to ponuro. Jak sądzisz, co zamierzają mi zrobić?

- Nawet nie chcę o tym myśleć.

- No, ale jak sądzisz?

- Słyszało się dzisiaj przez cały dzień najrozmaitsze przewidywania. Czy ty się boisz?

- Tak.

- No, i jeszcze na dodatek przyznajesz, że się boisz. Nigdy bym nie przypuszczał.

- Ech, Pierre, człowiek się zawsze boi, kiedy walczy. Mniej lub bardziej, być może, ale prawie zawsze.

- A czy ty kiedyś znajdowałeś się w takiej sytuacji, no, w walce, i wiedziałeś, że musisz przegrać?

- Owszem, z moim starym, wiesz, tylko że to inna sprawa. Nie, nigdy w ten sposób. Ale musimy coś wymyślić, mamy na to równo dwie godziny. Co zwykle robią ci, którzy mają być obrabiani?

- Kładą się, normalnie. No a potem czekają, oczywiście. Słyszałem o jednym takim, który nawet zasnął, zanim oni przyszli. Zresztą ja sam też zasnąłem, kiedy byłem nowy.

- Co? Ty byłeś obrabiany?

- Mhm.

- I co ci zrobili?

- Nic specjalnego. Wciągnęli mnie tylko pod prysznic, widocznie nie byłem specjalnie pyskaty.

- Skoro jednak kiedyś zostałeś już obrobiony i nie jesteś nowy, to oni dzisiaj cię nie tkną?

- Nie wiem. Silverhielm ma jakiegoś zajoba na punkcie naszego buntu, naszej „podziemnej socjalistycznej działalności”, wiesz. Ale jeśli dostanę chochlą w głowę albo coś w tym rodzaju, to przecież nie będzie... to znaczy, moim zdaniem, oni przyjdą przede wszystkim do ciebie.

- Mhm. Czy myślisz, że można o tej porze wejść do pracowni technicznej? Czy wszyscy nauczyciele mają do niej klucz?

- Tak, a co? Zamierzasz przynieść siekiere czy jak?

- Nie, tylko parę drobiazgów, za chwilę wracam.

Erik pobiegł do mieszkania Tossego Berga i zadzwonił.

- Cześć - powiedział. - Potrzebuję twojej pomocy.

Tosse Berg wpuścił go pośpiesznie do przedpokoju i niemal tym samym ruchem, którym otworzył drzwi, zamknął je za Erikiem. Zaraz jednak zaczął się gęsto tłumaczyć, że nauczycielom nie wolno się mieszać, ten cały system jest cholernie niesportowy, niezgodny z dobrymi obyczajami i tchórzliwy, ale co może zrobić nic nieznaczący nauczyciel gimnastyki? Erik wyjaśnił, że nie w tej sprawie tu przyszedł, chodzi naprawdę tylko o drobną przysługę. Czy Tosse mógłby mianowicie pożyczyć klucze od pracowni technicznej?

Tosse Berg się wahał. Da mu te klucze, bąkał, pod warunkiem wszakże, iż Erik dokładnie powie, co chce stamtąd wziąć. Naturalnie, Erik wyjaśnił, że chodzi mu o stalowy drut i płaskie szczypcy, nic więcej.

Pod słowem honoru nic więcej? Pod słowem honoru, naprawdę nic, I czy można jeszcze zapytać, do czego te kłopoty będą Erikowi potrzebne?

- No, chyba sam rozumiesz, do czego. Drogi Tosse, pojmujesz chyba, że nie zamierzam tanio sprzedać skóry.

- Nawet by mi to do głowy nie przyszło, ale na co ci drut?

- Nie wypytuj tak szczegółowo, to nie będziesz zamieszany. W każdym razie nie zamierzam spuścić manta żadnemu członkowi Rady, bo nie chcę być wyrzucony ze szkoły, a poza tym mamy jeszcze to i owo do zrobienia w szkolnej drużynie sportowej, prawda?

- Jesteś wojownikiem, Erik. *The whole world loves a fighter*, cały świat kocha wojownika, no, może z wyjątkiem tej szkoły, tu w Stjärnsbergu. Powodzenia!

Tosse Berg mocno uściskał Erikowi rękę i dał mu klucze. Dziesięć minut później Erik był z powrotem w swoim pokoju, przyniósł drut i szczypce. Pierre wciąż leżał na łóżku w tej samej pozycji, z *Odyseją* przed twarzą.

Erik podszedł do okna i zaczął wiązać stalowy drut do haczyków, następnie mocno naciągnął drut szczypcami i starannie skręcił wystające końce.

- Czemu to ma służyć? - dopytywał Pierre.

- Mieszkamy na parterze i do naszego pokoju wiodą dwie drogi. Jeżeli ktoś wybije szybę w oknie, to może włożyć rękę do środka i zwolnić haczyki, a wtedy będzie mógł wejść do pokoju, nawet jeśli zablokujemy drzwi. Ale od tej chwili ta droga nie istnieje, nikt przez okno nie wejdzie, pozostaje więc tylko jedna.

- I tak się przed nimi nie obronisz. Nie możesz przecież zranić członka Rady, a dzisiaj przyjdą tylko oni.

- Mhm. Ale to ty wiesz, że tak jest. Oni natomiast nie wiedzą, że ja nie mam zamiaru żadnemu z nich zrobić krzywdy, boją się tak samo, jak ty czy ja. Chodź, idziemy teraz do łazienki, potem chciałbym trochę nasz pokój przemeblować.

- Ale w jaki sposób zdołasz się obronić, skoro nie możesz się bronić?

- No i właśnie to jest problem. Mamy jednak jeszcze trochę ponad godzinę do rozpoczęcia nocy i przez ten czas musimy zrobić jedną ważną rzecz.

Niezależnie od wszystkiego pozostawał problem, co począć z Pierre'em. Może najlepiej, żeby go nie było w pokoju, kiedy tamci przyjdą? Bo jeśli on tu zostanie, a Rada zdoła jakoś wejść do środka, to wtedy wszystko stracone, członkowie Rady na pewno nie zadowolą się możliwością dokuczenia tylko Erikowi. Gdyby jednak

Pierre znajdował się gdzieś indziej, to przecież nie zaczną szukać właśnie jego. Erik wiedział, że Jakobsson, cztery pokoje dalej w głąb korytarza, zachorował właśnie na odrę czy coś takiego i leży w izbie chorych. A zatem jego łóżko jest puste. Kolega Jakobssona z pewnością nie będzie protestował, kiedy mu się wyjaśni sytuację. Pierre powinien zatem pójść i położyć się w łóżku chorego.

Pierre usiadł na łóżku, włożył zakładkę do swojej książki, a potem starannie ułożył książkę na biurku.

- Nie - powiedział w końcu. - Tak nie będzie. Nic takiego nie zrobimy.

Zastanawiał się chwilę, po czym mówił dalej:

- Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem, Erik, więc nie zamierzam nigdzie chodzić ani spać w niczyim łóżku.

Erik się wahał, ale głos Pierre'a brzmiał bardzo stanowczo.

- W takim razie niech będzie - zgodził się. - Cokolwiek się stanie, jesteś najlepszym kumplem, jakiego kiedykolwiek miałem. I jesteś dzielny, mały draniu. Pamiętam, jak się postawiłeś temu głupiemu Bobrowi podczas ćwiczeń z bagnetami.

- Ech - westchnął Pierre. - Trzeba mieć jakieś zasady. Po prostu trzeba. W takim razie chodźmy nareszcie do łazienki, skoro sprawy zostały wyjaśnione.

Kiedy wrócili, Erik przesunął dużą komodę pod drzwi. Mebel mieścił się dokładnie w wąskiej przestrzeni przed drzwiami, między ścianą i szafą na ubrania. Był na tyle wysoki, że zasłaniał drzwi do połowy. Wyglądało to niezłe. Potem Erik odsunął komodę jeszcze na trochę, bo chciał poszperać w szafie w poszukiwaniu kija hokejowego, który Pierre gdzieś tam upchnął.

Kiedy już znalazł kij, długo ważył go w dłoni i próbował obiema rękami wykonywać zamachy w stronę drzwi. To chyba niezły

pomysł. Należało, co prawda, bić skosem, by nie trafić w szafę lub w ścianę, ale przestrzeń okazała się wystarczająco duża.

Boazeria na ścianie dokładnie naprzeciwko drzwi szafy miała wyraźne wgłębienie. W tym wgłębieniu zamocowali dwa drewniane prawidła do butów, następnie przesunęli komodę na właściwe miejsce i sprawdzili rezultat. Prawidła zaklinowały komodę tak, że nie można jej było przewrócić od zewnątrz i wepchnąć do pokoju. Pracowali przy zaciągniętych roletach, na wypadek gdyby na dworze w ciemnościach i deszczu ktoś stał i obserwował przygotowania.

Za pomocą szczypiec uszczelnili jeszcze prawidła ubraniami, tak by komody na pewno nie można było ruszyć. Tkwiła naprawdę mocno, a poza tym gdyby napastnicy zaczęli komodę odpychać, prawidła nie mogły uszkodzić boazerii (wszelkie szkody powstałe podczas klasztornej nocy pokrywa obrabiany, taka jest tradycja).

Erik wysunął na środek fotel, rzucił na niego poduszkę, a kij hokejowy postawił obok. Przygotowania zostały zakończone. Wkrótce wybije wpół do dziesiątej i zacznie się klasztorna noc. Erik zrobił krok w tył i przyglądał się umocnieniom.

- No dobrze - powiedział. - W takim razie mają otwór wielkości mniej więcej jednego metra kwadratowego, tedy mogą się do nas dostać. To mi przypomina tę grecką bitwę, wiesz, kiedy wrogowie mieli tylko przełęcz do sforsowania, ale ta przełęcz była taka wąska, że mogło jej skutecznie bronić zaledwie kilku wojowników.

- Owszem, tylko że im nie groziło wydalenie, gdyby zranili wrogów.

- Masz rację, ale nasz wróg nie wie, czy ja chcę być wydalony, czy nie.

Pierre nie odpowiedział. Otworzył swoją książkę w miejscu, gdzie była zakładka, i przeczytał głośno:

- „Rwał ich na kawałki, przyrządził sobie wieczerzę i żarł jak lew z gór, nic nie zostawił - ani wnętrzności, ani mięsa, ani kości wypełnionych szpikiem”^{*}.

- Czy wiesz, co to jest? - spytał Pierre.

-Owszem, widziałem książkę. Sam ją zresztą czytałem w areszcie tydzień temu. To odwiedziny u olbrzyma Polifema. Ale Odyseusz i jego ludzie rozgrzali w ogniu gruby kołek i wybili mu tym kołkiem jego jedyne oko.

- Teraz my jesteśmy zamknięci, tak jak oni w tej grocie.

- A w wąskim otworze czuwa Polifem, chcesz powiedzieć?

- No, mniej więcej. Polifem to właściwie symbol zła.

- To znaczy jest głupi i niebezpieczny? „Nikt” wypalił mi oko! Wobec czego inni cyklopi nie przybiegli na ratunek, a potem było już za późno.

- Zapewniam cię, że dzisiejszej nocy przyjdą wszyscy w komplecie. Niczym stado hien, tchórzliwych i skradających się pod osłoną ciemności, ale z zębami, które zmiażdżą końskie udo niczym patyk.

- Czas zgasić światło. Mamy teraz przed sobą dziewięć godzin klasztornej nocy.

- Czy nie mogłoby równie dobrze pozostać zapalone? To chyba nie ma znaczenia, bo w taką noc gospodarz nie przyjdzie niczego sprawdzać.

- Nie, światło musi być zgaszone, to dla nas szansa.

^{*}Homer, *Odyseja*. Przekład Jana Parandowskiego, Warszawa 1956.

Erik podszedł do drzwi i przekręcił kontakt, potem usiadł w fotelu naprzeciwko komody, kij hokejowy położył sobie na kolanach.

Przez dłuższą chwilę żaden się nie odzywał. W sąsiednich pokojach hałasy też z wolna cichły, aż w końcu słychać było tylko deszcz i wiatr za oknem.

Ciemność była kompletnie czarna, a czas włókł się w ślimaczym tempie.

- Czego się boisz najbardziej? - spytał Pierre w ciemnościach.

- Że zostanę wyrzucony ze szkoły. To by zniszczyło całą moją przyszłość.

- Tak, tylko że ja nie to miałem na myśli. Zastanawiałem się, co oni mogą ci zrobić.

- Najgorsze nie jest w każdym razie to, że przemoc fizyczna sprawia ból. Boję się o twarz, że na przykład wezmą gruby kij i uderzą mnie w twarz tak, że powybijają mi zęby i zmiażdżą nos. To by zresztą było logiczne, gdyby przypomnieli sobie moją rozprawę z Lellem na betonie, wiesz. To wprawdzie specjalnie nie boli, ale potem człowiek wygląda strasznie.

- Na sto procent nie boli? To brzmi jakoś dziwnie.

- Nie, wcale nie dziwnie. Kiedy człowiek walczy w takiej sytuacji, jest tak wściekły, że nic nie sprawia mu bólu. Słyszysz na przykład, że cios trafił w twarz, ale cię nie boli, ból przychodzi dopiero długo potem. Jak myślisz, kiedy oni się zjawią?

- Punktualnie o północy, jeśli mam zgadywać.

- A to dlaczego?

- Dlatego że teraz siedzą i naradzają się, co powinni zrobić. Będą czekać dostatecznie długo, by potem uderzyć z zaskoczenia.

Mogliby właściwie czekać aż do wpół do trzeciej, ale są tacy podnieceni i niecierpliwi, że dwunasta to dla nich akurat. No a poza tym te magiczne uderzenia zegara, może uważają, że one potęgują grozę.

- No to pewnie tak będzie. Zastanawiam się, o czym konkretnie rozmawiają.

Emocjonowali się przez jakiś czas tym tematem. Silverhielm powinien rzeczywiście być bardzo podniecony, ponieważ jeśli o niego chodzi, gra jest poważna. Przypuszczalnie on gada najwięcej, to przecież przywódca. Raz po raz sprawdza plan, powtarza jeszcze raz, co kto robi, opisuje triumf, spekuluje, jak to Erik będzie się wił dręczony, jak będą go poniżać, oblewając fekaliami i moczem (wszystko zależy od tego, co postanowili). Prawdopodobnie zamierzają zacząć obrabianie Erika tak, by nie robić wielkiego hałasu, zanim zaczną bić. A kiedy już wszystko obgadają, pewnie będą siedzieli i zgłaszali nowe pomysły, dyskutowali różne za i przeciw. Jak właściwie powinni się odnieść do pogłoski, jakoby zamierzali zmiażdżyć Erikowi jądro dziadkiem do orzechów? Tego rodzaju uraz musiałby wzbudzić poruszenie w szpitalu, nie można go wytłumaczyć po prostu tak, jak wszyscy ze Stjärnsbergu zawsze tłumaczą obrażenia („zleciał ze schodów”, „spadł z dachu”, „przewrócił się na rowerze”).

Co właściwie mówi prawo w takich sprawach, prawdziwe szwedzkie prawo, a nie szkolne prawo Stjärnsbergu? Johan S. gadał coś o bezprawiu, kiedy zgłosił się do Przegródki.

A zatem przynajmniej jeden powód, który czyni coś takiego, jak użycie dziadka do orzechów, nieprawdopodobnym. No i jeszcze, gdyby się tak dobrze zastanović, przecież ktoś z Rady musiałby wykonać całą operację, a to chyba dość nieprzyjemne, jeśli nie po prostu obrzydliwe, zakładać dziadka do orzechów na mosnę wyrywającego się rozpaczliwie chłopaka, a potem nacisnąć tak,

żeby trzasnęło. Żaden z nich nie ma aż takich stalowych nerwów, uważał Erik.

Pierre wcale nie był pewien. Jego zdaniem, wielu z tych typów byłoby w stanie robić gorsze rzeczy. Ponieważ jednak tamci mają sporo czasu na gadanie i planowanie, to powinni pomyśleć też i o tym co się później rozegra w szpitalu we Flen. Na zęby, nos, wargi, a nawet oczy wolno im się poważyc, takie rany mogą być wynikiem normalnych nieszczęśliwych wypadków. Chociaż, z drugiej strony, ci faceci są zwyczajnie głupi, wcale nie wiadomo, czy mają dość rozsądku, żeby zrezygnować z prawdziwych tortur. Oni są jak ten Polifem.

Rozmowa się urwała, zaległa cisza, i tylko deszcz i wiatr za oknem. Nic innego nie było słychać.

Erik skubał obciążony skórą uchwyt hokejowego kija. Sytuacja jest po prostu wariacka. Siedzi oto w ciemnym pokoju z kijem na kolanach, tym kijem, którym być może za jakieś pół godziny zniszczy całą swoją przyszłość. Może zresztą za godzinę lub za dwie, albo nawet za cztery i trzy kwadransy. A poza tym co znaczy ta „cała przyszłość”? To tyle, co dostać się do liceum, a potem na studia, nic więcej. Jeśli się nie skończy uniwersytetu, człowiek nie osiągnie tego, co by chciał, ale przecież nie umrze, życie się przez to nie skończy.

Gdyby został obezwładniony, mogą go trochę poturbować, lecz przecież w przyszłości będzie to jedynie bladym wspomnieniem. Matura i studia warte są paru sztucznych zębów i spłaszczonego nosa.

Ale szyderstwa i upokorzenie? Twarz smarowana odchodami przy akompaniamencie wrzasków publiki? Ile to waży w porównaniu z maturą i niepewną przyszłością?

Jakby nie mógł podjąć decyzji. Rozsądek mówił, że właściwie należy się poddać, że to konieczne. Uczucia zaś, że to absolutnie niemożliwe. A zresztą w rzeczywistości i tak nigdy nie ma wyboru. Bo jeśli tamci zdołają w jakiś sposób wedrzeć się do pokoju, będzie stracony.

Cisza i krople deszczu na szybach.

Czy zamknięcie okna nie było błędem? W magazynach obrony cywilnej znajdują się świece dymne. Co on i Pierre zrobią, jeśli tamci wrzucą do środka zapaloną świecę? Po pięciu czy dziesięciu sekundach w małym pomieszczeniu nie będzie czym oddychać.

- Śpisz, Pierre?

- Chyba masz źle w głowie. Myślisz, że mógłbym spać jak w każdej normalnej noc?

- Nie, no jasne. Pomyślałem tak tylko na wypadek, gdyby oni jednak wzięli jakąś świecę z magazynu obrony cywilnej. Wykurzyliby nas.

- Ale oni żadnej świecy nie mają. Przecież się nie spodziewali, że będą mieć trudności z wejściem do naszego pokoju.

- Pewnie, że się nie spodziewali. Ale mogliby pójść i przynieść świecę, kiedy się zorientują.

- Coś ty? Najpierw musieliby obudzić w środku nocy Bobra i uprzejmie wyjaśnić, że muszą mieć wstęp do lokalu wojskowego, bo chcą się uzbroić, by przeprowadzić pewną szczególną operację podczas klasztornej nocy. Jak ty to sobie wyobrażasz?

Po raz pierwszy obaj się roześmiali.

- Masz rację. Przypuszczalnie nawet o czymś takim nie pomyśleli, a przecież w środku nocy nie będą chcieli się włamywać do magazynu broni. Jeśli jednak, powiadam, jeśli, to ty musisz być

przygotowany na podniesienie świecy i wyrzucenie jej przez okno, jak daleko zdołasz. W przeciwnym razie skończymy jako piklingi.

- Albo jako wędzone dorsze.

Roześmiali się znowu.

Potem była tylko cisza i deszcz stukający w szyby. I wiatr za oknem. Czas włókł się niemiłosiernie.

- Równie dobrze możemy się zająć jakąś rozmową - powiedział Erik po dłuższej chwili. - Chociaż musimy szeptać, bo kiedy tamci przyjdą, to powinni myśleć, że przynajmniej drzemiemy. O czym będziemy rozmawiać? Najlepiej o czymś innym niż przewidywania, co się tu za jakiś czas rozegra, no wiesz.

- Możemy na przykład pogadać o Polifemie. Otóż ja uważam, że Polifem jest symbolem zła. Co ty na to?

Erik nie podzielał zdania przyjaciela, trochę zresztą po to, by dyskusja mogła się rozwinąć. Ale nie tylko, bo - po pierwsze - „symbol” to chyba coś, co nie mogło przyjść Homerowi do głowy, kiedy tworzył swoją opowieść o Polifemie. Obecnie, kiedy się wie, że olbrzymy ani jednoocy cyklopi nie istnieją, ludzie inaczej widzą takie sprawy. Czy jednak Homer rzeczywiście wierzył we wszystkie postaci z greckiej mitologii? Chyba tak, bo jeśli ktoś wierzył w Zeusa, Afrodytę i Posejdona, to równie wiarygodne musiało mu się wydawać istnienie cyklopów. Zatem Polifem nie był symbolem niczego, dla Homera był istotą tak samo rzeczywistą, jak dla nas w tych ciemnościach jest Silverhielm.

To dlaczego w takim razie Polifem był zły?

I czy naprawdę był aż tak zły, jak się teraz myśli? Polifem zjadał ludzi z załogi Odyseusza, bo uważał, że są smacznymi, a nie dlatego, by zachować się wobec nich okrutnie. Dla Polifema naturalnym, „ludzkim” stanem musiało być to, że jest jednookim

olbrzymem, strzegącym olbrzymich owiec - te owce musiały chyba być wielkie, skoro Odyseusz i jego towarzysze mogli się ukryć pod ich brzuchami - a małych ludzi, którzy przybyli i zaczęli zjadać jego inwentarz, traktował jak kradnące stada dzikie zwierzęta, jak wilki, choć jadalne. Lapończycy nie zabijają wilków z okrucieństwa.

Czy Polifem był jedynie niebezpieczny i głupi?

Ale jeśli chodzi o Silverhielma, to sprawa ma się zupełnie inaczej. Silverhielm jest człowiekiem i z zasady powinien innych ludzi traktować jak równych sobie, a nie jak jadalne szkodniki. Silverhielm nie jest więc głupi, on jest tylko okrutny. Dość inteligentny i okrutny.

Zło musi chyba naprawdę tkwić w mózgu, a nie gdzie indziej. Taki rekin na przykład ma mózg niewielki, nie ma o czym mówić, i nie jest okrutny. Polifem był nieznanym zagrożeniem, tym, co groźne w ludzkiej fantazji. Silverhielm jest świadomy oraz inteligentny i pełen zła. Ale dlaczego taki jest?

Może zresztą i on nie jest okrutny w ścisłym znaczeniu tego słowa. Pierre opowiedział o torturach inkwizycji. Zastanawiał się: czy ci księża, którzy wtedy stosowali tortury, byli okrutni? W pewnym sensie na pewno tak, przecież zadawali straszne cierpienia innym ludziom. Ale jeśli uważali, że robią coś, co się Bogu podoba? Jeśli naprawdę byli przekonani, że to właśnie oni, jako słudzy boży, powinni oczyścić świat z heretyckiego zła, to czy nie zachodzi tu przypadek, w którym cel uświęca środki?

Strasznie to poplątane. Silverhielm i jego mafia wierzą, że chodzi o uratowanie Stjärnsbergu przed upadkiem, a w takim razie cel uświęca ich środki, oni zaś są w istocie kapłanami o czystych sercach.

Nie, to nie tak. Stawiamy kropkę i zaczynamy jeszcze raz od początku.

A zatem: kiedy się patrzy na Silverhielma, który bije mniejszych i słabszych od siebie chłopców, wyraźnie widać, że on to lubi. Nikt nie wymierza tylu ciosów jednego szwu co on i żaden uczeń trzeciej klasy licealnej nie wyciąga na beton tak wielu chłopców z podstawówki. Bo on to po prostu lubi. Bo przecież są ludzie, którzy czerpią przyjemność z dręczenia innych. Jak na przykład pewien ojciec.

Ponadto, kiedy się nad tym zastanowić, trzeba przyznać, że Silverhielm kłamie. Kłamał w czasie kampanii wyborczej na temat socjaldemokratycznego ruchu w szkole podstawowej, choć przecież wszyscy wiedzą, że takiego ruchu nie ma. Kłamał, by zdobyć władzę, i powody, dla których, jak przekonywał, potrzeba więcej bicia, opisywał w sposób kłamliwy, więc nie można go porównywać z kapłanami inkwizycji.

To gadanie o socjaldemokratycznych bubkach okazało się bardzo skuteczne. Nawet Bernhard miał kłopoty, kiedy w kampanii wyborczej przeciwnicy dawali wyraz przekonaniu, jakoby Bernhard, jak to określali, „miał słabość” do socjaldemokratów. Najpierw Silverhielm przedstawił kłamliwy obraz niebezpieczeństwa, które powinno się zwalczać. Następnie powiedział, że to on sam będzie najlepszym mężem opatrzościowym, kimś w rodzaju świętego Görana (a szkolne tradycje itd. wystąpią tu w roli niewinnej dziewicy), my zaś, domniemani socjaldemokraci, jesteśmy smokiem.

Do czegoś takiego trzeba inteligencji, zręczności taktycznej i współpracy z pozostałymi członkami Rady, a nade wszystko umiejętności planowania. Polifem niczego nie planował, on tylko przeżył nieoczekiwaną wizytę złodziei owiec.

A zatem to Silverhielm jest okrutny i to on jest złem.

Ale dlaczego się taki stał? Czy człowiek się z tym rodzi? A może on w dzieciństwie był za bardzo bity? Bo nie jest żadnym

wytlumaczeniem, że ponieważ od tylu lat chodzi do szkoły w Stjärnsbergu, to środowisko wywarło na niego zgubny wpływ. Bernhard jeszcze dłużej chodzi do tej szkoły, ale Bernhard ma zupełnie inny pogląd na przemoc i nie jest w taki sam sposób okrutny.

Trudno było dojść do jakichś wniosków, rozmowa krążyła, wciąż zawracała na te same tory. Mimo to jedno udało im się ustalić: takim jak Silverhielm trzeba stawiać opór i zawsze, kiedy uderzą, oddawać, wykorzystując wszelkie możliwe sposoby. Nie wolno dopuścić, by tacy jak on mogli wygrywać, oni też powinni doznawać przemocy, kiedy to tylko możliwe. Powinni być ośmieszani i wyszydzani zawsze, kiedy nie można się uciec do przemocy, to znaczy w większości wypadków.

Chociaż łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Akurat w tej chwili sytuacja nie wyglądała zbyt różowo. Tym razem pewnie Silverhielm w jakiś sposób dopnie swego i nazajutrz będzie świętował zwycięstwo, będzie się puszył i przechwalał, jak to Erik wyglądał, kiedy go odwożono do szpitala. Szkoda, że tak się to musi skończyć. Chodzi jednak o to, by kontynuować opór mimo wszystko, nawet gdyby sprawy układały się całkiem beznadziejnie. To jedyne, co można powiedzieć z całą pewnością. Tacy jak Silverhielm nigdy nie powinni wygrywać, ani tu i teraz, ani później, w dorosłym życiu. Tylko tyle.

No i pytanie, jakie środki powinno się stosować. I znowu krąg zamknął się wokół Gandhiego i Algierii. Tego Erik i Pierre nie potrafili sobie nawzajem wyjaśnić. Umilkli obaj.

Wciąż te krople deszczu stukające w szyby. Wiatr jakby odrobinę zelżał, ale nadal nie dobiegały żadne inne odgłosy. W głębi ciemnego pokoju zielonkawe wskazówki budzika wskazywały za pięć dwunastą.

- Jeżeli masz rację, to wkrótce tu będą - powiedział Erik.

Pierre miał rację.

Najpierw odgłosy skradania się i szepty na korytarzu były tak niewyraźne, że mogło im się tylko zdawać. Po chwili jednak zapalono tam światło, w szparze nad drzwiami ukazała się wąska jasna smużka. Potem tuż za drzwiami rozległy się szepty.

- Przesuń się, Pierre, żebyś nie stał dokładnie za mną - powiedział Erik bardzo cicho. Wstał w ciemnościach, kij do hokeja uniósł nad głowę. Serce biło mu głośno, krew pulsowała w całym ciele. Z serca rozchodzi się adrenalina, pomyślał i poczuł, że spocone dłonie nie są w stanie pewnie trzymać lakierowanego kija.

Szepty na zewnątrz przybierały na sile. Erik dosłyszał coś jakby „odliczam do trzech”.

„Raz” rozległo się wyraźnie i ktoś delikatnie poruszył klamką.

„Dwa... no, dranie”.

„Trzy!”

Czyjaś ręka gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi i oślepienie oczy Erika zdążyły zobaczyć, jak Silverhielm wpada prosto na komodę.

Erik wymierzył, jak mógł najdokładniej, i uderzył kijem w futrynę jakieś dziesięć centymetrów nad głową Silverhielma z taką siłą, że posypały się drzazgi.

Silverhielm wrzeszczał, ale nie mógł się wycofać, bo reszta Rady napierała na niego z tyłu. Erik uderzył jeszcze raz i drzwi zatrzęsnęły się z powrotem. Znowu zrobiło się ciemno.

- To była pierwsza runda - oznajmił. - Teraz się dowiemy, co oni zamierzają, a czego nie zamierzają.

Na zewnątrz słycać było pełne podniecenia narady. Rozumieli tylko pojedyncze słowa, jak „kij do hokeja... niedobrze w głowie... śmiertelnie niebezpieczne... wszyscy razem...”.

Potem przez jakiś czas panowała cisza.

- Słuchaj no mnie, Erik! - zawołał w końcu Silverhielm.

- Słyszę, że jakiś Silverhast rży - odparł Erik.

- Rzuć ten kij, do jasnej cholery, to jest ostatnie ostrzeżenie! - nie dawał za wygraną Silverhielm.

(„Tak, tak, przekłęci idioci - szeptał Erik. - Przestraszyli się”).

- No to chodź i odbierz mi kij, jeśli wystarczy ci odwagi! - odpowiedział głośno.

Znowu pośpieszne naradzanie się.

- Masz jeszcze jedną szansę, powinieneś się poddać, bo jak nie, to potem będzie coraz gorzej - straszył jakiś nieznajomy głos z korytarza.

Następnie rozległo się mnóstwo rozkazów i komend, świadczących o tym, że chłopcy w innych pokojach się pobudzili i wyszli na korytarz popatrzeć, jak się odbywa obrabianie Erika. Teraz ich przepędzano.

- Świetnie - szepnął Erik. - Gdyby czuli się pewnie, toby pozwolili chłopakom zostać.

Na korytarzu zrobiło się całkiem cicho. Erik i Pierre oczekiwali kolejnego ataku. Erik podniósł kij. Czy naprawdę któryś z tamtych odważy się jeszcze raz wsunąć głowę do ich pokoju? A może ktoś zechce szczupakiem przeskoczyć ponad komodą (w sytuacji tamtych Erik by tak zrobił. Gdyby jeden z nich znalazł się w środku, sprawa byłaby przesądzona). Erik inaczej chwycił kij, trzymał go teraz tak, by móc natychmiast zablokować każdego, kto

próbowałyby się do nich przedostać (tylko jak w takiej sytuacji zdoła uniknąć zranienia członka Rady?). Nie, atakujący planują co innego. Ktoś szarpnięciem otworzy drzwi, ktoś inny wrzuci krzeselko tuż ponad komodą? Jeśli krzesło uderzy w twarz tego, kto stoi pośrodku pokoju, to on przewróci się na plecy, potem wystarczy już tylko parę sekund, by odsunąć komodę i wtargnąć do wnętrza.

Erik odsunął się na bok, by uniknąć zderzenia z krzesłem, i znowu schwycił kij, tak żeby w razie czego uderzyć we framugę drzwi.

Jakieś szepty. Zaraz się zacznie.

Ktoś szarpnął drzwi, w smudze światła stanął jeden z członków Rady i płynnym ruchem chlusnął w głąb pokoju zawartość żółtego plastikowego wiadra. Erik zdążył odskoczyć w bok, intuicja podpowiedziała mu, co się dzieje, kiedy dostrzegł uniesione w górę wiadro.

Po wnętrzu rozbryzgała się struga odchodów i moczu. Chlupnęło i w tej samej sekundzie smród uderzył w nozdrza. Potem drzwi zatrzasnęły się znowu błyskawicznie, a z korytarza dały się słyszeć śmiechy.

- Oblali cię? - spytał Erik szeptem.

- Nie, stoję za tobą, trochę na lewo. Najwięcej spadło na podłogę i biurko. A część na moje łóżko. Co za świnię!

- No właśnie, cholerne świnię. Co teraz zrobimy? -Trzeba trochę poczekać. No, ale przynajmniej nie skończymy już jako piklingi.

Wybuchnęli obaj niemal histerycznym śmiechem, po raz trzeci podczas klasztornej nocy.

Na korytarzu ktoś przesuwiał meble. Ciągnięto coś ciężkiego pod ich drzwi.

- To kanapa z pokoju dziennego - szepnął Pierre. - Blokują drzwi, żeby zamknąć nas z tym gównem. Co my teraz poczniemy?

- Myślę, że nic. Będziemy sobie wyobrażać, że jesteśmy na wsi i siedzimy w wychodku. Słyszysz, jak brzęczą trzmiele? A w oddali ryczy krowa, prawda?

- Tak, słyszę całkiem wyraźnie. Jesteś u nas na wsi, są wakacje, znajdujemy się trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Stjärnsbergu. Bo my na wsi mamy taką ubikację i czasami, kiedy jest już pełno, trzeba gówna wybrać i zakopać.

- Mhm, wiem. Kopie się głęboki dół, a potem wkłada się rękawice i przetacza beczkę nad ten dół, a końcu płask, płask i wszystko się do niego wrzuca.

- I przysypuje zawartość piaskiem.

- Z tym trzeba trochę poczekać. Zrobimy sobie przerwę na papierosa.

- Tylko że nasze przybory do palenia schowaliśmy w lesie, w plastikowym woreczku.

- Nie wszystkie. Zaraz ci podam zapalonego papierosa, uważaj, bo ciemno. Żebyś się nie oparzył.

Po omacku odnaleźli nawzajem swoje ręce i Erik podał przyjacielowi wyimaginowanego papierosa.

- Niech to szlag! - zaklął Pierre. - John silver, a ja wolę marlboro.

- Niestety, trzeba się zadowolić tym, co jest.

Ciągnęli grę jeszcze przez jakiś czas, aż nabrali przekonania, że Rada sobie poszła. Chociaż to mógł też być podstęp. Na pewno jednak tamci zablokowali drzwi. Erik przechylił się nad komodą i próbował je pchnąć. Zgadza się, zabarykadowane.

No więc przypuszczalnie jest po wszystkim. Kanapa będzie tam stać aż do rana. A skoro tak, to pilnować drzwi już nie muszą.

- Może zapalić światło? - zastanawiał się Pierre.

- Do diabła, nie! Pamiętaj, że siedzimy w wiejskim wychodku, a nie w zaświnionym pokoju.

- No to może powinniśmy otworzyć okno?

- Cholera jasna, haczyki są związane stalowym drutem.

- No tak, genialny pomysł, żeby je tak pozamykać.

- Pewnie, a oni wiedzą, że będziemy musieli otworzyć okno. Podciągnij rolety, to zobaczymy.

Pierre poruszał się ostrożnie, po omacku stawiał stopy na zapaskudzonej podłodze, dotarł do biurka i stamtąd mógł się wychylić, by podciągnąć rolety. Potem przez jakiś czas wpatrywał się w ciemność i deszcz, ale niczego nie zauważył. Smród zaczynał być nie do wytrzymania.

Czyżby Rada stała na deszczu i czekała, aż oni otworzą okno? I aż któryś z nich wyskoczy na zewnątrz, by okrążyć budynek, dostać się do głównego wejścia, a potem na korytarz, żeby odciągnąć kanapę? Albo może członkowie Rady czekają przy głównym wejściu? To nie jest wykluczone.

Pierre macał po blacie biurka, by znaleźć szczypce. Raz po raz przeklinał szpetnie, bo najwyraźniej wsadzał rękę w coś miękkiego. Przez chwilę mocował się ze stalowym drutem przy haczykach, w

końcu otworzył okno, wychylił się na zewnątrz i wypatrywał ukrytych członków Rady.

Zimne, świeże powietrze wypełniło pokój.

- Jeżeli oni tam są, to gdy zapalimy światło, będą nas widzieli, a my ich nie - zauważył Pierre. - Ale my przecież będziemy musieli zacząć sprzątać.

- Przedtem jednak trzeba odsunąć kanapę, nie możemy jeszcze trochę poczekać?

Wciąż od nowa analizowali swoje położenie. A zatem to prawda, że członkowie Rady gromadzili odchody. Ciekawe też, gdzie trzymali wiadro, zanim zdążyli je napełnić? Chyba jednak nie zamierzali zadowolić się po prostu wylaniem gówna do pokoju Erika i Pierre'a. Prawdopodobnie zamierzali złapać Erika, wyciągnąć go z pokoju, związać, a potem wykorzystać zgromadzone odchody w bardziej wyrafinowany sposób. Teraz jednak nic im już nie zostało. Przypuszczalnie dlatego uznali, że obrabianie należy zakończyć.

Z drugiej strony, jest też możliwe, że czekają przy głównym wejściu do budynku, by złapać skradających się chłopców, kiedy ci zdecydują się odsunąć kanapę. Widocznie stracili już ochotę do atakowania ich w pokoju i albo poszli do domu, albo czekają przy głównym wejściu. Mogli też pójść obrabiać innych.

Tak czy inaczej, coś trzeba było jednak przedsięwziąć, nie można tak siedzieć w pokoju, przepraszam, w wiejskim wychodku, przez całą noc.

- Posłuchaj, zrobimy tak - zaczął Erik. - Wskoczę przez okno i obejdę dom z drugiej strony, za świerkowym żywopłotem. Potem spróbuję się przekonać, czy przedpole jest wolne, po czym przyjdę tutaj i odsunę kanapę. Kiedy podejść pod drzwi, powiem ci, że to

ja. A ty bądź przygotowany, by w razie nowego ataku zatrzaskać okno. Ja dam sobie radę na dworze po ciemku.

- Na pewno?

- Tak, na pewno. Nie jest przecież zabronione uciekanie przed Radą. A nigdy mi nie udowodnią, że uciekałem, by uniknąć rewizji w poszukiwaniu papierosów. W takim razie mam prawo biegać.

- I zarobić tylko jedną sobotę-i-niedzielę za odmowę wykonania rozkazu?

- Tak jest. Operacja Zemsta Gówna rozpoczęta.

Erik włożył pantofle gimnastyczne. Kiedy, kucając, przechodził po blacie biurka do okna, włożył rękę w wielką kupę. Trudno. Znalazł się na ziemi, odskoczył kilka kroków w bok, by uniknąć ewentualnego ataku. Wyglądało jednak na to, że tutaj nikogo nie ma. Chłonał czyste powietrze z uczuciem, z jakim bardzo spragniony człowiek pije zimną wodę.

Potem zaczął się skradać w stronę świerkowego żywopłotu na tyłach domu. Nadal panowała kompletna cisza.

W pobliżu drzwi wejściowych nikogo. Może stoją w sieni? To by rzeczywiście było najlepsze i najwygodniejsze miejsce.

Dla pewności dwukrotnie okrążył dwa najbliższe budynki. Wszędzie pogaszono światła, paliło się tylko u Silverhielma, na piętrze w „Małej Niedźwiedzicy”. Erik wdrapał się na jeden z wielkich wiązów i zajrzał do tamtego pokoju. Owszem, są wszyscy, siedzą pogrążeni w rozmowie. Pierwsze piętro, trzecie drzwi po prawej.

Czyli przedpole jest wolne.

Mimo to drzwi do „Kasjopei” otworzył jednym szarpnięciem, by w razie czego mieć możliwość manewru.

Żadnych odgłosów. Nigdzie najmniejszego ruchu.

Drzwi zamknęły się za nim same. Pozostała komórka z przyborami do sprzątania po prawej. Ponownie otworzył szeroko drzwi wejściowe, zdążył podbiec do komórki i otworzyć, zanim wejście do budynku kolejny raz się zamknęło.

Nie, komórka też pusta.

Wtedy zapalił światło na korytarzu. Cisza, nigdzie żywego ducha.

Ktoś mógłby oczywiście czekać w którymś z pokoiów dalej w korytarzu. Kiedy Erik będzie tamtędy przechodził, wypadną i pojmyją go błyskawicznie. Na samym końcu korytarza nic mu już nie grozi. Tam znajdują się tylko jedne zamknięte drzwi do mieszkania gospodarza.

Erik przechodził od drzwi do drzwi, otwierał je i zamykał. Wszędzie tylko śpiący uczniowie podstawówki.

A więc obrabianie było skończone, klasztorna noc dobiegła końca.

Zanim odsunął kanapę, zapukał do drzwi i wytłumaczył Pierre'owi, dlaczego go tak długo nie było.

Zapalili światło w swoim pokoju i wtedy okazało się, że jest o wiele gorzej, niż można sobie wyobrazić. Cała podłoga zalana, część brudów zresztą poroznosili oni sami, kiedy w ciemnościach krążyli po omacku. Łóżko Pierre'a zalane kompletnie. Całe biurko. Nieczystości ochlapały nawet półki z książkami.

- No cóż - westchnął Pierre. - W komórcie znajdziemy wszystko, czego nam potrzeba, wiadra, szmaty, środki czyszczące, gumowe skrobaczki i tak dalej. Ale popatrz, jakie to świnię.

- Oni są gorsi niż świnie. Wiesz, świnia to był Polifem. Po prostu nie wiedział, że można inaczej. Ale Silverhielm przeżyje dzisiejszej nocy coś, czego się naprawdę nie spodziewał.

Udało im się za pomocą gumowych skrobaczek zebrać tyle pomieszanych z moczem odchodów, że wypełnili żółte plastikowe wiaderko do połowy, a nawet trochę ponad połowę.

Następne dwie godziny poświęcili na wymycie pokoju, przez cały czas okna były szeroko otwarte, drzwi również. Minęła trzecia, kiedy skończyli. W pokoju Silverhielma światło zgasło już o wpół do drugiej.

Na koniec ponownie zabarykadowali drzwi komodą i zamocowali stalowym drutem okienne haczyki.

- Zaraz wrócę - powiedział Erik. - To nie potrwa dłużej niż dziesięć minut. Pierwszy, który pobiegnie korytarzem, to będę ja.

W ciągu następnych pięciu minut zdążył dwa razy okrążyć „Małą Niedźwiedzicę”. Wszędzie panował spokój.

Główne drzwi były otwarte.

Krok za krokiem skradał się po schodach na górę. Na korytarzu stanął i nasłuchiwał. W jednym z dalszych pokoiw ktoś cicho pochrapywał. Poza tym cisza. Trzeci pokój po prawej.

Wolniutko otworzył drzwi do pokoju Silverhielma, wszedł i natychmiast je za sobą zamknął. Stał bez ruchu przez pół minuty i wsłuchiwał się w miarowe oddechy śpiących.

W ręce trzymał żółte plastikowe wiaderko.

Najważniejsze, by nie oblać nie tego, co trzeba. To musi być Silverhielm, ale który jest który?

Położył dłoń na kontakcie i zastanawiał się, zapalić czy nie. Jednak najgorsze to oblać niewłaściwego faceta. W jednej

sekundzie musi zaobserwować dwie rzeczy. Zapalił światło, natychmiast je zgasił i nasłuchiwał. Wciąż te same spokojne oddechy.

Silverhielm to facet z lewej. Na szczęście sypia na plecach.

Nocne lampki przy łóżkach i lampa na biurku były włączone do gniazdka pod biurkiem.

Erik bardzo ostrożnie odstawił wiadro. Smród zaczynał wypełniać pokój, istniało ryzyko, że pobudzi śpiących. Pochylił się więc, by sięgnąć pod biurko, po omacku szukał wtyczki i w końcu ją znalazł. Równocześnie jednak kopnął lekko krzesło, które przesunęło się z chrobotem. Ten drugi chłopak poruszył się niespokojnie. Należało się śpieszyć, ważne jednak, by nie stracić zimnej krwi, bo wtedy wszystko przepadnie.

Wyciągnął wtyczki z gniazdka i ostrożnie się wyprostował, potem bardzo cicho przestawił krzesła na środek pokoju. Podniósł z podłogi swoje plastikowe wiaderko i wolną ręką ostrożnie macał poduszkę przy głowie Silverhielma. Teraz nie mogło się już nie udać.

Uniósł wiaderko i pośpiesznie wylał jego zawartość prosto na głowę śpiącego Silverhielma, wyszedł na korytarz i tak cicho, jak to możliwe, zamknął za sobą drzwi.

Już biegł korytarzem w stronę schodów, gdy rozległ się histeryczny wrzask Silverhielma i odgłosy przewracanych mebli.

Pięćdziesiąt sekund później znajdował się znowu w ciemnym pokoju, siedział w fotelu przed zastawiającą drzwi komodą i ścisnął w dłoniach kij do hokeja.

Znowu cisza i deszcz zacinający w szyby. Tyle czasu minęło, nim Pierre się odezwał, że Erik myślał, iż przyjaciel zasnął. On sam przyłożył palec wskazujący do tętnicy szyjnej i liczył uderzenia.

Pięćdziesiąt, a więc puls prawie spoczynkowy. To znaczy, że Erik jest całkowicie spokojny, a przynajmniej jego ciało postanowiło być całkowicie spokojne niezależnie od spekulacji rozsądku na temat, w jaki sposób członkowie Rady mogą się zemścić.

- Wlałeś gówno do jego pokoju? - spytał Pierre.

- Nie. Podszedłem do niego i chlusnąłem mu prosto w twarz.

- Chyba masz źle w głowie.

- Wprost przeciwnie, uważam, że to było mądre. Nic nie mogło być gorsze dla Silverhielma i jego napuszonych obietnic co do klasztornej nocy.

- Oni cię zatłuką.

- Silverhielm i tak już został ośmieszony.

Wcisnęli Biblię między futrynę i obrotową klamkę. Gdyby ktoś w nocy próbował sforsować drzwi, zdążą się obudzić.

Erik zasnął natychmiast i spał głęboko, bez snów. Dopiero na dźwięk budzika zerwał się z łóżka i chwycił kij do hokeja.

Zaczął się dzień po klasztornej nocy. Erik włożył czerwoną koszulkę, żeby nie było tak bardzo widać krwi po tym, co się z pewnością będzie musiało stać.

Ale przy śniadaniu szef stołu Silverhielm był nieobecny. Poza tym wszystko wyglądało normalnie. To, że ludzie spoglądali na Erika ukradkiem, nie powinno dziwić, to raczej oni byli zaskoczeni, że nie widać żadnych śladów owej klasztornej nocy. co do której szkoła snuła najdziwniejsze przypuszczenia przez cały wczorajszy dzień.

Chociaż pogłoski o tym, jak to naprawdę było, zaczęły się już rozprzestrzeniać. Bo po drodze z sali jadalnej do Erika podeszli

dwaj uczniowie pierwszej klasy liceum i zapytali, czy to prawda, że zatkał gębę Silverhielma wiaderkiem gówna.

Erik odpowiedział, że naturalnie nie mógł czegoś takiego zrobić przewodniczącemu Rady. Jednak z drugiej strony, chyba musiało być to samo gówno, którym Silverhielm próbował chlusnąć jemu w twarz, ale nie trafił.

Po czym mrugnął porozumiewawczo do licealistów i szybko wtopił się w tłum wychodzący z jadalni.

Wszystko wskazywało na to, że do lunchu sprawa rozniesie się po szkole ze wszystkimi, potwornie przesadzonymi szczegółami. A to znaczy, że w porze lunchu lub po obiedzie Rada może go pojmać za znęcanie się. I oczywiście wybiorą taki moment, kiedy będzie możliwie najwięcej widzów. Co jednak zamierzają mu zrobić, nie wiadomo.

Przedpołudniowe lekcje toczyły się w ślimaczym tempie. Erik dostał ocenę dobrą z drugiego sprawdzianu z matmy, czyli że stopień z tego przedmiotu zdołał poprawić już w pierwszym semestrze. Teraz nie miał żadnych negatywnych ocen, bo czas spędzony w areszcie pozwolił mu nadrobić zaległości również z fizyki i chemii.

Erik jednak mógł myśleć tylko o tym, co ma się jeszcze dzisiaj stać. Najważniejsze było utrzymanie przewagi nad Silverhielmem i nieustanne wyśmiewanie go. Niewielkie, choć w tym wypadku pewnie solidne lanie, nie powinno tej przewagi zlikwidować. Pytanie tylko, czy Silverhielm to zrozumiał i potrafi wymyślić coś, co by prowadziło do jeszcze większego poniżenia Erika. Ale czy coś takiego jest w ogóle możliwe? Nawet oko za oko czy ząb za ząb nie będzie odpowiednim rozwiązaniem, bo Silverhielm jest przecież przewodniczącym Rady i będzie wyśmiewany za plecami bardziej niż jakikolwiek przewodniczący przed nim. Poza tym musi gdzieś

istnieć granica znęcania się, na jakie można sobie pozwolić pod hasłem koleżeńskiego samowychowania.

Silverhielm nie przyszedł też na lunch. Teraz jednak szkoła po prostu się trzęsała od opowiadanych wszędzie, pełnych szczegółów historii, jak to Erik się zemścił. Erik w rozmowach temu zaprzeczał, ale wyraz jego twarzy potwierdzał wszystko.

A zatem do rozprawy dojdzie po obiedzie. Może nawet będą woleli zaczekać, aż zapadnie noc, choć z drugiej strony, jest mało prawdopodobne, że zdecydują się jeszcze raz na spotkanie z kijem hokejowym. Zresztą gdyby na przykład wpadli na to, że w magazynach znajdują się świece dymne...

Najlepiej chyba byłoby sprowokować porachunki zaraz po wieczornym posiłku. Wszelkie inne rozwiązania wydawały się gorsze. I nie tak trudno przewidzieć, co mogłoby sprawić, że Silverhielm straci panowanie nad sobą jeszcze podczas obiadu. Jeśli przyjdzie, rzecz jasna. Silverhielm przyszedł. Kiedy Erik znalazł się w na pół wypełnionej sali, tamten już siedział na swoim miejscu. Idąc w stronę stołu, by minąć Silverhielma i dojść do swojego krzesła pod ścianą, Erik miał wrażenie, że otacza go wielki balon ciszy. Przystanął za plecami Silverhielma i czekał, aż ta, zrozumiała przecież, cisza rozprzestrzeni się na najbliższe metry.

Potem demonstracyjnie i bardzo głośno zaczął pociągać nosem.

- To dziwne - powiedział - ale wydaje mi się, że tutaj śmierdzi gównem. Wy nie czujecie? Silverhielm, czyś ty się nie umył?

Otoczenie dosłownie eksplodowało nieudolnie tłumionym śmiechem.

Silverhielm zerwał się i zaczął z mieszaniną hysterii i płaczu w głosie wrzeszczeć, że Erik ma natychmiast iść, usiąść i zamknąć mordę, bo jak nie, to oni się nim zajmą szybciej, niż myśli.

- Dobrze, dobrze, uspokój się - odparł Erik. - Ja tylko uważam, że powinieneś się dokładniej myć, kiedy masz siadać do stołu i w ogóle.

Potem odwrócił się i wciąż demonstracyjnie pociągając nosem, zaczął się przeciskać między stołami przy akompaniamencie kolejnych wybuchów śmiechu.

Pytanie, jak długo można ciągnąć taką zabawę w jadalni. To w jakimś sensie było palenie za sobą mostów. Oznaczało bowiem, że już przy najbliższym obiedzie, jeśli będzie w stanie na najbliższy obiad przyjść, musi prowadzić rozgrywkę dalej w tym samym stylu i będzie tak dopóty, dopóki któraś ze stron się nie podda. Raczej nie Erik będzie tym, który podda się pierwszy. A skoro tak, to nie ma żadnej możliwości, by Silverhielm mógł wygrać, żeby nie wiem ile razy udało mu się pobić przeciwnika. Więc niech się dzieje, co ma się dziać.

Po modlitwie pochylił się nad stołem i zawołał do Silverhielma, że smród czuć aż pod ścianą, po czym życzył mu smacznego.

Silverhielm nie odpowiedział. Po chwili Erik uderzył znowu.

- Chociaż zdaje mi się, że wlały ci się do gęby gówna członków Rady i czwartoklasistów, prawda? Pewnie były lepsze niż nasze, gówna chłopaków ze szkoły podstawowej?

Silverhielm nie odpowiadał.

- Ale jakby się tak zastanowić, to jakaś część tych gównien musiała być twoja własna. Przy odrobinie szczęścia mogło się zdarzyć, że zjadłeś swoje!

Dziwne, że Silverhielm był w stanie panować nad sobą. Żle to wróżyło. Czyżby przygotował sobie plan, że za nic nie da się wyprowadzić z równowagi?

Zawsze po zakończeniu posiłku najpierw z jadalni wychodzili czwartoklasiści, szefowie stołów i członkowie Rady, następnie szli licealiści i szkoła podstawowa według numeracji stołów. Taki porządek oznaczał, że ludzie Silverhielma muszą stać i czekać na Erika po tamtej stronie drzwi. Nie było sensu uciekać gdzieś w bok. Po pierwsze, prędzej czy później by go i tak złapali, a po drugie, nie wolno pokazywać, że się ich boi. Najlepiej byłoby sprowokować Silverhielma jeszcze tu, przy stole. Efekt byłby większy niż zwyczajne lanie po obiedzie.

- Moim zdaniem, ty za mało jesz, Skitenhielm*. Jedzenie chyba nie jest złe - powiedział Erik wolno, umyślnie przeciągając wymowę tego Skitenhielm.

Od tej chwili zawsze będę go tak nazywał, postanowił Erik. Prędzej czy później przezwisko musi przylgnąć.

Silverhielm odłożył nóż i widelec, z całej siły rąbnął pięścią w stół, ale nie podniósł wzroku znad talerza. Świetnie, wygląda na to, że zaskoczył.

- No a jeśli na deser będzie czekoladowy budyń? - ciągnął dalej Erik. - Pomyśl, czekoladowy budyń, polany waniliowym sosem, co? Chyba będę mógł dostać twoją porcję, Skitenhielm?

Nareszcie zadziało. Silverhielm wstał.

Erik podniósł się także, zrobił dwa kroki w tył, tak że plecami niemal dotykał ściany. Silverhielm szedł ku niemu.

Erik założył ręce na plecy, prawą dłoń zacisnął wokół lewego nadgarstka. Powinien się koncentrować na trzech rzeczach:

Nie upaść, nie dać się powalić na ziemię, żeby się nie wiem co stało.

* Skitenhielm - kolejne zniekształcenie nazwiska, *skit* znaczy „gówno”.

Nie oddawać, żeby się nie wiem co stało.

Nie płakać, nie pokazywać bólu, a poza tym nie przestawać kpić, żeby się nie wiem co stało.

Silverhielm zatrzymał się tuż przed nim. Był w hysterii, dygotał na całym ciele.

Szum w sali jadalnej przycichł. Kącikiem jednego oka Erik dostrzegł, że ci, którzy siedzieli przy dalszych stołach, wchodzą na krzesła, by lepiej widzieć. Kątem drugiego zobaczył, że dyrektor i dyżurny nauczyciel wciąż jedzą i rozmawiają, jakby nie widzieli, na co się zanosi, choć siedzieli nie dalej niż trzy metry od niego.

Erik szukał kontaktu wzrokowego z Silverhielmem i równocześnie koncentrował się na obrazie swojego ojca, trzymającego w ręce pejcz lub łyżkę do butów czy jeszcze jakieś inne narzędzie do wymierzania kary. Czuł, jak ucisk prawej ręki na lewym nadgarstku twardnieje, jak napinają się coraz bardziej mięśnie ud i brzucha. Przesunął biodra lekko w bok, by chronić się przed ewentualnym uderzeniem kolana w podbrzusze. Gdyby tamten mierzył prosto w twarz, to wystarczy zrobić unik, poza tym jednak trzeba stać spokojnie, myślał Erik i już teraz słyszał swoje myśli niczym echo docierające z daleka, jakby pochodziły od jakiejś innej osoby, stojącej obok. Silverhielm oddychał ciężko, ale się wahał, choć przecież nie miał odwrotu. Teraz już musi uderzyć. Erik jednak czy też ten drugi stojący obok niego i przyglądający się całemu zajściu stwierdził, że Silverhielm jest bliski płaczu. Teraz wystarczy go tylko popchnąć do działania z taką samą pewnością, jakby się przyciskało guzik. Rozbiegany wzrok tamtego przesunął się to w prawo, to w lewo, ale Erik, kiedy w końcu nawiązał z nim kontakt wzrokowy, roześmiał się tak szyderczo, jak to możliwe, i nacisnął w wyobraźni ten guzik.

- Ty śmierdzisz, Skitenhielm...

Tłumione śmiechy dookoła, niektóre nerwowe, inne wyraźnie udawane, jakby chciały dolewać oliwy do ognia.

Nagle Silverhielm wymierzył pierwszy cios. Erik słyszał, że trafił w lewą połowę twarzy i że Silverhielm, uderzając, wydał odgłos będący mieszaniną okrzyku tenisisty przy serwowaniu i jęku rozpaczy.

- Nawet twoje ręce śmierdzą gównem - powiedział Erik.

Na to Silverhielm zaczął bić jak oszalały. Uderzał Erika w twarz, na zmianę to z lewej, to z prawej, a przy każdym ciosie wydawał z siebie ten dźwięk, mieszaninę jęku z wysiłku i skowytu rozpaczy, a im dłużej bił, tym bardziej był roztrzęsiony.

Erik słyszał, jak ciosy trafiają w twarz, i czuł, że głowa mu odskakuje to w jedną, to w drugą stronę. Na palcu prawej ręki Silverhielm nosił wielki sygnet z rodowym herbem i prawie zawsze, gdy uderzał prawą pięścią, sygnet kaleczył skórę. Po chwili Erik musiał chyba coś powiedzieć, bo kiedy padał cios z prawej, miał widocznie nie do końca zaciśnięte szczęki i pięść Silverhielma wybiła mu jeden boczny ząb, który jednak pozostał w ustach. Następne uderzenie trafiło w nos. Erik słyszał chrupnięcie i skupił całą uwagę na tym, by pochylić się do przodu, i tak stać, mimo że krew buchała mu z nosa. Ponieważ Erik wciąż stał, Silverhielm coraz bardziej pograżał się w strachu i agresji, co dawało mu nowe siły do zadawania nowych ciosów. Sygnet zostawiał na twarzy Erika nowe rany, kilka razy trafił w to samo miejsce i rozorał górną wargę.

Erik czy też ten ktoś stojący obok Erika miał niejasne wrażenie, że w sali panuje zgiełk i ludzie wznoszą głośne okrzyki, że dyrektor i nauczyciel raz po raz podnoszą widelce do ust, że ręce Silverhielma są coraz bardziej zakrwawione i że krew zaczyna bryzgać na pobliskie stoły. Ale twarzy Silverhielma już wyraźnie nie widział. Nie przewróć się, myślał, tylko się nie przewróć, musisz

nadal stać. Krew spływała ciepłym strumieniem po twarzy na brodę i dalej, na czerwoną koszulkę. Nagle wszystko się skończyło i widział tylko zdyszanego Silverhielma z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

- Ty czuchniesz gólnem - wybełkotał Erik ustami pełnymi krwi.

Silverhielm wrzasnął i z jakąś nową desperacką siłą zaczął brać kolejne zamachy. Erik doznawał niejasnego uczucia, że chwyt prawej dłoni wokół lewego nadgarstka zelżał, a sala jadalna zaczyna się kołysać.

Nieoczekiwanie rozległ się całkiem nieznanomy głos, który coś powiedział, i Silverhielm przestał bić.

To dyrektor, który nie mógł już dłużej udawać, że nic nie widzi, skoro krew zaczynała mu bryzgać na talerz. Dyrektor wstał i warknął gniewnie, by Silverhielm i Erik wyszli za nim z sali.

Jak przez mgłę Erik widział idącego przed sobą Silverhielma, dziwnie pochylonego do przodu pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni. Erik potrzebował wielkiej mobilizacji, by utrzymać się na nogach. Musi mu się to udać. Nie wolno upaść, trzeba iść bez względu na to, że nogi zdają się przyspawane do podłogi.

Nie wiadomo, jakim sposobem nagle ruszył za Silverhielmem, między rzędami stołów. Kiedy znalazł się obok miejsca swojego oprawcy, przystanął, pochylił się i wypluł na talerz wybity ząb wraz z zakrzepłą krwią, po czym podążył za dyrektorem i Silverhielmem.

Gdy tylko wszyscy trzej wyszli, dyrektor zatrzasnął drzwi i powiedział coś, czego Erik nie zrozumiał. I Silverhielm coś odpowiedział, ale tego też nie dosłyszał. Potem dyrektor rzucił coś w rodzaju, by Erik natychmiast zniknął z jadalni - osobliwe, bo

przecież znajdowali się na zewnątrz - i poszedł się umyć. Po czym drzwi otworzyły się i zamknęły, Erik został sam.

Wolno jak we śnie nogi się pod nim załamały, opadł na kolana i przez chwilę wpatrywał się jednym okiem (najwyraźniej widział tylko na to jedno) w kałużę krwi, która rosła na parkiecie ułożonym w trójkątne wzory.

Pięć minut później, a może to było tylko pół minuty, zwlókł się na dół do toalet pod jadalnią i odkręcił kran z zimną wodą. Umywalka natychmiast wypełniła się czerwoną cieczą, Erik unikał patrzenia w lustro nad swoją głową. Na koniec wziął duży kawałek papieru toaletowego, poskładał go, namoczył w zimnej wodzie, przycisnął do twarzy i przez jakiś czas trzymał głowę mocno odchyłoną w tył.

Następnie przeszedł przez pusty szkolny dziedziniec, kierując się w stronę pływalni oraz izby chorych, gdzie przyjmowała pielęgniarka. Na drzwiach siostry znalazł kartkę: „Proszę wejść, zaraz wracam”. Wszedł i położył się na zielonej plastikowej kozetce, okrytej ochronnym papierem. Pojawił się ból, wróciła też świadomość, że ktoś, kto znajdował się obok niego, wkracza teraz ponownie do jego ciała.

Skitenhielm, myślał. Od tej chwili zawsze będziesz się nazywał Skitenhielm. I na tym myśl mu się urwała.

Po jakimś czasie odkrył, że nad jego twarzą pochyla się twarz siostry. Przemywała mu rany gazikiem, który trzymała długą pincetą.

- Przybył pan nieco wcześniej, niż oczekiwałam, jeśli wolno zwrócić uwagę. Szczerze mówiąc, sądziłam, że to potrwa dłużej, skończy się dopiero dobrze po obiedzie - mówiła siostra.

- Oni też by właściwie tak chciały - wybełkotał Erik.

- Samochód zaraz przyjedzie - poinformowała siostra. - Tutaj jest więcej do zrobienia, niż ja mogę załatać. Twój kolega przyniósł świeżą koszulę, może spróbujemy ją włożyć, żebyś się jakoś prezentował we Flen?

Potem siedział w mroku na tylnej kanapie taksówki, w głowie mu pulsowało, w ustach miał smak krwi, a myśli krążyły gdzieś po bezdrożach. Nosem oddychać nie mógł, a kiedy wciągał powietrze przez usta, bolało go okropnie w miejscu po wybitym zębie. Musiał się chyba zdrzemnąć, bo miał wrażenie, że podróż trwała tylko parę minut.

W końcu znalazł się w szpitalnej izbie przyjęć, leżał w ostrym świetle na zielonej kozetce, takiej samej plastikowej kozetce, pokrytej papierem, jak u szkolnej pielęgniarki.

Lekarz miał okulary z połówkami szkieł i białą brodę, z jakiegoś powodu przywodził Erikowi na myśl George'a Bernarda Shaw.

- Rozumiem, że kolega spadł z jakichś schodów w Stjärnsbergu - rzekł George Bernard Shaw, unosząc pod światło strzykawkę ze środkiem znieczulającym, i przezroczysty strumyk lekarstwa wystrzelił w powietrze. - Leż teraz spokojnie, to będziemy znieczulać. Zechce siostra przygotować jeszcze jedną porcję? No dobrze, młody człowieku, to był pierwszy zastrzyk. Niebezpieczne schody macie tam w tym Stjärnsbergu, prawda?

Erik nie odpowiadał. Lekarz zrobił pierwszy zastrzyk gdzieś w policzek, pod lewym okiem.

- Jeszt tego dużo do szycia? - spytał Erik.

- Mhm. Chociaż widziałem gorszych - odparł lekarz, przygotowując kolejne znieczulenie. - Ale starczy zajęcia na parę godzin, mogę cię zapewnić.

- Ile szwów i gdzie będą?

- Tutaj, na policzku, mamy dwa miejsca, gdzie trzeba siedmiu, może ośmiu szwów. Rany nie mają takich równych krawędzi, jak można by sobie życzyć, powstały, jak sądzę, w wyniku tego, co w języku policyjnym nazywa się tępą przemocą. A zatem schody?

- A uszta?

- Tu, w kąciку ust, będziemy potrzebować tylko jednego szwu, może dwóch, ale potem będziemy się musieli wedrzeć do środka, by cię załatać również od wewnętrznej strony.

- A oko? Czo jesz z okiem? Nicz nie widze.

- Samo oko nie zostało uszkodzone, to zasadnicza sprawa. Ale po tylu ciosach trzeba chyba poczekać parę dni, zanim wyjrzy spod opuchlizny. Czy oni cię kopali po twarzy?

Erik próbował się zastanowić, co ma powiedzieć.

- Nie - odparł krótko.

- Dziwne - ciągnął dalej George Bernard Shaw i pochylił się nad twarzą Erika. - A jednak to wygląda jak ślady kopniaków, te nierówności na brzegach ran mogły powstać od uderzenia obcasami, no nie?

Lekarz zrobił trzeci zastrzyk, a Erik zastanawiał się, co właściwie ma mówić. Czy to jest tak, że wszyscy, którzy tu przyjeżdżają ze Stjärnsbergu po pojedynku na betonie, kłamią co do przyczyn swojego stanu?

- No już - powiedział lekarz. - Teraz trzeba tylko trochę poczekać, aż znieczulenie zacznie działać. Wymiotowałeś może w drodze tutaj? Jest ci niedobrze? Siostró, trzeba chyba przynieść mu miskę, jeśli siostra taka uprzejma.

- Nie, czuje się dobrze - zaprotestował Erik.

Lekarz unosił w górę swoje instrumenty, wkładał wolno chirurgiczną nić w szczypce.

- Tak, tak, te schody, ach, te schody - westchnął. - Ale ja widziałem już gorszych od ciebie. Na początku semestru był tu jeden taki, miał na imię Lennart czy coś w tym rodzaju. Wybili mu trzy zęby, a nos miał w pięciu kawałkach. Twój nos ma tylko jedno pęknięcie. W parę tygodni się zagoi, chociaż przez jakiś czas będziesz miał nochal trochę rozplaszczony. Lekarz założył pierwszy szew.

- Czy zechciałaby siostra uciąć tutaj, o tak, dziękuję. Ten z kością nosową w pięciu kawałkach i bez trzech zębów spadł chyba z tych samych schodów, jak sędzę. Może nawet ty dokładnie widziałeś, jak do tego doszło.

Lekarz założył drugi szew.

Ten lekarz mówi, jak widać, o przypadku Lellego. Czy się domyśla związku między nimi? Czy wie, że to Erik był schodami dla tamtego? Nie, oczywiście że nie.

- No i odcinamy znowu, dziękuję.

- Właściwie - ciągnął dalej doktor po chwili milczenia i paru dalszych szwach - to jesteśmy zobowiązani do zgłaszania policji podejrzanych przypadków maltretowania dzieci. Wobec prawa ty jesteś nadal dzieckiem, młody człowieku. A gdyby policja zdołała wykurzyć to gniazdo nazizmu, z którego przybywasz, to my moglibyśmy poświęcać się poważniejszym sprawom niż nieustanne zakładanie szwów zmaltretowanym dzieciakom. No, co ty na to?

- Jesz tak, że ja musze tam bycz jeszcze czy semesty, zanim będę mógł przenieś się do liceum w Sztoholmie - odparł Erik po chwili zastanowienia.

- Aha. I w związku z tym będziemy się trzymać wersji ze schodami, tak?

- Ja nie mówię nic o schodach i wcale nie mam zamiaru. Ale jeśli tak, że muszę tam być trochę więcej jak trzy semestry. Koniec, kropka.

- Boże drogi - westchnął doktor. - Żebyście wy przynajmniej uprawiali szermierkę menzurową, to mielibyśmy równiutkie cięcia do szycia, nie trzeba by się było szamotać z takimi strzępami jak tu. Siostró, tniemy. Dziękuję. Wiesz, co to jest szermierka menzurowa?

- Nie, szadze, że nie.

- Fantastycznie, chociaż myślałem, że wy w Stjärnsbergu to akurat wiecie. Widzisz, to było tak, że dwóch nazistów stawało w takiej odległości od siebie, że mogli trafiać nawzajem tylko w swoje policzki. Wygrywał ten, który został trafiony więcej razy i będzie miał najładniejsze blizny. Przyjemne, co?

- Mądrze to nie brzmi. Po co chcą mieć blizny?

- Uważają, że to męskie, wygląda butnie. Po tym, co cię dzisiaj spotkało, mógłbyś się wkręcić do takiego towarzystwa. To przypomina jakby tajny zakon, a panowie z takimi bliznami zawsze otaczani są szacunkiem. To znaczy szacunkiem pewnej grupy ludzi, inni okazują im raczej mieszane uczucia. Przez całe życie, bo blizny zostają na zawsze, mniej więcej tak jak twoje.

- Tak, moje blizny będą dziać podobnie.

Lekarz posłał mu przeciągłe spojrzenie znad okularów, a potem wrócił do przerwanej pracy.

- No, może nie tak samo - bąkał Erik niepewnie. - Ale, no, to trudno wytłumaczyć.

Lekarz, który wyglądał jak George Bernard Shaw, szył przez chwilę w milczeniu. Potem oczyścił ostrożnie nozdrza Erika z zakrzepłej krwi i poruszył lekko jego nosem raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Boli cię, jak tak robię? - spytał.

- Tjochę.

- Mhm. Więc, jak powiedziałem, będziesz miał nieco spłaszczony nos przez jakiś czas i będzie cię pobolewał, ale kość nie jest złamana.

Zrobił krok w tył i przyglądał się swojemu dziełu.

- Pięknie, nie ma co gadać, prawda, siostrzo?

Pielęgniarka potwierdziła z podziwem i chciała spryskać całość środkiem dezynfekującym.

- Jeszcze nie - zaprotestował lekarz. - Teraz od środka. - No, młody człowieku, to będzie najgorsze. Obawiam się, że przez jakiś czas konwersacja będzie jednostronna, że tak powiem. Wy tłumacz mi tylko jeszcze, co miałeś na myśli z tym oddziaływaniem blizn? Bo ja jestem z natury niepoprawnym ciekawskim.

- Nie wiem, czy się da wytłumaczyć - odparł Erik. - Ale po piejwsze, jest tak, że nie można bić chopaka, któji ma takie blizny na twaszy.

- Ach tak. A dlaczego nie można?

- Tak jest i jusz.

- Ale w Stjärnsbergu nie?

- W Stjenbejgu nie.

- Aha. A po drugie?

- Tego się nie da wytjumaszyć, to ma swiązek z tymi wymiszlonymi schodami. Jak się spotkamy za czy semestji, to wytjumasze. Ale każdy się boi bicia i blizn, które o tym pszy-pominają w jakiś sposób. No, nie mogę wytjumaszyć, żeby nie powiedzieć tego, szego nie mogę powiedzieć. A co zjobimy z tym wybitym zębem?

Lekarz zsunął okulary na czubek nosa i patrzył swoimi jasnoniebieskimi oczyma w jedyne oko Erika.

- No, no - odezwał się na koniec. - Osobliwy z ciebie gość. A z zębem to nie moja działka, musisz poprosić pielęgniarkę w Stjärnsbergu, żeby ci zamówiła wizytę u dentysty. A my teraz pozszywamy cię od środka, i to będzie nieco bardziej skomplikowane. Połóż się na boku i otwórz szeroko usta.

Siostra okryła Erikowi twarz białą serwetką z otworem na usta, a do ust nakładła mu gazików. Lekarz pracował w skupieniu, na koniec założył po wewnętrznej stronie lewego policzka trzy szwy. Potem rana została zdezynfekowana, a siostra zrobiła Erikowi opatrunek. Czuł się marnie, ciało miał jakieś sztywne, kiedy ostatecznie pozwolono mu wstać. Lekarz upominał, że kilka najbliższych dni powinien spędzić w łóżku, jak najmniej ruchu ze względu na wstrząśnienie mózgu. W normalnym wypadku chory zostałby w szpitalu przynajmniej na noc, ale Erik pochodzi, niestety, z innego dystryktu, a poza tym w Stjärnsbergu jest izba chorych.

- Dziękuje za pomos - wykrztusił Erik i uścisnął doktorowi rękę.

- *Das war aber nichts* - odparł doktor jakimś dziwnym tonem.

W taksówce po drodze do domu Erik rozmyślał o policji i prawie. Niczemu by to jednak nie służyło i wcale by mu nie pomogło w ciągu tych trzech semestrów, które miał tu jeszcze

spędzić. Prawo w Stjärnsbergu nie działa; to miejsce jest niczym miasto stanu wyjątkowego, w którym prawo ustanawia komendantura wojskowa, wyznaczona przez władze okupacyjne. Tylko dlatego lekarz opowiadał mu o tej nazistowskiej szermierce i dlatego na koniec mówił po niemiecku? Musiało to chyba oznaczać, że uważa Stjärnsberg za siedlisko nazistów, co nie jest taką czystą prawdą. W Stjärnsbergu nie ma żywego ducha, który by powiedział, że jest zwolennikiem nazizmu. Mimo to powinno się jednak zacząć nazywać Radę komendanturą. A Silverhielma komendantem Skitenhielmem. Gustaf Dahlen byłby zatem wicekomendantem Oczko. Jak w tym filmie z poprzedniej soboty o angielskich lotnikach, którzy byli więźniami stalagu numer 13. Niemcy mianowicie nie potrafili się bronić przed żartami i szyderstwami Anglików. A jeńców wojennych nie można było skazać na śmierć.

Kiedy wrócił do pokoju, nie zapalił światła. Pierre spał. Czy Erik powinien znowu usiąść w fotelu z hokejowym kijem w rękach? Nie, wystarczy Biblia wciśnięta między futrynę drzwi a klamkę, to przynajmniej się obudzi, gdyby ktoś próbował wejść do pokoju. Trudno mu było otworzyć usta dostatecznie szeroko, by umyć zęby. Ale kiedy już się położył, zasnął w tej samej sekundzie, gdy jego głowa dotknęła poduszki.

Następnego dnia Erik przyszedł na śniadanie umyślnie trochę spóźniony, by mieć pewność, że Silverhielm już siedzi przy stole i on przejdzie za jego plecami. Słusznie. Silverhielm był na swoim miejscu i nie widział Erika wchodzącego do jadalni. Chociaż powinien zauważyć, że ludzie obok niego spoglądają ku drzwiom w absolutnie szczególny sposób i milkną.

Kiedy Erik doszedł do celu, czyli kiedy znalazł się dokładnie za plecami Silverhielma, przystanął i pociągnął kilka razy nosem.

- Dziwne - powiedział aż nadto głośno. - Czy ktoś tu puścił baka? A może to nasz przyjaciel, komendant Skitenhielm, w dalszym ciągu się nie myje?

I kiedy Silverhielm już się miał zerwać, przycisnął go ręką i popchnął z powrotem na krzesło, a sam demonstracyjnie wolno ruszył w stronę swojego miejsca, nasłuchując uważnie, czy Silverhielm za nim nie idzie. Ale tamten siedział bez ruchu.

Przy Erikowej części stołu nikt nie powiedział ani słowa. Wszyscy ukradkiem spoglądali na jego twarz. Erik ostrożnie usunął opatrunki i rany były widoczne w całej okazałości. Tak mniej się będą paprać i szybciej wygoją. Ale to nie był jedyny powód. I nie był to też wcale powód najważniejszy.

Próbował sprawiać wrażenie nieskrępowanego, kiedy jadł ostrożnie tylko jedną połową ust i żuł powoli, by zęby nie dotykały opuchniętych i bolesnych miejsc.

Następnego dnia opuchlizna spod oka zeszła do tego stopnia, że widział już całkiem wyraźnie. Niebiesko-sino-zielone zabarwienie twarzy rozlało się szeroko od oczu w dół, do spuchniętego nosa i pozszywanych policzków, aż do żuchwy.

Przy posiłku Erik rzucił kilka pełnych zdumienia komentarzy na temat zapachu gówna, po to przede wszystkim, by przyzwyczajać Silverhielma do tego, że teraz tak już będzie. Silverhielm natomiast patrzył w talerz lub w sufit, udając, że nie słyszy tego, co wszyscy inni przy stole słyszeli aż nadto wyraźnie. Silverhielm był załatwiony. Nie mógł się po prostu zerwać i znowu zacząć bić - nikt przecież nie uderza w twarz, która wygląda tak jak twarz Erika - nie mógł też zarządzić prztyczka ani kazać Erikowi opuścić sali, bo jedynym efektem byłaby odmowa wykonania rozkazu. Dopóki Erik ma te wszystkie szwy na twarzy, jest bezpieczny, a przynajmniej prawie bezpieczny.

Ale była środa i po obiedzie miało się odbyć zebranie Rady. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Erik usłyszał, że znajduje się wśród wezwanych na przesłuchanie. Rada nie zadawała sobie już trudu, by wzywać go z powodu odmowy wykonania rozkazu, bo jedna sobota-i-niedziela w tę czy tamtą stronę nie robiła różnicy. Nie został też przyłapany na paleniu. Czy więc oni są aż tak głupi, że chcą roztrząsać sprawę wylania zawartości plastikowego wiaderka na gębę Silverhielma? Najlepszym wyjściem byłoby przecież udawać, że takiej sprawy nie ma. Czy oni naprawdę chcą skazać Erika za to wylanie gówna? Ale to im się nie uda. Nigdy. Jeżeli Erik będzie dobrze rozgrywał swoje karty, to się nie uda.

Po obiedzie on i Pierre przedyskutowali linię obrony, zostało jeszcze piętnaście minut do czasu, gdy wezwani muszą się stawić. (Pierre wezwany nie został.)

A zatem było tak: odstawili wiadro do łazienki i poszli spać, pojęcia o niczym nie mają, słyszeli tylko plotki. Różne.

I tyle. Wypierać się, nie przyznawać do niczego.

Tak, Rada miała rozpatrywać tę właśnie sprawę.

Erik wszedł do klasy numer sześć, demonstracyjnie pociągając nosem, a potem z największym wysiłkiem powstrzymywał się od śmiechu, kiedy patrzył na miny członków nowej Rady.

- Chyba rozumiesz, dlaczego tu jesteś? - zaczął Silverhielm.

- Nie, *Herr Kommandant*, Szczerze mówiąc, nie rozumiem.

- Czy do tego wszystkiego jesteś także głupi?

- Nie, *Herr Kommandant*. Ale czy nie powinniście tu trochę wywietrzyć?

Replika cięła jak biczem. Silverhielm przełknął parę razy ślinę i próbował się skoncentrować.

- Cóż, jak pewnie rozumiesz, naruszyłeś paragraf trzynasty. A karą dla kogoś, kto popełnił wykroczenie zagrożone z paragrafu trzynastego, jest wyrzucenie ze szkoły. Chyba znasz ten paragraf? W każdym razie jego znajomość jest twoim obowiązkiem.

- Oczywiście, że znam paragraf. Ale ja ciebie nie uderzyłem. Gdybym się bronił wtedy w jadalni, tobyś tu teraz nie siedział. Tylko że ja trzymałem ręce na plecach przez cały czas, kiedy ty starałeś się powalić mnie na ziemię.

- Nie zgrywaj się, nie o tym wydarzeniu mówimy. Bardzo dobrze rozumiesz, o co chodzi.

- Że miałbym jakoby „po prostu” nad kimś się znęcać, to znaczy nad samym Herr Kommandantem przez wylanie sików i gównien czwartoklasistów i członków Rady na twarz Herr Kommandanta, kiedy pan spał? To macie na myśli?

- Tak, i będzie najlepiej, jeżeli się przyznasz, bo my wiemy, że to byłeś ty.

Najstarszy ze wszystkich blefów wszystkich przesłuchujących na świecie. Jedynymi, którzy wiedzą, jak było naprawdę, są oni, Erik i Pierre. A jeżeli chodzi o ścisłość, to na całej ziemi istnieje tylko jeden człowiek, który dokładnie wie, jak do tego doszło, i tym człowiekiem jest sam Erik. Tylko on wie, jak serce mu biło, kiedy tam stał w ciemnościach i wsłuchiwał się w oddechy śpiących, jak zapalił światło, by stwierdzić, który jest który, jak wyciągnął z gniazdka wtyczki do bocznego oświetlenia i jak potem podchodził do łóżka Silverhielma i macał ręką, żeby nie chybić, kiedy przechyli wiaderko. Jakby się dobrze zastanowić, to nawet jego odciski palców na wiaderku o niczym by nie świadczyły. A Pierre nigdy by go nie wydał.

- Aha - rzekł Erik po umyślnie długiej pauzie. - Mogę tylko żałować, że to nie byłem ja. Nawet się nie domyślacie, jak bym się

wspaniale czuł, gdybym mógł dać Herr Kommandantowi dokładnie to, czego potrzebował. Ale, niestety, ktoś inny przede mną wpadł na ten wyjątkowy pomysł.

- To nie mógł być nikt inny, tylko ty - wtrącił wiceprzewodniczący, Gustaf Dahlen.

Erik poszukał wzroku Dahlena i wpatrywał się potem weń tak długo, aż Dahlen zaczął mrugać.

- A skąd to wicekomendant Oczko o tym wie, jeśli wolno spytać?

- Skończ z tymi bezczelnościami! - wrzasnął Silverhielm.

- *Jawohl, Herr Kommandant* - odparł służbiście Erik.

- Urządzimy ci tu piekło, zobaczysz! - syknął jeden z nowych członków Rady.

Erik machnął ręką, jakby chciał go uciszyć, i zwrócił się do Silverhielma:

- Waszym obowiązkiem jest udowodnić, że to byłem ja. A w takim razie wykładajcie dowody! Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że ty sam chlusnąłeś wiadro gówna i moczu do pokoju, w którym mieszkam ja i Pierre Tanguy. My wszyscy, obecni teraz w tej sali, byliśmy świadkami tej próby obrabiania mnie podczas klasztornej nocy. Jeśli jednak chodzi o to, co wydarzyło się później, to ja słyszałem tylko jakieś śmieszne historie o tym, jak ktoś wylał to samo gówno na Silverhielma, o, przepraszam, Skitenhielma, chciałem powiedzieć.

- Jeżeli się nie przyznasz, to będzie z tobą źle - zagroził Silverhielm przez zaciśnięte zęby.

- Chyba rozumiecie, że nawet gdybym to był ja, to i tak nigdy bym się nie przyznał. Nie chcę, żeby mnie wyrzucili ze szkoły. Skończyliśmy? Mogę sobie iść?

Erik zrobił ruch, jakby zamierzał wyjść.

Tamci jednak zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego, że ma zostać i stać porządnie oraz że nie wolno mu wyjść, dopóki oni nie pozwolą.

- No nie, tak nie będziemy się bawić. Dowody proszę.

- Możemy cię zmusić, żebyś się przyznał - straszył Gustaf Dahlen.

Erik ponownie próbował pochwycić jego wzrok, ale tym razem mu się nie udało.

- Nigdy mnie nie zmusicie, żebym się przyznał - odparł spokojnie.

- Ale ty się już przyznałeś - oznajmił Silverhielm. - Bo od początku byłeś pewien, że będziesz się wszystkiego wypierał, prawda? A to znaczy, że pośrednio się przyznajesz, mamy to w protokole, o, tutaj. Proszę, niech sekretarz zapisze, że Erik powiedział, iż nie zamierza się przyznawać, bo nie chce być wyrzucony ze szkoły.

- Ale ja tak nie mówiłem. Powiedziałem, że nigdy mnie nie zmusicie do przyznania się, to wszystko.

- Strzeż się, bo my dużo możemy, jak tylko będziemy chcieli - groził jeden z nowych.

Erik roześmiał się tak szeroko, jak tylko mógł w stronę nowego członka Rady, zanim odpowiedział. (Szew w kąciku warg nie pozwalał swobodnie mówić.)

- Przyznanie się w wyniku tortur uznano za bezwartościowe już w połowie dziewiętnastego wieku. To nawet taki prostak jak członek Rady powinien wiedzieć. Jeśli nie tymi metodami, którymi mnie próbujesz straszyć, to jak mi udowodnicie winę?

- Możemy też wziąć w obroty twojego koleżkę z pokoju - odparł Silverhielm.

Erik o mało nie zaczął mu odpowiadać pogrózkami, co się w takim wypadku stanie, ale domyślił się, że to by ich tylko zachęciło do znęcania się nad Pierre'em.

- Oczywiście - odparł i jeszcze poszerzył uśmiech, tak że z rany wypłynęła strużka krwi. - Oczywiście, tego zawsze możecie spróbować. Kto wie, może to był Pierre Tanguy? Ja o niczym nie mam pojęcia, ponieważ tamtej nocy spałem jak dziecko. Kiedy już uprzątnęliśmy panów ekskrementy, naturalnie.

- Przyznaj się, że to byłeś ty! - wrzasnął Silverhielm. - To wszystko jest po prostu śmieszne, cała szkoła wie, że to ty, więc nie stój tu i nie rób cyrku!

- Cała szkoła jest uprzejma wierzyć, że to ja wylałem kupę na Herr Kommandanta. Ale cała szkoła tego nie wie! Jedynym, który wie, jeśli dobrze całą sprawę rozumiem, jest ten, który czyn popełnił. I, znowu jeśli dobrze rozumiem, nikt go nie widział.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - spytał Gustaf Dahlen podstępnie. - Skąd możesz wiedzieć, że nikt go nie widział?

- Bo gdyby widział, to mielibyśmy świadka, a wtedy nie gadalibyśmy tak jak teraz.

- Chcesz powiedzieć, że gdybyśmy mieli świadka, to byłoby po tobie?

- No nie, wy znowu swoje. Wtedy mnie by tu po prostu nie było, bo mielibyście przecież prawdziwego winnego. Więc nie musielibyśmy gadać po próżnicy jak teraz.

- Ty sobie nie myśl, że się z tego wywiniesz - powtórzył jeszcze raz jeden z nowych.

- Ale ja właśnie tak myślę. Chciałbym was widzieć, jak idziecie do dyrektora i mówicie mu, że się wam wydaje, iż to ja wylałem kupę na Herr Kommandanta. Jak myślicie, co ja bym powiedział dyrektorowi, gdyby mnie przesłuchiwał? I sądzicie, że by mnie wyrzucił bez formalnego powodu? Nigdy do tego nie dojdzie.

- Niech ci się mimo to nie wydaje, że unikniesz kary - odparł ten sam członek Rady, który przedtem próbował go straszyć. - Poczekaj tylko, utrzymamy ci nosa.

- Tak, już ja wiem, jak to jest z waszymi obietnicami w takich sprawach. I wszyscy wiedzą, jak znakomicie sobie poradziliście z obrabianiem. Zapamiętajcie sobie jeszcze, jeśli się kiedykolwiek spotkamy poza tą szkołą, to twój złoty otok wokół Oriona będzie wart nie więcej niż kawałek papieru. Wesoło, prawda? Będzie ci wesoło, jeśli się spotkamy w Sztokholmie jakiegoś ciemnego wieczoru?

- Grozisz Radzie? - wrzasnął Silverhielm histerycznym głosem.

Erik wybuchnął śmiechem i równocześnie się zastanawiał. Pociągnął kilka razy nosem, jakby znowu poczuł nieprzyjemny zapach, a potem powiedział, że nie ma zamiaru ani straszyć Rady, ani jej nie straszyć. Żadnemu z członków Rady włos z głowy nie spadnie za jego sprawą, dopóki znajduje się w promieniu pięciu kilometrów od Stjärnsbergu. Ale jeżeli spotkają się gdzieś w Szwecji, gdzie prawa Stjärnsbergu nie obowiązują, to już zupełnie inna sprawa. Choć to, rzecz jasna, dotyczy przede wszystkim Silverhielma.

- Ty rozumiesz - zwrócił się Erik wprost do Silverhielma - że gdybym to ja wylał na ciebie gówna, to byłbym taki zadowolony, że żadna myśl o dodatkowej zemście nie przyszlaby mi do głowy. Ty bijesz jak jakaś baba, nie potrafisz powalić na ziemię nawet faceta, który się wcale nie broni. Z wielkim trudem i nakładem niesłychanego wysiłku udało ci się wybić mi jeden ząb. Spróbuj sobie wyobrazić, co to będzie, jak spotkasz mnie kiedyś w innym miejscu. Myślę, że na jednym zębie się wtedy nie skończy.

Erik ponownie rozszerzył usta w uśmiechu i próbował nawiązać z Silverhielmem kontakt wzrokowy. Zaległa cisza. Dwaj najbliżsi siedzący członkowie Rady rysowali w swoich notatnikach jakieś bazgroły.

- Mogę już iść? - spytał znowu Erik.

- Za bezczelne zachowanie wobec Rady zostałeś skazany na cztery soboty-i-niedziele aresztu, a teraz zjeżdżaj stąd i miej się na baczności!

- Owszem, owszem - odparł Erik, westchnął teatralnie i wyszedł.

Kiedy znalazł się w mroku przed szkolnym budynkiem, dostrzegł, że na ziemię zaczynają spadać pierwsze wielkie płatki śniegu. Semestr jesienny wkrótce się skończy. Czwarta część, pomyślał. Czwartą część czasu dzielącego mnie od wolności niedługo będę miał za sobą.

Czy sprawa naprawdę była tego warta, Erik? Już niedługo miną dwa tygodnie, jak nosisz szwy na twarzy, i dopiero teraz zaczynasz być podobny do siebie, jeszcze parę dni temu nie wyglądałeś najmądrzej. Od tamtego czasu oni cię nie tknęli, ale to pewnie dlatego, że - jak sam powiedziałeś - rany muszą się najpierw zagoić. Chociaż, moim zdaniem, dla takich chamów to nie

ma żadnego znaczenia. Zarobiłeś już tyle sobót-i-niedziel, że starczyłoby ci ich na sześć, a może nawet na siedem lat. Zanim skończysz tę szkołę za półtora roku i pójdiesz do liceum gdzie indziej, to i tak wszystkie soboty i niedziele spędzisz w areszcie. Tak, tak, wiem, że to było dobre, bo musiałeś nadrabiać matkę i w ogóle, ale później? Jeśli będziesz ciągnął to, co robisz, jeszcze przez trzy semestry, to ile będziesz miał na koniec złotych zębów? A przecież nikt inny nie protestuje, wszyscy chcą, żeby w Stjärnsbergu pozostało tak, jak jest. Nie rozumiesz tego? I żeby nie wiem jakie dziwne ci się to wydawało, wiedz, że nawet ci ze szkoły podstawowej chcą, aby tak zostało. Klasztorna noc skończyła się dla członków Rady klęską, ale dla ludzi w szkole to jest zawód. Naprawdę, czują się w jakiś sposób zawiedzeni, nawet jeśli ta historia z Silverhielmem bije wszelkie rekordy. To strasznie śmieszna historia i Silverhielm przeżywa oczywiście piekło, i tak będzie miał do końca swojej nauki w tej szkole. Właściwie jednak, jak już powiedziałem, wielu ze szkoły podstawowej życzyłoby sobie, żeby to, co zrobiłeś z Silverhielmem, spotkało ciebie. Byłoby tak samo fajnie, ale słuszniej, gdyby role zostały odwrócone. A kiedy potem, następnego dnia, Silverhielm stał w jadalni i tłukł cię po gębie, to niech ci się nie wydaje, że był tam choć jeden taki, który tobie życzył wygranej. Oni chcieli tylko zobaczyć, ile potrafisz wytrzymać. Okay, przyznaję, że ten pokaz przyniósł efekty, bo teraz wszyscy chodzą i gadają, że jesteś odważniejszy, niż można było przypuszczać. I nikomu nie przyjdzie do głowy szukać z tobą zwady, to znaczy przynajmniej nikomu, kto nie jest członkiem Rady. Ale za twoimi plecami ludzie stroją miny i stukają się w czoło, by pokazać, że ich zdaniem, masz trochę nie po kolei. Gdybyś nie był drugim uczniem w klasie, zaraz po mnie, toby pewnie mówili, że jesteś głupi. I mieliby wytłumaczenie, dlaczego nie powinni się przejmować twoim oporem. Teraz zostało bardzo niewiele czasu do ferii świątecznych. Ale potem, jak się już zacznie semestr wiosenny,

powinieneś z tym skończyć. Moim zdaniem, będzie ze strony Rady więcej bicia, nic pozytywnego z tego nie wyniknie.

To oczywiste, że oni znowu mnie zaatakują, ja też to pojmuję. Ale nie uważam jak ty, że będzie tak dużo więcej wizyt w szpitalnej szwalni. Tak, bo to jest właśnie to, czego ty nie rozumiesz. Jeśli chodzi o przemoc, to nie rozumiesz wielu rzeczy. Ale tak to właśnie jest. Powodem, dla którego zostawiają mnie w spokoju mimo wszystkich moich uwag o tym, że Silverhielm śmierdzi gównem i tak dalej, jest nie tylko to, że mam teraz paskudnie pokiereszowaną gębę. To jest tylko zewnętrzny obraz. Ale przemoc przeraża również tego, który bije. Nie ma nikogo takiego, kto by się w jakiś sposób nie bał, kiedy wdaje się w bójkę. Temu zawsze towarzyszy strach. I myślę, że nie ma nic bardziej przerażającego niż sytuacja, w której człowiek stoi i tłucze faceta prosto w twarz, uderza raz za razem, a tamten się nie chwieje, nie pada na ziemię. Przecież widziałeś Silverhielma. Pod koniec był kompletnie zdesperowany. A to dlatego, że się bał, bo ja wciąż stałem.

No i właśnie dlatego ja stać musiałem, bo wiedziałem, że to tak działa. To nadal w nich tkwi. Każdy z nich chodzi teraz i zastanawia się, jak on sam by się zachował w sytuacji Silverhielma. Nie mogą mnie przecież zabić, są jakieś granice. Tak jak na przykład dla nas. Wiemy, że w magazynach obrony cywilnej jest pełno broni. Moglibyśmy tam wejść, wziąć sobie dwa pistolety maszynowe, po kilka ręcznych granatów i którejs nocy dokonać masowego mordu, wystrzelać całą Radę. Oczywiście, że moglibyśmy to zrobić, ale jest to oczywiste tylko z technicznego punktu widzenia. Bo z drugiej strony, jest też oczywiste, że nigdy czegoś takiego nie zrobimy. Rozumiesz? Zawsze istnieje granica, przy której rozsądek zwycięża nad uczuciami.

Nie, zaczekaj. Jeszcze nie zdążyłem powiedzieć tego, co chciałem. To twój sposób dyskusowania zmusza mnie, bym trzymał się tylko tego, co znajduje się na zewnątrz. Przedtem byliśmy zgodni, co jest ważne. Tamtej nocy, chodzi mi o noc klasztorną, kiedy siedzieliśmy tu w ciemnościach, czekaliśmy na atak i rozmawialiśmy o Polifemie, o tym, że Polifem to zło, byliśmy absolutnie zgodni w sprawie, co jest ważne. Ze złem trzeba walczyć. Trzeba to robić zawsze. Nie można mówić, że się to robi kiedy indziej i w innym miejscu, kiedy tu i teraz siedzisz w środku Stjärnsbergu. Czy rozumiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię, że obecnie, gdy mam taką twarz, to wcale nie było zabawne patrzeć w lustro i widzieć siebie w pierwszych dniach po wyczynach Silverhielma w jadalni? Ale, i teraz słuchaj, bo to jest najważniejsze, gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem, byłoby mi jeszcze trudniej patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Ja nie chcę być taki jak oni, nigdy. I ty też nie. Tylko mi nie mów, że chciałbyś być taki jak oni, bo to nieprawda. I mam gdzieś tych idiotów z Przegródki i innych ze szkoły podstawowej, którzy trzymają z Radą. Ci ludzie całkiem po prostu popełniają błąd, oni powinni stawiać opór, wtedy prędko byśmy skończyli z sytuacją, którą teraz mamy. Ale to po części tchórze, po części sami chcą być członkami Rady, więc ich dzisiejsze zachowanie po kilku latach zostanie nagrodzone. To są po prostu quislingowcy. Skoro mogli istnieć quislingowcy w całym kraju, zamieszkanym przez dorosłych ludzi, który znajdował się pod okupacją nazistów, to byłoby chyba dziwne, gdyby tacy nie istnieli wśród uczniów podstawówki w Stjärnsbergu. A przy okazji, Przegródka chce się ze mną jutro spotkać i nietrudno zgadnąć, co koledzy zamierzają mi powiedzieć. Cholerni quislingowcy.

Przegródka chciała przemawiać do rozsądku. Po koleżeńsku, jak to między równymi sobie uczniami szkoły podstawowej, do

rozsądku odwoływać się wolno. Oni, członkowie Przegródki, dyskutowali nad przypadkiem Erika, zarówno w swoim gronie, jak i z Radą. No, w każdym razie dalej tego tak ciągnąć nie można. Jeśli Erik uważa, że nie pasuje do Stjärnsbergu, to powinien zrezygnować z tej szkoły, wtedy problem byłby rozwiązany i dla niego, i dla ducha koleżeństwa.

Aha, Erik nie może zrezygnować.

No cóż, ale, jak powiedziano, to, co się dzieje, nie jest dobre dla ducha koleżeństwa. Większość w szkole popiera koleżeńskie samowychowanie, Erik musiał przecież zwrócić na to uwagę. Natomiast zachowanie Erika jest szkodliwe. Wielu najmłodszych chłopców z podstawówki zaczęło używać przezwisk wymyślonych przez Erika w stosunku do przewodniczącego i wiceprzewodniczącego. Ach tak, on nic o tym nie wie? No, ale tak właśnie się dzieje. I to naprawdę nie jest dobre. To się może jeszcze bardziej rozprzestrzeniać i prowadzić do niepotrzebnych kar. Szkoda tych wszystkich, których będą spotykać kary tylko dlatego, że Erik ich zwiódł, mowa oczywiście o najmłodszych chłopcach. Takie zachowanie to ze strony Erika brak solidarności, on się zachowuje jak jakiś nadczłowiek, i czemuś takiemu należy się przeciwstawić. Nie ma drugiego ucznia w szkole, który mógłby stać przez wiele minut i przyjmować bicie bez jednego choćby grymasu, nie ma też nikogo innego, kto by uciekał przed kilkoma członkami Rady, jak to robi Erik. Dla zabawy, oczywiście. To niedemokratyczne i Przegródka musi potępiać podobne obyczaje. Jest trzech, może czterech takich, którzy zaczęli naśladować jego pomysły w sprawie unikania prztyczków i godzenia się raczej na soboty-i-niedziele. Czym to się może skończyć? Szkoła podstawowa podzieli się na dwie grupy, dojdzie do rozbicia, jeśli Przegródka nie zdoła temu wszystkiemu zapobiec. Jedyne demokratyczne rozwiązanie, to żeby wszystkich obowiązywały prztyczki i spełnianie posług wobec starszych.

W każdym razie Przegródka chciałaby zaproponować kompromis. Tak, były prowadzone rozmowy z Radą i Rada jest za tym, chociaż nie można nic powiedzieć na zewnątrz, to oczywiście, że informacji nie powinno się przekazywać dalej. Można to traktować jako wstęp do rokowań, czy jak to się tam nazywa.

Ale jeżeli Erik zachowa spokój i skończy ze stawianiem się w nowym semestrze, to Rada machnie ręką na jego wykroczenia. Jeśli przestanie nazywać przewodniczącego Skitenhielmem i skończy z głupimi uwagami, to sam będzie mógł żyć w spokoju. I tak byłoby najlepiej dla wszystkich. Można przynajmniej spróbować, powiedzmy, przez jeden semestr. Gdyby się udało, to wówczas można przystąpić do rozmów na temat aresztu, na który Erik został skazany. To w jakimś sensie niesłuszne, żeby skazywać kogoś na karę, którą musiałby odbywać przez całe liceum. Po zaledwie jednym semestrze spokoju istnieje możliwość umorzenia reszty kary.

Wszyscy mogliby na tym zyskać. Jego samego zostawi się w spokoju, uniknie więc bicia, które w przeciwnym razie członkowie Rady musieliby mu wymierzać. Rada zaś będzie się mogła zająć ważniejszymi sprawami, a nie tylko bez przerwy myśleć, jak ukarać Erika. W szkole podstawowej zapanuje większy spokój. Wszyscy zyskają na takim kompromisie. Jeżeli jednak Erik się nie zgodzi na propozycję kompromisu, będzie to oznaczało otwarty konflikt, dla niego samego najgorsze rozwiązanie.

Powinien sobie to wszystko przemyśleć podczas ferii świątecznych.

- Jest w tej propozycji coś dziwnego, to mi podejrzanie pachnie - powiedział Pierre. - Krótko mówiąc, oni proponują coś w rodzaju równowagi terroru między tobą i Radą, choć na zewnątrz wiadomość o porozumieniu wydostać się nie może?

- No, tak mniej więcej to zrozumiałem.

- Opuść ci, jak ty im odpuszczisz? W takim razie wygrales, nigdy bym nie przypuszczał.

- Ani ja. To znaczy nie przypuszczałem, że to może pójść tak gładko. Chcieliby zawrzeć pokój ze mną po to, by z innymi ze szkoły podstawowej postępować dokładnie tak, jak zechcą. Wygląda, jakby sami wierzyli w te jakieś szkodliwe wpływy socjaldemokratyczne, czy jak to nazywają.

- No i co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Będę nad tym rozmyślał podczas świąt. Ech, do domu, na spokojne święta Bożego Narodzenia i do mojego domowego przewodniczącego, czyli tatusia, wiesz! Potem przez cały semestr będę łagodny jak dziecko.

Świąteczne ferie, no tak! Pierre miał powiedzieć i nie powiedział! Nie chciał niczego mówić, dopóki nie będzie absolutnie pewien. Ale teraz już wiadomo, że tata przyjedzie ze Szwajcarii na święta do domu. Spędzą całe ferie w swoim domku w Salen. Tata przyjedzie tu samochodem, zabierze ich i pojedą prosto do Salen. Bo Erik jest zaproszony, gdyby chciał. To przynajmniej nie będzie musiał jechać do domu.

Tydzień później było zakończenie semestru. Po odśpiewaniu psalmów rozdano premie za naukę i nagrody sportowe. Kiedy Erik odbierał puchar ufundowany przez Lewenheusena dla najlepszego pływaka szkoły, słychać było nieprzychylne buczenie.

Świadectwo semestralne Erik włożył do koperty z domowym adresem i wrzucił do skrzynki pocztowej. Potem przyjechał tata Pierre'a i zabrał ich na ferie.

*

Pogwizdywanie sóweczki słyszało się w zimową noc co najmniej na kilometr.

Był koniec lutego. Erik i Pierre włóczyli się z Żurawiem przez dwie godziny, zanim dotarli tak blisko samca sóweczki, że mogli zlokalizować miejsce gniazdowania. Ta akurat para miała gniazdo w dziupli wielkiego jesionu, rosnącego w zagajniku jakieś dwa, może nawet trzy kilometry od szkoły.

Nauczyciel biologii nazywał się Tranströmer, więc Żuraw to było niemal naturalne przydomkiem dla kogoś, kto się tak nazywa, a w dodatku uczy biologii* i on nosił je z wielką godnością. Nawet na lekcjach można było się tak do niego zwracać.

Erik i Pierre chcieli mieć na zakończenie semestru wiosennego bardzo dobre oceny z biologii, otrzymali więc jako zadanie specjalne zaobserwowanie w promieniu pięciu kilometrów od szkoły możliwie jak najwięcej gatunków ptaków. A ponieważ sóweczki zaczynają się łączyć w pary już w lutym, to one poszły na pierwszy ogień. Trudno zresztą mówić, że to było jakieś szczególne zadanie dla chłopców, skoro Żuraw sam poświęcił całe trzy noce, by razem z nimi tropić ptaki.

Była pełnia księżyca, sześć stopni poniżej zera i przemarznięty śnieg. Podeszli tak blisko gniazda, że mogli zobaczyć sowę w blasku księżyca. To zdumiewające, że ptak się nie spłoszył, musiał przecież od dawna słyszeć, jak brną po chrzęszczącym śniegu.

- Zdaje się, że to można wytłumaczyć oszołomieniem miłosnym - szepnął Żuraw. - Jest to uczucie tak silne, że tłumi nawet instynkt samozachowawczy. Głuszcak na przykład, kiedy tańczy swój taniec godowy, jest tak podniecony, że zaczyna atakować bydło, a nawet ludzi. Popęd płciowy wyłącza rozsądek, można chyba powiedzieć.

* *Trane* w języku szwedzkim znaczy „żuraw”.

Potem szybkim krokiem wrócili w zimową noc do domu i uczcili pierwszą poważną obserwację gorącą czekoladą w mieszkaniu Żurawia. Trudno właściwie zrozumieć, co ktoś taki jak Żuraw robi w Stjärnsbergu. Miał przecież doktorat, był ekspertem w rzadkiej dziedzinie, zajmował się mianowicie przemianami w komórkach tłuszczowych, które to przemiany wiązano z samym powstawaniem życia.

Pierre uważał, że za pracą Żurawia w szkole kryje się jakaś uniwersytecka awantura, że właściwie to miał on pewnie zostać docentem w Lund, ale zamiast niego stanowisko dostał ktoś inny, więc posada w Stjärnsbergu, z wysoką pensją, była zadośćuczynieniem nie do pogardzenia, zwłaszcza dla kogoś zainteresowanego naturą. Stjärnsberg jest rzeczywiście przepięknie położony pośród jezior i lasów. Jeśli coś takiego, jak gry miłosne sóweczek, należało do życiowych zainteresowań człowieka, to czegoż chcieć więcej?

Erik mimo wszystko uważał, że z Żurawiem musi wiązać się coś dziwnego. On był przecież najsympatyczniejszym z nauczycieli. Nigdy się o nic nie złościł. A raz w związku z Karolem Darwinem wygłosił nawet antymilitarne przemówienie na temat, że ludzie to nie zwierzęta i że wobec tego - choć wprost tak się nie wyraził - powinni protestować przeciwko służbie wojskowej. Było oczywiste, że Żuraw tak właśnie uważa. A skoro tak uważa i skoro ma taki znakomity słuch, że potrafi z odległości dwóch kilometrów bez kłopotu zlokalizować samca sóweczki, to jak może kręcić się po Stjärnsbergu i tak samo jak inni nauczyciele udawać, że nic nie widzi ani nie słyszy? Choćby tylko taka sprawa, jak przemoc w jadalni. Żuraw przecież, podobnie jak wszyscy nauczyciele, od czasu do czasu pełni tam dyżur i jada przy dyrektorskim stole. Trzeba będzie kiedyś nakłonić go, żeby to wyjaśnił.

Wkrótce minie drugi miesiąc wiosennego semestru.

Rada zostawiła Erika w zupełnym spokoju i ani jeden czwartoklasista niczego mu nigdy nie polecił, nawet kupienia w kiosku papierosów. On ze swej strony traktował członków Rady jak powietrze, patrzył, jakby ich nie widział, i nigdy do żadnego słowem się nie odezwał.

Jeżeli to właśnie miało się nazywać równowagą terroru, to trwała ona już prawie dwa miesiące i nigdy przez żadną ze stron nie została naruszona.

Erik i Pierre po prostu przestali się zastanawiać nad przyczynami. Czyżby członkowie Rady naprawdę odpuścili i dali Erikowi swego rodzaju list żelazny, by uniknąć sytuacji, którym może nie byliby w stanie sprostać?

Pierre myślał właśnie tak.

Albo czekają na odpowiedni moment i uderzą po przerwie wystarczająco długiej na wymyślenie czegoś, co będzie naprawdę skuteczne.

Tak sądził Erik.

W każdym razie od początku semestru panował spokój i nie było powodu zastanawiać się nad przyczynami. Przyjdzie czas, to się zobaczy, kto miał rację.

Erik rozszerzył swoje treningi pływackie o dodatkową poranną rundę przed śniadaniem. W sportach zimowych był raczej średni, chciał się więc jeszcze bardziej przyłożyć do treningu kondycyjnego i pływania, chociaż nie miał wątpliwości, że jego technika w basenie jest coraz gorsza. Czasy osiągał, co prawda, lepsze, ale to w istocie nie ma nic wspólnego z techniką, po prostu teraz więcej może, jest silniejszy i potrafi pracować w wodzie pełną parą i w maksymalnym tempie, wkrótce dojdzie do półtorej minuty na jedną długość. Lekcje odrabiał jak zwykle w soboty i niedziele, siedząc w areszcie.

Nastał marzec, w cieplejsze dni zaczynało kapać z dachów, i wtedy nieoczekiwane równowaga terroru została złamana.

Pierre już dawno zdażył odpokutować swoje soboty-i-niedziele za protest przeciwko prztyczkom i nie zrobił nic, co upoważniłoby jego szefa stołu, który był członkiem Rady, by go wezwać i ukarać prztyczkiem.

Nagle jednak coś takiego się przytrafiło, choć powód był najzupełniej wymyślony. Pierre zaprotestował, co oczywiste, więc, co też oczywiste, skazano go na sobotę-i-niedzielę w areszcie.

Następnego dnia Arne z klasy Pierre'a i Erika, który również protestował przeciwko prztyczkom, znalazł się w podobnie niejasnej sytuacji. On też zaprotestował. Wyglądało na to, że sprawa jest ukartowana.

Kiedy Pierre wrócił z zebrania Rady, na które został wezwany razem z innymi stawiającymi opór, opowiadał z przekonaniem, że nie ma już żadnych wątpliwości, iż kara jest wynikiem konkretnego planu. Wszyscy trzej wezwani bowiem dostali za jednym zamachem karę po trzy soboty-i-niedziele. Następnie straszono ich, że jeśli jeszcze kiedykolwiek zaprotestują, zostaną wyzwani na beton. Silverhielm przypominał, jak się skończyła sprawa tego cholernego socjaldemokraty, który wyniósł się ze szkoły w poprzednim semestrze, Johana S., czy jak tam on się nazywał.

Przesłania nie można było nie zrozumieć. Rada zamierza zdławić wszelkie oznaki niesubordynacji w szkole podstawowej. Złapali też paru młodszych chłopaczków i wymierzili im równie surowe kary za to, że tamci wypowiadali się niestosownie na temat Rady, czyli pyskowali. Pytanie tylko, czy używali wymyślonych przez Erika przezwisk Silverhielma i Dahlena, ale można przypuszczać, że tak właśnie było.

Pierre i Erik siedzieli w swojej kryjówce, palili papierosy i roztrząsali kwestię na wszystkie strony. Skoro Rada powiedziała „a”, to wkrótce powie też „b”. Zatem najpóźniej w ciągu dwóch najbliższych dni Pierre i inni zostaną wezwani przed oblicze szefa stołu, by ten wymierzył każdemu prztyczka, i to zupełnie niezależnie od tego, czy zachowywali się przy stole niegrzecznie, czy nie. Czyli Pierre już niedługo będzie musiał wybierać między prztyczkiem a dalszym aresztem lub robotami karnymi, a może nawet laniem na betonie.

- To po prostu nieznośne - westchnął Pierre. - Chyba się domyślasz, że mam stracha? Mam po prostu stracha, że spuszczą mi lanie.

- Każdy ma, to nic dziwnego - odparł Erik.

- No, racja. Mniej lub bardziej, ale każdy. Dużo mniej lub dużo bardziej, bo różnica między tobą a nami może być mierzona w latach świetlnych. Ja tego nie zniosę, jestem pewien, że nie zniosę.

- Jasne, że zniesiesz. Jeśli tylko człowiek ma wystarczająco ważny powód, zniesie wszystko, co chcesz. To sprawa mózgu, a nie uczuć. To, co sprawia ból, to nie samo bicie, boli to, że jest się zmuszonym okazywać im posłuszeństwo, czołgać się przed nimi.

- Tylko ty możesz tak mówić.

- Nie, wszyscy odczuwają to samo. A przynajmniej chłopcy tacy jak ty czy ja. Najgorzej, jeżeli jesteś zmuszony wypełniać rozkazy jakichś idiotów i słyszeć przy tym, jak różni quislingowcy się z ciebie wyśmiewają. Po laniu człowiek czuje się trochę jak po forsownym treningu z sauną na koniec. Dopóki bicie trwa, sytuacja jest okropnie upokarzająca, ale potem jesteś zadowolony.

- Tylko jak znieść samo bicie na betonie?

- Jak wszyscy inni, przypuszczam. Będziesz miał podbite oko, trochę krwi pocieknie z nosa, ale pójdzie szybko, raz-dwa i po wszystkim.

- No, a jeśli oni zrobią tak jak z Johanem S., to znaczy wykręca mi ręce do tyłu, a potem będą przyciskać coraz mocniej i mocniej, aż im obiecuję, że nie będę już protestował przeciwko prztyczkom? Co wtedy mam zrobić?

Nie tak łatwo coś doradzać. „Pozwól im przyciskać tak długo, dopóki nie złamią ci ręki” nie jest żadną odpowiedzią. Ponieważ Pierre się bał i ponieważ nie było w nim wystarczająco wielkiej nienawiści, bo on tylko nimi pogardzał z za tych swoich okularów, to nie miał żadnej porządnej ochrony przed bólem. Strach potęguje ból. Nienawiść natomiast ból zmniejsza aż do takiej granicy, że wydaje się, jakby zniknął w białej mgłę. Pierre szukałby czegoś, co można by określić mianem rozwiązania intelektualnego, ale to też nie było takie łatwe. Opór intelektualny funkcjonuje przeważnie na dłuższą metę, rzadko daje jakieś wyniki na placu kaźni.

Chociaż coś może dałoby się zrobić.

- Czyś ty się kiedyś zastanawiał, Pierre, ile to czytaliśmy opowieści o ludziach prowadzonych na szafot, którzy śpiewają hymn narodowy lub krzyczą „Niech żyje cesarz!”, i o takich, którzy stojąc przed plutonem egzekucyjnym, śpiewają *Międzynarodówkę*, jak to czynili czerwoni w Finlandii?

- Tak, tylko że to zupełnie inna sprawa. Kiedy człowieka mają rozstrzelać, to nic dziwnego, że ostatnie, co w życiu robi, to wzięcie się w garść. Gdyby ci naziści mieli mnie rozstrzelać, pewnie ja też bym śpiewał i hymn, i wszystko, co chcesz. Ale przecież tak nie jest. Oni będą mi na przykład wyłamywać ręce, dopóki im nie obiecuję, czego zażądata.

- Obietnica złożona pod przymusem nie jest nic warta.

- Pewnie, tylko co dalej? Rezultatem odmowy przyjęcia następnego prztyczka - a zgadnij, czy długo będą zwlekać, żeby mnie wypróbować - będzie kolejne wyzwanie na beton. I znowu będę musiał obiecywać.

- Tak! A potem znowu odmówisz stawienia się przed szefem stołu.

- To nieludzkie, nie możesz żądać, żebym... nigdy sobie z tym nie poradzę.

- Chyba rzeczywiście nie. Ale wydaje mi się, że mam pomysł. Moim zdaniem, to Silverhielm i Oczko wyzwą cię na beton, może jeden z nich, a może obaj. I wtedy powinieneś zrobić tak: zanim zaczniesz się bicia, musisz powiedzieć głośno i wyraźnie, że jeden jest cholernym hełmem, pełnym gówna, a drugi przeklętym oczkiem, że rzucają się we dwóch na jednego, który w dodatku jest od nich mniejszy i słabszy, jak prawdziwe tchórze i żalosne dranie, i że to nie ma najmniejszego znaczenia, do jakich obietnic cię zmuszą. Bo i tak są tylko zasranymi bubkami. Rozumiesz moją ideę? Trzeba to tylko jeszcze staranniej opracować.

- Tak powiadasz? A potem oni spuszczą mi dużo większe lanie, niż początkowo planowali. W następnych dniach będą nowe prztyczki i kolejne wyzwanie na beton. Od tego nic nie stanie się lepsze. To znaczy nie, będzie w jakiś sposób lepsze, tylko jakim kosztem? Rozumiem, o co chodzi, nie wiem tylko, ile razy zdołam stawać na betonie.

Chyba rzeczywiście czegoś takiego nie uda się przeprowadzić. Choćby z braku czasu. Zostało bowiem do dyspozycji najwyżej parę dni. To za mało, by nauczyć Pierre'a, jak ma się bronić, jak kopać przeciwnika, jak bić, by go powalić na ziemię.

Pierre nie należy do ludzi, którym wystarczy coś takiego pokazać. I to nie jego brak siły ma tu znaczenie. Nie jest przecież

takie ważne, jak mocno kopie się w podbrzusze, ważne jest, czy się trafia. Jeśli chodzi o Pierre'a, to najważniejszy jest fakt, że on się nigdy do bicia nie zmusi. Przemoc tkwi w mózgu, nie w mięśniach. Nawet po długim treningu nie nauczy się Pierre'a czegoś tak prostego, jak zlanie dwóch snobów ze Stjärnsbergu, którzy nigdy w życiu nie przeciwiczyli prawdziwej bójki.

- Nie, Pierre, nie wiemy, jak się sprawy potoczą. Mimo wszystko uważam, że gdy po raz pierwszy znajdziesz się na betonie, powinieneś szydzić z nich, ile tylko zdołasz. Sobie w niczym nie zaszkożysz, ale dla nich to będzie straszne. Poza tym powinieneś spoliczkować Silverhielma. Spoliczkować, podkreślam. Nie zrobić mu krzywdy, ale upokorzyć, obrazić, to go ośmieszy dużo bardziej, niż gdybyś go dotkliwie pobił. Pokażę ci, jak się wymierza taki policzek, który z pewnością trafi. Musisz obie ręce trzymać opuszczone przed sobą, na brzuchu, o tak. Następnie prawą ręką uderzasz skosem w górę i trafiasz wierzchem dłoni w jego prawy policzek, rozumiesz? O tak! Uderzenie z lewej jest zawsze trudniejsze do obrony nawet dla kogoś, kto umie się bić. A Silverhielm nie umie, to ci gwarantuję. Jeśli uderzysz tak, jak pokazałem, to na pewno trafisz. Zwłaszcza jeśli cios nadchodzi skosem od dołu, żadna garda nie ma szans. A uderzenie wierzchem dłoni uważane jest za bardziej upokarzające niż zwyczajny cios.

- Dobrze, ale co potem?

- No, potem to... och, Pierre, żebyś tak ja mógł wejść w twoją skórę na te dziesięć minut! Gdybym się w jakiś sposób mógł z tobą zamienić na miejsca, włożyć twoje okulary i w ogóle!

- Pewnie. Świetnie. Tylko że to niemożliwe.

- Nie. I techniki walki też cię nie nauczę.

Po dwóch zaledwie dniach Silverhielm i Gustaf Dahlen wyzwali Pierre'a na beton.

Erik stał na samym końcu tłumu gapiów ze szkoły podstawowej, miał wilgotne ręce, lodowaty pot perlił mu się na czole.

Rytuał zaczął się jak zwykle. Mistrz ceremonii pasował Pierre'a swoją okutą srebrem laską na szczura, a następnie odczytał zasady walki. Gdzieś w tłumie uczniów podstawówki, bliżej betonu, zaczęto śpiewać rymowaną o szczurze.

- Zamknijcie mordy! - wrzasnął Erik, a głos mu się załamał i przeszedł w pisk. - Zamknijcie mordy, bo jak nie, to pójdziecie na beton ze mną!

Śpiew umilkł. W dole na betonie wstępne rytuały dobiegły końca i przyszedł czas na pierwsze uderzenia.

- Zdejmij okulary - rozkazał Silverhielm.

- Dlaczego miałbym słuchać takiej niedołęgi jak ty? - spytał bardzo spokojnie Pierre. Nawet Erik nie słyszał, by z głosem Pierre'a było coś nie w porządku.

- Po prostu zdejmij - upierał się Silverhielm.

Pierre zrobił mały krok w jego stronę i ostrożnie uniósł ręce na wysokość brzucha - rany boskie, on naprawdę ma zamiar uderzyć! - spojrzał w twarz Silverhielma i zaczął pociągać nosem, jakby węszył.

- Ty nadal śmierdzisz gównem, nigdy nie zdołasz zmyć z siebie tego smrodu - powiedział Pierre i uderzył.

Trafił celnie. Zaskoczony Silverhielm zatoczył się do tyłu, widać było, że narasta w nim złość, a kelnerki w pierwszym rzędzie okien zaczęły bić brawo, szkoła podstawowa zaś wyła z radości.

W momencie, kiedy Silverhielm szykował się do skoku, Pierre powstrzymał go ruchem ręki:

- Stop! Pozwól mi najpierw zdjąć okulary.

I Silverhielm jak głupi stał z gardą, gdy Pierre nieskończenie wolno wkładał okulary do kieszeni na piersi.

- No to proszę, *Hen Kommandant* Silverhielm. Teraz może pan zaczynać, jeśli ma pan ochotę - powiedział Pierre i pierwszy cios zaciśniętej pięści trafił go w usta niczym kropka na zakończenie zdania.

Po zaledwie kilku minutach Pierre krwawił i z nosa, i z ust. O ile jednak Erik mógł zobaczyć, ani Skitenhielm, ani Oczko nie trafili go tak mocno, by wyrządzić mu prawdziwą krzywdę. Pierre, który podejmował tylko nieporadne próby bronienia się, zaczął bardzo szybko płakać i upadł na ziemię. Krew spływała nieustannie, choć niezbyt obficie.

Oprawcy zaczęli go naturalnie kopać w tyłek, perorowali przy tym głośno, że tak zostanie ukarany każdy z przeklętych socjaldemokratów, któremu się wydaje, że można pyskować i protestować przeciwko prztyczkom. Z początku kopali niezbyt mocno. Pierre wytrwał już wystarczająco długo, by móc się wyczołgać z betonu, zachowując godność.

- Posłuchajmy teraz - ryczał Gustaf Dahlen. - Posłuchajmy, czy zamierzasz w przyszłości godzić się na prztyczki i czy zamierzasz skończyć z pyskowaniem!

Pierre próbował coś powiedzieć, ale Silverhielm przerwał mu dotkliwym kopniakiem w żebra. Wtedy gapie z liceum zaczęli buczeć.

- Nie kop go, daj mu powiedzieć! - krzyczeli.

Silverhielm na chwilę przerwał kopanie.

- No to posłuchajmy, jak mały szczurek obiecuje posłuszeństwo! - wrzasnął do skulonej u jego stóp postaci.

- Oczywiście, akurat w tej chwili mogę obiecać wszystko, czego zażadasz, diable przeklęty, mogę nawet obiecać, że przyniosę ci księżyc z nieba. Ale nie zamierzam tych obietnic dotrzymywać, ty cholerna, tchórzliwa świni! Ty śmierdzący gównem...

Pierre stracił dech od kolejnego kopniaka. Tym razem Silverhielm nie żartował, tłukł na poważnie. Uniósł nad ciałem Pierre'a nogę i wycelował obcasem w żebra. Taki cios nawet Silverhielm wymierzał ze straszną siłą.

- No, to jak mnie nazwałeś? - dopytywał się Silverhielm, ale Pierre nie odpowiadał.

- Świnia! - krzyknął Erik zza tłumu uczniów podstawówki. - Jesteś śmierdzącą gównem swinią, Skitenhielm!

- Aha! - odparł Silverhielm i uniósł stopę do nowego kopniaka. - Tak powiadasz? A moglibyśmy to usłyszeć jeszcze raz?

- Skitenhielm! - wrzeszczał Erik.

W odpowiedzi Silverhielm kopnął Pierre'a znowu bardzo mocno. Gdyby nie chybił, mógłby mu złamać kilka żeber.

- No, powiesz to jeszcze raz? - zapytał i znowu uniósł stopę nad ciałem Pierre'a.

Erik nie odezwał się. Przesłanie było aż nadto czytelne. Kolejne wyzwiska ze strony Erika oznaczały kolejne kopniaki w żebra nieszczęsnego Pierre'a. Publika milczała w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

- Skitenhielm, śmierdzący gównem komendant - jęknął Pierre.

A potem głuche odgłosy kolejnych kopniaków, jakby ktoś zrzucał ciężkie, wypełnione czymś miękkim worki na cementową posadzkę. Pierre nie był w stanie nawet się czołgać, wszystko to za bardzo się przeciągnęło, trwało za długo. Obaj członkowie Rady

chwycili go więc za nogi i wlekli, tak że głowa i rozpostarte ramiona podskakiwały po betonie, po czym zrzucili go z platformy. Na koniec cisnęli jeszcze kilka znanych pogrózek w stronę szkoły podstawowej i poszli sobie.

Fińskie kelnerki w pierwszym rzędzie zaczęły zamykać okna. Jedna wahała się przez chwilę, po czym krzyknęła:

- Szatan przeklęty! Tjiitelhielm!

I także zatrzęsnęła swoje okno.

Erik poszedł pomóc Pierre'owi stanąć na nogach. Biedak jęczał cicho. Publiczność zaczynała się rozpraszać, chłopcy odchodzili grupkami, rozdyktowani, jakby właśnie obejrzeni ważny mecz piłki nożnej.

Ale po paru godzinach również Pierre był w stanie żartować z tego, co się stało. Erik obmył go z zakrzepłej krwi i stwierdził, że niczego nie trzeba szyć. Nos był cały, wargi jedynie trochę pęknięte w paru miejscach. Oczy będą oczywiście jeszcze długo podbite i zapuchnięte, i trzeba poczekać, zanim znikną z pleców granatowosine ślady po kopniakach.

- Piękna z nas para, nie ma co - skonstatował Pierre. - To jasne, że w jakiś sposób wygrałem. To jasne. Ale „jeszcze jedno takie zwycięstwo i będę stracony”. Nie jestem Sancho Pansa, jak mi się zdawało, raczej Pyrrusem. Myślę bowiem, że teraz to ty na pewno jesteś Rycerzem Smętnego Oblicza. Ja zaś, jak powiedziałem, miałem nadzieję zostać tym małym, grubym chłopkiem na osiołku, ale nic z tego.

- Do diabła, człowiek sobie wyobrażał, że jest Spartakusem i wznieca powstanie, a ty przychodzisz i mówisz, że nie żaden ze mnie Spartakus, tylko idiota, który walczy z wiatrakami. Gadaj sobie, co chcesz, o naszych komendantach, ale chyba jednak są od wiatraków trochę bardziej rozgarnięci.

- Dobra! Możesz być Spartakusem. Ja jednak wolę być Sancho Pansą. Chociaż, z drugiej strony, to przecież wiesz, jak skończył Spartakus.

- Wiem. Na koniec dostał Janet Leigh. Przynajmniej ten Spartakus, o którym myślę, czyli Kirk Douglas.

- A jak to było z Tonym Curtisem?

- Nie pamiętam. W każdym razie Janet Leigh nie dostał.

- Żarty na bok, Erik...

Pierre wahał się, Erik zaś przeczuwał, co przyjaciel chce mu powiedzieć.

- ... obawiam się, że po raz drugi bym tego nie zniósł. Ja nie wiem. Jest tak, jak mówiłeś, że potem człowiek czuje się bardzo dobrze. Ale... ty i tak tego nie zrozumiesz. A Spartakus został ukrzyżowany. Rzymianie zwyciężyli.

- W każdym razie byłeś cholernie dzielny. A jak mu przyłożyłeś! Musiałeś chyba ćwiczyć po kryjomu, co?

- Nie, po prostu uderzyłem i już.

- Fantastycznie. Masz talent, skoro tak. Prawie nie zauważyłem, że szykujesz się do ciosu.

- Ale widziałeś?

- Tak, widziałem, jak zrobiłeś ten pierwszy ostrożny krok i równocześnie podniosłeś ręce na odpowiednią wysokość, by trafić. Super, naprawdę.

- Dziwne, ja w ogóle nie pamiętam, jak do tego doszło. Naprawdę wcale nie pamiętam, jak go spoliczkowałem. Chyba pierwszy raz od czasu, gdy byłem dzieckiem, podniosłem na kogoś rękę.

- No mówię, samorodny talent!

- Dobrze, ale odchodzimy od tematu, czego ty pewnie sobie życzysz. Musisz jednak wiedzieć, że ja drugi raz czegoś takiego nie zniosę. Zgodzę się na prztyczka, jak mnie teraz dopadną. Będziesz rozczarowany?

Erik nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. W jakimś sensie oczywiście będzie rozczarowany. Ale czego można wymagać od chłopaka, który nigdy się nie bił i nie ma najmniejszych szans na obronę?

- Nie wiem - rzekł wolno. - Naprawdę nie wiem. Nie wiem nawet, co tak naprawdę czuję i myślę. Nie rozmawiajmy już dzisiaj o tym. Byłeś cholernie dzielny, powinieneś to wiedzieć. Byłeś dzielny właśnie dlatego, że nie umiesz walczyć. Chodź, popływamy trochę, to jutro nie będziesz taki obolały.

- Nie, wieczorami mogą pływać tylko tacy jak ty i członkowie Rady.

- Jasne, zapomniałem. To poczytaj sobie książkę. Cześć, idę do wody.

Plan gry na najbliższe dni był jakby z góry wiadomy. Trzech niedawnych buntowników nieustannie wzywano, by udowodnili, że nie będą już protestować przeciwko prztyczkom, lecz grzecznie i posłusznie wyjdą z pochyloną głową na każdą komendę. Uderzenia nie były silne, ale też nie fizyczny ból stanowił sens tej kary. Należało przywrócić porządek, tylko to się liczyło.

Erik kontynuował swoją kampanię wyszydzania i ośmieszania przewodniczącego Rady oraz jego zastępcy. Choć teraz prawie nikt się nie śmiał z jego żartów, ani w jadalni, ani na szkolnym boisku.

Rada natomiast podjęła próbę zbudowania systemu donosicielstwa. Uczeń, który został skazany na karne roboty lub

areszt, mógł się od tego uwolnić przynajmniej na sobotę, jeżeli doniósł na kolegów z podstawówki, używających pewnych przezwisk w odniesieniu do osoby przewodniczącego i jego zastępcy. Funkcjonowało to dosyć kiepsko, Rada jednak nie chciała z pomysłu rezygnować. Rozpowszechniano natomiast informację, że donosicielstwo będzie nagradzane wyjątkowo łagodnymi wyrokami w razie wejścia w kolizję ze szkolnym prawem i że donosiciele będą zwalniani z obowiązku świadczenia usług starszym kolegom. Wtedy liczba donosów nieco wzrosła.

Erik zaproponował Pierre'owi, że będą bijać donosicieli, ale Pierre zdecydowanie zaprotestował. To by oznaczało, że posługują się tą samą logiką, co tamci. On wolał malować na drzwiach donosicieli wielkie D czerwoną olejną farbą. Erikowi pomysł się spodobał i następnej nocy przemykali obaj po internacie szkoły podstawowej; w rezultacie namalowali czerwone D na drzwiach do pięciu pokoi.

- Będą oczywiście farbę zdrapywać, ale to nie szkodzi - powiedział Pierre. - Ślad i tak zostanie, wszyscy zrozumieją, co oznacza.

- Masz rację - przyznał Erik. - I D dla donosicieli to lepsze niż na przykład Q, czyli quislingowiec. Wielu by nie pojęło, o co chodzi. A przy okazji, jakim ja byłem idiotą, że zgodziłem się na tę ich propozycję rozejmu, równowagi terroru, jak to określali.

- No nie, właściwie nigdy tak naprawdę się na to nie zgodziłeś. Oni zostawili cię w spokoju, to ty też zostawiłeś ich w spokoju. I dopóki to trwało, było pięknie. Moim zdaniem, nigdy nie jest błędem poszukiwanie pokojowych rozwiązań, jeśli można tak powiedzieć.

- Ech, to nie było żadne „pokojowe rozwiązanie”. A poza tym co za określenie! Oni chcieli po prostu zyskać na czasie, żeby potem uderzyć jeszcze mocniej.

- No, i pytanie, jakie teraz mają wobec ciebie zamiary? To rzeczywiście było ważne pytanie.

Szkoła ponownie zaczęła huczeć od plotek, jak niedawno przed klasztorną nocą. Było jasne, że członkowie Rady muszą coś zrobić, by raz na zawsze zakończyć sprawę z Erikiem, nikt jednak nie miał pojęcia, co takiego knują. Wkrótce coś się musi wydarzyć, tak czy inaczej.

Tej soboty wrócił mróz i koło południa z dachu głównego budynku szkoły zwieszały się wielkie sople lodu. Erik był w połowie siódmego tomu *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*, kiedy drzwi aresztu się otwały. W progu stanęli dwaj członkowie Rady, maturzyści. Przyprawdzili ze sobą jakiegoś chłopaczka z podstawówki, dziecko jeszcze, który został skazany na sobotę-i-niedziele, karne roboty, za pyskowanie. Wyjaśnili, że chłopiec jest przeziębiony, powinien więc zostać w areszcie, a Erik przejmie jego pracę. Nie ma się o co kłócić, uznał Erik.

Członkowie Rady zabrali go na niewielki, wysypany żwirem placyk przed tak zwanym aneksem, czyli budynkiem używanym jako dodatkowe pomieszczenie lekcyjne. Leżały tam na ziemi cztery długie stalowe łomy. Wyglądały tak, jakby kiedyś używano ich w kopalni granitu, dość wąskie, przypominały metalowe drażki, długości około pół metra. Obok Erik zobaczył wielki młot kowalski.

Członkowie Rady zaznaczyli na ziemi cztery punkty, tworzące spory kwadrat. W tych miejscach należało umieścić stalowe drażki czy też łomy, wbić je przez zamarznięty śnieg i lód w ziemię, by tkwiły mocno jak skała. „Jak skała, zrozumiałeś?” - upewniali się. Zapowiedzieli, że kiedy skończy robotę, może odnieść młot i resztę narzędzi do szopy, a potem iść sobie do domu. Członkowie Rady znikli.

Erik stał przez chwilę, przyglądając się stalowym kołkom i młotowi. Wbite w ziemię miały stworzyć kwadrat o mniej więcej

dwumetrowych bokach. Nie bardzo rozumiał, co by to miało być, może znowu bezsensowna robota za karę, jak z tym kopaniem i zasypywaniem dołu jakiś czas temu? Ale powiedzieli przecież, że jak skończy, może sobie iść, a cała praca nie powinna mu zająć więcej niż pół godziny, potem będzie więc miał wolny cały sobotni wieczór, po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Stjärnsbergu. Wążył młot w dłoni. Do czego mogą służyć te stalowe kołki? Dlaczego członkowie Rady chcą, żeby Erik miał wolne? Przewidywali, że co zrobi, kiedy będzie miał wolny czas? Że gdzieś pójdzie? Przygotowali może jakąś zasadzkę po drodze do kiosku czy co?

Nie potrzebował nawet pół godziny, by wbić kołki w ziemię. Umocował je tak, że naprawdę były nieporuszone jak skała. Odniósł młot na miejsce i wrócił do pokoju. Pierre jak zwykle leżał na łóżku i czytał.

On też uznał, że w tej całej sprawie jest coś dziwnego.

Ale nawet Pierre nie miał pomysłu, o co członkom Rady mogłoby chodzić.

- Musimy więc poczekać, to się przekonamy - westchnął Erik i wrócił do przerwanej lektury *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*.

Po niedługiej chwili zamknął książkę i spytał Pierre'a, dlaczego Sindbad Żeglarz przeżywał takie same przygody jak Odyseusz. Kto tak naprawdę od kogo zerżnął?

Pierre był przekonany, że *Opowieści z tysiąca i jednej nocy* muszą być późniejsze od Homerowego eposu. I miał na to wiele dowodów. Zresztą zabawne, że opowieść o Polifemie ma niemal identyczny odpowiednik w *Tysiącu i jednej nocy*.

Do obiadu wszystko było jak zawsze. Dlatego Erik został kompletnie zaskoczony, kiedy wychodząc z jadalni, zauważył, że czeka nań cała banda członków Rady. Ach tak, pomyślał, prędzej

czy później musiało do czegoś dojść. Nie wiadomo, czy nie dorobię się kolejnego złotego zęba, ale przecież tamci nie mogą zwyciężyć.

Rzucili się na niego ze wszystkich stron, złapali go za ręce i z wrzaskiem oraz wiwatami zaczęli ciągnąć do metalowych kołków przy aneksie. Tam cisnęli go na ziemię, żaden opór nie miał szans powodzenia, i do nadgarstków oraz kostek nóg przywiązali mu grube sznury, których końce zamocowali wokół stalowych kołków i naciągnęli bardzo mocno, tak że Erik leżał rozkrzyżowany. Tłum pełnych oczekiwań gapiów coraz bardziej gęstniał, jakby cała szkoła wyszła popatrzeć. Na Erika raz po raz spadały wyzwiska.

Zrobiło się już prawie całkiem ciemno, na horyzoncie, ponad wielkim budynkiem szkoły, mieniła się szeroka czerwona smuga światła, ale niebo było przeważnie granatowe i zaczynały się pokazywać gwiazdy. Erik liczył gwiazdy Wielkiego Wozu i myślał, że tak właśnie muszą się czuć ludzie, którzy mają umrzeć. Gdyby sobie przypomniał jakąś pieśń, nadającą się do odśpiewania w takich okolicznościach, toby ją zaśpiewał. Członkom Rady musiało chodzić głównie o to, by on sam wbił w ziemię kołki, do których zamierzali go przywiązać. Na tym polegał cały dowcip i dlatego pozwolili, by poszedł sobie wolno, kiedy już to zrobi (pod warunkiem, naturalnie, że nie zacznie protestować). Silverhielm stał gdzieś z tyłu, za głową Erika, jego śmiech słychać było wyraźnie.

- No, mój mały pyskaczu, mam nadzieję, że bardzo starannie wbiłeś słupki w ziemię? Nie uwolnisz się teraz, żebyś się nie wiem jak szarpał!

Aha, to głos Silverhielma. Na razie najlepiej było nie odpowiadać, przynajmniej dopóki się nie dowie, co mają zamiar dalej z tym wszystkim zrobić. Czy naprawdę myślą o tym, by mu dziadkiem do orzechów zmiażdżyć jądra? Czy w takim razie nie

powinni mu byli najpierw ściągnąć spodni, zanim rozkrzyżowali go w tej pozycji?

Na koniec Silverhielm wynurzył się z cienia, tak by Erik mógł go widzieć, i wolno, rzecz jasna, demonstracyjnie wolno, wyjął nóż, który zatrzymał na wysokości oczu Erika.

- No co, ty małe gównno? Bardzo się boisz? - spytał Silverhielm.

Nie było wyjścia. Zrobiją, co postanowili, niezależnie od tego, co Erik powie.

- Kogoś tak żalosego jak ty nikt się nie może bać. A poza tym ty śmierdzisz gównem, Stinkenhielm*, Skitenhielm.

Musiał tak odpowiedzieć, racja jest po jego stronie. Po prostu nie można poddawać się takim, jak ten cały Silverhielm. Erik jest ostatnim w Stjärnsbergu, który się nie poddał i wierzy, że w tym tłumie, który ich otacza, musi być przynajmniej kilku takich, co mają nadzieję, że Erik teraz też się nie podda.

- Odwołaj to! - syknął Silverhielm i opuścił nóż, tak że ostrze dotykało skrzydełek nosa Erika.

Erik nie odpowiadał.

- Odwołaj to! - powtórzył Silverhielm i przycisnął nóż jeszcze mocniej. Erik poczuł, że z jednej dziurki spływa strużka krwi.

- No? Muszę to usłyszeć, zanim odetniemy ci ten żydowski nochal.

- Jesteś bydlę i cham, będziesz śmierdział do końca życia - odpowiedział Erik i poczuł, że nóż wciska się coraz mocniej w jego nos. Ostrze naruszyło już chrząstkę.

* Stinkenhielm - kolejne zniekształcenie nazwiska. *Stinka* znaczy „śmierdzieć”.

Nagle Silverhielm cofnął nóż, nie kalecząc Erika.

- Teraz będziemy oparzać świnie! - zawył.

Kiedy członkowie Rady zaczęli przynosić wiadra pełne parującej wody, wśród publiczności powstało spore zamieszanie. Na tyłach tłumu rozlegały się piski i głosy przerażenia. Erik uniósł lekko głowę i zobaczył, że czterej chłopcy z jego klasy są siłą wyciągani z tłumu, każdy ma swojego członka Rady, który go trzyma za kark i wykręca mu jedną rękę.

- Zaczynamy oparzać świnie! - zakomenderował Silverhielm.

Pierwszy w kolejce był Höken, który przytaszczył swój kubek i postawił z rozmachem, tak że woda się rozprysła nad głową Erika. Ponad wiadrem unosił się obłok pary.

- Musiałeś chyba zwariować, jeżeli słuchasz tych nazistów - powiedział Erik, próbując pochwycić spojrzenie Hökena gdzieś w górze na wieczornym niebie.

- *Sorry, old chap*, ale rozkaz, to rozkaz - odparł Höken i stęknął z wysiłku, kiedy unosił nad Erikiem wiadro.

Po czym wylał jego zawartość. Erik widział jak na zwolnionym filmie to, co miał zapamiętać na długo, jak parująca woda przelewa się strumieniem z wiadra i spada na jego twarz i piersi.

Sekundę później Erik ryknął z bólu oraz szoku i jak szalony zaczął szarpać sznury, które jednak były mocno przywiązane do stalowych kołków, tkwiących w ziemi jak skała.

Straszliwe zamieszanie w mózgu, jakby piorun uderzył w centralę telefoniczną. Potem nagły spokój, kiedy pojawiły się kolejne obłoki pary, a on niejasno dostrzegł, że następny chłopiec taszczy swoje wiadro. To Arne, ten nieustannie wygłupiający się Arne, który stał w kolejce, i wyglądało na to, nie, nie wyglądało, było absolutnie pewne, że Arne płacze.

Potem Erik znowu ryknął, kiedy następna fala bólu przetoczyła się przez ciało.

Dwa kolejne kubelki wypełnione były wodą zimną, ale kiedy jeden z tamtych czterech, Erik nie był już w stanie rozpoznać, kto to, wylał na niego lodowatą wodę, najpierw poczuł ten sam ból, który odczuwał, gdy ukrop pustoszył jego mózg. Zawartość ostatniego wiaderka była zimna od początku, tak to przynajmniej po wszystkim pamiętał. Wielki Wóz z wolna wirował we mgle. Przez kilka niekończących się chwil Erik słyszał jedynie swój gwałtowny, urywany oddech.

Silverhielm długo stał za jego głową i wypowiadał jakieś słowa, których Erik nie rozumiał, jacyś inni ludzie, których nie widział, podchodzili i pluli na niego. Tak to przynajmniej odczuwał. Potem zrobiło się cicho.

Prześladowcy poszli sobie. Poszli sobie wszyscy i zaległa kompletna cisza. Ciało Erika zaczęło się trząść i drzeć. Chłód przenikał go coraz bardziej, i chyba to właśnie przywracało mu świadomość. Teraz gwiazdy nad sobą widział już całkiem wyraźnie, bardzo wysoko, a kiedy poruszył głową, coś cicho zachrząściło. To lód w zalanych wodą włosach; ubranie zaczynało sztywnieć. Erik zamknął oczy.

Ale dygotanie całego ciała nie pozwalało mu zasnąć ani pogrążyć się w nieświadomości.

Nie był w stanie kontrolować upływu czasu. Leżał tak może godzinę, a może zaledwie pięć minut, kiedy usłyszał za sobą kroki.

To pielęgniarka; kiedy opadła przy nim na kolana, zobaczył, jak błyskają jej okulary. Trzymała też w ręce coś, co przypominało skalpel. Początkowo nie mówiła nic. Jedną dłoń położyła mu na piersi i przesunęła wyżej, do tętnicy na szyi, by sprawdzić puls. Potem uniosła rękę ze skalpelem.

Kilkoma szybkimi ruchami przecięła sznur, którym przywiązano go do słupków, nieruchomych jak skała. Erik wolno uniósł ręce i półświadomie zaczął rozcierać zdętwiałe przeguby. Po chwili pielęgniarzka uwolniła mu też stopy.

- No proszę, spróbuj teraz wstać - powiedziała, pociągając go za ramiona.

Chrupnął lód, który przytwierdził jego ubranie do ziemi, kiedy Erik, zataczając się i machając rękami dla utrzymania równowagi, próbował stanąć na nogach.

- Chodź, oprzyj się. - Podsunęła mu swoje drobne ramię i zmusiła go do pierwszych, niepewnych kroków w stronę „Kasjopei”.

Nigdzie nie widzieli żywej duszy.

Kiedy pokonali już pół drogi, Erik jęknął, że równie dobrze może iść sam, i prawie gwałtem uwolnił się od jej wspierających ramion. Przed drzwiami - Erik dygotał i trząsał się tak, że prawie nie był w stanie wykrztusić słowa - zapytał, co byłoby teraz dla niego najlepsze. Czy powinien wziąć gorący prysznic, a potem się położyć?

Musiła chyba to potwierdzić i zostawiła go przy wejściu. Od tej chwili bowiem włókł się przez korytarz do swojego pokoju samotnie. Spotkał po drodze dwóch kolegów z klasy, którzy na jego widok skamienieli, ale nie odezwali się słowem.

W pokoju było ciemno i Erik długo się trudził, zanim odszukał kontakt. Kiedy go przekreślił, zobaczył, że Pierre leży w łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę, choć wcale nie śpi.

- Oni mnie związali - jęknął. - Dlatego nie mogłem cię uwolnić.

Erik, zataczając się, podszedł do Pierre'a i sztywnymi rękami podniósł kołdrę. Pierre leżał osznurowany niczym baleron.

Ręce Erika były jednak zbyt zdrętwiałe, by rozwiązać wszystkie supły. Poza tym widział niewyraźnie.

- Będziesz musiał jeszcze trochę tu poleżeć - wykrztusił i powlókł się do łazienki, gdzie kompletnie ubrany wszedł pod prysznic i odkręcił gorącą wodę.

Ciało pulsowało pod wpływem ciepła, jakby pod skórą coś się rozrywało.

Stał oparty o wyłożoną kafelkami ścianę, długo i wciąż rozcierał zdrętwiałe nadgarstki. Potem puścił jeszcze gorętszą wodę i zaczął zdejmować z siebie ubranie, sztuka po sztuce. Nie pamięta, jak długo tam stał, zanim wrócił do Pierre'a, włożył na siebie płaszcz kąpielowy i zaczął przecinać więzy przyjaciela.

Poparzona skóra paliła go w wielu miejscach, ale w głowie mu się rozjaśniło.

- Oni wydali rozkaz, że nikomu nie wolno mnie rozwiązać - wyjaśnił Pierre. - Ten, kto by to zrobił, miał dostać pięć sobót-i-niedziel aresztu.

- Bo ty byś mnie uwolnił?

- Pewnie. To jasne.

- Oni naprawdę mają źle w głowie. Wszyscy. Nikt nie pomyślał, że to jest warte pięciu sobót-i-niedziel? Czy taka sama kara groziła temu, kto by uwolnił mnie?

- Chyba tak. Tamci przepędzili wszystkich, zanim przyszli tutaj i mnie złapali.

- Jak długo chcieli mnie tam trzymać na mrozie? Czy oni naprawdę nie pojmują, co zrobili?

Niełatwo na to odpowiedzieć. Erik włożył na siebie dwie piżamy i zakopał się w pościeli. Ciepło rozchodziło się po całym

ciele, pod jego wpływem ból w nadgarstkach i kostkach nóg był coraz większy. Bolało go też kilka miejsc na twarzy i na piersiach.

Czy tamci nie rozumieją, co zrobili? Może zakładali, że nikt osobiście nie ponosi winy, skoro wiązało go wielu, a wielu innych polewało wodą, i na koniec nikt nie chciał go uwolnić?

- Myślałem, że przyjdzie mi tam skonać - wymamrotał. - Myślałem, że w takich chwilach człowiek widzi całe swoje przeszłe życie jak na filmie, ale to nieprawda. Ja widziałem tylko gwiazdy.

Był na najlepszej drodze, by zasnąć. I wtedy odwiedziła go siostra, dała mu jakieś białe tabletki oraz szklanekę wody. Powiedziała, że powinien spać.

Wraz ze snem przyszła gorączka.

Poruszał się lekko, jakby nic nie ważył, niemal spływał w dół do magazynów obrony cywilnej. Kiedy uniósł młot do kłódki, czuł, że i młot jest lekki niczym piórko, a potem wielka kłódka złamała się, jakby była ze zmurszałego drewna. Karabiny stały w szeregach, mieniły się zielonkawo i żółto, i jakiś wróbel miotał się zrozpaczony od jednej szyby do drugiej, szukając wyjścia. Lufy pistoletów były całe umazane żółtobrazowym smarem do broni, ale on je bez trudu pocierał swoim mokrym ubraniem. W magazynie broni było ciepło jak w letni dzień, chociaż za oknem, w które raz po raz uderzał wróbel, słychać było bekasy. Magazynek pistoletów wydawały się ciężkie, Erik trzymał je w dłoni niczym owoce.

Krótkimi seriami strzelał z dachu szkoły w dół ku członkom Rady, którzy padali jak zapalki, i kiedy potem Rada miała odbyć zebranie, by go osądzić na podstawie paragrafu trzynastego, zaczął do nich znowu strzelać, tak że kule przebijały ich ciała na wylot i wbijały się w ściany klasy niczym w spróchniałe drewno, aż się dym rozchodził wkoło, podczas gdy muzyka Chopina brzmiała coraz głośniej.

Erik pływał w morzu i woda była ciepła jak w wannie, twarz go paliła między jednym a drugim oddechem, a on coraz szybciej i szybciej pracował rękami, ale nie posuwał się naprzód. Zamiast tego gumowa linka ciągnęła go w tył, w tył, w tył.

Obudziło go pragnienie. Usta miał kompletnie wyschnięte. Pierre'a nie było, pokój zalewało światło. Kiedy spojrzał na budzik, okazało się, że za osiem minut drzwi jadalni zostaną zamknięte i zacznie się śniadanie.

Obmył twarz w zimnej wodzie i napił się prosto z kranu. Zaczął znowu dygotać. Pościel znajdowała się w kompletnym nieładzie, jedna część twarzy Erika była bardzo czerwona.

Ubrał się szybko i przebiegł przez szkolny dziedziniec z ostatnimi spóźnialskimi, zimne powietrze siekło go w twarz, a puls był nienaturalnie przyśpieszony.

Kiedy znalazł się w jadalni, zdecydowanym krokiem podszedł do miejsca Silverhielma, stanął za jego plecami na końcu stołu numer dwa, tak by przewodniczący Rady nie zdążył się zorientować, że siedzący naprzeciwko niego chłopcy umilkli. Erik chwycił go mocno za włosy, pochylił się do przodu i szeptem wypowiedział parę słów. Potem szarpnął gwałtownie przeciwnika i puścił, a sam poszedł na swoje miejsce i wyciągnął rękę po dzbanek z czekoladą. Reszta chłopców przy jego końcu stołu siedziała bez ruchu, w całkowitym milczeniu.

- Dzień dobry - powiedział Erik przez zaciśnięte zęby.

Nikt nie odpowiedział na powitanie. Wszyscy wpatrywali się w swoje filiżanki, mieszali czekoladę lub smarowali kromki chleba. Żaden z sąsiadów nie podniósł na niego wzroku, żaden nie spojrzał mu w oczy.

Erik wychylił się w prawo, by wziąć masło, a przy okazji mógł spojrzeć na Silverhielma. Tak jest, uderzył celnie. Silverhielm siedział jak skamieniały.

Do końca śniadania nikt w pobliżu stołu numer dwa nie odezwał się ani słowem. Erik zaczekał, aż Silverhielm wstanie i wyjdzie. Potem sam poszedł prosto do swojego pokoju, prześcielił łóżko i położył się, by spać, dopóki gorączka nie opuści jego ciała.

Obudziła go pielęgniarka, która przemywała mu twarz. Dochodziła jedenasta. Siostra przyniosła termometr i podała mu go bez słowa. Poprawiła siwy kok nad karkiem, czekając, aż Erik zmierzy temperaturę. Nadal się nie odzywała.

- Dziękuję, że mnie siostra uwolniła - rzekł, oddając jej termometr.

Zanim odpowiedziała, sprawdziła, jaką ma gorączkę.

- Ech, trzydzieści osiem i pięć, mogło być o wiele gorzej. Kaszlałeś w nocy?

- O ile wiem, to nie, rano w każdym razie nie kaszlałem. I powiedziałem: dziękuję, że mnie siostra uwolniła.

- Cokolwiek by się działo, to ja przecież jestem pielęgniarką, a w takim razie nie mogę się godzić na wszystko. Wygląda na to, że masz organizm jak młody żrebak, gdybyś tam jednak jeszcze trochę poleżał, nic by cię nie uchroniło przed zapaleniem płuc i... - zaważała się - ...komplikacjami. Zajrzę do ciebie po południu, ale wygląda na to, że się wygrzebiesz, musisz tylko poleżeć w łóżku dzisiaj i jutro.

Znowu poprawiła kok i patrzyła na niego w zamyśleniu, nic nie mówiąc. Potem wstała i poszła do wyjścia. W progu odwróciła się.

- I w przyszłości będziesz chyba musiał ich słuchać - dodała.

Potem, nie czekając na odpowiedź, zamknęła drzwi. Erik zasnął niemal natychmiast i spał bez żadnych koszmarów aż do wieczora.

- Tam! - wrzasnął Żuraw, pokazując z triumfem pierwszego bekasa, który opadał w dół nad łąkę z szumem skrzydeł.

Łąki były zalane i pierwsze żaby wychodziły, by się pobawić. Poprzedniego wieczoru widzieli dużego kulika. Nad ziemią płonęło wieczorne słońce, a z pól od strony Stjärnsbergu niosła się lekka woń gnojówki.

Wiosna przyszła wcześniej, już w ubiegłym tygodniu obserwowali pierwsze skowronki. Niedługo przylecą drapieżniki. Gdy tylko spłyną lody, można się spodziewać pierwszych rybołówów.

Woda chlupała pod gumowymi butami, czekał ich jeszcze wielokilometrowy spacer, zanim znajdą się z powrotem w szkole. Pewnie stracą kolację, ale to nie szkodzi, bo idą z Żurawiem, a Żuraw potrafi wywalczyć specjalne względy dla uczniów, którzy starają się o najwyższe oceny. Dzięki niemu mogą się poruszać po okolicy wszędzie, odwiedzać wszystkie miejsca, w których prowadzili obserwacje.

Kiedy znaleźli się na polach w pobliżu szkoły, zaczynało zmierzchać.

Gdzieś z bardzo daleka dochodziło smutne nawoływanie.

- O, to i czajki już są - skonstatował Żuraw.

Potem opowiedział im o pewnym gatunku ptaków z Ameryki Południowej, które nadal mają na końcach skrzydeł chwytny szpon, jakie miały pierwsze gady latające, ich przodkowie.

W stosunkach z Radą panował status quo.

Minał już miesiąc od „oparzania” przed aneksem, ale ani Pierre, ani Erik nie przeżyli żadnych specjalnych przygód z członkami Rady, tylko zdarzenia, które można uznać za rutynowe: parę nalotów i kilka osobistych kontroli, które jednak nie przyniosły żadnych rezultatów.

Oparzanie triumfem Rady nie było. Krążyły nawet plotki o tym, że dyrektor po raz pierwszy w historii szkoły wezwał do siebie przewodniczącego, by go zwymyślać za zamkniętymi drzwiami. Prawdopodobnie jednak były to tylko plotki i ani dyrektor, ani żaden z nauczycieli nie sprawiali wrażenia, by cokolwiek słyszeli lub wiedzieli o tamtych zajściach. Z drugiej strony jednak, mogła to też być prawda, bo Silverhielm przez długi czas nie podejmował żadnych nowych inicjatyw, a Rada poświęcała się wyłącznie rutynowemu polowaniu na palących, by zdobyć darmowe papierosy dla siebie (niezwykle rzadko się zdarzało, żeby ktoś przyłapany z papierosami żądał ich zniszczenia, przeważnie oddawano je członkom Rady).

Höken i Arne oraz dwaj pozostali, którzy uczestniczyli w oparzeniu, zostali niemal wykluczeni z klasowego grona. Erik i Pierre konsekwentnie się do nich nie odzywali, wielu pozostałych kolegów zachowywało się tak samo. Oparzanie to było przekroczenie granicy koleżeńskiego samowychowania i wydarzenie otaczało coś w rodzaju kolektywnego wstydu.

- To dlatego, że oni się boją. Boją się, że coś takiego mogłoby kiedyś spotkać ich samych - twierdził Erik.

Pierre był raczej zdania, że to dlatego, iż mimo wszystko istnieje w szkole jakieś poczucie fair play. No i gdyby Erik musiał tam leżeć przez całą noc, gdyby pielęgniarzka nie poszła po rozum do głowy, to Erik mógłby umrzeć, a wówczas nie wiadomo, co by się stało. Nie jest wcale takie pewne, czy tę sprawę dałoby się zatuszować, podobnie jak inną sprzed dziesięciu lat, kiedy to

podczas ćwiczeń obrony cywilnej jeden z młodszych uczniów został pchnięty bagnetem w samo serce. Odwieziono go po prostu do szpitala, skąd nigdy nie wrócił. W gazetach też nie było o wypadku ani słowa, w ogóle głucho milczenie.

- Czy naprawdę nie możesz mi powiedzieć, co szeptałeś do ucha Silverhielma nazajutrz po tamtych wydarzeniach? - dopytywał się Pierre. - Daję słowo honoru, że nikomu nie wygadam.

Erik słyszał to pytanie chyba ze sto razy. Bywało nawet, że ludzie z liceum podchodzili do niego, klepali go po plecach, mówili jakieś miłe rzeczy, a potem pytali właśnie o to. Silverhielm wyglądał przez cały dzień jak struty.

- Nie mogę - odparł Erik - Przysiągłem sam sobie, że nikomu tego nie powiem. Ja się po prostu trochę wstydzę. Sam rozumiesz, że postraszyłem go czymś naprawdę ohydny, czego bym nigdy nie zrobił. Tylko że on tego wiedzieć z całą pewnością nie może. W każdym razie nie chcę z nikim na ten temat gadać, wolałbym jak najprędzej zapomnieć o tym, gdybym mógł.

- Cokolwiek powiedziałeś, to oni się nie odważyli powtórzyć oparzenia.

- Nie, ale i tak nie można być niczego pewnym.

- Myślisz, że nareszcie będzie koniec z tym gównem?

- Niestety, wcale tak nie myślę. Gdyby to jednak była prawda, co mówią, to z dyrektorem, wiesz, to choćby z tego powodu przez jakiś czas się powstrzymają. Coś jednak na pewno wymyślą, oni już tacy są.

Na razie panował spokój i status quo trwał aż do nocy Walpurgii.

Erik i Pierre szli sami przez szkolny dziedziniec. Byli w lesie na swoim zwyczajowym, potajemnym papierosie po treningu Erika i teraz pachnieli świeżo płynem Vademecum, zneutralizowanym za pomocą sosnowego igliwia. Rozmawiali o ostatnich sprawdzianach.

Pozostało jeszcze piętnaście minut do wieczornego dzwonka, kiedy to wszyscy uczniowie szkoły podstawowej powinni być w swoich pokojach.

Nagle na piętrze głównego budynku szkolnego otworzyło się jakieś okno. To Gustaf Dahlen, który tam właśnie miał swój pokój. Był to jedyny pokój uczniowski w całym budynku i sąsiadował bezpośrednio z mieszkaniem nauczyciela historii.

- Potajemni palacze! Chodźcie tu natychmiast na rewizję osobistą! - krzyczał Gustaf Dahlen ze swojego okna.

To był jeden z tych rozkazów, którego musieli posłuchać. Wzruszyli ramionami i poszli do budynku. Oczko nie znajdzie przecież u nich nawet okruszka tytoniu i nie poczuje też ani dymu, ani Vademecum, jeżeli już o to chodzi. Jasne, że to po prostu zwyczajne nękanie.

Oczko jednak nie był w pokoju sam. Siedział tam również Silverhielm rozwalony w dużym, obitym skórą fotelu. Oczko miał na sobie rodzaj szlafroka z jedwabiu, do którego nosił jedwabny szalik, wyglądał jak gangster z amerykańskiego filmu, choć najwyraźniej małpował angielskiego szlachcica w rodzaju Lesliego Howarda. Ale nie to było dziwne.

Dziwny był fakt, że zarówno Oczko, jak i Silverhielm palili krótkie cygara. Nawet członka Rady można by w zasadzie usunąć ze szkoły, gdyby został przyłapany na paleniu wewnątrz budynku.

- No i proszę - powiedział Silverhielm, wstał, po czym kilka razy okrzyknął Erika i Pierre'a, stojących pośrodku pokoju. Wydmuchiwał przy tym demonstracyjnie dym w powietrze,

próbował puszczać kółka w stronę sufitu. - Mamy oto potajemnych palaczy, których trzeba będzie zrewidować.

- To wy jesteście potajemnymi palaczami - odciął się Pierre. - Nawet członka Rady można relegować za to, co tu robicie.

- Jasne, ale spróbuj to udowodnić - szydził Silverhielm. - Dwaj notoryczni potajemni palacze ze szkoły podstawowej próbują rzucić podejrzenie na przewodniczącego i wiceprzewodniczącego. Ale to są tylko słowa przeciwko słowom. Obawiam się, że zostalibyście skazani za fałszywe oskarżenia i krnąbrność.

Po czym puścił kolejne kółko z dymu i tym razem mu się udało.

- Rozbierajcie się - zakomenderował Gustaf Dahlen.

- Chodź, idziemy stąd - rzucił Erik i zrobił krok w stronę drzwi, ale Silverhielm go ubiegł i zdażył zagrodzić im drogę.

Nie można było wyjść, nie naruszając paragrafu trzynastego, cała sprawa chyba to właśnie miała na celu.

- Jeżeli kiedykolwiek uda wam się przyskrzynieć mnie z paragrafu trzynastego - powiedział Erik - to nie będzie to za żadne „po prostu”, ale dostaniecie wtedy takie lanie, że nawet własne matki będą miały kłopoty z rozpoznaniem was. Więc czy to nie za wielkie ryzyko?

- Nie sędzę - odparł Gustaf Dahlen i skinął głową w stronę Pierre'a. - A przynajmniej nie dzisiaj.

Znaczenie pogróżki nie było do końca jasne. Chodziło jednak o to, by nie zostać wyrzuconym ze szkoły. Erik zaczął się wolno rozbierać, a po chwili Pierre poszedł za jego przykładem. W końcu obaj stali w samych tylko kalesonach.

- Gacie też, zobaczymy czyście pod nimi czegoś nie schowali - poganiał Oczko.

Chłopcy wahali się, pośpiesznie wymienili spojrzenia. Erik skinął głową i ściągnął kalesony.

- No i bardzo dobrze - rzekł Silverhielm, i znowu okrążył ich parę razy. - Cóż, możecie się ubierać - zezwolił.

Włożyli ubrania.

Byli już prawie gotowi, gdy Oczko przypomniał sobie, że tak naprawdę rewizji nie przeprowadził, więc chłopcy musieli się rozbierać po raz kolejny. Zrobili to w całkowitym milczeniu. Tym razem to Oczko przechadzał się wokół powolnym krokiem i raz po raz czubkiem pantofla kopał ich leżące na podłodze ubrania. Nagle pochylił się i uszczypnął Pierre'a w oponę tłuszczu na brzuchu. Pierre jęknął cicho z bólu.

Wszystko wskazywało więc na to, że tamci postanowili za wszelką cenę wywołać bójkę. Było to jednak zbyt oczywiste, więc zarówno Erik, jak i Pierre zachowywali się biernie i nie odzywali ani słowem. Chociaż w Eriku wszystko się gotowało.

Nieoczekiwanie i jakby przypadkiem Oczko zbliżył swoje cygaro do brodawki piersi Pierre'a. Ten drgnął, odsunął się pół kroku w tył, w dalszym ciągu jednak nie powiedział nic.

Oczko podszedł zdecydowanie do popielniczki i strząsnął popiół. Potem wolno wrócił do Pierre'a i demonstracyjnie wyciągnął przed siebie rozżarzone cygaro. Stał zaledwie dwadzieścia centymetrów od niego. Silverhielm pilnował drzwi.

Oczko wolno uniósł cygaro do ust i zaciągnął się głęboko. Potem dmuchnął dymem w twarz Pierre'a i przysuwał rozżarzony koniec coraz bliżej i bliżej brodawki jego piersi.

- Chyba najwyższy czas je zgasić - powiedział.

Erik znalazł punkt na karku Oczka, gdzie powinien spaść cios. Nie było innego wyjścia.

- No to zaraz tłuszcz zacznie się topić - szydził Oczko i przysunął cygaro jeszcze kilka centymetrów bliżej piersi Pierre'a.

Ten w dalszym ciągu nie mówił nic, choć żar znajdował się już tak blisko, że z pewnością musiał odczuwać gorąco.

- Tutaj - odezwał się Erik, wskazując palcem na swoją pierś. - Tutaj możesz zgasić, ty mały bydlaku, jeśli tylko masz dość odwagi.

Oczko się wahał.

- No - ponaglał Erik. - Tutaj możesz zgasić tego cholernego peta, a zobaczysz, że to wcale nie boli tak, jak sobie wyobrażasz. Zobaczysz, obiecuję ci, że zobaczysz, ty bydlaku, ty przekłety zezowaty bydlaku. Pokaż teraz, jakim tchórzem jesteś, pokaż, co potrafisz.

Oczko postąpił krok w stronę Erika.

- Za twoim pozwoleniem i przy świadkach, żeby nie było - bełkotał.

Rany boskie, Oczko dał się wciągnąć w grę!

Nienawiść pulsowała w Eriku, spływała na niego falami, miał wrażenie, że ciało mu kamienieje, jakby było z betonu. Pokój pociemniał i zniknął z pola widzenia, które teraz ograniczało się wyłącznie do twarzy Oczka. Wokół był tylko czarny kosmos. Erik słyszał własny głos jakby z bardzo daleka.

- Jesteś bydlakiem, Oczko. I jesteś takim tchórzem, że nie odważysz się tego zrobić, nawet gdybym zapewnił, że cię nie tknę, kiedy będzie po wszystkim. Gaś nareszcie to cholerne cygaro, to zobaczymy, co się stanie.

Oczko mrugał pośpiesznie. Ręka mu dygotała, kiedy wyciągał rozżarzone cygaro tak blisko Erika, że sterczące na piersi rzadkie włoski się zwęgliły. Erik pochwycił wzrok Oczka i rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu.

- Nooo! Nie masz odwagi, ścierwo? - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Oczko nadal się wahał, pot perlił mu się na czole. Teraz jednak nie mógł się już wycofać. Wystarczyłoby odstąpić o krok, by wyrwać się z pułapki, ale on nie mógł tego zrobić.

W ciemnościach gdzieś obok rozległ się głos Silverhielma, który coś powiedział. Wtedy Oczko jęknął i przycisnął cygaro do brodawki Erika, równocześnie jego twarz wykrzywił bolesny spazm.

Erik za wszelką cenę starał się utrzymać uśmiech na wargach. Rozszedł się swąd palonego ciała, on jednak niczego nie czuł, tylko to szumiące pulsowanie w uszach. Oczko znowu wydał z siebie jęk, jakby zaczynał płakać i przekreślił peta w ranie raz w jedną, raz w drugą stronę, dopóki go ostatecznie nie zgasił.

Obraz się poszerzał, pole widzenia rosło, coraz większy krąg z wykrzywioną twarzą Oczka pośrodku, powoli wylaniał się też pokój, widać już było stół z marmurowym blatem, potem okno, a za nim ciemność, w końcu Silverhielma, który z wytrzeszczonymi oczyma stał przy obitym skórą fotelu i łapał powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

W pokoju panowała absolutna cisza.

Erik pochylił się, podniósł z podłogi ubranie, włożył je na siebie, przez cały czas patrząc przeciwnikowi w oczy i nie przestając się uśmiechać.

Oczko opadł na fotel, ręce mu drżały. Pierre też zaczął się ubierać.

Erik pochylił się jeszcze raz i podniósł peta z dywanu. Trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, zrobił dwa kroki w stronę Oczka, potem wyciągnął rękę i wrzucił peta do popielniczki, odwrócił się i poszedł ku drzwiom.

Na schodach po drodze w dół, z Pierre'em podążającym za nim bez słowa, Erik nagle zgiął się i musiał oprzeć o poręcz. Ból zwałił się na niego nagle i przeniknął ciało niczym kula wystrzelona z pistoletu. Z jękiem opadł na kolana i trzeba było poczekać dobrą chwilę, zanim znowu mógł się podnieść i ruszyć dalej.

Rana miała rozmiary monety jednokoronowej, była zabrudzona popiołem i tytoniem. Erik wszedł pod prysznic ze szczoteczką do paznokci, wziął głęboki oddech i kilkoma pośpieszonymi, mocnymi ruchami usunął popiół, resztki skóry i czarną ciecz. Buchnęła jasnoczerwona krew, która mieszała się z wodą i wirując, znikwała w otworach cynkowej kratki łazienkowego odpływu.

Pierre miał jakieś maści i plastry, którymi opatrzyli ranę. W nocy pulsowało w niej boleśnie. Erik liczył: trzydzieści osiem uderzeń. A zatem ciało znajduje się w całkowitym spoczynku.

Już w połowie kwietnia bieżnie i małe boisko do piłki nożnej obeschły na tyle, że lekcje gimnastyki mogły się odbywać na świeżym powietrzu. Wariackie treningi kondycyjne Erika jesienią i zimą dały wyniki. Zaraz za pierwszym razem, kiedy Tosse Berg sprawdzał jego czas na 100 metrów, Erik pobiegł dwie sekundy szybciej od swojego rekordu życiowego, choć się przed biegiem wcale nie rozgrzewał. Może to też dlatego, że w zimie urósł. Buty z kolcami zaczynały być za ciasne.

- No, wygląda to bardzo pięknie, zwłaszcza że niedługo turniej ze szkołą z Lundshov - powiedział Tosse Berg. - Nastaw się na to, że pobiegiesz w sztafecie na ostatniej zmianie.

Szkoły z internatami w całym kraju rozgrywały mianowicie co roku turniej sportowy, który zaczynał się w semestrze wiosennym i kończył jesienią. Szkoły odwiedzały się nawzajem, po kolei, zawodnicy przyjeżdżali autobusami, no i właśnie teraz to reprezentacja Lundshov miała przyjechać autobusem do Stjärnsbergu.

Turniej był niebywale prestiżowy, zwłaszcza, dla Stjärnsbergu. Nie chodziło tylko o to, by tutejsza drużyna wygrała jak najwięcej spotkań w ciągu roku, nie, ważniejsza była swego rodzaju *idee fix*, zgodnie z którą uczniowie szkoły w Stjärnsbergu są zawsze silniejsi, bardziej wytrzymali, szybsi i w ogóle lepsi od innych. Kiedy Stjärnsberg wygrywał, teza zostawała potwierdzona, kiedy przegrywał, zawsze było to wynikiem jakichś szczególnych okoliczności. Gdyby ten a ten nie potknął się w drugiej zmianie sztafety, mówiono. Albo gdyby A nie spalił swojego trzeciego skoku, gdyby B nie zaczepił spodenkami drążka w trzeciej próbie pokonania wysokości 1,78 m, gdyby nie stało się to i to, i tamto, tobyśmy wygrali. Mimo jednak, że Stjärnsberg miał wśród szkół prywatnych niewątpliwie najlepsze warunki treningowe, to mecze przeważnie charakteryzowały się zdumiewająco wyrównanym poziomem. A ponieważ liczenie punktów odbywało się według takich samych zasad, jak liczenie punktów w ogólnokrajowych rozgrywkach lekkoatletycznych, z podwójną punktacją za sztafetę 4x100 metrów, to ta sztafeta często rozstrzygała cały konkurs.

Tak miało być i tym razem. Późnym popołudniem, kiedy wszystkie konkurencje zostały już rozstrzygnięte z wyjątkiem sztafety właśnie, Stjärnsberg prowadził z Lundshov jedynie trzema punktami. Sztafeta miała więc zdecydować o ostatecznym wyniku,

a Erik - biec w ostatniej zmianie. Wszystko to razem nie było zbyt rozsądne, przypominało raczej „Magazyn Rekordów”, ale cóż.

Trybuny dla widzów były pełne, kiedy drużyna sztafety robiła rozgrzewkę. Nie ulegało wątpliwości, że bieg będzie wyrównany. W konkursie indywidualnym na 100 metrów, rozgrywanym przed południem, Erik zwyciężył z łatwością, ale reprezentanci Lundshov przybiegli na drugiej, trzeciej i szóstej pozycji. W sztafecie pobiegna najlepsi sprinterzy z obu szkół i może się to skończyć różnie.

Erik poczynił bardzo staranne przygotowania. Włożył swoje nowe czerwone kolce ze skóry kangura, wykonane przez firmę Puma, które właściwie były za drogie (adwokat Ekengren na pewno skreśli tę pozycję, kiedy dostanie rachunek). Był odpowiednio rozgrzany, nie powinien popełnić błędu.

Na trybunach, tuż przy zewnętrznej prostej, prostej, po której miał biec Erik, jeszcze przed startem narastał doping. I wtedy Erik, już bardzo skoncentrowany, usłyszał, jak z trybun Stjärnsbergu dobiega jego imię:

ERIK! ERIK! CHCEMY WI-DZIEĆ-NASZE-GO-E-RIKA!

No, do diabła. W takim razie musi wygrać. Musi!

Wystartowali i do pierwszej zmiany biegli równo, publiczność wyła. Przy drugiej zmianie zawodnicy z Lundshov trochę się zbłąznili i zostali parę metrów w tyle, a publiczność wyła. Przy trzeciej zmianie, niech to licho, zaraz się okaże, reprezentacja Stjärnsbergu zbłązniła się jeszcze bardziej, to był zresztą ten idiota Silverhielm, i teraz z kolei oni zostali parę metrów z tyłu - publiczność wciąż wyła - i opóźnienie utrzymało się przez cały ostatni zakręt, gdy publiczność zaczęła skandować: Erik! Erik! Erik!

Ostatni chłopak z tamtej drużyny był drugi w biegach indywidualnych, ale Erik nie potrafił określić, jak daleko za nim biegnie. Czy dwa metry to za wiele, by odrobić stratę?

Za parę sekund przejmie pałeczkę i znajdzie się na ostatniej prostej do mety. Dlaczego miałby wygrywać dla tej przeklętej szkoły? Ale przecież musi.

Zmiana pałeczki poszła gładko, chociaż tamtym drugim też, odległość wynosiła dwa metry. Mogło się udać, to się musi udać!

W połowie dystansu, naprzeciwko wielkiej trybuny dla widzów, odległość zmniejszyła się do jednego metra i kurczyła się nadal, wolno jak we śnie. Erik słyszał oddech tamtych. Jęczał, dyszał i zwiększał, zwiększał, zwiększał wysiłek. Na ostatnich metrach znalazł się na równi z tamtymi, och, te niemające końca ostatnie dziesięć metrów z białą linią na czerwonym tle, wyznaczającą każdy kolejny metr!

I nareszcie bawełniana biała taśma owinęła mu pierś, jej końce powiewały jeszcze w powietrzu, kiedy Erik usiłował wyhamować, Tosse Berg czekał na niego z rozpostartymi ramionami i Erik utonął w objęciach trenera.

- Niech to diabli, chłopie, zrobiłeś to, wygrałeś! Wygrałeś mimo wszystko!

Wciąż z pałeczką w ręce Erik pobiegł w stronę trybun. Widzowie wykrzykiwali jego imię, machali proporcami szkoły ze znakiem Oriona. On potrząsał pałeczką nad głową, zaciskał prawą pięść i unosił ją do góry. W pewnym momencie zdał sobie sprawę z tego, że po policzkach spływają mu łzy, wtedy odrzucił pałeczkę daleko nad trybuny i drobnymi krokami oddalił się w stronę wielkiego, wysypanego żwirem placu, gdzie dyskretnie otarł oczy wierzchem dłoni.

Tosse Berg pobiegł za nim, położył mu ręce na ramionach i poprowadził z powrotem ku trybunom.

- To przechodzi wszelkie pojęcie, Erik. Wszelkie pojęcie - powtarzał Tosse Berg. - Mierzyłem twój czas na końcowym odcinku. Wiesz, jak to wypadło?

- Nie, ale jakoś mi poszło.

- Jedenaście sekund jak drut! Oczywiście przy płynnym starcie, ale mimo wszystko.

- No to cholernie dobrze, ale nigdy tego nie powtórzę.

- Owszem, chłopie, kiedy tylko zechcesz. Na mistrzostwach szkolnych jesienią na przykład. Zmieciś wszystkich w swojej grupie wiekowej.

Tosse Berg nadal trzymał go ojcowskim gestem za ramiona, szerokim ruchem drugiej ręki wskazał na trybuny, gdzie publiczność ze Stjärnsbergu nadal wiwatowała, wymachiwała flagami i chórem wykrzykiwała imię Erika.

- No i sam widzisz - powiedział nauczyciel gimnastyki i trener.
- Sam widzisz, jakie pozytywne oddziaływanie ma sport. Czym wobec tego jest nękanie ze strony członków Rady?

Odbył się uroczysty obiad na cześć gości, wszyscy w szkolnych marynarkach, tłok w jadalni. Nikogo nie karano, nie było mowy o żadnych prztyczkach.

Tuż przed deserem dyrektor zastukał łyżeczką w kieliszek. Kiedy wreszcie członkom Rady udało się wszystkim uciszyć, dyrektor wygłosił krótkie przemówienie, w którym zawarł sporo rozmaitych banałów na temat braterstwa w szlachetnej rywalizacji, dobrych tradycji i wspaniałych wyników sportowych drużyny gości.

Serce łomotało w piersi Erika. Wkrótce się to dokona, wkrótce ów mały srebrny puchar za najlepsze indywidualne osiągnięcia zostanie wręczony zwycięzcy. Jeden chłopak z Lundshov wygrał w rzucie dyskiem i rzucie kulą, ale jeśli liczyć również sztafetę, to Erik zwyciężył w trzech dyscyplinach. Dyrektor przemawiał i przemawiał, jakby nigdy nie miał dotrzeć do sedna sprawy. W końcu jednak wziął puchar z wygrawerowanymi nazwiskami jego poprzednich posiadaczy.

- ... i jury złożone z mojej osoby oraz nauczycieli gimnastyki i sportu w obu naszych szkołach postanowiło jednogłośnie (długa pauza) za wspaniałą postawę w biegu na 100 i 200 metrów... (w tym miejscu dyrektorowi przerwały wiwaty, a siedzący najbliżej koledzy klepali Erika po plecach)... przyznać ten puchar przechodni Erikowi, który ponadto zakończył dzisiejszy dzień wielkim zwycięstwem w sztafecie. Czy Erik zechce przyjść i odebrać tę dobrze zasłużoną nagrodę?

Raz jeszcze w oczach Erika pojawiły się łzy, choć przecież nie płakał ani razu, odkąd przyjechał do tej szkoły. I właśnie teraz ze łzami w oczach podszedł do dyrektora, uklonił się uprzejmie i odebrał puchar.

Brawa unosiły się pod sufit, śpiewano na jego cześć. Erik uniósł puchar nad głową, szukał spojrzenia Silverhielma, który siedział ledwie cztery metry od niego, przy stole numer dwa. Ale Silverhielm patrzył gdzieś w dal.

Wieczorem po dzwonku na gaszenie światła w pokoju nadal było jasno, choć i tak dzień przedłużono wszystkim o godzinę. Erik leżał na łóżku z rękami pod głową i patrzył w sufit. Wystarczyło jednak lekko odwrócić wzrok, by zobaczyć puchar stojący na półce z książkami. Na piersi Erik miał jeszcze ostatnie strupy, ale rana po cygarze Oczka prawie się zagoiła.

- Ty chyba pojmujesz, co to znaczy? - spytał Pierre.

- Nie wiem, co masz na myśli. Ale ja czuję się prawie szczęśliwy, tak mi się zdaje. Pewnie myślisz, że to głupie zasuwać z kawałkiem patyka w ręce?

- Nie, to wcale nie jest śmieszne, przynajmniej dla ciebie tu i teraz, w Stjärnsbergu. Bo chyba się domyślasz, że teraz to oni cię już nie ruszą? Powinieneś być widzieć, jakie szaleństwo trwało na trybunach, chłopcy mogą po tym wszystkim zapomnieć o swoim oparzeniu.

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- Tak, tak, a w przyszłym tygodniu maturzyści zdają egzaminy, po czym będziemy mieć ich z głowy.

- Tylko że później trzecioklasiści staną się czwartoklasistami i wszystko zacznie się od początku.

- Nie przed następnym semestrem. A teraz będziemy mieć piękną wiosnę. Słyszysz ptaki? Czy to czasem nie biegusy?

- Tak, racja, to chyba biegusy.

- Co masz zamiar robić latem?

- Myślę, że będę pracował w sztokholmskim porcie. Znam jednego faceta, który mówił, że w lecie można zarobić nawet tysiąc na tydzień. Trzeba wprawdzie mieć skończone szesnaście lat, ale ja już się zbliżam.

- Ja pojedę do Szwajcarii odwiedzić ojca. A potem do letniej szkoły w Anglii.

- Chyba nie potrzebujesz się uczyć angielskiego, i tak jesteś najlepszy w szkole.

- Ale tata mówi, że dobrze by było podszlifować akcent. To się zaczyna w sierpniu, dwa tygodnie przed powrotem tutaj.

- Wiesz, ile kosztuje taki kurs?

- Pojęcia nie mam, myślę, że parę tysięcy koron.

- To ja do ciebie przyjadę, no, jeżeli to będzie w sierpniu. Zarobię wystarczająco dużo, a nawet więcej, jeśli załatwię sobie tę robotę w porcie. I będę też mógł zapłacić, co ci jestem winien za pomoc w matmie, wiesz.

- Ech, to nie ma znaczenia, jesteście przecież kolegami.

- No, i właśnie dlatego. Absolutnie muszę ci zapłacić, od dawna o tym myślę.

- Pieniądze nie odgrywają aż takiej roli.

- Nie, dla kogoś, kto jest bogaty, jak ty. Ale ja nie jestem.

- Teraz czeka nas w każdym razie piękna wiosna. Słyszysz? Znowu biegusy.

Słońce paliło nad portem w Sztokholmie.

Istnieją dwa chwytaki, które można stosować, kiedy trzeba układać na platformie worki z kawą. Albo się bierze worki za rogi, albo wsuwa cztery palce pod wiązanie, zanim się uniesie worek. Nie da się układać worków z kawą na platformie w rękawicach ochronnych, bo wtedy trudno coś schwycić. Kiedy jednak człowiek jest nienawykły i ma na rękach delikatną, uczniowską skórę, to robią się pęcherze na dłoniach i na palcach wskazujących. Jeśli zaś stosuje się trik z wkładaniem palców w róg worka, końce palców szybko drętwieją, poza tym ma się połamane paznokcie.

Skrzynki z pomarańczami i z jabłkami trzeba brać w objęcia, zanim się je ułoży na platformie. Ramiona Erika były odrobinę za krótkie, więc jedna krawędź skrzynki ocierała mu ramię, a druga kaleczyła nadgarstek.

Z czasem jednak skóra na rękach stwardniała. Robotnicy okazali mu sympatię, choć był tylko uczniem. Żartowali trochę z tego, jak Erik wymawia głoskę „i”, ale też poklepywali go po plecach, bo pracował dobrze.

W piątki stawali wszyscy w kolejce przed kasą, gdzie wręczano im zaklejone brązowe koperty z banknotami w środku. Kiedy Erik stał w kolejce pośród robotników, trzymał papierosa między palcem wskazującym a kciukiem, jak większość, albo też w kąciuku warg. Garbił lekko plecy i czuł się jak Marlon Brando w *Porcie Wielkiego Miasta*.

Praca zaczynała się o pół do siódmej rano. Erik pędził na rowerze przez pustą Vasastan do Odengatan i dalej przez Valhallavagen. Tego lata padało tylko kilka razy.

Ojciec wyjechał.

Najpiękniejszy ze wszystkich szczęśliwych przypadków świata, najlepsze, co mogło Erika spotkać - ojciec wyjechał. Dostał dobrą pracę w jakiejś miejscowości wypoczynkowej, prowadził tam piwnicę win i zabrał ze sobą młodszego syna.

Wieczorami Erik chodził do kina albo siedział w domu i słuchał, jak matka gra. Nadal grywała przeważnie Chopina.

Czasami chodził na pływalnię i spotykał Loppana.

Trener uśmiechał się bardzo z tych wszystkich technicznych osobliwości, jakich Erik się powyuczał, kiedy trenował na krótkim basenie w Stjärnsbergu sam, bez niczyjej pomocy. Nawyki były jednak niezbyt głęboko zakorzenione, bez trudu uda się skorygować błędy. Poza tym Erik był teraz silniejszy, wzrosła jego wytrzymałość, więc mógł osiągać sukcesy. Większość dawnych kolegów z pływalni go prześcignęła, ale nie były to przepastne różnice.

- Tak, o Rzymie już nie może być mowy - mówił Loppan.

- Ale nie szkodzi. Do Rzymu w przyszłym roku to mógłbyś pojechać, żeby się uczyć, a sprinter i tak nie osiąga maksimum, kiedy ma szesnaście lat. Tylko potem, mój stary, będziesz musiał zakasać rękawy, bo za pięć lat będzie Tokio.

Za pięć lat w Tokio. Będzie wtedy rok 1964, to data tak samo odległa, jak w powieściach fantastycznych. Równie dobrze mógłby to być rok 1984. Podczas olimpiady w Tokio on będzie miał dwadzieścia lat, dorosły człowiek. Zda maturę, wstąpi na uniwersytet. Pięć lat to cała wieczność.

- Czy ty byś nie mógł przyjechać czasami do miasta z tej swojej szkoły, tobyśmy skorygowali technikę? - pytał Loppan.

- Moim zdaniem, szkoda roku na takie chałupnicze treningi, masz mnóstwo do nadrobienia.

- Nie - odparł Erik. - Niestety. Mam karne roboty lub areszt we wszystkie soboty i niedziele.

Loppan patrzył na niego i kręcił głową.

- To musi być niezły dom wariatów. Lato było po prostu wspaniałe.

Dwa pierwsze miesiące minęły, jeden dzień podobny do drugiego, w sztokholmskim porcie. A potem Erik wyjechał do Anglii, wyjechał na dzień przed powrotem ojca z Ronneby. Jakaś siła wyższa musiała czuwać nad Erikiem.

W Anglii pija się herbatę z mlekiem i jasnobrazowe piwo, znacznie mniej musujące niż szwedzkie.

Semestr jesienny zaczął się od dwóch szybkich triumfalnych zwycięstw. Najpierw był szkolny dzień lekkoatletyki. Erik startował w czterech konkurencjach, oprócz dwóch dystansów sprinterskich

bieg na 400 metrów i skok w dal. Wygrał wszystkie cztery konkurencje. Duża prędkość przy rozbiegu wyniosła go na odległość ponad 6 metrów, co wystarczyło do zwycięstwa w skoku w dal. Trening kondycyjny w ubiegłym roku, a może też trochę praca w porcie przez całe lato wpłynęły na zwiększenie się jego masy mięśniowej tak bardzo, że utrzymał prędkość niemal przez cały bieg na 400 metrów.

A kiedy szkolna drużyna piłki nożnej grała pierwszy mecz z drużyną z Sigtuny, Erik strzelił dwa gole. Pierwszy i ostatni w meczu, który Sjärensberg wygrał 3:2. Wiwaty na trybunach były jeszcze większą szczepionką odpornościową przeciwko działalności Rady.

Tak to przynajmniej wyglądało na początku. Zwrot nastąpił w październiku. Przegródka wezwała Erika na zebranie.

Przewodniczącym tego przedstawicielstwa uczniów był teraz Höken. Zastukał ołówkiem w stół, dokładnie tak samo, jak to robił przewodniczący Rady, zanim rozpoczął kolejny punkt obrad.

- No cóż - rzekł Höken. - Mamy dzisiaj w planie poważny problem twojego nieposłuszeństwa, który chcielibyśmy z tobą przedyskutować.

Erik wytłumaczył pozostałym członkom, że jeżeli chcą z nim cokolwiek przedyskutować, to musi w ich imieniu występować ktoś inny, nie Höken. Bo on z Hökenem nie rozmawia. Nie rozmawia się z kimś, kto mówi *sorry, old chap*, po czym wylewa wrzącą wodę na związanego kolegę, który nie może się ruszyć.

No?

Przegródka podjęła decyzję, by w tym wypadku wyjątkowo wyznaczyć zastępcę dla tego jednego punktu porządku dziennego. W zasadzie to błąd ulegać naciskom typu, o którego dzisiaj chodzi,

ale z drugiej strony Przegródka chętnie okaże dobrą wolę, bo bardzo by chciała tę rozmowę odbyć.

Rany boskie, oni zaczynają gadać tak samo jak w Radzie!

No?

No więc chodzi, jak zawsze, o krnąbrność Erika, o to, że się stawia. Cały poprzedni rok szkolny upłynął pod znakiem konfliktu wywołanego tym, że Erik konsekwentnie sabotował podstawową zasadę szkoły, czyli zasadę koleżeńskiego samowychowania. Teraz jednak jest o rok starszy (i co najmniej o pięć kilo mięśni cięższy, pomyślał Erik), więc może uda się znaleźć jakieś pokojowe rozwiązanie całej sprawy. Tym bardziej że pod pewnymi względami problem jest w tym roku poważniejszy, ponieważ wkład Erika w budowanie opinii szkoły na zewnątrz - czyli jego znakomite wyniki sportowe - ma pozytywne znaczenie. Wszystko to jednak doprowadziło też do raczej pożałowania godnych i nieprzyjemnych rezultatów; otóż wielu młodszych i mniej dojrzałych, niezdolnych jeszcze do samodzielnej oceny spraw kolegów z niższych klas szkoły podstawowej, ale szczerze mówiąc, nie tylko oni, zaczęło niewłaściwie oceniać pozycję Erika w szkole. Tamci, jak się zdaje, nie potrafią rozróżniać między sportem a..., no, może nie wprost polityką, ale między sportem a sposobem zachowania... I to jest poważny problem, który musimy w jakiś sposób rozwiązać. Przegródka prowadziła nieformalne rozmowy z przedstawicielami Rady i po dyskusji obie strony doszły do takich samych wniosków.

No?

Otóż Erik musi, całkiem po prostu musi skończyć z tym pyskowaniem. Tak dalej nie może być. Albo więc Rada będzie zmuszona wziąć się do niego twardą ręką, albo on zacznie słuchać rozkazów jak inni. A zresztą dlaczego miałby tego nie robić? Zasady są przecież takie same dla wszystkich, z wyjątkiem Erika, który postawił siebie ponad prawem. To niedemokratyczne, żeby ktoś

tylko dlatego, że jest silniejszy od innych, mógł w ten sposób zdobywać sobie specjalne przywileje. Takie postawy Przegródka musi zwalczać zębami i pazurami. No bo właściwie to innym jest trudniej niż Erikowi, kiedy muszą się godzić na prztyczki. Prztyczek nie jest chyba niczym strasznym dla Erika, skoro może on znieść nawet rozżarzone cygaro na gołej skórze... Zresztą nie ma powodu, żeby Przegródka zajmowała się akurat tą sprawą, ale przecież wiadomo, jak do tego doszło. Tylko że może właśnie dlatego nie ma co urządzać awantur o jednego prztyczka, a jeśli to jakaś osobista uraza, i to, że akurat Silverhielm jest szefem jego stołu - można bowiem sądzić, że Erikowi jest szczególnie trudno przyjmować prztyczki właśnie od Silverhielma po tym wszystkim, co się stało - w takim razie Przegródka na pewno się postara zmienić Erikowi miejsce przy stole. A kiedy się przesiądzie do innego stołu, to na dodatek nie będzie już musiał siedzieć na samym końcu, skąd musi wciąż podawać kelnerkom puste półmiski. W końcu nie istnieje żaden powód, by sądzić, iż Erik będzie dostawał wyjątkowo dużo prztyczków, jeśli zgodzi się na to, co koledzy mu proponują. Można chyba nawet powiedzieć, że wprost przeciwnie. A jakieś pojedyncze polecenie dla nowych czwartoklasistów można przecież chyba od czasu do czasu wykonać? Nowi czwartoklasiści są, nawiasem mówiąc, szczerze zaniepokojeni, że niesubordynacja Erika jest taka uporczywa. To też postawa niedemokratyczna i wredna wobec nowych czwartoklasistów, jak się tak lepiej zastanowić. Bo przecież oni chodzili przez wiele lat, przynajmniej większość z nich chodzi od dawna do Stjärnsbergu, dostawali prztyczki, biegali na posyłki dla starszych i ścielili łóżka jak wszyscy inni. No i teraz, kiedy nareszcie sami są maturzystami, wygląda na to, że będą mieć mnóstwo niepotrzebnych kłopotów. I to jest po prostu niesprawiedliwe.

No?

No więc tak, czy Erik nie mógłby uznać, że...

Nie. Nie i koniec, kropka. Czy mają jeszcze coś do powiedzenia?

Cóż, jeśli Erik odmawia dyskusji, to już nic, niestety. Na Przegródce spoczywa odpowiedzialność za całą sprawę i trzeba będzie podjąć odpowiednie środki. W każdym razie Erik został ostrzeżony. To przykre, ale Przegródka musi podjąć odpowiednie kroki, by postawa Erika nie wyrządziła szkody całej szkole. Z dwojga złego wybierać trzeba mniejsze zło.

No?

Tak, niestety. Przegródka jest zmuszona wykonać pierwszy krok i oznajmić, że od tej chwili Erikowi zawiesza się prawo do występowania w szkolnej drużynie piłki nożnej, w reprezentacji lekkoatletycznej i pływackiej.

Do jasnej cholery, jakim prawem taka śmieszna organizacja jak ta cała Przegródka, czyli pięciu smarkaczy z podstawówki, którzy, jak wszyscy wiedzą, są chłopcami na posyłki członków Rady, jak coś takiego może podejmować poważne decyzje, dotyczące szkolnej reprezentacji piłki nożnej, lekkoatletycznej i pływackiej? No cóż, Przegródka reprezentuje uczniów szkoły podstawowej. Jeśli więc uzgodni swoje poglądy z wybranymi członkami Rady, to jest możliwość, by w trybie demokratycznym podejmowano ważne decyzje. I oczywiście to nie Rada stoi za wykluczeniem Erika ze sportowych reprezentacji. Większość drużyny piłkarskiej stanowią czwartoklasiści, jest też wśród nich trzech członków Rady. Mniej więcej podobnie przedstawia się sytuacja w reprezentacji lekkoatletycznej. Tutaj więc też taka propozycja, wspólna propozycja, zgłoszona demokratycznie przez Radę i Przegródkę, powinna wzbudzić pełne zrozumienie, prawda? Gdyby jednak Erik chciał się zastanowić i spróbować...

Nie.

No to Przegródka czuje się zmuszona, z przykrością, niestety, zastosować owe środki zapobiegawcze. W drugiej połowie semestru można będzie podjąć kolejną próbę, jeśli sytuacja się wyjaśni...

Nie. Nigdy więcej.

Na tym spotkanie zostało zakończone. Zastępca przewodniczącego postukał ołówkiem w blat. Höken zajął jego miejsce i też postukał ołówkiem w blat, by odczytać kolejny punkt porządku dnia.

Tak więc Erik miał za sobą ostatni bieg na 100 metrów i ostatniego gola jako członek szkolnej drużyny.

- To im się nigdy nie uda - zapewniał Pierre. - Bo, po pierwsze, Tosse Berg dobiedzie szpady, kiedy się o tym dowie, a poza tym prawie cała szkoła podstawowa zacznie buczeć i protestować przeciwko wykluczeniu cię z zawodów.

- To im się, niestety, uda - westchnął Erik - widać to jasno jak na dłoni, kiedy przemyśleć okoliczności. Co taki nauczyciel jak Tosse Berg może zrobić, kiedy i Rada, i Przegródka oraz inni zawodnicy z drużyny piłkarskiej powiedzą, że niestety, to demokratycznie podjęta decyzja i że chodzi tu o koleżeńskie samowychowanie, do którego nauczyciele nie powinni się mieszać.

- Oni kręcą bicz na własną skórę. Pomyśl tylko, jaki się zrobiłeś popularny po wygraniu tej sztafety z Lundshov.

- No tak, ale właśnie tu ich boli. Później i tak wszystko obróca przeciwko mnie.

- Jak to?

- Przecież to oczywiste. Powiedzą, jaki to jestem wredny, że nie chcę, jak wszyscy inni, pozwolić się bić po głowie ani ścielić Silverhielmowi łóżka, a tym samym - występować w sportowej

reprezentacji szkoły. Bo wolę nie występować, niż robić to, co wszyscy, no nie?

- O, do diabła, to całkiem logiczne, to perwersyjnie logiczne.

- No widzisz, nie dość że domagam się dla siebie niedemokratycznych przywilejów, to jeszcze nie chcę wygrywać dla szkoły biegu na sto metrów, nie chcę zdobywać co najmniej dwudziestu ważnych punktów na każdym zawodach międzyszkolnych. To czysta zdrada, według tej, jak powiedziałaś, perwersyjnej logiki.

- Chociaż, z drugiej strony, można było się tego spodziewać. Oni musieli cię usunąć, odkąd stałeś się bohaterem sportowym. Bardzo to przebiegłe, szczerze powiedziawszy, niebywale przebiegłe, jak na ideę, która pochodzi od samego zła.

- Zło nie jest głupie, Pierre. Jeszcze się tego nie nauczyłeś?

Zakaz uprawiania sportu utrzymano w mocy.

Czerwone kolce Erika marki Puma rozsychały się, schowane głęboko w szafie. Ale na pływalnię chodził, robił jedną turę rano przed śniadaniem i jedną wieczorem, po kolacji. Tyle że nie sprawiało mu to przyjemności. Wyniki, co prawda, nadal się poprawiały, choć coraz wolniej, za to głucha złość, która go dławiała, pomagała mu zwiększyć obciążenie sztangi do pięćdziesięciu kilogramów. Podnosił ją osiem razy, leżąc na ławce, potem ćwiczył przenoszenie sztangi w wyprostowanych rękach, także w pozycji leżącej, osiem razy nad głowę i z powrotem nad brzuch.

Osiem razy z tyłu na kark i w górę aż do wyprostowania rąk. A potem z przodu, od wysokości ud do piersi i z powrotem. Osiem razy w dół do kolan, na wyprostowanych nogach, i w górę, ponad ramiona. I jeszcze raz, aż zaczynało mu migać przed oczami, z

wściekłością, z przywoływaniem obrazów ojca i Silverhielma albo całego sądu Rady, czy też Oczka za zaciśniętymi powiekami, bo przy siódmym czy ósmym razie mięśnie potrzebowały dodatkowego paliwa. I znowu, i znowu, bez słowa. Totalnie skoncentrowany, skupiony na tych błękitnych obrazach, zmieniających się pod powiekami, nigdy ani słowa do znajdujących się w pobliżu licealistów, którzy obserwowali go ukradkiem, kiedy myśleli, że ich nie widzi. To wszystko było jak przygotowanie, jakby w końcu nieodwołalnie miała nadejść ta chwila, kiedy nowe stalowe drażki zostaną na tyłach aneksu wbite w ziemię kowalskim młotem, a on będzie musiał zostać ukarany za naruszenie paragrafu trzynastego. Znowu i znowu. Jeden wieczór za drugim.

A potem pierwsze kilometry na basenie, w swobodnym tempie, z muzyką dochodzącą skądś z perlistego, pełnego bąbelków strumienia wody dookoła głowy i z wydychanego powietrza. Coraz częściej był to najtrudniejszy utwór, grywany przez matkę, ten, który właściwie mogą grać jedynie profesjonalni pianiści, *Fantazja Impromptu*, cis-moll, op. 66.

Znowu panował swoisty status quo. Członkowie Rady nie zaczepiali Erika, nie wydawali mu rozkazów ani nie odzywali się do niego. Nawet nie zadawali sobie trudu, żeby go budzić, kiedy spał w areszcie w sobotnie poranki.

Z drugiej jednak strony, toczyła się nieustannie wspólna kampania Rady i Przegródki w sprawie jego jakoby niesolidarnej postawy wobec szkolnej reprezentacji sportowej. Przy odrobinie szczęścia drużyna piłkarska wygrała kolejny po tamtym zwycięstwie 3 do 2 mecz, ale reprezentacja lekkoatletyczna przegrała z Sigtuną, z którą nie przegrywała nigdy od siedmiu lat. Przegrano jedenastoma punktami i nietrudno policzyć, co by było, gdyby rzecz się miała inaczej, to znaczy gdyby zwyciężono w dwóch biegach sprinterskich i gdyby Erik biegł w sztafecie 4x100, którą Stjärnsberg przegrał o niecały metr. Szatańska logika funkcyjono-

wała znakomicie, zwłaszcza że przedstawiciele Przegródki nie przestawali gadać, iż Erik zdradził szkołę i ducha koleżeństwa.

Na dodatek zbliżała się kampania wyborcza. Pierre był przekonany, że tym razem niepodważalna władza dyrektorska musi zdecydować, że ktoś inny, nie Silverhielm, powinien wygrać demokratyczne wybory na stanowisko przewodniczącego Rady. Kiedy jednak nominacje zostały przybite gwoździem na tablicy ogłoszeń przed jadalnią, okazało się, że wręcz przeciwnie.

To Silverhielm, naturalnie, był jedynym możliwym do wybrania kandydatem, albowiem to on jest aktualnym przewodniczącym. Na kontrkandydata natomiast władza dyrektorska wyznaczyła błazeńskiego typa z trzeciej klasy o gejowskim wyglądzie, który wprawdzie miał wysokie oceny, ale który jako porządkowy musiałby budzić śmiech i politowanie. Z jakiegoś powodu władza dyrektorska chciała mieć na tym stanowisku Silverhielma, i doprawdy trudno pojąć dlaczego.

Wyniki wyborów były więc znane, a jak Erik i Pierre słyszeli od kolegów, podczas przedwyborczej, bardzo zresztą niemrawej debaty aula szkoły nie była wypełniona nawet do połowy. Jak większość uczniów podstawówki, obaj poświęcili się tego wieczoru innym zajęciom.

Oni się nie poddadzą, Pierre. Czuję, że to wszystko znowu się w jakiś sposób zacznie. Tak, wiem, ty myślisz, że my już właściwie wygraliśmy i że każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, wie, jak to jest z tym moim zakazem uprawiania sportu. Tutaj jednak mówimy nie tylko o głowie, Pierre, mówimy też o tym, jak człowiek się czuje. Ty pewnie pomyślisz, że to głupie, ale ja swój jedyny szczęśliwy moment w tej szkole przeżyłem, kiedy zerwałem taśmę na mecie sztafety, wtedy, w ubiegłym semestrze, a potem przez chwilę wyglądało na to, że wszystko może się odwrócić, jakby ich głupota nie mogła mieć wpływu na

mój sport. Zresztą oni nie są głupi, i ty, i ja popełniamy błąd, jeśli wciąż myślimy o nich w ten sposób. A przynajmniej ja tak robię czasami nieświadomie, choć przecież wiem, że to nieprawda. Ty gadasz wciąż, że intelekt zawsze zwycięży nad brutalnością, ale ja właściwie nie wiem, co się ma na myśli, mówiąc „intelekt” oraz „brutalność”. Bo weź na przykład Oczka, kiedy gasił cygaro na mojej piersi, a ja nic nie czułem. Nie czułem dlatego, że nienawidziłem go strasznie, i ta nienawiść działała jak środek znieczulający, wiedziałem, że on zostanie w jakiś sposób złamany czy porażony, jeśli ja będę stał bez ruchu i po prostu patrzył mu w oczy, gdy on mi to robi. Co to było, Pierre? Powiedz mi, to był intelekt czy brutalność? Nie istnieją takie granice, o jakich ty mówisz. Zachowujesz się wręcz podręcznikowo, kiedy tak twierdzisz. Nie ma różnicy między twoimi i moimi nerwami czuciowymi, pod względem biologicznym jesteśmy identyczni niczym dwie zebry w tym samym wieku. Gdybyś nienawidził Oczka tak bardzo jak ja, to i ty mógłbyś zachować się tak samo. Tylko co ma z tym wspólnego intelekt?

Tak, jedno jest prawdą, Erik. Oczko nie zbliżył się do ciebie od tamtego razu, i jest jasne, że się bał. Nie wiem, czy dostrzegłeś go wtedy równie wyraźnie jak ja, bo ja stałem przecież obok i obserwowałem was obu. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby jakiś człowiek bał się tak, jak on wtedy, i sądzę, że nigdy nie zobaczę. A mimo wszystko uważam, że się mylisz. Powiadasz, że tu chodzi o nienawiść, jakby złość i nienawiść były jakąś formą zła i przeciwieństwem intelektu. Zastanów się tylko. Jaka jest różnica między tobą a mną, kiedy odrzucimy mięśnie? Otóż różnica jest taka, że ty wiesz, jakimś cudem wiesz, jak ktoś typu Oczka będzie po czymś takim szalał. A wiesz to dlatego, że się jakimś sposobem tego

nauczyłeś, nauczyłeś się od swojego cholernego ojca i uczyłeś się przez te wszystkie lata, kiedy biłeś innych. A przy okazji, czy zdajesz sobie sprawę z jednej rzeczy? Czy wiesz, że odkąd tu przyjechałeś, biłeś się tylko raz, wtedy na betonie? Czy to w gruncie rzeczy nie dziwne? Bo od tamtego dnia nie podniosłeś ręki na żadnego człowieka. A jednak potrafiłeś wywalczyć sobie to, że oni też cię nie tkną. Więc mimo wszystko pokonałeś głupotę i przemoc, dokonałeś tego, nie bijąc się, dlatego że wykorzystywałeś swoją inteligencję. Jeśli powiadasz, że to była nienawiść, to trzeba to nazwać inteligentną nienawiścią, ponieważ nie posługiwałeś się przemocą. Nienawiść może chyba mieć wiele znaczeń. Załóżmy, że Oczko nienawidzi cię równie mocno, jak ty jego, to jest chyba uprawnione założenie, okreśmy więc nienawiść jako x , jak w równaniu, gdzie x jest dane dla obu stron. Różnica polega jednak na tym, że twoja strona ma większą wartość, bo ty wiesz, że masz rację i że Oczko jest jedynie cholernym komendantem. Aż takie to jest proste. A więc i tak mówimy o zwycięstwie intelektu nad brutalnością i złem. Co było do udowodnienia.

Tak, tak. Jakbyś zakosił jeszcze jedną najlepszą ocenę na sprawdzianie. Co było do udowodnienia. Można zwariować, bo ty zawsze masz tylko do połowy rację, chociaż zawsze tak świetnie argumentujesz swoją tezę. A jednak w tym, co przed chwilą powiedziałeś, tkwi błąd. Okay, niech będzie, przyjmijmy założenie, że nienawiść jest taka sama po obu stronach i „określmy ją jako x ”. Potem jednak mówisz, że jest różnica, która polega na tym, że ja wiem, że to ja mam rację, że ja jestem biały, a on czarny. Ale mówisz tak tylko dlatego, że jesteś po mojej stronie. Czy Oczko nie powinien być tak samo przekonany jak ja? Czy na świecie nie roi się od ludzi, którzy się cholernie mylą, ale są absolutnie przekonani, że nie? Czy

myślisz, że naziści tylko udawali, że są nazistami? Wśród milionów nazistów musiało istnieć bardzo wielu, którzy byli absolutnie przekonani, że to oni mają rację, tak samo przekonani jak ty i ja, że to my mamy rację, a Oczko się myli. A zatem: on może być równie przekonany jak my. Co było do udowodnienia. Nie, nie przerywaj mi, mam jeszcze najtrudniejszą kwestię. Dlaczego ludzie jak Silverhielm i Oczko są tacy, jacy są? Załóżmy, tak dla żartu, że są oni równie inteligentni jak my i, stosując twoją technikę, określimy inteligencję jako y, które jest dane po obu stronach. Dlaczego oni uważają, że można „oparzać” chłopców ze szkoły podstawowej, że musieli mi zakazać uprawiania sportu, że za wszelką cenę będą walczyć o prawo zdzierania skalpów z głów małych chłopców, kaleczenia ich korkami od karafki do octu, i dlaczego na przykład nazywają nas socjalistami? Przecież to oczywiste, że jesteśmy socjalistami w tym samym stopniu, co oni. Ech, to nie należy do tematu, a to, co należy, to pytanie, dlaczego oni myślą, że mają prawo kaleczyć głowy małych chłopców?

Nie istnieje odpowiedź. Nawet Pierre przycichł w swoim łóżku. Po jakimś czasie znowu rozmawiali o historii, ale wciąż nie znajdowali żadnego punktu zaczepienia. Właściwie to przecież zawsze na świecie istnieli tacy naziści. Inteligentni, dobrze wykształceni, sprawni i kulturalni naziści.

I jak owo zło było zwalczane? Co Gandhi mógłby zrobić lepszego przeciwko Hitlerowi niż Armia Czerwona i generał Patton?

A Rada chyba nie zamierzała się poddawać. Silverhielm i Oczko będą do samej matury uporczywie dążyć do osiągnięcia celu. Prędzej czy później wyniknie z tego jeszcze większa przemoc. Członkowie Rady będą próbowali ponownie, i Erik liczył się z tym,

że dorobi się jeszcze kilku złotych zębów, zanim wiosenny semestr dobiegnie końca.

Erik się jednak mylił.

Podczas klasztornej nocy Rada ruszyła na tych, którzy dopiero zaczęli naukę w tutejszej szkole podstawowej i obrabiała wszystkich równo, niezależnie od tego, czy nowi byli szczególnie pyskaci, czy nie. Ta klasztorna noc przeszła do historii jako „noc długich noży”, a po szkole krążyły przerażające historie o tym, co się wtedy działo.

Członkowie Rady robili wszystko. Tłukli chłopaków z podstawówki na kwaśne jabłko, malowali minia, golili im głowy, wciągali ich na maszt flagi, wiązali i sikali na nich. Wszystko.

Erik i Pierre siedzieli i czekali przez całą noc za blokującą drzwi komodą, ale nikt nie przyszedł.

Dopiero jakiś tydzień później zaczęło się na dobre. Pierre był wzywany do przewodniczącego stołu przy każdym obiedzie i dostawał prztyczki, zresztą został przeniesiony do stołu Oczka. Kiedy szedł sam przez szkolny dziedziniec, ale również kiedy szedł z Erikiem, natychmiast podbiegali do niego członkowie Rady, udając, że chcą przeprowadzić rewizję w poszukiwaniu papierosów, i zawsze korzystali z okazji, żeby go uszczypnąć w brzuch lub spoliczkować raz czy drugi. Krok po kroku stopniowo zwiększali przemoc wobec Pierre'a. Nigdy wobec Erika, zawsze wobec Pierre'a.

W listopadzie Pierre dostał trzy ciosy jednego szwu i pielęgniarka musiała go ratować. Wtedy znowu zaczął protestować przeciwko prztyczkom. Wkrótce został zawleczony na beton, a potem wszystko wróciło do niedawnej normy.

Rzucali się na niego na szkolnym dziedzińcu w kilku, ściągali mu spodnie, szarpali za kalesony, potem rzucali do siebie

nawzajem jego spodniami, wyśmiewając go przy tym, że stoi nagi od pasa w dół.

Kopali Pierre'a w tyłek, kiedy tylko udało im się go dosięgnąć, zrywali mu z twarzy okulary i rzucali je daleko na dziedziniec, bili go po głowie i z całej siły uderzali łokciami w nerki, kiedy na przykład mijali go na schodach do stołówki, szczypali w nos i kopali kolanami w podbrzusze, dzień po dniu, noc po nocy. Niekiedy robili naloty na pokój Erika i Pierre'a kilka razy z rzędu, a wtedy przewracali do góry nogami jedynie rzeczy Pierre'a, jego łóżko, na jego ubrania wyciskali pastę do zębów i zawsze bardzo uważali, żeby nie tknąć niczego, co należało do Erika.

Jeszcze w listopadzie Erik dostał od Przegródki propozycję rozmów. Miały to być, oczywiście, rozmowy nieoficjalne, żeby w każdej chwili wszystko można było odwołać i żeby każdy zawsze mógł zaprzeczyć swoim słowom. A więc wybrani demokratycznie członkowie Przegródki mają powody sądzić, bo otrzymali nieformalne wiadomości od kompetentnych osób, że Rada zamierza zaprzestać prześladowania Pierre'a. Oczekiwałyby jednak w zamian jakiejś rekompensaty. Erik prawdopodobnie nie wyobraża sobie raczej żadnej rekompensaty?

Owszem, wyobraża sobie, ale odpowiedź w tej sprawie brzmi: nie.

A czyż to nie jest brak solidarności z kolegą?

Tak, jest, co więcej, to plugawe, ale odpowiedź mimo wszystko brzmi: nie.

Erik jednak nie był już taki pewny swego. Co bowiem znaczy to, że Silverhielm zada mu czasem cios jednego szwu w głowę? Zostało przecież jedynie zakończenie semestru jesiennego, wkrótce spadnie pierwszy śnieg. Potem ferie świąteczne, a dalej już tylko pięć miesięcy ostatniego semestru. Pięć miesięcy wymuszonej

kapitulacji. Skąd jednak można wiedzieć, że oni ze swej strony zamierzają dotrzymać domniemanej umowy? Jeżeli Erik im pokaże, że to jest jego wielka słabość, to co ich powstrzyma, żeby się dalej nie znęcać nad Pierre'em? Czyż to nie jest jasne, że tamci za wszelką cenę chcą go zmusić do złamania paragrafu trzynastego? I jeśli on im teraz ulegnie, to będą wiedzieli, że metoda jest skuteczna, że skoro nie zmieniają postępowania, to któregoś dnia Erik nie wytrzyma, rzuci się na członka Rady, a wtedy będzie po nim.

Tylko że tak do końca nie wiadomo, co oni sobie myślą. Może naprawdę by się zadowolili tym, że Erik posłusznie schyla głowę i znosi prztyczki? Może mogliby się wtedy chwalić, że zwyciężyli i udało im się przywrócić ład i porządek w szkole? Pierre czuł się marnie i widać było, że długo tego nie wytrzyma.

- Pierre, ja od tego zwariuję. Kiedy oni mi złożyli tę propozycję rozmów, to udawałem, że w ogóle nie ma o czym mówić, jakbym się nawet przez chwilę nie zastanawiał. Ale nie potrafię się przy tym upierać, co my teraz zrobimy?

- Właściwie to myślę tak samo jak ty. Jeśli się teraz poddasz, to oni będą mnie dręczyć jeszcze bardziej, by doprowadzić cię do granicy wytrzymałości. W końcu rzucisz się na któregoś i będzie można cię relegować.

- No, ale w takim razie... Nie, ja naprawdę nie wiem, niczego nie można być pewnym.

- Niestety, nie.

- W takim razie może powinniśmy spróbować pójść na tę ugodę?

- Nie, raczej spróbujmy grać na zwłokę. Za dwa tygodnie wyjadę do Szwajcarii. Mogę nawet jeszcze wcześniej, to przecież nie ma znaczenia, że nie będzie mnie na zakończeniu semestru, i tak

jestem najlepszy w klasie. Spędzę u ojca w Szwajcarii całe ferie, aż do początku nowego semestru. Nie zostaniemy w Genewie, gdzie on pracuje, wybierzemy się do Zermatt pojeździć na nartach.

- W takim razie ja też przyjadę do Zermatt. Ciągle mam w banku sześć tysięcy koron, paszport zabrałem z domu. Ale ja zaczekam do zakończenia semestru.

- Nie wiem tylko, czy będziesz mógł u nas mieszkać. Jeżeli o mnie chodzi, to oczywiście, ale rozumiesz, że musiałbym napisać do taty.

- To bez znaczenia, mam przecież pieniądze, będę mieszkał w hotelu, zamówisz mi tylko pokój, jak już tam przyjedziecie.

- Bardzo dobrze. I w ten sposób zyskamy na czasie. A potem może oni się zmęczą, może pomyślą, że na ciebie to po prostu nie działa.

- Wytrzymasz jakoś dziesięć dni?

- Myślę, że tak. Jak się stawia krzyżyki na ścianie z każdym mijającym dniem, to człowiek widzi, jak się ten wymarzony dzień zbliża.

- Mhm. No, a później, wiosną?

- Później - zobaczymy.

Było to dla Pierre'a dziesięć trudnych do opisanego dni, wreszcie jednak mógł wsiąść do taksówki, która zawiozła go na stację kolejową Solhov. Na ścianie nad jego łóżkiem widniało dziesięć małych krzyżyków, nagryzmołonych ostro zatemperowanym ołówkiem.

Zermatt leży u podnóża budzącej grozę góry Matterhorn. W Wigilię poszli po śniegu w górę, kawałek za ostatnią stacją kolejki

linowej. Światło słońca odbijało się od białych szczytów dookoła, widok był cudowny. Pierre wymieniał nazwy niektórych, najdalej znajdował się Weisshorn, nieco bliżej Breithorn i Lyskam, a całkiem blisko Castor i Pollux. Po drugiej stronie Monte Rosa są już Włochy. Wszystkie te góry jednak to nic wobec Matterhornu.

Przyglądali się szczytowi i długo stali w milczeniu.

- Pewnego dnia wejść na ten szczyt - powiedział Erik.

- Zameczysz się na śmierć, wystarczy, żebyś spróbował.

- Może tak, a może nie. Ale kiedy tam wejść, stanę i zawołam do naszych członków Rady: „No to chodźcie teraz i mnie złapcie, jeżeli potraficie!”

Echo toczyło się grzmiotem w dół po białym zboczu. Gdzieś tam w dole leży Zermatt niczym wigilijny stół w najpiękniejszej cukierni Sztokholmu.

- Ja to właściwie chciałbym zostać pisarzem - powiedział Pierre. - Przypuszczalnie jednak będę kimś, kto ma do czynienia z liczbami i interesami. A kim ty będziesz?

- Ja zostanę adwokatem - odparł Erik.

W pierwszym tygodniu po feriach członkowie Rady dali Pierre'owi spokój. Ale w drugim zaczęli od tego samego miejsca, w którym poprzednio przerwali. Pierre był wzywany do prztyczka podczas każdego obiadu. Tłukli go po parę razy dziennie i niemal każdego wieczoru robili nalot, w dalszym ciągu nie ruszając niczego, co należało do Erika. Kiedy w sobotę wieczorem Erik wrócił z aresztu, w pokoju zastał Pierre'a z zapuchniętym jednym okiem, poduszka, na której Pierre leżał, była zbroczona krwią.

- To nic groźnego - zapewniał pobity. - Tylko mały krwotok z nosa.

- Tak dłużej nie może być, Pierre. To nie do wytrzymania.

- Ale nie można ustąpić wobec takich świń.

- Niestety, czasami pewnie trzeba. Zwłaszcza jeśli jest ich tyle. Rzymianie pokonali Spartakusa.

- Powinniśmy się nad tym jeszcze raz zastanowić. Może znajdziemy jakieś rozwiązanie?

- Nie sądzę. Bo, moim zdaniem, istnieją tylko dwie drogi. Albo się poddamy, albo zlejemy ich tak, że rodzone matki ich nie rozpoznają, i zostaniemy wyrzuceni ze szkoły. Ja innego wyjścia nie widzę.

- W takim razie nigdy nie zostaniesz adwokatem, to znaczy, gdybyś został wyrzucony ze szkoły.

- Ale co by to był za cholerny adwokat z kogoś, kto nie potrafił obronić swojego najlepszego przyjaciela?

- No więc zastanówmy się jeszcze trochę.

- Dobrze. Pod warunkiem, że to będzie naprawdę tylko trochę.

Erik miał całą niedzielę w areszcie na myślenie. Do letnich wakacji zostało jeszcze pięć miesięcy, to długo czy krótko? Dla Pierre'a może się to okazać potwornie długo. Dla Erika to tylko pięć miesięcy, a potem koniec, i nigdy więcej. Parę prztyczków i coś tam jeszcze w ciągu pięciu miesięcy. Co jest gorsze, bicie i upokarzające polecenia, jak czyszczenie butów lub ścielenie łóżek, czy przegrana z tymi świniami?

Najgorsza byłaby oczywiście przegrana.

Czy istnieje broń, której oni mogliby użyć? Ponieważ Erik miał zakończyć naukę w tutejszej szkole w bieżącym semestrze i nigdy więcej się tu nie pokazać, to mógł zrobić, co zechce, w ostatnim tygodniu czy w ostatnich dniach nauki. Mógłby więc teraz powiedzieć Silverhielmowi, że te ostatnie dni będą najgorszymi w jego życiu.

Nie, do cholery, nic z tego. Pominąwszy, że takie pogróżki na odległą przyszłość mają oczywiste ograniczenia, to i Oczko, i Silverhielm zdadzą maturę na miesiąc przed zakończeniem semestru i wyjadą.

A gdyby tak się zemścić, zakradłszy się nocą do pokoju Silverhielma, w ciemnościach, nie będąc rozpoznanym, tak jak wtedy z tym żółtym wiaderkiem?... Gdyby tak powtórzyć numer z żółtym wiaderkiem?

Pierre zapłaciłby za to zaraz następnego dnia.

No, a gdyby tak potem zrobić to jeszcze raz?

Wtedy oni będą prześladować Pierre'a nieustannie, a członków Rady jest dwunastu, nie licząc gromady skorych do pomocy czwartoklasistów. Nie uda się zakraść do nich nocą kilka razy z rzędu i nie zostać złapanym, a skoro tak, to już lepiej uderzyć w biały dzień.

No, a gdyby jednak Erik poszedł teraz do Przegródki i powiedział, że okay, pozdrówcie Radę i powiedzcie, że od tej chwili, gdy ustanie znęcanie się nad Pierre'em, on, Erik, będzie spełniał wszelkie możliwe rozkazy...

Tylko co zrobić, jeśli oni zechcą nadal dręczyć Pierre'a?

Ale dlaczego mieliby to robić? Nic by przecież nie wygrali w stosunku do Erika, bo chyba nietrudno przewidzieć, jak w takiej sytuacji potraktowałyby dalsze rozkazy.

Najbardziej logiczne zdawało się założenie, że umowa zostanie dotrzymana, że będą przestrzegać porozumienia. A jeśli nie, to Erik będzie wiedział, że przynajmniej próbował.

No więc niech się tak stanie, wszystko inne byłoby bardziej niemoralne.

Był to jego najdłuższy niedzielny areszt. Nawet nie otworzył żadnej książki. Ale żeby nie wiem jak długo się zastanawiał, roztrząsał problem na wszystkie strony, to i tak rezultat był zawsze taki sam. Powinien ulec. Musi. Muszą bowiem istnieć takie sytuacje, w których poddanie się jest słuszne, nawet poddanie się wobec takich, jak ci z Rady.

Odczuł ulgę, kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku i dyżurny otworzył mu drzwi. Szybko pobiegł do pokoju, by powiedzieć, że teraz już nic go nie zmusi do zmiany postanowienia.

- Pierre! - zawołał, szarpnąwszy drzwi. - Pierre, postanowiłem...

Stanął w progu jak skamieniały.

Pokój był zimny i pusty. Półka, gdzie stały książki Pierre'a, została opróżniona, wszystkie jego rzeczy znikły z biurka.

Erik otworzył drzwi szafy. Ubrań Pierre'a nie było. Z tego, co do niego należało, został tylko kij do hokeja.

Na biurku leżała niewielka zaklejona koperta. „Dla Erika” widniało na niej, wypisane starannym charakterem Pierre'a.

Erik usiadł na łóżku z listem w ręce. To nie jest prawda. To nie może być prawda. Ale list parzył mu dłoń, musi go otworzyć, zyskać potwierdzenie tego, o czym już informował wygląd pokoju. Pierre'a nie ma. Te cholerne diabły wypędziły Pierre'a.

Drogi Eriku,

Kiedy otworzysz mój list, ja będę się znajdował pewnie gdzieś nad Niemcami. Dłużej nie byłem w stanie tego znosić. Zacznę teraz naukę w Genewie, w szkole, która się nazywa College Commercial, więc jednak przyjdzie mi się zajmować liczbami i interesami.

Nie powinieneś myśleć, że jestem tchórzem. Próbowałem, jak długo mogłem.

Chciałbym Ci powiedzieć o wiele więcej, tylko że teraz już nie zdążę, taksówka zaraz przyjedzie. Ale przynajmniej chciałbym, żebyś wiedział jedną rzecz, to mianowicie, że jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Możesz do mnie pisać na adres taty w Genewie. I pomyśl, a jeśli Algieria kiedyś mimo wszystko odzyska wolność?

Twój oddany przyjaciel Pierre

PS. Nie mam już miejsca na moje *Dziela zebrane* Strindberga, czytaj je sobie na zdrowie!

Siedział z listem w ręce i czytał go wciąż i wciąż od początku. Potem opadł powoli na łóżko i wtulił twarz w poduszkę. Nic nie było w stanie powstrzymać fali płaczu. Leżał tak bardzo długo.

Późnym wieczorem wyszedł na dwór, żeby się trochę ochłodzić i pozbierać myśli. Było już po dzwonku na gaszenie światła, ale teraz żadna kara za nic nie miała dla niego najmniejszego znaczenia. Dziedziniec szkolny był pusty i ciemny, padał gęsty śnieg. Z jakiegoś powodu Erik poszedł w dół, na Forum, czyli niewielki, wyłożony kamiennymi płytami plac obok mieszkania dyrektora; na tym placyku odbywały się uroczyste przemówienia i apele. Kiedyś na ścianie z piaskowca król Szwecji wypisał kredą

swoje imię, później słowa wyryto w kamieniu i pozłożono. „Gustaw Adolf - głosiły złote litery.

Erik wodził palcem po królewskim imieniu. W domu dyrektora paliły się światła.

- Obiecuję ci, Pierre - powiedział głośno do siebie Erik. - Obiecuję, że ja to wszystko pomszczę, tamci dostaną za swoje. Ale tak jakbyś tu był, zawsze wszystko najpierw dokładnie przemyślę, żeby nie palnąć głupstwa, jak to właśnie niedawno miałem ochotę zrobić. Przysięgam Ci, Pierre, że się zemszczę. Przysięgam.

Kiedy się położył, wrócił płacz.

Następnego popołudnia, gdy Żuraw przyszedł na lekcję biologii, wyszczał przez mocno zaciśnięte zęby:

- Ależ z was życiowe niedolegi! Czy nie wiecie, coście zrobili?

Uczniowie wpatrywali się w pulpity.

- Na przykład ty, Erik! Przecież byliście przyjaciółmi, nie mogłeś go obronić?

Erik się zaczerwienił, ale nie podniósł wzroku znad cyrkla, za pomocą którego próbował coś narysować.

- Odpowiedz przynajmniej, dlaczego go nie broniłeś? Czy jesteś takim samym tchórzem jak pozostali?

- Za uderzenie członka Rady wyrzucają ze szkoły - bąknął Erik.

Żuraw krzyczał co najmniej przez kwadrans. Pierre był jednym z najbardziej uzdolnionych uczniów, jacy kiedykolwiek chodzili do Stjärnsbergu. A tu cała zgraja klasowych kolegów nawet palcem nie kiwnęła w jego obronie. Dlaczego, pytał, nie poszli do

Przegródki na przykład (a więc Żuraw nie ma pojęcia, jak się sprawy naprawdę mają), dlaczego nie potrafili się zebrać, choćby w kilku, by bronić Pierre'a? A przecież Żuraw odnosi wrażenie, że ma przed sobą ludzi. W świecie zwierzęcym na przykład osobnik słabszy fizycznie od otoczenia musi zginąć, ale miliony lat minęły, odkąd ludzie inaczej ułożyli swoje życie. To, co różni człowieka od zwierzęcia, to nie tylko inteligencja, lecz także moralność, zdolność rozróżniania między dobrem i złem. Tymczasem oni zachowali się jak zwierzęta, jak padlinożercy, czekający tylko, aż lew porzuci zdobycz. To niegodne, nieprzyzwoite, niesłychane. Czy rzeczywiście kompletnie brak im wyobraźni? Gdyby któryś z nich znalazł się w położeniu Pierre'a, co by myślał o kolegach z klasy, którzy nawet palcem nie kiwnęli, żeby mu pomóc? I już naprawdę musi być z tym koniec, on sam pójdzie z tą sprawą do dyrektora, a to, co do nich należy, minimum tego, czego można od nich oczekiwać, to odrzucić znęcanie się, przestać je akceptować.

Potem lekcja toczyła się jak zwykle, choć jednak nie jak zwykle.

Kiedy się skończyła, wszyscy wyszli z klasy w ponurej ciszy. Kawalek dalej na korytarzu Höken nagle zaczął przedrzeźniać Żurawia:

- Dlaczego nie poszliście do Przegródki?

I wybuchnął śmiechem.

Wtedy w chłopców jakby piorun strzelił. Zawrzało. Erik zrobił dwa kroki w stronę Hökena i zaczął go spychać ku ścianie, za nim posuwała się reszta klasy, wrzeszcząc, żeby dał temu przekłętemu draniowi, na co sobie zasłużył. Höken był przerażony, Erik trzymał go mocno za ubranie i wolno uderzał jego głową o ścianę, nie za mocno, ale jednak.

- Czy ty wiesz, dlaczego cię nie uderzę, bydlaku? Nie, nie wiesz, ponieważ jesteś taki głupi, jak jesteś. Gdybyś jednak miał dostać takie lanie, jakie ci się należy, tobym cię musiał zabić, a nie jesteś tego wart. Jesteś głupi, głupi jak kwoka. I od dzisiaj będziesz się nazywał Hönset*, nie Höken.

Klasa za jego plecami wiwatowała. „Hönset! Hönset!” - wołali chłopcy chórem i klaskali w dłonie do taktu. Erik puścił Hökena i odwrócił się.

- Czy któryś z was - zapytał - chce mieć w przyszłości do czynienia z tak zwaną Przegródką? Z tym kurnikiem pełnym kwok?

- Zaraz zrobimy listę i zażądamy, żeby ich odwołać - zaproponował jeden z chłopców.

Listę podpisała cała klasa, z wyjątkiem Hökena oczywiście i jego dwóch kumpli, a na następnych przerwach przed lunchem wielu chłopców z klasy chodziło wśród pozostałych uczniów podstawówki i zbierało podpisy. Pod koniec dnia podpisało się ponad dziewięćdziesiąt procent uczniów szkoły podstawowej. Przegródka musi zostać odwołana, gwarantują to przepisy.

Rada będzie zmuszona to zaakceptować. Trudno źle zrozumieć regulamin w tym punkcie. Skoro Przegródka utraciła zaufanie szkoły podstawowej, musi zostać odwołana. Posunęli się za daleko w dręczeniu Pierre'a. Okazało się, że nikt, z wyjątkiem kilku pojedynczych osób, w szkole podstawowej nie uważa, że to, co robiono z Pierre'em, to dobre koleżeńskie samowychowanie. Trzeba było tylko iskry, która wznieci rewoltę.

I co dziwne, tę iskry skrzesał jeden z nauczycieli.

*

* *Hönset* - kura, kwoka, podobieństwo brzmienia ze zdrobnieniem Höken.

Był wieczór, spokojnie padał śnieg. Po potajemnym papierosie, którego wypalił w kryjówce Pierre'a, Erik chciał się przejść szeroką drogą wokół szkoły. Tu i ówdzie grupki uczniów, którym wolno było palić, stały z papierosami. W innych miejscach czwartoklasiści zalecali się do fińskich kelnerek, które wieczorami wychodziły na spacer. Erik nie przejmował się płynem Vademecum i zapachem dymu, już od bardzo dawna nikt mu nie robił osobistej rewizji w poszukiwaniu papierosów. Ale gdy zbliżył się do jednej z grup, która rozmawiała szczególnie głośno i zrozumiał, że muszą tam być fińskie dziewczęta, rozpoznał też po głosie jednego z członków Rady. Dla pewności mógł zawrócić.

On jednak, pod wpływem nagłego impulsu, naciągnął tylko na twarz włóczkową czapkę, kiedy się zbliżał do tamtych. Dostyc trudno było mu cokolwiek zobaczyć przez tę czapkę, ale szedł dalej. Grupa stojących zauważyła naturalnie dziwnie zamaskowaną postać.

- A ty kto? Stać! Kim jesteś? - wołał członek Rady, czwartoklasista.

Erik spokojnie szedł dalej, a kiedy znalazł się naprzeciwko następnej grupy, członek Rady pobiegł za nim, żeby go złapać. Dokładnie tak, jak się Erik spodziewał. Teraz Erik sprintem odbiegł, zostawiając zdumionego czwartoklasistę, a kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, podciągnął czapkę w górę i ruszył znowu wolno jakby nigdy nic. Czwartoklasista ponownie rzucił się w pościg, Erik pozwolił mu podbiec blisko, po czym jeszcze raz puścił się biegiem.

Daleko w ciemnościach słyszał, jak członek Rady miota za nim pogróżki i rozkazy, żeby się natychmiast zatrzymał do rewizji. Erik szerokim łukiem okrążył szkołę, by zgubić ewentualny pościg.

W swoim opustoszałym pokoju rzucił ubranie na biurko i położył się na łóżku. Ostatnia przygoda nasunęła mu pewien pomysł.

Kiedy się nad tym zastanowić, to połowa szkoły podstawowej wygląda tak samo. Prawie wszyscy noszą żeglarskie kurtki, grube granatowe kurtki na podpince, w których, zgodnie z reklamą, człowiek może pływać, jeśli wypadnie za burtę. To fanatyczni żeglarze z Göteborga zaprowadzili tę modę w szkole i teraz niemal wszyscy noszą jednakowe kurtki.

Niebieskie dzinsy natomiast są najpopularniejszym typem spodni, a do tego miękkie, z filcowymi cholewkami buty na zamek błyskawiczny. Erik wstał z łóżka i wziął swoją włóczkową czapkę. Też się zgadza, taka sama czapka jak u większości.

Z szuflady biurka wyjął nożyczki i wyciął w czapce trzy otwory, na oczy i usta. Potem włożył na siebie kurtkę, naciągnął czapkę na głowę i podszedł do lustra.

Gruba żeglarska kurtka sprawiała, że wszyscy wyglądali tak samo potężnie, trudno byłoby powiedzieć, czy pod kurtką ktoś jest chudy czy gruby.

W ciemnościach nikt też nie rozpozna go po oczach. Żeby tylko nie znaleźli czapki z otworami, o to trzeba zadbać...

Jeśli więc będzie chował czapkę poza szkołą i uważał, by nie zostawiać śladów na śniegu...

Następny dzień Erik przeznaczył na dopracowywanie szczegółów planu i kupił sobie nową włóczkową czapkę. Uważnie też obejrzał rękawiczki oraz inne szczegóły, które mogłyby go zdradzić. Na przykład zegarek. Należy zdejmować zegarek przed akcją. W końcu uznał, że plan po prostu nie może się nie udać. Obiecał Pierre'owi, że to zrobi. Przysiągł mu to.

Okay, Pierre, mamrotał do siebie, kiedy wieczorem wychodził z domu. Nie biłem się ani razu, kiedy ty tu byłeś. Mieliśmy przecież stosować metody intelektualne. Ale teraz z tym koniec, Pierre.

Skręcił na drogę, gdzie zwykli wystawać czwartoklasiści, i naciągnął czapkę na twarz.

W pierwszej grupie nie było jednak ani członków Rady, ani czwartoklasistów. Stojący wołali coś do niego zaniepokojeni, kiedy przechodził, ale on nie odpowiadał. Nie wolno się odzywać.

W kolejnej grupie stało dwóch członków Rady, kilku licealistów oraz trzy Finki. Zatrzymał się jakiś metr przed nimi. Minęło trochę czasu, zanim go zauważyli, wieczór był dość ciemny. Ktoś zapytał, kim jest. Erik nie odpowiedział.

- Chodź no tu na rewizję - zakomenderował jeden z członków Rady.

Erik nie odpowiedział. Zdecydował natomiast, który to z członków Rady będzie: czwartoklasista od lewej zawsze się serdecznie bawił, kiedy ściągali Pierre'owi spodnie.

- Chodź tutaj, powiedziałem! - wrzasnął tamten, jakby wzywał psa.

Jeśli ten wybrany wyjdzie z grupy, Erik będzie stał bez ruchu. W przeciwnym razie zaczną uciekać, żeby tamci rzucili się w pogoń, pobiegną za nim jakiś czas, zanim on się odwróci i... w takim razie załatwi ich obu.

Ale to ten właściwy członek Rady zrobił nagle kilka zdecydowanych kroków w jego stronę i wyciągnął rękę, by zerwać mu czapkę z głowy.

Erik uderzył prosto w brzuch i uniósł prawe kolano, by trafić w twarz zginającego się z bólu przeciwnika, a kiedy tamten zwał się na ziemię, natychmiast go dopadł, wziął prawą ręką wielki

zamach, by cios był naprawdę silny, gdy krawędzią dłoni uderzy w grzbiet nosa.

Potem podniósł się i zrobił krok w tył. Członek Rady u jego stóp zawodził i jęczał. Kałuża krwi na śniegu powiększała się szybko.

Reszta stała bez ruchu, w odrętwieniu, zdumiona tym, co się dzieje. Drugi członek Rady wrzeszczał coś, że on chyba musi mieć źle w głowie.

- Kim ty jesteś? Powiedz, kim jesteś? Ty jesteś Erik?

Erik zaczął go przywoływać gestem ręki, chciał, żeby tamten podszedł bliżej. Ten jednak zrobił krok w tył. Wtedy Erik ruszył w jego stronę. Nikt z obserwatorów nawet nie drgnął, co świadczyło, że nie zamierzają się mieszać.

- Nie, brak ci rozumu, zostaniesz wyrzucony ze szkoły, czy nie pojmujesz...

Członek Rady gadał i zaczął się wycofywać.

Erik szedł coraz szybciej, wobec tego przeciwnik zaczął uciekać. Erik rzucił się za nim, kątem oka zauważył, że nikt z pozostałych nadal się nie rusza. Dopędził więc członka Rady i powalił go na ziemię kopniakiem.

Tamten leżał i zasłaniał twarz rękami.

- Erik, masz źle w głowie, nie wolno ci... zostaw mnie... nie rób tego, ja już nigdy więcej...

Erik lewą rękę skierował do jego krocza, a równocześnie prawą uniósł nad swoją głową. Z całej siły ścisnął jądra tamtego, a kiedy członek Rady instynktownie oderwał ręce od twarzy, by uwolnić się od potwornego bólu w kroczu, uderzył w grzbiet nosa. Dwukrotnie, na wszelki wypadek.

Podniósł się i spojrzął w ciemność, gdzie stała grupa uczniów. Wciąż tam byli, któryś pochylił się nad krwawiącym czwartoklasistą i próbował go podnieść.

Erik przyglądał się leżącemu u jego stóp. Kość nosowa, pomyślał, znowu kość nosowa. Nie wygrzebią się z tego przez jakiś czas, a w szkole zostanie tylko dziesięciu.

Potem wrócił do drugiej grupy. Najpewniej i najbezpieczniej będzie zniknąć właśnie z tej strony. Kiedy się z nimi zrównał, zdążyli już podnieść rannego na nogi. On jednak stał mocno pochylony do przodu i chwiał się na boki. Na biały śnieg wyciekło mnóstwo krwi.

Erik zatrzymał się w odległości dwóch metrów, nie więcej. Tamci wpatrywali się w niego jak zaczarowani, ale nikt nic nie powiedział. Po chwili Erik odwrócił się i pobiegł drogą. Pochłonęła go ciemność.

Nazajutrz w szkole wrzało jak w ulu. W nocy dwóch członków Rady odwieziono do szpitala, a niektórzy słyszeli od siostry, że tamci byli w kiepskim stanie. Żaden nie wróci wcześniej niż za tydzień albo i za dwa. Jakiś chłopak w czarnej masce po prostu dopadł ich na drodze i pokiereszował im nosy, a stało się to tak szybko, że nawet ci, którzy znajdowali się w pobliżu, nie zdążyli nic dokładniej zobaczyć. To był wysoki chłopak, co najmniej metr osiemdziesiąt pięć (to znaczy przesadzili o dziesięć centymetrów), nie wydał najmniejszego dźwięku, po prostu ich powalił i już.

Na pierwszej przerwie krążyły w klasie najstraszniejsze spekulacje. Pomyśleć, że to mógł być ktoś z zewnątrz, jakiś szalony chłopski syn z okolicy czy coś takiego! Albo zbiegły morderca! Bo przecież w szkole chyba nie ma nikogo, kto by śmiał...

Nagle spekulacje ustały.

- Czy to byłeś ty, Erik? - spytał Arne.

- Przecież gdybym zrobił coś takiego i na twoje pytanie odpowiedział, że tak, to zostałbym wyrzucony ze szkoły - odparł Erik.

Wtedy różni koledzy podbiegli i zaczęli go klepać po plecach. Do diabła, świetna robota! Dokładnie to im się należało za to, co zrobili Pierre'owi. Pytali, czy załatwił ich tak samo jak wtedy na betonie, kiedy był w szkole nowy, i co to za cios, którym ich powalił?

- Przecież ja nic nie wiem, mnie tam wczoraj wieczorem nie było - chichotał Erik. - Mogę się jednak domyślać, jak to się stało. Jeśli prawdą jest, że obaj mają połamane nosy, to albo ktoś uderzał pałką, albo to był cios kantem dłoni, o tak!

Erik grzmotnął w pulpit ławki, aż zadudniło.

- Domyślałam się, że tak to właśnie się stało - powtórzył. Podczas lunchu Silverhielm posłał mu wymowne spojrzenie. Erik rozciągnął wargi i wyszczerzył zęby, ale to w żadnym razie nie mogło być potraktowane jako uśmiech. Silverhielm odwrócił wzrok.

Wieczorem po treningu na siłowni i po pływaniu Erik wrócił do pokoju, by czekać na nalot.

Nalot, który oczywiście przeprowadzono tylko w jego pokoju, zaczął się już w pięć minut po zgaszeniu światła. Do pokoju wpadło pięciu członków Rady jednocześnie; zaczęli przewracać rzeczy w szafie i w komodzie. Bardzo dokładnie oglądali rękawiczki Erika, ale on już przedtem upewnił się, że nie ma na nich ani odrobiny krwi. Jeden triumfalnym gestem wyciągnął z kieszeni jego kurtki włóczkową czapkę, ale kiedy z wielkim przejęciem ją rozłożyli, ku swemu wielkiemu rozczarowaniu odkryli, że czapka jest cała, bez żadnych otworów. (Ta druga leżała sobie ukryta daleko w lesie.)

- No, znaleźliście coś ciekawego? - pytał szyderczym tonem Erik ze swojego łóżka. - Szukacie pewnie jakiejś czarnej maski, prawda?

- Nie wygłupiaj się! - wrzasnął Silverhielm. - My wiemy, że to byłeś ty!

- Oj, mały Skitenhielm, znowu zaczynasz swoje? Czy nie przerabialiśmy tego wszystkiego jakiś czas temu? Chciałbym ci przypomnieć, że już raz oskarżałeś mnie bezczelnie, że ci „po prostu” wylałem gówno i szczyny na pysk. Może tak nie było?

- To nie mógł być nikt inny, tylko ty. Więc nie próbuj...

- Coś ty? A nie przychodzi wam do głowy, że może to Pierre skrada się tu po krzakach?

- Urządzimy ci prawdziwe piekło, nie myśl, że ci to ujdzie na sucho! - wrzasnął Silverhielm.

Stał teraz pośrodku pokoju i sprawiał wrażenie, jakby za moment miał ruszyć do ataku. Erik podniósł się więc i zrobił dwa kroki w stronę przeciwnika, tak że jego twarz znalazła się jakieś dziesięć centymetrów od twarzy Silverhielma.

- Możesz mnie straszyć, ile ci się tylko podoba, ty bydlaku, ale zapamiętaj sobie jedno: jak chcesz urządzać mi tu piekło, to ja ci dam dobrą radę. Miej się na baczności, kiedy jesteś sam, zwłaszcza w ciemnościach, i zawsze oglądaj się za siebie, gdy zechcesz wyjść gdzieś dalej wieczorem. No, na co czekasz? Uderz, jak chcesz!

- Ty... ty się przyznałeś... - wyjąkał Silverhielm.

- Ech, to też już wcześniej braliśmy, Skitenhielm. Ja oczywiście znam tego chłopaka, który się tu mści po nocach. Mogę ci przekazać pozdrowienia od niego, i ty też możesz mu przesłać pozdrowienia przeze mnie. Chyba rozumiesz, co mam na myśli? Zdobądź dowody, jeśli chcesz, żeby mnie wyrzucili ze szkoły.

Silverhielm wybełkotał dodatkowo kilka pogrózek, zanim zabrał swoich ludzi i wszyscy się wynieśli.

Teraz trzeba było wszystko jeszcze raz dokładnie przemyśleć. Jedyne sposoby zdobycia dowodów, to złapanie Erika w czapce z otworami i w pełnym rynsztunku. Tego nietrudno będzie uniknąć. Z drugiej strony jednak, tamci wcale nie potrzebują żadnych dowodów. Mogą mu urządzić oparzenie albo coś innego w tym stylu, a jak na to zareagować?

Mogą się na niego zacząć w dziesięciu, powalić go na ziemię i zmiażdżyć mu twarz grubym kołkiem. To by właściwie była najbardziej logiczna odpowiedź.

Domyślał się, że właśnie teraz siedzą i zastanawiają się nad sytuacją. Jeśli jest więcej osób, to nikt nie pokaże przed resztą, że się boi. I wtedy można się zastanowić nad różnymi rodzajami zemsty. Gdy już omówili różne sposoby, to doszli do wniosku, że najlepiej byłoby przyłapać Erika na gorącym uczynku, bo wtedy mogliby się go pozbyć raz na zawsze. A gdy już i to rozpatrzyli z wszystkich stron, takie właśnie rozwiązanie wydało im się najlepsze. Między innymi dlatego, że w głębi duszy każdy z nich wątpił, czy Erik pozwoli się jeszcze raz oparzać. Przez najbliższe dni dziesięciu członków Rady i pewnie kilku czwartoklasistów miało przypominać oddział bojowników szykujących się do linczu. Najbardziej czujni i podnieceni byli naturalnie w czasie pierwszych wieczorów. Po trzech czy czterech dniach sytuacja się uspokoiła. Była połowa stycznia. Ciemność niemal przez całą dobę utrzyma się jeszcze do początku marca.

Większość przeciwników Erika ma na wiosnę zdawać maturę. Im bliżej egzaminu, tym mniej chętnie się myśli o jakichś awanturach czy, nie daj Boże, nieszczęśliwych wypadkach. To tyleż ważny, co uzasadniony wniosek.

Erik powinien zacząć chodzić na wieczorne spacery. Zamiast pływania spacer po drogach w pobliżu szkoły. W przeciwnym razie ktoś sobie skojarzy, że napady mają miejsce w te wieczory, kiedy Erik nie pływa. Nigdy nie wiadomo, może dyrektorska władza potraktuje to jako dowód i wykorzysta przeciwko niemu wraz z innymi poszlakami? Będzie więc wieczorami spacerował. W czapce z otworami lub bez niej.

Istniał prawdopodobnie jeszcze jeden sposób, by powstrzymać przemoc raz na zawsze i zmusić Radę do szukania dowodów. Erik mógłby powtórzyć swoje ohydne pogroźki wobec Silverhielma. Pochylić się nad nim jeszcze raz przy śniadaniu i wyszeptać to, o czym najchętniej by zapomniał. W sytuacji, jaka się teraz wytworzyła, Silverhielm powinien uwierzyć w to jeszcze łatwiej niż poprzednio.

Następnego ranka więc, kiedy przechodził obok miejsca Silverhielma, pochylił się szybko i wyszeptał mu do ucha to okropne słowo.

Wieczorem wyszedł na spacer.

Świeciły gwiazdy, księżyc był w pierwszej kwadrze. Tu i ówdzie przy drodze stały nieliczne grupki licealistów w towarzystwie fińskich kelnerek lub bez. Wszystko było niemal takie samo jak zwykle, pominiawszy to, że grupki stały w zdumiewająco równych odstępach od siebie i że na śniegu widoczne były wyraźne ślady stóp prowadzące do lasu. Czy oni naprawdę myślą, że to takie proste?

W pierwszej grupie nie było członków Rady, za to dwóch czwartoklasistów. Długo patrzyli w ślad za Erikiem, a gdy już ich minął, posypały się nawet wyzwiska.

W drugiej grupie stało trzech członków Rady, ale próbowali się ukrywać za plecami reszty towarzystwa. Kiedy Erik zrównał się z

grupą, członkowie Rady wypadli z ukrycia, złapali go za ręce i zaczęli szukać czapki z otworami. Ale tego wieczoru jego czapka żadnych otworów nie miała.

- No, skończyliście już tę rewizję? - spytał, zerkając ukradkiem w tył. No tak, ci, którzy ukrywali się w lesie, wyszli teraz, żeby w razie czego zablokować drogę. Oni naprawdę myślą, że gdyby musiał uciekać, to koniecznie musiałby uciekać drogą?

Uwolnił się z trzymających go rąk.

- Nie protestowałem przeciwko rewizji - powiedział. - To chyba mogę sobie iść.

Tamci spoglądali po sobie z wahaniem.

- Albo pobiec, gdyby mi przyszła ochota - dodał, odwrócił się i poszedł, wyęzając słuch, by wiedzieć, czy nie musi uciekać przed pościgiem.

Najwyraźniej ktoś za nim szedł, ale sądząc po krokach, tylko jedna osoba. Jeśli tak, to Erik w razie czego z łatwością umknie. I nie potrzebuje łamać paragrafu trzynastego.

- Poczekaj - usłyszał za sobą dziewczęcy głos. - Nie idź tak szybko.

Obejrzał się zaskoczony. Znajdowała się jakieś trzydzieści metrów od grupy i była sama.

- Cześć - powiedziała. - Jestem Marja.

Mówiła z silnym fińskim akcentem.

- Czego chcesz? - spytał, nie spuszczać wzroku z tamtej grupy z członkami Rady, która teraz otrzymała wsparcie kolegów przedtem ukrywających się w lesie.

- Nie bądź taki strasznie podejrzliwy - rzekła dźwięcznym głosem. - Chciałam tylko z tobą porozmawiać. To ty jesteś Erik?

Dziewczyna podeszła spokojnie i bez wahania wzięła go pod rękę.

- Chodź, przejdziemy się trochę - powiedziała.

Dotarli do kolejnej zasadzki i minęli ją. Czekający tutaj domyślili się, że Erik został już zrewidowany, a zresztą może obecność dziewczyny sprawiła, że nie chcieli się na niego rzucić. Tak czy inaczej, mogli oboje przejść, nikt ich nie zaczepił.

- Widziałam cię wieczorem, parę dni temu - powiedziała Marja.
- To straszne, jak oni dostali.

Erik zastanawiał się przez chwilę. Śnieg skrzypiał pod ich stopami.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli - odezwał się takim tonem, jakby w ogóle nie był ciekawy.

- No, kiedy dałeś tym cholernym gówniarzom po mordzie.

Już kiedyś to słyszał. Nie mógł się mylić.

- Już wiem - powiedział. - Kiedyś, jak oni chcieli pobić mojego najlepszego przyjaciela na betonie, to ktoś na górze w waszych oknach krzyknął: „Przeklęty Tjiitenhielm!” To musiaś być ty.

- No. To byłam ja - potwierdziła.

Śnieg skrzypiał pod stopami. Musieli już chyba minąć ostatnią grupę czuwających bojowników.

- Byłaś tu tamtego wieczoru, kiedy ci dwaj członkowie Rady dostali lanie? - zapytał Erik.

- Byłam. I widziałam wszystko. To straszne, jak oni oberwali.

- Dlaczego myślisz, że ja to zrobiłem?

Przez chwilę szła w milczeniu i wpatrywała się w swoje fińskie skórzane buty z długimi noskami. Była odrobinę wyższa od Erika. I może dwa lub trzy lata starsza.

- Mam w domu brata, który jest do ciebie podobny - powiedziała. - Dużo nie gada, ale jak widzi, że dzieje się jakaś niesprawiedliwość, to jest potwornie wściekły. Mikko ma na imię.

Potem znowu zaległa cisza.

- Z jakiego miejsca w Finlandii pochodzisz? Z Helsingfors?

- Nie, nie jestem z Helsinek, nie. Z Savolaks.

Savolaks. Jak to pięknie brzmi. Ale nazwa nic mu nie mówiła.

- Masz zamiar wyłapać ich wszystkich? Jednego po drugim? - spytała najzupełniej naturalnym tonem.

To ona krzyczała wtedy „Skitenhielm” i potem zatrzęsnęła okno. Niemożliwe, żeby to mogła być pułapka, że ona mogłaby współpracować z Radą.

- Tak - potwierdził. - Tego bym najbardziej chciał. Wyłapać wszystkich, jednego po drugim.

- Jesteś podobny do Mikka - rzekła dziewczyna po chwili. - Kiedy ostatnio byłam w domu i opowiadałam o twoim przyjacielu, to on powiedział, że tacy jak oni, ci tutaj członkowie Rady, powinni dostać lanie od całej kompanii, że to dokładnie tak, jak się myśli o białej stronie, w czasie wojny klasowej, wiesz.

Jakby rozumiał jej słowa, w gruncie rzeczy jednak nie rozumiał. Fińska wojna zimowa? Tak? To o tym mowa? Biała strona? Nie wiedział, o co dokładnie idzie, ale to, że Silverhielm powinien dostać lanie od całej kompanii, to oczywiste. I piękne.

- Musimy wracać - zauważył. - Za dwadzieścia minut dzwonek, a wtedy wszyscy chłopcy ze szkoły podstawowej muszą być w swoich pokojach.

Ona wciąż trzymała go pod rękę. Nie widzieli nic. Tylko śnieg chrzęścił w takt ich kroków.

Nieuchronnie zbliżali się do ścieżki wiodącej do mieszkań obsługi; był to teren surowo zabroniony dla uczniów.

Erik widział teraz jej twarz z bliska.

- Wyjdiesz jutro? - zapytał, patrząc na jej skórzane buty ze spiczastymi nosami.

- No - przytaknęła. - Pewnie, że wyjdę. O ósmej na dole koło kiosku przy drodze.

Potem odwróciła się i zniknęła. Erik słuchał jej kroków na śniegu, dopóki całkiem nie ucichły.

Drugiego wieczoru Marja go pocałowała. Erik pochylił się ku niej, kiedy odeszli już na tyle daleko, że inni nie mogli ich widzieć, pochylił się po to, by - tak przynajmniej sam powiedział - powąchać jej policzek, poczuć zapach konwalii, który później miał mu towarzyszyć przez lata, który bardzo długo miał oznaczać to, co piękne, a co jeszcze później miało się stać zapachem taniej wody kolońskiej i w dalekiej przyszłości utonąć w niepamięci, stać się jedynie ziarnkiem niezniszczalnej materii astralnej. Ów zapach, który był powodem czy też pretekstem, dlaczego Erik się pochylił do jej policzka, a ona wolno uniosła ręce i ujęła w dłonie jego twarz, tak że mogła go do siebie przyciągnąć i pocałować.

Jego zakochanie było równie naturalne i nieuniknione jak masy wody, przewalające się przez tamę podczas powodzi.

Z początku jednak Erik nie rozumiał, dlaczego ona wtedy za nim poszła. Czasami ją widywał przez szklane drzwi do kuchni, być może zauważył nawet, że dziewczyna mu się przygląda, i sam spoglądał na nią ukradkiem, no, ale mimo wszystko...

Marja opowiadała mu o tym drugim świecie w Stjärnsbergu, o pomieszczeniach dla służby, gdzie wieczorami wszyscy mówią tylko po fińsku, o tym, jak niekiedy dziewczęta leżą długo w noc i rozmawiają o Stjärnsbergu jako o miejscu dla białych, dla takich, którzy mają wyrosnąć na wyzyskiwaczy, krótko mówiąc, na wrogów klasowych. I jak one mimo to wychodzą wieczorami, z różnych powodów, i pozwalają, by ci bogaci chłopcy dotrzymywali im towarzystwa, ci bogaci chłopcy, którzy mają tygodniówki większe niż ich miesięczne zarobki. Są takie dziewczyny jak jedna znajoma Marji, też z Savolaks, które mają zamiar wyjść bogato za mąż. Czy Erik nie rozumie, że to właśnie dlatego uczniom nie wolno odwiedzać dziewcząt w nocy? Ale są też takie jak ona, którym by nawet do głowy nie przyszło zadawać się z wrogiem klasowym.

Było coś przerażającego w tym jej bezpośrednim sposobie mówienia o wrogu, nawet jeśli myślała na temat wroga zupełnie inaczej niż on. Czy można nienawidzić ludzi tylko za to, że mają więcej pieniędzy? Możliwe, że tak, jeśli się pochodzi z Savolaks i zarabia 125 koron na tydzień i nie ma się prawa należeć do związku zawodowego.

- To czy w takim razie ja też jestem?... - spytał zaniepokojony, że wywołuje temat, a zarazem bardzo zaintrygowany.

- Nie, ty nie jesteś taki - odparła krótko. - Ja ciebie dobrze widziałam, kiedy byłeś pierwszy raz na betonie. To było piękne patrzeć na ciebie. I później, w zeszłym tygodniu, wiesz.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- A kto, do diabła, inny mógłby to być?

Pociągnęła go kawałek dalej na znaną sobie ścieżkę. Jak jakaś zaczarowana istota, myślał euforycznie, jak istota z baśni; ten jej dźwięczny głos, jej absolutnie szczere pragnienie, żeby Erik nadal dokonywał zemsty na członkach Rady i dał im tyle, ile tylko mogą znieść, albo i więcej. Czy dziewczyna może taka być? Jej tajemnicza kraina to Savolaks, gdzie odróżnia się to, co słuszne, od tego, co błędne, z taką samą pewnością, jak czarne od białego; gdzie ktoś, kto jest członkiem Rady, powinien dostać za swoje od całej kompanii, a jeszcze na dodatek lanie od Mikka i pozostałych braci Marji.

I ten jej delikatny zapach konwalii w zimową noc, jej absolutnie czysta twarz i miękkie ciało, jej ręce, dotykające go tak, jakby wszystko, co było trudne albo co zwykle potem stawało się historią w jakimś języku, mniej więcej jak historie opowiadane podczas ćwiczeń obrony cywilnej, wcale trudne nie było. Wszystko to coraz bardziej wciągało go w zakochanie.

Marja pracowała na zmianę, cztery wieczory wolne, potem cztery zajęte, niezależnie od tego, czy akurat wypadło święto, czy dzień powszedni.

Kiedy zaczął się jej kolejny cykl pracy, Erik poszedł do miejsca w lesie, gdzie ukrył swoją czapkę z otworami. Wszystko było zasypane śniegiem, żadnych śladów w pobliżu, nikt go nie śledził. Szedł przez las, mijał miejsca, w których on i Pierre tyle uczyli się o przyrodzie, w końcu wyszedł na drogę, ale nie było to ani od strony szkoły, ani kiosku.

Następnie zbliżył się do grupy, która paliła i rozmawiała w ciemnościach. Na ostatnim odcinku zwolnił kroku, by tamci nie zauważyli czapki z trzema otworami. Nie, tu nie było nikogo z tych, których poszukiwał. Wszyscy zamilkli, kiedy przechodził obok. Kawałek dalej znowu przyśpieszył kroku, żeby nikt nie zdążył wbiec na ścieżkę wzdłuż szerokiej drogi i go nie zatrzymał. W

oddali przed sobą widział już kilka ogników, ktoś tam palił papierosy.

Wyglądało na to, że nikt nie ma ochoty za nim biec. Przystanął więc i nasłuchiwał. Nie, po leśnej ścieżce nikt nie chodził. Minęło dziesięć dni od ostatniego napadu, i wciąż tylko dziesięciu członków Rady pozostawało w szkole. Dwaj leżeli w szpitalu.

Wkrótce znalazł się tak blisko kolejnej grupy, że zaczął rozróżniać głosy. Podeszedł jeszcze kilka kroków, przystanął i nasłuchiwał. Jeszcze parę metrów. Panował półmrok, od czasu do czasu księżyc przedzierał się przez chmury i wtedy nagle robiło się całkiem jasno. Podeszedł jeszcze bliżej i słuchał. Chmury przesłoniły księżyc, tamci wciąż nie mogli go widzieć.

Tak, nie było już żadnej wątpliwości. Jeden z głosów należy do Oczka. Miał wrażenie, że jest tam jeszcze pięć czy sześć osób. Dwa głosy dziewczęce. Oprócz Oczka było jeszcze trzech lub czterech jego kolegów, wszystko zależy od tego, którzy to. Nie należało dłużej zwlekać. Tamci, którzy wcześniej widzieli go, jak idzie drogą, mogli przecież sprowadzić pomoc. Trzeba więc po prostu podejść do grupy, a potem zdecydować, czy minąć ją biegiem, czy też się zatrzymać.

Podeszedł i przystanął jakieś pięć metrów od tamtych. To był Oczko. W towarzystwie dwóch innych chłopaków z trzeciej licealnej, którzy nie powinni się chyba do niczego mieszać, oraz dwóch fińskich dziewcząt.

Erik czekał, po chwili tamci zauważyli go i umilkli. Byłoby najlepiej, gdyby mu się udało oddzielić Oczka od reszty.

- Kto to... Chodź no tutaj! - zakomenderował Oczko głosem łamiącym się z przerażenia.

Erik zrobił jeszcze trzy kroki naprzód, przystanął i demonstracyjnie uderzył jedną dłonią w rękawiczkę o drugą, aż

plasnęło. Potem postąpił jeszcze jeden krok w przód, i jeszcze jeden.

- Czy to ty, Erik, odpowiadaj, draniu, nie próbuj tu żadnych swoich sztuczek, bo...

Oczko zrobił kilka niepewnych kroków w tył, znalazł się już właściwie poza grupą. Erik spokojnie szedł w jego stronę, a wtedy tamten zaczął uciekać.

Erik minął pozostałych, dał biegnącemu przewagę jakichś piętnastu metrów, a potem rzucił się za nim w pogoń. Dopadł go błyskawicznie i podciął mu nogi. Oczko runął na ziemię i przetoczył się jeszcze kilka metrów po oblodzonym śniegu na drodze. Erik znowu go dopadł, rozciągnął wiceprzewodniczącemu ręce i przycisnął je do ziemi własnymi kolanami. Rozejrzał się, nasłuchiwał i wypatrywał, czy na drodze nikt się nie pojawi. Nie, nigdzie nikogo, przynajmniej w pobliżu.

Oczko zawodził i wyrywał się, za wszelką cenę chciał się uwolnić.

- Tylko nie nos - piszczał. - Kochany, przecież możemy się dogadać, tylko nie nos, błagam...

Erik obejrzał się jeszcze raz. Nie, z jakiegoś powodu nikt go nie ścigał. Dziwne... Dlaczego tamci nic nie robią? Gdyby ktoś tu był, musiałby go zauważyć, a przecież nie minęło tak wiele czasu.

- Tylko nie nos, Erik, mój drogi, my już nigdy więcej nie będziemy...

Prawą ręką mocno ścisnął tamtego za gardło, tak że nie mógł poruszyć głową, którą Erik ułożył w odpowiedniej pozycji; oblodzona powierzchnia drogi stanowiła dobre oparcie.

Teraz, Pierre, teraz, za ciebie! - myślał.

A potem uderzał lekko skośnie, z góry, zaciśniętą prawą pięścią trzy, cztery, pięć, sześć razy, aż nabrał pewności, że większość przednich zębów została wybita.

Gdy było po wszystkim, wstał i nasłuchiwał. Nadal nie słyszał niczego poza szlochem Oczka. Z bardzo daleka dochodziło pohukiwanie sowy, nic więcej.

Przyglądał się Oczku, który leżał na brzuchu z twarzą zanurzoną we krwi i podniesionym tyłkiem, jakby w jakimś modlitewnym rytuale. Erik podszedł i kopnął go w żebra, niespecjalnie mocno, ale trafił obcasem, więc musiało zaboleć. Tak jak oni kopali Pierre'a. Oczko powinien był zrozumieć przesłanie.

Zostawił wiceprzewodniczącego i poszedł sobie. Kiedy odszedł już tak daleko, że nie mógł spotkać żadnych członków Rady ani nikogo innego, zaczął biec. Znajdował się teraz na leśnej drodze, którą chłopci zwozili drewno. Była rozjeżdżona traktorami, niezbyt twarda, tutaj nie mógł zostawiać żadnych śladów. Droga szerokim łukiem otaczała teren szkoły.

Zatrzymał się przy starannie ułożonym stosie drewna opałowego i wsunął między bale swoją czapkę z otworami, a dla pewności również rękawiczki. Tym razem na rękawiczkach mogła być krew. Na głowę włożył normalną czapkę i pobiegł dalej.

Pół godziny później zbliżał się do „Kasjopei” z dokładnie przeciwnej strony. Rzecz jasna, czekali na niego. Erik udawał, że nie widzi członka Rady z drugiej klasy, który skradał się za jednym z wiązków przed wejściem do domu, i szybko poszedł na spotkanie z komitetem powitalnym w swoim pokoju.

Roześmiał się, kiedy zobaczył, że w pokoju pali się światło. Nawet poczekać nie mogą po ciemku?

Zdecydowanym szarpnięciem otworzył drzwi i udawał zaskoczonego, kiedy się na niego rzucili, przetrząsali mu kieszenie i oglądali czapkę w poszukiwaniu otworów.

- Stało się coś nadzwyczajnego? - spytał z uśmiechem, który trenował przed lustrem w ciągu ostatnich dni.

- Przylapiemy cię, zobaczysz! Niech mnie diabli, jeśli cię nie przylapiemy! - syknął Silverhielm i uniósł rękę, jakby miał zamiar go uderzyć.

- Dobrze się zastanów - ostrzegł Erik. - Zastanów się, zanim zrobisz coś, czego będziesz potem żałował... zanim uderzysz niewinnego człowieka, chciałem powiedzieć.

Silverhielm wahał się z ręką uniesioną do góry wystarczająco długo, by Erik jednym szarpnięciem mógł się wyswobodzić. Potem okrążył Silverhielma, który stał wciąż z uniesionym ramieniem, wreszcie usiadł na swoim łóżku i podkurczył nogi.

- No? - spytał. - Nalot skończony?

- Jutro obijemy cię na kwaśne jabłko - warknął jeden z sekundantów Silverhielma.

W tej samej chwili otwarły się drzwi i członek Rady, który pełnił straż przed budynkiem, wkroczył z wiadomością, że Erik nadszedł z przeciwnej strony.

- Płonę z ciekawości - wtrącił Erik. - Czy moglibyście mi powiedzieć, co się stało?

Mrugnął przy tym kilka razy, co patrzącym mogło przypomnieć Oczka.

- Ty dobrze wiesz, co się stało - powiedział Silverhielm. - Gustaf Dahlen. Odwieziono go do Flen i chyba nie trzeba ci mówić dlaczego, draniu.

- Ach tak, Gustaf Dahlen spadł z naszych schodów i przetrącił sobie nos?

- Nie nos, ty...

- Naprawdę? A ja myślałem, że na tych schodach można sobie przetrącić nos.

- Jutro cię złapiemy, przeklęty!

- Raczej wątpię - odparł Erik i długo milczał, zanim powtórzył:
- Raczej wątpię.

- Nie? A to dlaczego, jeśli łaska? - zdziwił się jeden z sekundantów.

- Po pierwsze, dlatego, że musicie znaleźć prawdziwego nocnego łazika, zanim zrobicie coś złego komuś innemu, a po drugie, jest was teraz tylko dziewięciu. Któryś z was może być pierwszy, a jeżeli się nie mylę, że chcecie mnie w końcu przyłapać na złamaniu paragrafu trzynastego, to pomyślcie najpierw, że któryś z was może być pierwszy, i niewykluczone, że będzie wyglądał trochę dziwnie na egzaminie dojrzałości. Jak powiedziałem, jeśli koniecznie chcecie się bić na poważnie, to chyba rozumiecie, że ja nie dam się drugi raz związać do oparzania. Któryś z was może być pierwszy.

Jeszcze przez chwilę miotali pod jego adresem pogróżki, chyba jednak tylko dlatego, by nie wyglądało, że ich przestraszył, a potem wyszli, trzaskając drzwiami, i nawet nie porzucali rzeczy po pokoju, jak przy zwyczajnych nalotach.

Czy zamierzają spełnić swoje pogróżki? To bardziej niż wątpliwe. Właściwie to nawet dziecko by wiedziało, że Erik nie zrobi nikomu poważniejszej krzywdy, jeśli rzuca się na niego wszyscy razem. Z drugiej jednak strony, oni wiedzą bardzo mało na temat przemocy, którą posługiwał się Erik. Może myśla, że

złamanie nosa komuś, kto biega i walczy, to tak samo proste, jak złamanie go przeciwnikowi powalonemu na ziemię, który się nie rusza. Może nie pojmowali tej wielkiej różnicy, może oglądali rezultaty tylko trzy razy i sądzą, że faktycznie im też mogłoby się to przydarzyć. Czy są tacy tchórzliwi? No, może, chociaż to jednak mało prawdopodobne, może są tchórzami, ponieważ przyzwyczaili się do bicia małych chłopców, którzy nawet nie umieją się bronić. To się okaże już jutro przy obiedzie. Jeżeli przyjdą, to Erikowi pozostanie się poddać, skoro nie chce być usunięty ze szkoły. Pozostało bowiem jeszcze trochę ponad trzy miesiące do dnia, w którym bilet wstępu do przyszłości będzie jego. Ostatecznej decyzji jednak nie musi jeszcze podejmować.

Ale oni nie przyszli. Z jakiegoś całkowicie niepojętego powodu nie przyszli po obiedzie następnego dnia. Są więc głupi bardziej niż to dopuszczalne. Mimo wszystko najlepiej na jakiś czas zostawić czapkę z otworami tam, gdzie jest. Może nawet byłoby najmądrzej w ogóle ją tam zostawić.

Przez trzy kolejne dni nie zdarzyło się prawie nic. Tylko ktoś nabazgrał czerwonym długopisem, niezdarnymi dziecinnymi literami na ścianie, przy schodach prowadzących do jadalni: „Przyłóż im, Erik, znowu”. Dozorca polecił, rzecz jasna, wymazać bluźniercze słowa, ale czerwona plama, która po nich została, funkcjonowała tak samo, jak ślady na drzwiach donosicieli, którym Pierre i Erik wypisywali wielkie czerwone D.

A któregoś wieczoru nagle czterech członków Rady wpadło do sali gimnastycznej, gdzie Erik odbywał swój trening siłowy. Dopóki stali przy drzwiach na drugim końcu sali i tylko patrzyli na niego, kontynuował swój program. Kiedy jednak po pewnym czasie ruszyli w jego stronę, chwycił stalowy drążek mniejszej sztangi. Stał w gimnastycznych spodenkach, pot spływał mu po całym ciele, trzymał drążek w jednej ręce, plecami opierał się o ścianę. To niepojęte, dlaczego wybrali taką sytuację, kiedy on trzyma w ręce

to potworne narzędzie. Członkowie Rady wyszli po chwili bez słowa. Czy to tylko rodzaj wojny psychologicznej? Czy zatem wszyscy oni wiedzą tak niewiele o ludzkim strachu, że nie pojmują, iż to, co widzieli, czyli Erik ze straszną bronią w ręce, będzie na każdego z nich działało paralizująco? Żaden nic nikomu nie powie, ale wszyscy będą się bać jeszcze bardziej.

Dzień później dwaj pierwsi członkowie Rady wrócili ze szpitala, obaj mieli twarze pokryte siniakami, które po policzkach schodziły w dół, na szyje, nosy szczelnie zabandażowane, jednemu w miejsce kości nosowej wstawiono srebrną płytkę. U drugiego jakoś połata-
no kawałki.

Niełatwo było tak od razu przewidzieć, jak ich powrót wpłynie na atmosferę w szkole. Istniały dwie możliwości. Albo górę weźmie gwałtowna żądza zemsty, albo zapanuje jeszcze większa niepewność.

Erik sypiał w nocy z Biblią zaklinowaną między futrynę a kłamkę, a stary hokejowy kij Pierre'a trzymał przy nocnym stoliku.

Tamci jednak nigdy nie przyszli. Natomiast wciąż biegali po drogach wokół szkoły i szukali Erika, ale kiedy go znajdowali, nigdy nie miał na głowie czapki z trzema otworami. Jego czapka nadal leżała w stosie drewna przy dukcie leśnym.

Erik szedł z Marją drogą i słuchał jej opowieści o obcym i potwornie trudnym życiu w Savolaks. Te siedemdziesiąt pięć koron wysyłane przez Marję co tydzień do domu wyznaczało różnicę między zwyczajną biedą a biedą straszną.

Kiedy wieczory stały się jaśniejsze, a nad horyzontem długo płonął czerwony blask, ona uwiodła go delikatnie i czule.

On powiedział jej, że ją kocha i że to się nigdy, w żadnych okolicznościach nie zmieni.

Tłumaczył jej, że dopóki ją ma, to nie może ryzykować, nie może jeszcze raz wyjść do lasu w czapce z otworami, nawet jeśli tym sposobem Silverhielm uniknie kary, ona odpowiadała ze swoją niewzruszoną, prostą logiką, w tym swoim pięknie dźwięczącym języku, że przecież mimo wszystko zemstę na Silverhielmie Erik winien jest swojemu najlepszemu przyjacielowi.

Owszem, to najprawdziwsza prawda. Ale on powiedział jej jeszcze raz, że ją kocha, i powiedział jej w taki sposób, iż mogłoby to wzruszyć górę, że miłość jest jednak największa ze wszystkiego. Ona nazwała go głuptasem, choć przecież mówił wszystko śmiertelnie poważnie. On śmiał się skrępowany i wpatrywał się w jej fińskie buty ze spiczastymi noskami. No tak, powiedział, naśladowując jej sposób mówienia. Jestem głuptasem.

Ich wzajemny stosunek nie był w szkole tajemnicą, ale też nie budził większego zainteresowania, nikomu nie wydawał się niczym niezwykłym. Zakazane było odwiedzanie dziewczyn w nocy, ale nikt nie zabraniał młodym spacerować po drodze, trzymając się za ręce. Inni tak robili i zawsze byli tacy, którzy tak robili.

Marja została wyrzucona z pracy i odesłana do domu pewnej niedzieli po południu. Erik dowiedział się o tym, kiedy wyszedł z aresztu. Było to na początku kwietnia, wieczory stały się zbyt jasne na czapkę z trzema otworami.

Krażyło mnóstwo pełnych radości z cudzego nieszczęścia plotek na temat, jak to się stało. Otóż Rada poszła po prostu do dyrektora i zapytała, co należy uważać za związek. Nie było oczywiście żadnych dowodów, że między Erikiem a wymienioną kelnerką do czegoś doszło, jednak istnieją powody, dla których lepiej zaskoczyć, niż zostać zaskoczonym.

A przecież nic łatwiejszego jak zwolnić posługaczkę z pracy. Plotki ze wszystkimi starannie opisanymi detalami dotarły do Erika

pięć minut po tym, jak wyszedł z aresztu, dźwigając pod pachą, jak zawsze, stos książek.

Najpierw go to ogłuszyło, wrócił do swojego pokoju, usiadł i wpatrywał się przed siebie. Potem wstał i w napadzie wściekłości, z twarzą zalaną łzami, porozbijał na drzazgi biurko i krzesło. Następnie zszedł na dół do sali gimnastycznej, wziął sztangę, obciążył ją jak nigdy przedtem i rycząc z wściekłości, podnosił ją w górę na wyprostowanych rękach wiele razy, aż ramiona mu omdlały. Wtedy odłożył sztangę, usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

Po jakimś czasie opanował się na tyle, że mógł wrócić do pokoju. Pozbierał resztki rozbitych mebli. Bez wątpienia rachunek szkoły za ten miesiąc wysłany do adwokata opiekującego się naukowym funduszem Erika będzie zawierał cenę zniszczonego wyposażenia, Erik zaś dostanie jeszcze jeden z tych śmiesznie formułowanych listów o przyszłości i rozsądku. I o rozeznaniu! To najgorsze ze wszystkich słów w języku dorosłych: rozeznanie!

Nie zatroszczył się nawet o to, by umieścić Biblię przy kłamce. Położył się na brzuchu, ramionami objął poduszkę. Marjo, nigdy nie pokocham innej, szeptał i wiedział z całą buzującą siłą uczuć nastolatka, że jest to absolutna prawda. Zasnął natychmiast straszliwie zmęczony.

Ale wrogowie nie zadowolili się tym, co już się stało.

Marja napisała do Erika. List przyszedł tydzień po tym, jak została wyrzucona z pracy i taksówką odesłana na stację kolejową w Solhov, z ostatnią wypłatą w wysokości 472 koron w kieszeni płaszczka. Tamci musieli czekać na ten list. Umówili się chyba z dozorcą, że da im znać.

Bo tego wieczoru, kiedy Erik dostał list, zorganizowali nalot na jego pokój. Nie było wątpliwości, czego szukają, a kiedy znaleźli, rzucili się na niego we czterech i trzymali mocno - bo to przecież

takie proste, jeśli napastników jest wielu - zaś Silverhielm triumfalnie odczytywał zdania, które Erik znał już na pamięć. I w końcu Silverhielm znalazł to, co miał nadzieję znaleźć.

- Słuchajcie! - zawołał. - Jest lepiej, niż można było oczekiwać, poczekajcie, o tutaj... „i prawie miałam nadzieję, że będę miała z tobą ciążę...” - a co, nie mówiłem? Ta cholerna dziwka nawet po szwedzku pisać nie umie. „Będę miała ciążę”, słyszeliście? Zamiast „będę miała dziecko”, nie? Ale zaczekajcie, tu jest jeszcze dalej. „Bo kiedy byliśmy razem ostatni raz, ja nie miałam pessarium...” Co to, włożyła je sobie na głowę, zamiast do cipy? „... ale to prawda, że ja ciebie kocham, chociaż nadziei nie mam, że jeszcze cię zobaczę kiedyś...” No, ty cholerny draniu, teraz jesteś nasz. Pieprzyć się z posługaczką, co? Zostaniesz wyrzucony na zbity pysk, jak tylko dyrektor się o tym dowie.

Erik z całej siły zaciskał zęby i mrugał nerwowo. Cokolwiek chciałby im teraz powiedzieć, istniały tysiące powodów, dla których powinien milczeć, żeby potem nie żałować. Był rozpalony do białości z gniewu. Prawie nie słyszał, o czym rozmawiają członkowie Rady, gdy już biegli korytarzem ze swoją zdobyczą.

Kiedy się wynieśli, Erik włożył ubranie i poszedł na dół, do magazynów obrony cywilnej.

Ważył w dłoniach kłódkę przy drzwiach i resztę swojego życia. Wydawało się to bardzo łatwe. Kłódkę z pewnością da się otworzyć bez użycia młotka, a zresztą wystarczyłoby wybić szybę w tylnej ścianie baraku.

Długo stał bez ruchu, z kłódką w dłoni, w końcu jednak zrezygnował, zostawił kłódkę i poszedł na czterogodzinny spacer. Padał uporczywy deszcz.

Następnego dnia Silverhielm przybiegł i triumfalnie oznajmił, że Erik ma się natychmiast stawić do dyrektora na przesłuchanie.

Na wielkim dyrektorskim biurku z ciemnego drewna na wysoki połysk leżał tylko jeden kawałek papieru, list od Marji.

Dyrektor siedział za biurkiem, złączył obie dłonie opuszkami palców i przyglądał się Erikowi spoza okularów, w których odbijało się światło.

- No - powiedział w końcu, stukając palcem w list - Jak zamierzasz mi to wytłumaczyć?

- Ja ją kocham - odparł Erik krótko, wbijając wzrok w okulary dyrektora.

Coś, co być może należało odczytać jako leciutki uśmiech, pojawiło się na wargach starszego człowieka.

- Co ty powiesz? Ty ją kochasz.

- Tak jest.

- I nie pojmujesz, jakiej biedy mogłeś sobie napytać?

- W takich sytuacjach jest zawsze dwoje, jeśli chodzi o napytanie biedy. A my się kochamy. Kiedy stąd wyjadę, udam się prosto do Finlandii. Ona mieszka w Savolaks.

- W takim razie - rzekł dyrektor i teraz już naprawdę się śmiał.

- W takim razie będzie chyba najlepiej, jeśli cię jeszcze jakiś czas u nas zatrzymamy, przynajmniej dopóki kasza trochę nie przestygnie, jak to mówią. Przyjrzałem się twoim ocenom, Erik. Masz średnią bliską najwyższej, jaką można zdobyć. I masz najlepsze opinie u rady pedagogicznej, przez cały dzień rozmawiałem z twoimi nauczycielami. Jak być może wiesz, istnieje nagroda przyznawana na zakończenie każdego semestru najlepszemu uczniowi szkoły podstawowej i może ona trafić do ciebie, skoro...

Dyrektor zawahał się na moment.

- ...skoro Pierre Tanguy już nie chodzi do tej szkoły - do-kończył Erik.

- Owszem, można tak powiedzieć. To przykra historia z tym Tanguyem...

Erik starał się za wszelką cenę zachować zimną krew. PRZYKRA HISTORIA. Nic jednak nie powiedział.

- Cóż - mówił dalej dyrektor. - Nawiązałem też dzisiaj kontakt z mecenasem Ekengrenem i wspólnie podjęliśmy decyzję. Dostaniesz stopień ze sprawowania, który, jak sądzę zapamiętasz do końca życia. Będzie to zachowanie naganne, na świadectwie zapisane jako duże D, gorzej już być nie może. I jeszcze jedno... wstań teraz!

Erik wstał. Starszy mężczyzna także podniósł się z miejsca, podszedł do niego z prawą ręką uniesioną tak, jakby miał zamiar wymierzyć mu siarczysty policzek. Erik natychmiast zacisnął za plecami prawą dłoń na lewym nadgarstku. I dyrektor uderzył z całą siłą, ze zdumiewającą siłą.

- A teraz zniknij mi z oczu, ty łobuzie! - wrzasnął i Erik błyskawicznie znalazł się za drzwiami.

Kręciło mu się w głowie. A zatem nie będzie relegowany? Najwyraźniej nie. I tylko niecałe dwa miesiące do wolności.

Nagle jednak coś sobie jeszcze przypomniał. Zawrócił, podszedł do drzwi dyrektora i zapukał, choć drzwi były otwarte.

- To ty...? - zdumiał się tamten.

- Tak. Bo zapomniałem o jednej rzeczy. List. W liście jest jej adres.

- Po raz ostatni ci mówię, że masz się wynosić! - zaczął dyrektor groźnym tonem. - List został zarekwirowany, a ty zejdź mi z

oczu! Zanim ściągniesz na siebie prawdziwe nieszczęście, smarkaczu!

Ale sprawa się na tym nie skończyła.

Nazajutrz po porannej modlitwie dyrektor wszedł na mównicę i wezwał Erika, by wstał. Następnie wygłosił dziesięciominutowe przemówienie, potępiające Erika, z którego ten nie zapamiętał wiele, bo przez cały czas okropnie szumiało mu w uszach. Jedno tylko sformułowanie wryło się na zawsze w jego pamięć:

CHŁOPCOM ZE STJÄRNSBERGU NIE PRZYSTOI FRATER-
NIZOWANIE SIĘ Z MŁODZIEŻĄ ROBOTNICZĄ.

Dwa dni później Erik dostał ekspresowy list polecony od mecenasa Ekengrena. Gdyby to nie był ekspres polecony, w dodatku zamknięty lakową pieczęcią, można by sądzić, że to zwyczajne wymówki, dotyczące ostatnich rachunków. List zawierał jednak wielce zaskakującą treść:

„Eriku,

Jako Twój prawny pełnomocnik i serdeczny przyjaciel, chciałbym niniejszym skupić się jedynie na kwestiach mających znaczenie w czysto formalnym sensie. Innymi słowy, nie widzę powodu, by narzucać Ci jakiegokolwiek poglądy w sprawie Twoich prywatnych niezalutowanych rachunków ze służbą. Ponieważ doręczanie poczty właściwemu adresatowi, zdaje się, nie jest w Stjärnsbergu do końca pewne, istnieją przyczyny, by bardziej osobiście traktowane sądy zostawić do przedyskutowania w dogodniejszej sytuacji.

Zgodnie z obowiązującymi w szkole zasadami, które ja jako Twój pełnomocnik prawny uznaję, choć w określonych wypadkach

bez entuzjazmu, kontakty seksualne ze służbą traktowane są jako wykroczenie, którego jedynym następstwem, jakie może być brane pod uwagę, jest zazwyczaj relegowanie ze szkoły.

Zasady jednak nie są w tym przypadku dostatecznie jasno i wyraźnie sformułowane. Jest mowa o nocnych wizytach np. w mieszkaniach kelnerek, co zdaje się jedynym konkretnym czynem, który mógłby być uznawany za przestępczy. Wobec tego można, z jednej strony, obstawać, że Ty nie możesz być oskarżany o ten konkretnie opisany czyn jako zagrożony karą relegowania. Z drugiej jednak strony, owa młoda dama wyraziła się w swoim liście aż nadto jasno, tak że nie mogą istnieć wątpliwości co do istoty czynu.

Kiedy nawiązałem w tej sprawie kontakt z dyrektorem L, był on zdania, że wydalenie ze szkoły w następstwie takiego czynu nie może podlegać dyskusji. Przedłożył przy tym pewien dodatkowy wykaz opinii odnośnie do konkretnych podejrzeń o prześladowanie członków szkolnej rady zaufania. W tej części sprawy sytuacja dowodowa jest taka, że o wyciągnięciu konsekwencji nie może być mowy. Chciałbym jednak zwrócić Twoją uwagę na okoliczność, że konkretne podejrzania istnieją, i doradzałbym Ci, byś w przyszłości unikał dalszych obciążeń w tej kwestii.

Co się zaś tyczy Twoich domniemyanych stosunków seksualnych z kelnerką, to szczególne znaczenie ma tu fakt, iż dykcja szkoły wiedzę w przedmiotowej sprawie zdobyła w sposób nie tylko naruszający twoją osobistą integralność, lecz w równej mierze niezgodny z prawem (wchodzą tu w grę niektóre postanowienia prawa, dotyczące funkcjonowania poczty).

Pozwoliłem sobie zatem, jako Twój pełnomocnik prawny, zareagować zdecydowanie, niezwłocznie i bez zasięgnięcia Twojej opinii.

Sprawa Twojego wydalenia ze szkoły w ogóle nie wchodzi w rachubę, w przeciwnym razie bowiem, oznajmiłem dyrektorowi, Ty z moją pomocą prawną podasz szkołę do sądu. Z czysto formalnego punktu widzenia takie oskarżenie mogłoby zawierać jedynie konkretne żądania finansowe - zwrotu poniesionych nakładów oraz odszkodowania za straty (nie byłaby to wielka suma), ale z punktu widzenia szkoły nie to jest najważniejsze.

Dałem więc dyrektorowi L. do zrozumienia, mam nadzieję, że skutecznie, iż w razie procesu nie będę się wahał przed wykorzystaniem moich dobrych kontaktów z prasą, szczególnie z gazetą „Expressen”, zwracając uwagę dziennikarzy, iż pewien młody człowiek poniósł drakońską karę jedynie za to, że nawiązał miłosny stosunek z inną młodą osobą.

Dyrektor L. odniósł się do moich poglądów z wielkim zrozumieniem.

Ponieważ pozostało już bardzo niewiele czasu do dnia, w którym opuścisz szkołę na dobre, uznałem za stosowne pójść na ugode, której treść już pewnie znasz.

A zatem nie będziesz relegowany. Natomiast twoja ocena z zachowania będzie wyglądać na świadectwie, powiedzmy, dość dziwnie.

Uważam, że ponadto niewiele jest do powiedzenia, ponieważ ważna część rokowań została wygrana. Nie jest do końca jasne, co owa dramatyczna ocena ze sprawowania może oznaczać dla Twoich starań o wstąpienie jesienią do liceum w Sztokholmie. W każdym razie pozostałe Twoje oceny będą tego rodzaju, że suma punktów przekroczy nawet najbardziej surowe wymagania wstępne każdego liceum. Ja ze swej strony nie mogę postąpić inaczej, niż tylko - jako Twój prawny pełnomocnik - załączyć do podania list wyjaśniający powody tego obniżenia oceny z zachowania, więc sądzę, że będzie to robić raczej komiczne wrażenie. Poza tym

dyrektor liceum Norra Real, mojej dawnej szkoły, jest, mogę powiedzieć, moim bliskim przyjacielem.

Tak więc dość jasno, mam nadzieję, przedstawiłem Ci warunki Twego dalszego, acz krótkiego już pobytu w Stjärnsbergu. Bardziej osobistą dyskusję w tej sprawie, na którą z niecierpliwością czekam, odbędziemy przy spotkaniu w cztery oczy. Tak będzie najlepiej.

Pozostała część funduszu, którym zarządzam w Twoim imieniu, w dniu zakończenia bieżącego semestru wyniesie około 8700 koron. Możliwie najlepszy sposób wykorzystania tych środków omówimy przy spotkaniu w Sztokholmie. Myślę, że krótki wyjazd na studia za granicą byłby dobrym pomysłem.

Z najlepszymi pozdrowieniami

Henning S. Ekengren,

członek Stowarzyszenia Adwokatów Szwedzkich”

Erik czytał list wielokrotnie. A więc tak to wszystko wygląda? Członkowie Rady popełnili przestępstwo, kradnąc list. Najwyraźniej jednak nie to jest najważniejsze. Gdyby doszło do procesu, wybuchłby skandal. I to miało największe znaczenie. Zatem nie prawo, nie prawdziwe prawo, było silniejsze niż prawo Stjärnsbergu, lecz co innego. Jedyńm istniejącym jeszcze ryzykiem jest wydalenie za naruszenie paragrafu trzynastego. Ile jednak Rada z tego wszystkiego rozumie? Raczej mało prawdopodobne, by dyrektorska władza przeprowadzała jakieś rozmowy w tej sprawie.

Zostało jeszcze tylko dziesięć dni do matury i wyglądało na to, że Silverhielm jednak uniknie nieprzyjemności, bo: „...pewien dodatkowy wykaz opinii odnośnie do konkretnych podejrzeń o

prześladowanie członków szkolnej rady zaufania... doradzałbym Ci, byś w przyszłości unikał dalszych obciążeń w tej kwestii”.

Ale Silverhielm, który wyraźnie niepokoił się sumą punktów, jakiej potrzebował na świadectwie, by móc się starać o przyjęcie do Instytutu Karolińskiego, zaczął chodzić na długie spacery. Erik widział go, jak idzie leśną drogą, rozjeżdżoną przez traktory, prowadzącą do zarośli, w których ubiegłej wiosny podglądali gody cietrzewi. Silverhielm wrócił dopiero po dwóch godzinach i dwudziestu minutach. Erik widział dwukrotnie, jak tamten znika, idąc w kierunku zarośli; za każdym razem nie było go mniej więcej dwie godziny i dwadzieścia minut.

Istniała jednak ważniejsza sprawa, którą należało najpierw załatwić. Na dole przy kiosku Erik spotkał jedną z fińskich kelnerek i opowiedział jej, że odebrano mu list od Marji, w związku z czym nie ma nawet jej adresu. Już następnego dnia w jadalni, kiedy podawał pusty półmisek po dokładkę, dziewczyna wsunęła mu do ręki karteczkę. Z adresem Marji.

Zaczął teraz pisywać niekończące się listy, a potem jeździł na rowerze aż do szosy krajowej, by tam wrzucać je do skrzynki. Skrzynka pocztowa w szkole nie budziła zaufania.

Następnie w areszcie długo siedział nad topograficzną mapą okolic szkoły, na której on i Pierre zaznaczali swoje obserwacje ornitologiczne.

Jeśli Silverhielm chodzi tą drogą w stronę zarośli... i wraca po dwóch godzinach i dwudziestu minutach... to przypuszczalnie skręca na wschód tu, za opuszczonym leśnym szałasem... i wychodzi na wprost tutaj... idzie dalej i...

Właściwie istniały dwie możliwości do wyboru. Następnym razem, kiedy Silverhielm wybierze się na spacer, Erik mógłby...

Do spotkania doszło dokładnie na tydzień przed maturą.

Silverhielm szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię i, nie oglądając się na boki, kierował się w swoją stronę, jak zawsze.

Erik wrócił do siebie i włożył dres oraz buty do biegania, jakby zamierzał odbyć trening, ale pobiegł w zupełnie innym kierunku niż Silverhielm.

Znał w okolicy wszystkie ścieżki i leśne dukty. Bez trudu potrafił znaleźć Silverhielmowi drogę, tak by widzieć, którą trasę tamten wybierze na ostatni odcinek spaceru.

Erik siedział na niewielkim wzniesieniu za dwiema ogromnymi sosnami, tam gdzie jesienią rosną królewskie pieczarki, i patrzył, jak samotny przewodniczący się do niego zbliża.

Tutaj gdzieś musi dokonać ostatniego wyboru drogi, a potem są już tylko oczywiste trasy powrotne, jeśli spacer ma zostać zakończony w ciągu dwóch godzin i dwudziestu minut. Silverhielm skręcił na wschód, a skoro tak, musi wielki głaz narzutowy okrążyć w ciągu dziesięciu lub dwunastu minut. To będzie znakomite miejsce na spotkanie.

Erik pobiegł przez las drogą na skróty i był na miejscu w odpowiednim czasie. Ukrył się za głazem i patrzył, jak tamten nadchodzi. Siedział i jeszcze raz w myślach powtarzał plan, robił to przedtem chyba ze sto razy. W ręce trzymał wielki rosochaty kij.

Silverhielm, nie oglądając się, okrążał głaz i ocknął się dopiero na głos Erika, który znajdował się nie dalej niż cztery metry od niego.

- Teraz to ja bym nie chciał być na twoim miejscu, Otto - przywitał go Erik.

Silverhielm rozejrzał się pośpiesznie, popatrzył na Erika i znowu się rozejrzał.

- Nie, Otto. W pobliżu nie ma żywej duszy. Tylko ty i ja. Dziela nas trzy kilometry od najbliższej normalnej drogi. Mamy cztery kilometry do szkoły.

Silverhielm stał bez ruchu, nie powiedział ani słowa.

- Możesz próbować uciekać, Otto. Jesteś przecież dosyć szybki, na tyle szybki, by występować w szkolnej reprezentacji lekkoatletycznej. Musiałbym przebiec chyba ze sto metrów, żeby cię dogonić, gdybyś teraz wystartował. Ale i wtedy wciąż byłoby bardzo daleko do najbliższego człowieka, i tak nikt by nie usłyszał twojego krzyku.

Silverhielm przełknął ślinę. No, sprawa wygląda coraz lepiej.

- Ty masz źle w głowie... Zostaniesz natychmiast wyrzucony, jeżeli...

- Nie, mogę cię zapewnić, Otto, że nie zostanę wyrzucony. Bo oni cię tak od razu nie znajdą. Te drogi używane są tylko zimą, kiedy chłopci zwożą drewno z lasu. A zimą, Otto, jest śnieg. Może minąć wiele lat, zanim ktoś tu na ciebie natrafi.

Erik wstawał wolno, tak wolno, jak to sobie setki razy wyobrażał, podniósł z ziemi gruby kij i zrobił parę kroków, tak że znalazł się w odległości niecałego metra od Silverhielma. Na tyle blisko, że wyraźnie widział drżenie rąk tamtego i krople potu na jego czole.

Silverhielm opadł na kolana, jakby nogi nie chciały go już dźwigać. Szło lepiej, niż Erik oczekiwał.

- Zrobię wszystko, co tylko zechcesz, jeśli nie...

Silverhielm musiał przełknąć ślinę, zanim mógł mówić dalej. Kompletnie zaschło mu w ustach. Znakomicie.

- Dostaniesz, co tylko będziesz chciał... - wykrztusił Silverhielm. - Dziesięć tysięcy koron! Dostaniesz dziesięć tysięcy koron zaraz jutro rano, przysięgam!

Wtedy Erik się roześmiał i wcale nie musiał się do tego zmuszać.

- Dziesięć tysięcy, Otto? Uważasz, że tyle jesteś wart? Trochę więcej niż kilo wołowych kotletów? Dziesięć tysięcy...

- Tyle mogę zaraz mieć gotówką, ale jeśli zaczekasz parę dni...

- Oczywiście. Już to widzę. Bo tobie naturalnie ani się śni dotrzymać takiej obietnicy.

- Przysięgam, powiedziałem! Na mój honor szlachcica.

Erik był zmuszony znowu się roześmiać.

- Twój honor szlachcica! A gdzie miałeś ten swój honor, kiedy dręczyliście Pierre'a tak, że tego nie wytrzymał? Albo kiedy masakrowałeś mi twarz, chociaż ja nie miałem prawa się bronić?

- No tak, ale ty też robiłeś wszystko, żeby mi dokuczyć. Nie rozumiesz, jakie miałem przez ciebie piekło? Czy naprawdę nie masz dość, przecież nie spotkamy się już nigdy więcej, jeśli...

- Jeśli wyjdiesz stąd żywy? - dokończył Erik. - Jasne, wtedy to już byśmy się spotkali u dyrektora, jeszcze zanim się ściemni. No a ten twój sygnet, na którym nosisz swój szlachecki herb? Wiesz, że on mnie kosztował piętnaście szwów? Daj mi go!

Erik przełożył kij do lewej ręki, a prawą wyciągnął po pierścień. Silverhielm rozpaczliwie ścigał klejnot z palca, ręce mu dygotały. Erik wziął sygnet i udawał, że przygląda mu się z wielką ciekawością.

- Ta korona na herbie, złożona z maleńkich pałeczek, to ona świadczy, że jesteś baronem, tak?

- Taaak...

- No, to jedna z tych rzeczy, po których mogliby cię natychmiast zidentyfikować, żeby nie wiem ile lat minęło. Nagie zwłoki, w stanie mocno zaawansowanego rozkładu, paru części brakuje, bo lisy i borsuki zrobiły swoje. No więc ten pierścień to jedno. Drugie to twoje zęby. Twarz będzie zmasakrowana po wybiciu wszystkich zębów. A w tym stanie nie będziesz przypominał niczego. Jak myślisz, co powiedzą w szkole, kiedy tak po prostu znikniesz?

Silverhielm prawie nie był w stanie mówić. Wkrótce będzie po wszystkim.

- No, Silverhielm, odpowiadaj. Co oni sobie pomyślą, gdy ty po prostu znikniesz na tydzień przed maturą? Że byłeś w depresji, że uciekłeś, bo nie zniosłeś napięcia? Bo myślałeś, że będziesz miał za słabe oceny, chociaż twój tatuś zakupił telewizory do wszystkich domów w internacie na pamiątkę matury swego synalka? No, powiedz, co oni pomyślą?

Silverhielm musiał się bardzo wysilić, by wykrztusić pierwsze słowa.

- Oni... w moim pokoju wszystko jest na swoim miejscu... oni będą mnie szukać z psami, pomyślą, że złamałem nogę albo co. I z psami na pewno mnie tu znajdą, a wtedy będzie po tobie, dostaniesz dożywocie, więc się zastanów, czy naprawdę warto?...

- Psy stracą trop już przy drodze krajowej, tyle samochodów tam ciągle jeździ, wiesz. A stąd to ja cię potem przeniosę dalej, naprawdę daleko. Więc nawet jeśli psy dotrą tutaj, to w tym miejscu ślad się urwie. A założmy na chwilę, że cię znajdą, to myślisz, że ja się nie zdążę umyć, że nie ukryję zaplamionego ubrania, które mam na sobie? Nie ma żadnych dowodów, wiesz o tym. Dokładnie tak, jak wtedy, kiedy biegałem po lesie w czapce z

trzema otworami, i jak wtedy, kiedy wylałem na ciebie gówno. A zresztą muszę ci powiedzieć, że stałem najpierw długo, zanim je wylałem. Spałeś z otwartymi ustami, na plecach. To dlatego miałeś tego tyle w gębie. Dobrze, co? Jestem pewien, że nadal pamiętasz, jak to smakuje, kiedy pomyślisz...

Silverhielm pochylił twarz jeszcze bardziej ku ziemi. Nagle z ust pociekła mu ślina. Najwyraźniej zbierało mu się na wymioty.

- No, Silverhielm, pomyśl sobie, jak to było, kiedy gówno spływało ci do gęby, gówno, które ja starannie wymieszałem z waszymi szczynami... do gęby... jak się krztusiłeś, kaszlałeś... jak potem starałeś się płukać gębę i szczotkować zęby raz za razem, ale smaku nie mogłeś się pozbyć, wżarł się w śluzówkę...

Nareszcie Silverhielm zwymiotował. Klęczał pochylony u stóp Erika, wstrząsany kolejnymi falami wymiotów, jakby miał wyrzygać z siebie wszystkie wnętrzności.

Potem leżał skurczony, z twarzą blisko wymiocin, w takiej pozycji, jakby zabrakło mu sił, by się stamtąd odsunąć. Erik chwycił go za włosy i uniósł lekko jego głowę. Wyraz, który zobaczył w oczach Silverhielma, miał zachować w pamięci na długo.

Zemsta się dopełniła.

- Masz - rzekł Erik i cisnął sygnet z baronowską koroną prosto w wymiociny.

Potem odrzucił kij daleko od siebie, odwrócił się i odszedł.

Kiedy znalazł się jakieś sto metrów dalej, tam gdzie droga skręcała, i miał zniknąć z pola widzenia Silverhielma, odwrócił się jeszcze i popatrzył na to, co zostawia za sobą. Silverhielm nadal leżał w tej samej pozycji.

Zakończenie roku było krótkim triumfem.

Świadectwa rozdano zaraz rano, jak tylko wychowawcy klasowi wygłosili zwykle kazania na temat uznania i kary. Kiedy Erik dostał swoje świadectwo do ręki, podchodził po kolei do nauczycieli i żegnał się z nimi. Był to dla obu stron wzruszający moment. Tosse Berg objął go ze łzami w oczach, mówiąc, że Erik powinien bardzo intensywnie trenować przed Tokio.

- Ty jesteś wojownikiem, Erik, *the whole world loves a fighter*, pamiętaj o tym teraz, kiedy wchodzisz w inny świat, gdzie żaden członek Rady już cię nie dopadnie.

Z Żurawiem było mniej więcej tak samo.

- Musimy się czasami kontaktować w przyszłości - mówił Żuraw. - Chciałbym wiedzieć, jak ci idzie.

- Dziękuję, Żuraw, za wszystko. I za stopień.

- Nie masz za co dziękować, było was tylko dwóch naprawdę coś wartych, ty i wiesz...

- I Pierre?

- No właśnie. Pozdrów go ode mnie, jeśli się kiedyś spotkacie.

Taksówki zaczęły już jeździć na stację kolejową w Solhov i z powrotem, odwoziły uczniów, po których nie przyjechali rodzice. Cały dziedziniec szkolny był zastawiony wielkimi, przeważnie czarnymi samochodami.

Przed ostatnią ceremonią w szkolnej auli, gdzie miały zostać wręczone nagrody i puchary za osiągnięcia sportowe, Erik wyszedł na spacer leśną drogą, do starannie ustawionej przyzmy drewna opałowego. Bo tam wciąż leżała jego czapka z trzema otworami i prawdopodobnie również rękawiczki.

Nie spodziewał się, że dostanie jakąś nagrodę. Ale kiedy nadeszła pora uhonorowania najlepszego świadectwa w szkole podstawowej wspaniałym dziełem Carla Friesa, opisującym krajobraz Szwecji, z pieczęcią szkoły na stronie tytułowej, dyrektor wyjaśnił, że oczywiście z powodu niebywalej wpadki przy ocenie zachowania, nad którą nie czas i miejsce się teraz rozwodzić, istniały pewne zastrzeżenia, ale wspaniałe świadectwo to jednak wspaniałe świadectwo.

I przy akompaniamencie uprzejmych oklasków, dokładnie takich samych, jak we wszystkich pozostałych przypadkach, Erik podszedł, uklonił się i wziął nagrodę, którą powinien był dostać Pierre.

Stojąc na podium, przyglądał się z góry auli udekorowanej brzozowymi gałęziami wszystkim uczniom w szkolnych marynarkach, którzy będą musieli wrócić do tego piekła, i ich pompatycznym rodzicom, którzy nie wiedzieli, nie chcieli wiedzieć lub całkiem po prostu popierali to, co dzieje się w Stjärnsbergu.

Byłoby niewybaczalnym tchórzostwem nie zrobić tego, co zamierzał. Do końca życia nie przestałby żałować.

Zwrócony twarzą do publiczności, plecami do dyrektora, rozpostarł wolno czapkę z trzema otworami i rozciągnął ją w rękach, by wszyscy widzieli, co to jest.

Klaskać zaczęli początkowo dość niepewnie koledzy z jego klasy. Erik nadal stał, stał z czapką uniesioną wysoko nad głową. Do oklasków przyłączały się kolejne klasy szkoły podstawowej, w końcu sala aż huczała. Jakbym był znanym skrzypkiem, który właśnie skończył grać, przyszło mu nieoczekiwanie do głowy.

Wtedy uklonił się głęboko w podziękowaniu i zakończył spektakl, zbiegł w dół po schodach i na dwór, do czekającej już

taksówki. Samochód ruszył, a Erik postanowił, że się nie obejrzy. Ani razu. Stjärnsberg przestał istnieć.

Usiadł w pustym przedziale. Na stacji kupił dwa papierosy marki John Silver, luzem, na oczach dwóch członków Rady, którzy udawali, że niczego nie widzą i nie słyszą. Potem, oglądając się niespokojnie na boki, ulokowali się w przedostatnim wagonie, choć z pewnością oni również mieli bilety pierwszej klasy.

Erik roześmiał się, ale nie odczuwał żadnej radości z tego, że napędził im strachu, albo może raczej sam chciał się śmiać bez cienia radości, kiedy sobie wyobrażał, jak oni tam będą siedzieć w tym przedostatnim wagonie i przez ponad godzinę się bać, że drzwi nagle się otworzą, a potem zamkną bezszelestnie za Erikiem.

Zostaliby złapani bez szans ucieczki. Jak szczury, pomyślał, i musiał się bardzo starać, żeby nie uśmiechnąć się z radością z ich nieszczęścia.

Tylko że oni nie mogli przecież wiedzieć, iż Erik z tym skończył. Koniec, i nigdy więcej nic takiego nie może się powtórzyć. Wszystko to należało do innego świata, a teraz Stjärnsberg już nie istnieje.

Wyciągnął przed siebie ręce i rozczapierzył palce. Trzymał je bardzo pewnie, nie drżały. Dwa lata temu miał mnóstwo małych białych blizn przy kostkach, to były ślady zębów. Teraz większość blizn znikła, tylko kiedy się uważnie przyjrzeć, można jeszcze coś dostrzec. Ręce były czyste. Dotknął dłonią prawego łokcia w miejscu, gdzie znajdowała się duża blizna po zębach Lellego - bo chyba tak miał na imię ten chłopak? - ale taka blizna może powstać w różnych okolicznościach, na przykład przy upadku z roweru na wysypaną żwirem drogę. Teraz już wszystko to jest poza nim. Nigdy więcej.

Oderwał od kieszeni szkolnej marynarki tarczę z wizerunkiem Oriona. Trzymając ją w palcach, podpalił zapalką. Tarcza płonęła wolno, a raczej żarzyła się. Ostatni strzęp wyrzucił do popielniczki. Potem zapalił jednego ze swoich dwóch papierosów.

Gdzieś tam, daleko w lesie, leżał plastikowy woreczek z jego i Pierre'a przyborami do palenia, a w nim pół paczki papierosów John Silver, dwa uchwyty do papierosów, zrobione z sosnowych gałązek, pudełko zapalek i pół butelki Vademecum. Może nikt nie odnajdzie tego skarbu przez setki lat. A jeżeli ktoś w końcu po wielu wiekach odkryje woreczek, za nic nie dojdzie, czemu to miało służyć. Ale wtedy nie będzie już ani śladu Stjärnsbergu. Nie zostanie nawet kamień na kamieniu.

Pociąg ruszył z gwałtownym szarpnięciem. Kolejarz, który go odprawiał, wracał na stację ze swoją zwiniętą teraz chorągiewką.

Erik otworzył okno i wychylił się, by letni wiatr oczyścił powietrze ze smrodu spalonej tarczy. Potem wyrzucił papierosa, którego trzymał w ręce, z kieszeni wyjął drugiego i zrobił z nim to samo. Teraz nie było już żadnego powodu, by palić.

Oczyrna załzawionymi od wiatru patrzył na sörmlandzki krajobraz, przesuwany się obok; otoczone krzewami bzu altanki, kwitnące drzewa owocowe (to chyba nie są jabłonie, raczej śliwy, co to kwitnie o tej porze?), chłopskie obejścia, gdzie dostrzegał ludzi obok traktorów lub budynków gospodarskich, inwentarz, ruch na drogach, od czasu do czasu jeziorka i zagajniki - tak wyglądał wolny świat.

Usiadł i zamknął oczy. Przywołał pod powiekami wizerunki Pierre'a i Marji. Wkrótce spotka ich oboje, ma przecież pieniądze, zresztą może pracować w porcie (i tym razem już bez ryzyka, że wpadnie jako niepełnoletni), a potem postanowi, czy najpierw jechać do Genewy, czy do Savolaks. Nie, najpierw do Savolaks, potem do Genewy.

Znowu stanął przy otwartym oknie i wężąc w powietrzu niczym pies, patrzył, jak pociąg wtacza się na Dworzec Centralny w Sztokholmie. Słoneczny blask mienił się na wodach Riddarfjarden. Był teraz wolny, nikt nie wiedział, kim jest, i dlatego przemoc już nie istniała. To koniec, to naprawdę koniec, Erik był wolny i szczęśliwy.

Kiedy wszedł do mieszkania, nie zastał nikogo. Wtaszczył swoje ciężkie, pełne książek walizki do pokoju, który niegdyś należał do niego i młodszego brata. Teraz był to najwyraźniej pokój brata. Rozpakował część książek, długo stał, trzymając w dłoniach wysuszone, źle pielęgnowane buty z kolcami. To buty marki Puma, z prawdziwej kangurzej skóry, zrobiły się jednak za małe. I nie ma nad czym ubolewać.

Zaglądał do różnych szaf, by znaleźć miejsce dla swoich rzeczy. Na jakiejś półce na kapelusze znalazł wciśniętą w kąt paczkę ze swoim nazwiskiem. Nadano ją z jego dawnej sztokholmskiej szkoły, ale w domu nikt jej nie otworzył. Była dość duża i miękka, zawierała pewnie jakąś tkaninę. Położył paczkę na biurku i próbował zgadnąć, co to może być.

Nie potrafił powiedzieć, a kiedy rozwiązał sznurki, wybuchnął głębokim, szczerym śmiechem, był to może nawet śmiech radosny. Na biurku leżała mała, śmieszna, jedwabna kurtka z kolorowym smokiem na plecach, ta kurtka, która niegdyś była najukochańszą rzeczą, jaką posiadał.

Podniósł kurtkę i przyglądał się jej z uśmiechem. Dziecięcy rozmiar. Kiedy na próbę chciał ją włożyć, rękaw trzasnął złowieszczo już na wysokości łokcia. Umięśniona ręka nie chciała wsunąć się dalej.

Poszedł do łazienki i przejrzał się w lustrze. Potem długo stał i patrzył, powoli zaczynała do niego docierać prawda: jest dorosły. Mierzy metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, waży siedemdziesiąt

cztery kilogramy, ma szesnaście i pół roku oraz mnóstwo pryszczycy na twarzy. Kiedy przysunął twarz do lustra, widział wyraźnie bielejące w różnych miejscach blizny. Niczym pod wpływem nieprzyjemnego powiewu zimnego wiatru na moment między nim a twarzą w lustrze zafalowało wspomnienie wymiotującego Silverhielma.

Swoje świadectwo położył na fortepianie matki i poszedł na pocztę, by szkolną nagrodę, książkę z pieczęcią szkoły, wysłać do prawowitego właściciela w Genewie. Po drodze nagle stwierdził, że na ulicach nikt go nie zna. Pomyślał, że to właśnie jest wolność. Niczego po nim nie widać, nikt z otaczających go ludzi nie może wiedzieć, że przybył z takiego miejsca.

Kiedy wrócił do domu, już na schodach słyszał, że matka gra. Był to polonez F-dur.

Na odgłos jego kroków matka wstała wolno i z uśmiechem, wyciągnęła do niego ręce, a potem obejmowali się długo w całkowitym milczeniu. Erik miał wrażenie, jakby matka zrobiła się znacznie mniejsza, jakby podczas tych dwóch lat w jej ciele pojawiło się coś, co przywodziło na myśl ptaka. Ostrożnie wyswobodził się z jej delikatnych ramion i oboje ocierali sobie nawzajem łzy.

Przy obiedzie czuł się jednak jak zaproszony gość. To on mówił najwięcej albo można by powiedzieć, że mówił i mówił, bo się bał, że zalegnie cisza. Mówił o przyszłości, o spotkaniu z Pierre'em, o potężnej górze Matterhorn, która wznosi się aż do nieba, i o tym, że obiecał Pierre'owi, iż kiedyś wejdzie na szczyt. Mówił, że w przyszłości chciałby studiować prawo i zostać adwokatem i że teraz musi wybrać, czy zacząć naukę w Norra Real czy w Ostra Real, może wybierać, bowiem najwyższe wymagania w liceach sztokholmskich nie przekraczają dwudziestu punktów na świadectwie ze szkoły podstawowej, a on nazbierał przecież (dzięki

siedzeniu w areszcie, pomyślał) aż dwadzieścia siedem, więc teraz sam decyduje, do której szkoły pójdzie.

- No, ale z tym stopniem ze sprawowania to jednak kłopot. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś dostał z zachowania ocenę niezadowalającą - oznajmił ojciec. - Czy naprawdę musiałeś się zadawać z jakąś kelnerką?

Ojciec przeżuwał kolejny kęs jedzenia jakby nigdy nic, jakby zrobił tylko mimochodem jakąś uwagę na temat pięknej, wiosennej pogody. Erik zdążył zauważyć ostrzegawcze spojrzenie matki.

- Nic ci do niej i odczep się od mojego prywatnego życia - odparł po kilku sekundach zastanowienia i nonszalancko wychylił się po solniczkę.

Wtedy ojciec uderzył go w nos.

WTEDY OJCIEC UDERZYŁ GO W NOS I TRAFIŁ PRECYZYJNIE.

- Jak powiedziałem - powtórzył Erik - masz się od niej odczepić raz na zawsze. Zresztą niedługo pojedę ją odwiedzić.

- Mowy nie ma, nie pojedziesz!

- Owszem, pojedę.

- Omówimy tę sprawę po jedzeniu, skoro tak. Omówimy tę sprawę. Dopiero teraz dotarło do niego, że stary używa liczby mnogiej, my omówimy, zawsze przedtem wydawało mu się, że ojciec wyrażał się bezosobowo: omówi się sprawę.

Reszta obiadu upłynęła w ponurym milczeniu. Erik obserwował ziarenka kurzu wirujące w wąskim strumieniu światła z okna, za którym świeciło wieczorne słońce. Potem dmuchnął w ten kurz i mikrokosmos się zakołysał, a następnie lekko, jak w

zabawie, pochylił głowę, kiedy stary próbował go trafić w nos po raz drugi.

Stary musi być szalony, myślał. Mógłby chyba być Silverhielmem, kimś takim jak Silverhielm, gdyby był młodszy i został wybrany na przewodniczącego w takim miejscu, które już nie istnieje. Prawdopodobnie. I Silverhielm też mógłby być taki jak stary. Oni nie przestają nigdy, czy więc nigdy nie można się od nich uwolnić? Nie ma żadnego znaczenia, czy się spali szkolną tarczę z Orionem ani czy się udaje, że Stjärnsberg nie istnieje, ani nawet czy się raz na zawsze zapomni jego nazwy. Przez chwilę Erik myślał o tarczy z Orionem, którą spalił w przedziale, a potem wyrzucił popiół do popielniczki.

Obiad dobiegł końca, matka zaczęła sprzątać ze stołu i poprosiła młodszego brata o pomoc, dokładnie tak jak zwykle. I dokładnie tak jak zwykle ojciec siedział jeszcze przez chwilę przy stole. W milczeniu.

- No cóż - powiedział w końcu i wstał. - W takim razie chodźmy i miejmy to już za sobą.

Wolno ruszył ku drzwiom sypialni, nie oglądając się, czy Erik idzie za nim. Podszedł do tych drzwi z tą samą oczywistością, z jaką to robił przez całe życie, i zachowywał się tak, jakby myślał, że Erik musi za nim iść, jakby Erik był Romulusem lub Remusem.

Erik poszedł ze starym do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Przez otwarte okno docierał tu śpiew piecuszka, dalej, po drugiej stronie podwórza, śpiewał kos. Panowało prawie letnie ciepło.

Stary czekał przy łóżku w swojej zwykłej pozycji. W ręce trzymał śmieszna, chromowaną łyżkę do butów na długim trzonku, obciążniętym skórą.

Jaka szkoda, myślał Erik. Jaka szkoda, że ojciec nie wziął pejcza z ciemnobrązowej twardej skóry z tą maleńką metalową

końcówką, która tak boleśnie rani ciało. Jaka szkoda, że dzisiaj nie wybrał pejcza.

- No - rzekł stary. - Ściągaj spodnie i pochyl się do przodu! Erik bez słowa podszedł do drzwi i wyjął klucz, który tkwił w zamku od tamtej strony. Potem zamknął je starannie od środka, przekręcił klucz dwa razy, wyjął go i schował do lewej kieszeni spodni. Przyglądał się mężczyźnie, który wciąż był od niego wyższy i wciąż miał większy niż on zasięg ramion. Ale ani to, ani owa mała łyżka do butów za chwilę nic a nic temu człowiekowi nie pomogą. Mężczyzna jeszcze nie zaczął się bać, wyglądał jedynie na zbitego z tropu. Trzeba go więc najpierw porządnie przestraszyć. Erik głęboko wciągnął powietrze.

- A teraz posłuchaj mnie, stary. Ty jesteś samym złem i takich jak ty powinno się unicestwić. Za mniej więcej pół godziny znajdziesz się w szpitalu Świętego Görana. Nie będziesz widział na oczy. Twój nos będzie złamany w wielu miejscach. Jedną twoją ręką będzie złamana i nie będziesz miał kilku zębów. I wiesz, co im powiesz, ojcze? Nie odważysz się wyznać prawdy, powiesz im mianowicie, że spadłeś ze schodów. Chociaż nikt ci nie uwierzy, to właśnie będziesz im powtarzał.

Erik zrobił pauzę, by słowa zapadły w umysł tamtego. Chciał wiedzieć, jaki będzie ich skutek, chciał oglądać, jak strach będzie pompowany do krwioobiegu starego, jak wprawi go w popłoch, jakby w jego czaszce został zamknięty nietoperz. O właśnie, mężczyzna uniósł łyżkę do butów do połowy, ale tylko do połowy, i w tej pozycji zastygł, jakby się przemienił w lód. Strach działa. Za chwilę mężczyzna będzie całkowicie bezbronny.

Osobliwe, myślał Erik, ten ptak za oknem, którego słyszę tak wyraźnie, którego śpiew jest jedynym dźwiękiem, jaki do mnie dociera, nie licząc oddechu starego, dlaczego nie pamiętam, jak się ten ptak nazywa? To jakiś zwyczajny ptak, nie dalej niż pół roku

temu natychmiast bym to wiedział, a teraz jakby mi wiatr wywiał z głowy wszelkie wiadomości.

Czas jeszcze bardziej pogłębić strach ojca.

- Będiesz to powtarzał, choć nikt ci nie uwierzy. Bo gdybyś zadzwonił po policję, to ja im tylko powiem, co robiłeś przez wszystkie minione lata. A teraz możesz spróbować uderzyć mnie tą łyżką do butów. Przez zamknięte na klucz drzwi nie wyjdiesz i tak. Kiedy już skończę z twoją twarzą, złamię ci lewą rękę. Złamię ci ją tuż nad łokciem, a ty będziesz wył z bólu, dopóki nie stracisz przytomności. Przysięgam ci, ojcze, naprawdę to zrobię. Będiesz wrzeszczał i wył, dopóki nie stracisz przytomności.

Erik uważnie przyglądał się mężczyźnie przed sobą. Metoda działała. Mężczyzna, który wciąż stał jak skamieniały, z tą śmieszną łyżką do butów w uniesionej do połowy ręce, był teraz całkowicie bezbronny. Oddychał ciężko przez nos i nie był w stanie oderwać wzroku od twarzy Erika.

Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa ten ptak, zastanawiał się Erik, i jak to możliwe, że jestem taki spokojny, choć przecież na tę chwilę musiałem czekać przez całe życie? Adrenalina, która została wpompowana do całego organizmu, nie działa widocznie równie szybko jak zwykle, nie jestem tak zdenerwowany, jak powinienem. To dziwne, ale ja w ogóle nie jestem zdenerwowany, a przecież za niespełna dziesięć sekund krew tego faceta rozbryźnie się po całej podłodze, po tapetach (ważne, żeby się potem nie poślizgnąć na zalanej krwią podłodze), a on będzie szukał po omacku tymi swoimi długimi łapami, niczego nie widząc. Ja nadal jestem całkiem spokojny. Ale teraz to naprawdę musi być ostatni raz. Potem już nigdy więcej. Po tym tutaj koniec, nigdy więcej.

I zrobił pierwszy powolny krok w stronę skamieniałego mężczyzny.